

WRZEŚNIOWE POWROTY

Egz. archiwalny

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 83828

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 9 (107) • ROK X • WRZESIEŃ 2004

CENA 4 ZŁ (w tym 0% VAT)

____ Na odejście CZESŁAWA MIŁOSZA

____ TOMASZ FAŁĘCKI

____ „Nim wybuchła ta wojna”

____ EWA KOJ – Punktów oporu było wiele

____ Pociąg pełen muzyki WOJCIECHA KILARA

____ SŁAWOMIR MATUSZ – Hip-hop i rap

____ „Dzieci” – proza J. P. KRASNODEBSKIEGO

____ Rozmowa z TADEUSZEM STRUGAŁĄ

ISSN 1425-3917





Większość koncertów prowadził Łukasz Borowicz. Na zdjęciu podczas koncertu na dworcu w Rzeszowie.



Rzeszów - i tu, jak w każdym miejscu na trasie „Pociągu”, plakaty informowały o tym muzycznym wydarzeniu.



Wojciech Kilar podczas koncertu „Pociągu” na dworcu w Krakowie.



Wojciech Kilar z o.o. paulinami po koncercie w bazylice jasnogórskiej w Częstochowie.



Kraków - za chwilę rozpocznie się kolejny koncert na dworcu.

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO- KULTURALNY

Nr 9 (107). Rok X. WRZESIEŃ 2004 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, Tel. 253-62-21
e-mail: slask@alfa.com.pl
www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny
FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego
WIESŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji
KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny
BARBARA GRUSZKA-ZYCH
dział krytyki

BOGDAN WIDERA
dział społeczno-historyczny
WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny
MIROSLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

ANNA STRUMIŁOWSKA
PAWEŁ GARDAWICKI
korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 206-82-71.

DTP: STP „KorGraf”, 40-081 Katowice,
ul. Dąbrowski 15/12, tel. 354-09-88, 781-06-48

Druk: PW „Tolek”

DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: – poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpłatnie – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA 1 O/Katowice 92 102023130000 2302 00202176. Prenumerata roczna – 48 zł., półroczna – 24 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazanym adresem bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 4 zł (w tym 0% VAT).

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Nakład: 4000 egz.

W NUMERZE:

Ks. Jerzy Szymik KATASTROFA I NADZIEJA.	
Na odejście Czesława Miłosza	2
Tadeusz Kijonka WRZEŚNIOWE POWROTY	6
Rozmowa z prokuratorem Ewą Koj PUNKTÓW OPORU BYŁO WIELE	8
Tadeusz Kijonka GODZINA „W”	10
Tomasz Fałęcki NIM WYBUCHŁA TA WOJNA	12
Rozmowa z arch. Henrykiem Buszką POMNIK ŚLĄSKIEGO GOSPODARZA	17
Violetta Rotter-Kozera POCIĄG PEŁEN MUZYKI I WSPOMNIEN	18
Marek Piechota MAŁE OJCZYZNY PROF. ZBIGNIEWA JERZEGO NOWAKA (1919-1993)	24
Tadeusz Kijonka WÓR NIEZGODY	27
Bartłomiej Warzecha Z KRONIK PIERWSZYCH DNI ŚLĄSKIEGO WRZEŚNIA	28
Antoni Wolak WIERSZE	32
Rozmowa z Tadeuszem Strugałą LUBIĘ CIĄGLE DEBIUTOWAĆ	34
Marcin Halaś KRESOWIACY I WYPĘDZENI	37
Jan Paweł Krasnodębski DZIECI (fragment)	38
Feliks Netz JAK LUDZIOM MÓWI SIĘ PRAWDĘ	42
Grzegorz Bębnik SWASTYKI NAD MIASTEM	44
Jerzy Węgiński WE WRZEŚNIU 1939 - ŚLĄZACY BRONILI LWOWA	46
Danuta Lubina-Cipińska BYŁA TAKA SZKOŁA	48
Bożena Fels EKUMENICZNIE O SEKTACH	52
Harry Duda RYSZARD KINCEL. Wielki regionalista	54
Tadeusz Kurlus MOJE KATOWICE W LATACH OKUPACJI	55
Krzysztof Karwat CZŁOWIEK, KTÓRY ZATRZYMAŁ ZEGARY	60
Bogdan Widera WERNISAŻ Z DZIEĆMI W TLE	64
Wiesława Konopelska TAK MUSI BYĆ	65
Ślawomir Matusz HIP-HOP I RAP - POEZJA ODRZUCONYCH	66
Krzysztof Karwat W KRĘGU AWANGARDY	80
PRO PUBLICO BONO	88

Pismo wspierane
finansowo przez
ZARZĄD
WOJEWÓDZTWA
ŚLĄSKIEGO

oraz dotowane przez
URZĄD MIASTA
KATOWICE



i MINISTERSTWO
KULTURY

W kolorze:

● Wystawa malarstwa i grafiki Elżbiety Jankowskiej-Kabierz w Galerii „Akwarela” Pałacu Młodzieży w Katowicach (str. A) ● Franciszek Kafel – malarstwo, Wystawa w Galerii Na Żywo Radia Katowice (str. B) ● Galeria BWA w Bielsku-Białej (str. C) ● Znaki i Twarze Miasta Katowice - Herby Katowic (str. D).

Na okładce:
Witraz z herbem w Urzędzie Miasta

Fotografia:
Zbigniew Sawicz

ŚLĄSKI MIESIĄC	4
LISTY	5
POZA KADREM	
Feliks Netz SŁOŃ	23
PODKOPKI	62
FOTOGRAFIA	
Barbara Firla EROTYCZNE MARZENIA RUMIAKA	69
TANIEC	
Marcin Halaś MARATON ZA MILION DOLARÓW	70
Magdalena Dziadek MIĘDZY NUTAMI KSIĄŻKI	71
Bogdan Widera OPŁACIŁO SIĘ TO SŁÓW SKŁADANIE	72
Agnieszka Nęcka OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA	73
Seweryn A. Wisłocki RYTMI I OBYCZAJ	74
Aleksandra Franke W MATNI UMYSŁU	74
Jerzy Paszek CAŁY REYMONT	75
Franciszek Prohaska JA CIĘ SORRY	76
Krzysztof Karwat OSTATNIE WIERSZE KACZMARSKIEGO	76
Artur Madaliński ODWAGA WOŁANIA NA PUSZCZY	77
NOTY	78
EKOLOGIA	
Jarosław Starzyk TEN OGRÓD NALEŻY DO WAS	79
Jan Rzymelka SILESIAURUS OPOLENSIS - DINOZAURO SPÓD OPOŁA?	81
NOTATNIKI KULTURALNE	
Wiesława Konopelska KATOWICE	82
Jan Picheta BIELSKO	84
Elżbieta Kot CZĘSTOCHOWA	85
Marek Świercz OPOLE	86
Jacek Sikora ZAOLZIE	87

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą
„RUCH” S.A. Tel. +48/022/620-12-71, fax +48/022/620-70-39, 624-14-88.
e-mail: zagran@pol.pl



Czesław Miłosz podczas ostatniego spotkania w Katowicach - Teatr Śląski, 12 października 1999 r.

Foto: Tomasz Zakrzewski

Na odejście Czesława Miłosza

Katastrofa i nadzieja

Wiosną 2003 roku otrzymałem od Niego ostatni list. Pisał w nim, że w przygotowywanym przeze mnie w tamtym czasie tomie wierszy („Błękit”) najbardziej wzruszają go wiersze o - jak to ujął dosłownie - „Księdza śląskiej ojczyźnie”. I że rozumie to wszystko, rozumie przez pryzmat Wilna, Litwy... I że na czwartej stronie okładki mogłoby się znaleźć takie, podpisane przez Niego zdanie: „Czytając księdza Jerzego Szymika wydaje mi się, że religia może uratować poezję przed otaczającym nas chaosem”.

Miało to bez wątpienia spory związek z awersją wobec rozpacz, tendencją coraz silniej obecną w Jego twórczości i wypowiedziach w ostatnich latach życia. Oto fragment ostatniego wywiadu w „Tygodniku Powszechnym”:

- *Uważa Pan, że nie godzi się dzielić z blźniemi rozpacz, nie wypada go zasmucać?*

- Nawet jeśli Boga nie ma, to nie wszystko człowiekowi wolno. Jest stróżem brata swego i nie wolno mu brata swego zasmucać, opowiadając, że Boga nie ma. Tak napisałem.

- *Nawet kosztem prawdy?*

- Żyjemy w epoce, która to, co najgorsze wysuwa na pierwszy plan: rozpacz, rozpacz przede wszystkim rozpacz. Tyle się tego nabierało, że zachowanie taktu jest zrozumiałą reakcją na ten nadmiar. W okresach hip-

kryzji trzeba było zdzierać złudne zasłony i pokazywać gołe figury bez listków figowych. Ale dzisiaj mamy odwrotną sytuację.

- *Deficyt listków figowych?*

- I wielką wyprzedaż rozpacz.

Ta diagnoza zastanawia tym bardziej, że z nazwiskiem i dziełem Noblisty związane jest trwale w historii polskiej literatury XX wieku pojęcie „katastrofizmu”. Przypomnijmy, że Miłosz debiutujący w pierwszej połowie lat trzydziestych ubiegłego stulecia (to niezwykle: być aktywnie obecnym w literaturze przeszło siedemdziesiąt lat!) był „genetycznie” i „środowiskowo” niejako „skazany” na katastrofizm. Przecucie jakiegoś straszliwego, nieodwracalnie rujnującego postać świata kataklizmu wisiało w powietrzu, kiedy w Wilnie ukazał się debiutancki „Poezat o czasie zastygłym” (1933 rok). Atmosfera nadciągającej, nieuchronnej katastrofy - o potężnej sile rażenia godzącej tak w historyczny jak i metahistoryczny wymiar życia - była dominującym klimatem ideowym wśród członków „Żagarów”, wileńskiej grupy poetyckiej, której dwudziestoletni wówczas Czesław był współtwórcą. Takie również było polityczno-kulturowe oblicze ostatnich lat przedwojennej Europy i świata w przededniu katastrofy: oblicze napięte, wyczekujące nieszczęścia. Miłosz, najwybitniejszy przedstawiciel tamtej formacji poetyckiej, był też w największym z nich

wszystkich stopniu *anima naturaliter catastrophica* - jak mawiano, trawestując Tertulianowe adagium. Stąd w jego poezji (wcześniejszej zwłaszcza) tak sugestywnie odmalowany został „światopogląd grozy”, wizje wojny i ponaddziejowego kataklizmu, bezpowrotnego przemijania, okrucieństwa, tragizmu, lęku.

Ale teraz najważniejsze: katastrofizm Miłosza nie jest sługą rozpacz. Nawet „najmłodszy” (z „Poezmatu o czasie zastygłym”, z „Trzech zim”) ewokuje wyraźnie świat religijnego doświadczenia. Terminologia i obrazowanie, patos metahistorycznych wizji, nacechowanie etyczne (coś więcej niż postawa stoickiego hartu wobec oczekiwanej z niezachwianą pewnością katastrofy), wątki „sperantyzmu” - to wszystko przemawia za tezą, o słuszności której jestem mocno przekonany: poetycki katastrofizm Miłosza w swej warstwie najgłębszej jest niczym innym jak artystycznym kształtem refleksji eschatologicznej, czyli zapisem teologii kresu i przejścia, mówiąc najkrócej - Apokalipsy. Najbardziej wewnętrzne źródło Miłoszowego katastrofizmu tkwi bowiem w lęku metafizycznej wybitnie natury. Także sam sens uprawiania sztuki w tym nurcie jest pojmowany przez Noblistę religijnie, ściślej - biblijnie. Chodzi bowiem nie o podcinanie skrzydeł, czy o podsycanie śmiercionośnych antycypulawczych mocy tkwiących w rozpa-

czy, ale o profetycznie i biblijnie pojętą Apokalipsę, w której katastrofa i ocalenie nie wykluczają się. Jak to brzmia siedemdziesiąt lat później? „Nie wolno brata zasmucać”...

Tak to wyjaśnia w rozmowach z Ewą Czarną: „Czas, w którym rosło moje pokolenie, upoważniał do oczekiwania katastrof. (...) Katastrofizm jest głosem Kasandry. Jest w nim ostrzeżenie. (...) Ludzie mogą reprezentować rozmaite filozofie, ale mieć tendencje katastroficzne. (...) oczekiwanie, wymiar eschatologiczny, są stale obecne w historii. Nawet czwarta ekloga Wergiliusza jest już oczekiwaniem wielkiego przełomu. (...) odczytywano ją jako zapowiedź, proroctwo przyjścia Chrystusa. Jesteśmy przecież nasycony jakąś wizją mesjanistyczno-eschatologiczną w Starym Testamencie, w Nowym Testamencie. Ten wymiar jest z nami ciągle. Jak dowiadujemy się z rozmów Miłosza z E. Czarną („Podróżny świata”) oczekiwanie katastrofy splata się z oczekiwaniem na przejście w inny wymiar”.

* * *

To bardzo ważne: strofy Miłosza - „głos Kasandry” - są składową wyraźnie chrześcijańskiej, a nie hellenisko-pogańskiej (tragicznej wyłącznie i ostatecznej) historiozofii. W tym też sensie przeobraża Miłosz achetykalny mit katastroficzny w eschatologię, a precyzyjnie - w zawierającą ziarna nadziei apokaliptyczną teologię katastrofy.

Bo wiersz Miłosza jest mądry mądrością kogoś, kto żyje na co dzień z nieusuwalnym bólem. Wie, że służyć nadziei nie znaczy naiwnie kultywować tzw. „optymizm”, czyli pseudonadzieję, matkę głupich. Katastrofizm przybiera w utworach Autora „Traktatu teologicznego” kształt eschatologii najstraszliwszej grozy, na dnie której - mimo wszystko, dopiero, dlatego - dojrzewa ziarno niezniszczalnej nadziei. Jak w *Oeconomia divina* (Berkeley, 1973 r.), wierszu, który jest opisem apokaliptycznej katastrofy „wycieku istnienia” ze świata pod wpływem bezbożności:

„Nie myślałem, że żyć będę w tak osobliwej chwili.

Kiedy Bóg skalnych wyżyn i gromów,
Pan zastępów, Kyrios Sabaoth,
Najdotkliwiej upokorzył ludzi,
Pozwoliwszy im działać jak tylko zapragną,
Im zostawiając wnioski i nie mówiąc nic,
Było to widowisko niepodobne, zaiste,
Do wiekowego cyklu królewskich tragedii.
Drogom na betonowych słupach,
miastom ze szkła i żeliwa,
Lotniskom rozleglejszym niż plennienie

państwa
Nagle zabrakło zasady i rozpadły się.
Nie we śnie, ale na jawie, bo sobie odjęte
Trwały jak trwa to tylko, co trwać nie powinno.
Z drzew, polnych kamieni, nawet

cytryn na stole
Uciekła materialność i widmo ich
Okazywało się pustką, dymem na kliszy.
Wydziedziczona z przedmiotów mrowiła się
przestrzeń.

Wszędzie było nigdzie i nigdzie, wszędzie.
Literę ksiąg srebrniały, chwiały się i nikły.
Ręka nie mogła nakreślić znaku palmy,
znaku rzeki, ni znaku ibisa.

Wrzawą wielu języków ogłoszono
śmiertelność mowy.
Zabroniona była skarga, bo skarżyła się
samej sobie.

Ludzie, dotknięci niezrozumiałą udręką,
Zrzucali suknie na placach żeby sądu
wzywała ich nagość.

Ale na próżno tęsknili do grozy, litości i gniewu.
Za mało uzasadnione
Były praca i odpoczynek
I twarz i włosy i biodra
I jakiegokolwiek istnienie.

To bardzo charakterystyczne: na poziomie polaryzacji „optymizm - pesymizm” dzieło Miłosza jest bez wątpienia pesymistyczne. Ale na poziomie „nadzieja - rozpacz” zdecydowanie bliżej Jego wierszom i myśli do nadziei. Sprzecznosc jest tu jedynie pozorna. Pisał w „Ziemi Ulro”: „Pomimo wszystko moja ‘katastroficzna’ poezja nie była poezją bez nadziei. Dlaczego? Ponieważ ‘katastrofa’ w poezji i sztuce chrześcijańskiej zawsze spełnia tę samą funkcję: pozwala nam przyjąć ten świat nie w imię jego porządku, skoro ten został zakłócony, ale w imię nadziei, że (...) nastąpi (...) powrót do ładu.

* * *

Nieźmiennie wiele Mu zawdzięczam.

W listach i podczas rozmów wyrozumiałe nie zauważał przeszło 40-letniej różnicy wieku. Był zawsze wobec mnie więcej niż uprzejmy, z wyraźną sympatią, ukrywaną nieraz pod warstwą pozbawioną jadu ironii, z wyczuwalnym szacunkiem dla katolickiego kapłana. Służył szczerze wiedzę i udostępniał archiwum, kiedy pisałem rozprawę habilitacyjną pt. „Problem teologicznego wymiaru dzieła literackiego Czesława Miłosza. Teologia literatury” (obronioną skutecznie w 1996 roku w KUL, na uniwersytecie, którego był doktorem h.c.). Tropiłem ślady Jego biografii, lektur, fascynacji. Więc czytałem Szewstowa, Mertona, Oskara Miłosza, Blake’a, Swedenborga, Dostojewskiego, Simone Weil. Psalmi i Księgę Hioba. I wszystko, co sam napisał. To była jedna z moich najważniejszych szkół.

Uczyłem się rozumieć świat pytań i idei, które Jego dzieło literackie reprezentuje i stwarza. I świat ten spotykać ze światem współczesnej teologii. Przyglądał się temu życzliwie. Podśluchiwałem Jego frazę, tonację, język. Wiele się od Niego nauczyłem - w zwarciu, w uważnej lekturze, protestując i chłonąc. Opór i zachwyt - Jego ulubione słowa. Nie podzielałem Jego gnostyckich sympatii, podziwiałem głęboką chrystologię. Uważam, że zdanie dołączone w „Roku myśliwego” do przepisanego z Ewangelii wyznania Piotra - „Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa żywota wiecznego» (J 6,69). I na tym bunt się kończy” - jest jedną z najgenialniejszych syntez dwudziesto-wiecznej chrystologii.

Żartował, że sięga do mojej o Nim książki, kiedy nie wie, co napisał i kiedy ma wątpliwości, co myślał na jakiś teologiczny temat... Opiszę inny żart, przedni zresztą. Jest wrześniowy wieczór 1997 roku, rozmawiamy w Jego krakowskim mieszkaniu; żyje jeszcze Carol, Dobry Anioł Jego starości. Popisuję się znajomością Jego twórczości, chwałę świeżutki w tamtych dniach wiersz *Daemones*. Na to Miłosz, że Vincenz Mu kiedyś opowiadał przypadek pewnego poety, który sobie siedział i pisał. Ktoś nagle puka do drzwi. Poeta otwiera, widzi diabła. „Zabraniam Panu wejść”, powiada. Na to diabeł: „Czytałem pańskie teksty, są bardzo dobre. Ogromnie mi się podobały”. Poeta: „Niech Pan wejdzie. Miło mi, czego się Pan napije?”... Do tego momentu wytrzymałem, ale teraz pytam: „to niby o mnie?” Nie, nie - zapewne Miłosz - ostre ironii jest wyraźnie skierowane w stronę próżnego poety! I dodaje po sekundzie, wybuchając śmiechem: „czego się Książd napije?”

* * *

Teraz, kiedy umarł, myślę o Jego słowach wygłoszonych w roku akademickim 1981/82 z wysokości *Charles Eliot Norton Chair of Poetry* w Harvard University: „Czy możliwa jest poezja nieeschatologiczna? Byłaby to

poezja obojętna na oś przeszłość - przyszłość i na «rzeczy ostatnie», a więc Zbawienie i Potępienie, na Sąd, na Królestwo Boże, na cel Historii, czyli na wszystko, co łączy czas wyznaczony jednemu życiu z czasem ludzkości”. Nie, odpowiada, taka poezja nie jest możliwa.

Myślę o Jego najgłębiej eschatologicznych wersach wywiedzionych z Biblii:

„Trudziłem się i wybierałem (...)

naturę doskonałą,

wyniesioną ponad chaos i przemijanie,

ogród niezmieniony pod drugiej stronie czasu”

„Niech triumfuje (...)

(...) z martwych powstawanie

Ku Niemu, który jest i był i będzie”

I odkryta będzie na nowo każda radość poranka,

Każdy smak jabłka zerwanego

w wysokim sadzie.

Więc mogę być spokojny o to co kochałem”

(*Powrót; Do Józefa Szadzika; Te korytarze*)

Myślę o Nim z miłością.

Kiedy 30 września 1997 roku wychodziłem z mieszkania przy ul. Bogusławskiego w Krakowie, powiedziałem: „Przyszedłem, żeby podziękować. Żeby Pan wiedział, jak wiele od Pana otrzymałem. Takich jak ja jest wielu. To się będzie TAM liczyć. Mówię z pokorą i nieśmiało: ufnoski życzę. Niech Bóg Pana błogosławi”.

Plakał. Był wielki w tym płaczu.

Padła gęsta deszcz. Plakały planty, we mgle; szła jesień.

Teraz płaczemy wszyscy. Ufni.

* * *

„Na czym polega tajemnica Pana warsztatu? Skąd pochodzi to coś, co nas zachwyca aż tak? - zapytałem kiedyś. «Książd jest po czterdziestce, więc powinien to już wiedzieć” - chłodna odpowiedź miała przerwać niewygodny temat. „Zalóżmy, że już wiem, ale chcę potwierdzenia mistrza” - postanowiłem nie odpuścić i spotkała mnie nagroda. „Codziennie po śniadaniu kilka godzin pracuję. Tajemnicą skuteczności jest zawsze to samo - systematyczna pracowitość. Jeśli się codziennie kopie, to zdarza się co kilka lat wykopać brylant”.

Zgoda, myślę dzisiaj, kilka dni po Jego śmierci, brylant - zgoda. Ale skąd ich tyle, skąd owa olśniewająca kolia?

I nie znajduje innego wyjaśnienia jak to, pod którym się sam kiedyś podpisał, cytując rozmowę podanego Josipa Brodskiego z sędzią Sawieliewą, rozmowę przeprowadzoną w Leningradzie w 1964 roku, podczas procesu, w którym Poeta został skazany za „paszożytnictwo” na pięć lat robót przymusowych:

„- Czy uczyliście się tego?

- Czego?
- Żeby być poetą. Czy nie próbowaliście chodzić na uniwersytet, gdzie dają wykształcenie... Gdzie uczą?

- Nie myślałem... Nie myślałem, że można to zdobyć wykształceniem.

- A czymże?

- Myślę, że to... od Boga”.

Bo skąd?

ks. JERZY SZYMIK
Pszów, 21 sierpnia 2004 r.

Ks. Jerzy Szymik jest autorem rozprawy habilitacyjnej „Problem teologicznego wymiaru dzieła literackiego Czesława Miłosza”, wydanej przez Księgarnię św. Jacka w roku 1996, str. 464.

■ **GRUPA** dwadzieścioro młodych Irakijczyków przyjechała 1 lipca wieczorem do Bielska. Dzieci pochodzą z miejscowości Al Hillah, gdzie stacjonują żołnierze z 18. Batalionu Desantowo-Szturmowego z Bielska, którzy byli głównymi organizatorami polskich wakacji dla irackich dzieci.

■ **MAŁGORZATA** Kantorowska – „naga radna”, jak ją nazywają w Chorzowie, gdzie przez miesiąc zasiadała w Radzie Miasta – była 2 VII gospodynią imprezy „Playboya” w katowickim klubie „Genesis”. Wśród zaproszonych gości byli m. in. Katarzyna Skrzynecka i Marcin Meller, redaktor naczelny pisma.

■ **RODOWITA** mieszkanka Dobieszowic w gminie Bobrowniki Elżbieta Gubała świętowała 103. urodziny.

■ **MŁODZI** radni z będzinśkiego Sojuszu Lewicy Demokratycznej, chcą by nowy plac przed dworcem nosił imię Edwarda Gierka. Towarzystwo Przyjaciół Będzina jest – ogólnie mówiąc – zbulwersowane.

■ **POLICJANCY** z Katowic będą szukać osób, które podczas górnictwej pseudomanifestacji zniszczyły siedzibę Kompanii Węglowej. Podczas rozróby 1 VII wybito szyby i obrzucono budynek jajkami i petardami. Straty wynoszą ok. 25 tys. zł.

■ **SOSNOWICZANIN**, 20-letni Marcin Koniusz zdobył 2 VII w Kopenhadze srebrny medal mistrzostw Europy w szabli.

■ **WKRÓTCE** w Szpitalu Wojewódzkim w Bielsku znacznie działać najnowocześniejszy w Polsce oddział kardiologiczno-angiologiczny. Będzie to najnowocześniejsza placówka tego typu w Polsce, a być może w całej Europie Środkowej. Bielszczanom będą zazdrościć pacjenci z całej Polski. Albo i nie; jeśli powtórzy się przypadek z równie super-hiper oddziałem w Bydgoszczy, który szumnie otwieramy, stoi w ciszy nieczynny. Bo w Polsce łatwiej coś otworzyć, urządzić, niż później otrzymać pieniądze na działalność.

■ **GÓRNOŚLĄSKIE** Centrum Medyczne w Ochocu będzie przyjmować mniej chorych. W ośmiu klinikach kończą się kontrakty na leczenie.

■ **CHOĆ** od lat mieszkają na Śląsku, ciągle tęsknią za Lwowem. Wyszliedeni ze Wschodu spotkali się 3 VII w Bytomiu na Światowym Kongresie Kresowian.

■ **RADNY** katowickiego sejmiku wojewódzkiego, Rajmund Pollak, może stracić pracę. Jego szefowie mówią, że jest niezdyscyplinowany i lekceważy służbowe polecenia, nadużywając statusu radnego. Na zwolnienie Pollaka musi się zgodzić większość radnych sejmiku.

■ **ZNANY** operator filmowy Krzysztof Tusiewicz, nakręcił film dokumentalny o najstarszym maturzysty w Polsce 65-letnim Janie Pieczorze z Bielska-Białej.

■ **PRACOWNIK** Powiatowego Zarządu Oświaty w Żywcu 49-letni Władysław Motyka jest od 5 VII radnym Sejmiku Samorządowego Województwa Śląskiego. Zastąpił Jana Olbrycha wybranego do Parlamentu Europejskiego.

■ **NA** myślowickim rynku stanęła fontanna z figurą św. Jana Chrzciciela, patrona miasta. Rzeźbę, według projektu Tomasa Myczkowskiego z pracowni wrocławskiej, wykonali Nina i Sergiej Buczaczy.

■ **CZTEREM** źródłom na terenie Parku Krajobrazowego „Orlich Gniazd” wojewoda śląski nadał status pomników przyrody. Ochroną objęto zespół źródeł, które dają początek Białce Zdowskiej, źródło spod Skalki wraz ze skałą wapienną spod której wypływa woda, wpadająca następnie do Białki w Zdobie, zespół źródeł rzeki Centurii w Centurii oraz Źródło Pani Halskiej w Sokolnikach.

■ **PANI** Anna Kozielska z Rybnika obchodziła 6 VII swoje 102. urodziny. Z tej okazji odwiedził ją prezydent miasta Adam Fudali z kwiatami i upominkiem dla Jubilatki.

■ **PODCZAS** rozmów o podwyżkach 5 VII górniczy z kopalni Katowickiego Holdingu Węglowego domagał się 15-proc. podwyżki płac. Chęć także dostawać za każdy przepracowany dzień bon z wyznaczonego warte 12 zł. Holding powinien im wypłacić także nagrodę z zysku i dodatkowo po 600 zł w gotówce i tyle samo w bonach. W zeszłym tygodniu podwyżki i dodatkowe premie wywalczyli górnicy z Jastrzębskiej Spółki Węglowej.

■ **WÓJT** Świerklan Antoni Mrowiec odebrał 6 VII nagrodę za 29. miejsce w rankingu dziennika „Rzeczpospolita” Złota Setka Gmin. Na ostatniej sesji radni gminy próbowali go usunąć z urzędu za chamstwo.

■ **WYSOKI** rangą urzędnik Starostwa Powiatowego w Tarnowskich Górach został oskarżony o korupcję. W zamian za wydanie zgody na dotację PFRON dla jednego z zakładów pracy chronionej

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń z miesiąca poprzedzającego zamknięcie numeru

miał wziąć 5 tys. zł łapówki. Wpadł tuż po odebraniu oznaczonych banknotów.

■ **PONAD** 200 osób uczestniczyło w kursie rekolekcyjnym poświęconym ewangelizacji. Prowadziła go przy parafii w Katowicach Murkach Michelle Moran, reprezentantka watykańskiego biura, koordynującego stumilionowy ruch Katolickiej Odnowy w Duchu Świętym. Kurs trwał do 8 VII.

■ **LICZBA** radnych Sojuszu Lewicy Demokratycznej w Radzie Miejskiej Bielska-Białej zmalała do tego stopnia, że SLD nie ma już klubu.

■ **ŚLĄSCY** policjanci zatrzymali 7 VII szefów działającej w Żorach w systemie argentyńskich oszukańczej firmy pod nazwą Powszechna Inicjatywa Gospodarcza „Euro 2000”. W latach 2002-2004 oszukała ona 3 tys. osób.

■ **WOJEWODA** śląski podjął decyzję o lokalizacji zbiornika Racibórz Dolny. Oznacza to, że wieś Nieboczowy przestanie istnieć. Mieszkańcy będą mogli jednak tu mieszkać co najmniej do 2010 roku.

■ **JUŻ** niebawem w Gliwicach posadę straci jeden z wiceprezydentów i trzech radnych. A wszystko przez to, że gliwiczanie mają coraz mniej dzieci. Gliwice spadły z pierwszej ligi i przestały być miastem 200-tysięcznym. I to pierwszy raz od 70 lat!

■ **TLUMACZ** języka migowego Mirosław Koperwas rozpoczął pracę w zabrzańskim magistracie. Ma pomagać głuchym i niedosłyszącym mieszkańcom w porozumiewaniu się z urzędnikami.

■ **PRZYPADKOWE** odkrycie. Dziewiętnasto-wieczną bożnicę odkryto w będzinśkiej kamienicy. Część murów jest zniszczona, ale w niektórych miejscach zachowały się fragmenty kolorowych malowideł oraz dwie kolumny.

■ **GRUPA** 27 niepełnosprawnych dzieci w wieku 13-17 lat przyjechała do Rybnika z francuskiego miasta partnerskiego Lievin na kilkudniowe wakacje.

■ **PONAD** pół miliona złotych wydały władze Mysłowic na nową fontannę (miała kosztować 336 tys. zł). Teraz wydział do walki z korupcją śląskiej policji sprawdzi, czy przy jej budowie nie naruszono prawa.

■ **SPECJALISTKA** ds. bezpieczeństwa i higieny pracy, wieloletnia pracownica Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiej „Solidarność” – Helena Cioch została tegoroczną laureatką Nagrody im. Haliny Krahelskiej, którą główny inspektor pracy przyznaje za wybitne osiągnięcia w dziedzinie ochrony pracy.

■ **NIE** ma spokoju w Siemianowicach. – Musiałeś wyjść na ulicę. Potrzebujemy chleba i lekarstw! – krzyczały 14 VII siemianowiczanki, które nie mogą się doczekać wypłaty świadczeń rodzinnych. W tym samym czasie na drugim końcu miasta, mimo heroicznej obrony zesposerowanych rodziców, trwała agonia Szkoły Podstawowej nr 7. A władze budują mieszkańcom basen...

■ **BYŁY** prezydent Będzina powinien oddać do miejskiej kasy 31 tys. zł, bo dodatek do pensji przyznał mu szef Rady Miejskiej, a powinien radni.

■ **WSPÓŁPRACUJĄCE** z powiatem raciborskim walciskie hrabstwo Wrechem szuka w Raciborzu i okolicach 50 osób do pracy w domach opieki spo-

lecznej. Ofertą zainteresowały się do tej pory trzy osoby.

■ **SZPITAL** im. Leszczyńskiego w Katowicach odmawia choremu chemioterapii. Lekarze tłumacząc się, że skończył im się lek. Urzędnicy śląskiego oddziału NFZ zarządzili w szpitalu kontrolę.

■ **ŚLĄSKI** Oddział Narodowego Funduszu Zdrowia dostanie 40 mln zł na leczenie w szpitalach. Dodatkowe pieniądze dla szpitali uzyskano, uszczuplając wydatki na refundację leków w regionie. Żeby jednym dać, trzeba było drugiemu zabrać...

■ **POROZUMIENIE** o nazwie Jedność Górnśląska podpisali 15 VII przedstawiciele: Związku Górnośląskiego, Ruchu Autonomii Śląska, Przymierza Śląskiego i Rady Głównej Niemców Górnośląskich. Razem chcą zadać o lepszą edukację regionalną i już myślą o tworzeniu własnych list wyborczych.

■ **CHORZY** na raka, którym odmówiono chemioterapii w Szpitalu im. Leszczyńskiego w Katowicach, będą mogli kontynuować leczenie już 17 VII. Śląski Oddział NFZ zgodził się warunkowo za nie zapłacić.

■ **KAPITAN** Jerzy Makula z Aeroklubu Rybnickiego Okręgu Węglowego został 18 VII w Morawskiej Trełovie (Czechy) mistrzem Europy w akrobacji szybowcowej. Pilot ze Śląska pokonał w zawodach 52 konkurentów z 11 krajów.

■ **ODKĄD** wprowadzono opłaty za wjazd do Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku, w skansenie położonym na jego terenie spadła frekwencja. Ze zwiedzania w ostatniej chwili rezygnują całe wycieczki.

■ **ŚMIERĆ** alpinisty: 26-letni Grzegorz Skorek, asystent na Politechnice Śląskiej w Gliwicach, zginął podczas odwrotu ze ściany Khan Tengri (7010 m n.p.m.) w Pamirze.

■ **EURODEPUTOWANA** z Katowic prof. Genowefa Grabowska została 21 VII wybrana na jednego z pięciu kwestorów Parlamentu Europejskiego i weszła w ten sposób do prezydium tej instytucji. Kwestura to po prostu wewnętrzna policja finansowa.

■ **ORDYNATOR** zwolniony, oddział zamknięty, pacjenci odesłani do domu – to efekt kontroli na oddziale urologii Szpitala Miejskiego nr 1 w Gliwicach. Po poradzie urologicznej miejscowi muszą jechać teraz do Katowic lub Zabrze i tam czekać w długiej kolejce.

■ **POŚŁANKA** Barbara Blida – w proteście przeciw obrażaniu Śląska przez „prominentnych członków” – wystąpiła z klubu parlamentarnego SLD. Decyzję podjęła po nieformalnym posiedzeniu klubu 21 VII.

■ **BURMISTRZ** Bierunia kazał zburzyć stary pomnik poświęcony powstańcom śląskim, żeby w jego miejsce wybudować nowy za 80 tys. zł!

■ **DZIENNIKARZ** i scenarzysta, współtwórca m.in. filmu o przygodach Bolka i Lolka – Leszek Mech zmarł 25 VII w Toronto. Miał 71 lat, pochodził z Bielska-Białej.

■ **PO** raz pierwszy od ponad roku pracownicy Walcowni Rur „Jedność” w Siemianowicach odebrali pełną pensję. Główny akcjonariusz spółki obiecuje, że w najbliższych dniach przeznaczy 1,5 mln zł na spłatę części zaległości płacowych.

■ **PROKURATOR** z Katowic Mirosław M. przysłał lub żądał łapówek od 14 kierowców, którzy po pijanemu spowodowali wypadki. Był tak bezczelny, że sam dzwonił do podejrzanych i proponował im „ukręcanie” spraw. W ciągu kilku miesięcy zagarnął w ten sposób ok. 20 tys. zł.

■ **BEZROBOTNI**, którzy nie zechcą pracować tam, gdzie skieruje ich pośrednik, zostaną wykreślani z rejestru bezrobotnych. Oznacza to, że jeżeli zachorują lub trafią do szpitala, to za leczenie zapłacą z własnej kieszeni. W Siemianowicach spotkało to już 8 osób, ale w każdej chwili może być ich więcej.

■ **DWUDZIESTU** żołnierzy z 5. Batalionu Chemicznego w Tarnowskich Górach odeślano 30 VII na Igrzyska Olimpijskie do Aten. 31 VII i 1 VIII dołączy do nich jeszcze 32 kolegów. Będą pilnowali porządku na olimpiadzie i paraolimpiadzie. Zabrali ze sobą 19 samochodów i kilka ton sprzętu. Będą jedynymi polskimi żołnierzami biorącymi udział w NATO-owskiej operacji zabezpieczenia igrzysk.

■ **BARWNY** korowód zespołów tanecznych zainauguował 31 VII w Wiśle Tydzień Kultury Beskidzkiej, który potrwa do 8 VIII. Koncerty będą się odbywały codziennie w Wiśle, Szczyrku, Żywcu, Makowie Podhalańskim i Oświęcimiu.

■ **KATOWICKA** prokuratura oskarżyła mecenasa Andrzeja Dolniaka, doradcę prawnego Samoobrony i kandydata na senatora, o uprzedzenie jednego ze śląskich baronów paliwowych o planowanej przeciw niemu akcji Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Adwokatowi grozi 5 lat więzienia.

KRONIKARZ



Ulica Kachla

Czynię to niechętnie i z pewnym zażenowaniem, lecz „magia amica veritas”. Już po raz któryś z ust Pawła Kachla wychodzi informacja, że ulicę Franciszka Kachla w Bytomiu zlikwidowano po protestach mniejszości niemieckiej („Franciszek, ojciec Pawła”, Śląsk, nr 5/2004). Jest to nieprawda. Rada Miejska Bytomia nadała imię Franciszka Kachla ulicy Szkolnej – jednej z nielicznych w Bytomiu, której niezmieniona nazwa przetrwała w tym mieście dwie wojny światowe i prawie sto lat. Uczyniono to bez konsultacji z mieszkańcami ulicy Szkolnej i oni przeciw tej zmianie zaprotestowali. Ulicy przywrócono więc nazwę Szkolnej, nadając równocześnie imię Franciszka Kachla parkowi miejskiemu w Bytomiu. Mniejszość niemiecka nic do tego nie miała, chyba że ktoś posiada dowody, iż na ulicy Szkolnej mieszkają sami Niemcy.

MARCIN HAŁAŚ

Dla kogo one tam wiszą

Szanowna Redakcjo, jestem od kilku lat wiernym czytelnikiem miesięcznika Śląsk, który bardzo cenię za interesujące artykuły i inne spojrzenie na szereg zagadnień społecznych i historycznych oraz za przypomnianie wielu szczegółów z historii Śląska i Katowic, gdzie kończyłem szkoły i mieszkałem w czasie studiów. W numerze marcowym wyczytałem, między innymi, o interesujących malowidłach Felicjana Szczęsnego Kowarskiego w budynku sądu na ul. Warszawskiej w Katowicach. Będąc tam w innych sprawach pomyślałem – zobaczę. Uzyskałem informację gdzie są i że klucz do tej sali na pierwszym piętrze jest na dole w portierni. Wydawałoby się, że nic prostszego. I tu się zaczęło wypytywanie: skąd wiem, że są obrazy (z prasy), dlaczego chcę zobaczyć (czy trzeba się tłumaczyć w chęci doznać estetycznych), kto mi powiedział gdzie są (nie będę wskazywał pracownika sądu, który wskazał mi salę), czy mam zgodę Prezesa Sądu (urzęduje na pl. Wolności), kto mnie przysłał itd. Wobec tych wszystkich pytań i przeciągającej się rozmowy zrezygnowałem, a z mojej strony mam jedno pytanie: dla kogo one tam wiszą? Zostałem zmuszony zadowolili się świetnym opisem i miniaturowymi reprodukcjami w miesięczniku, któremu życzę dalszych 100 ciekawych numerów.

Z poważaniem
ANDRZEJ T. MIKULSKI
(Warszawa)

Jesteśmy wdzięczni redakcji miesięcznika „Śląsk” za całociowe podjęcie tematu obrony Śląska, w tym Wieży Spadochronowej w 1939 r.

Ilość i dobór osób wypowiadających się na Waszych łamach na ten temat, ich kom-

petencje i różnorodność wypowiedzi pozwala na poznanie obecnego stanu wiedzy o tamtych dniach. Rozszerza wiadomości historyczne (np. o sieci konspiracji), podaje relacje naocznych świadków (p. Gertruda Lagner). A przede wszystkim utwierdza w nas, harcerzach (choć jesteśmy już wiekowi), przekonanie, że są ludzie obiektywni, mądrzy, dążący do poznania prawdy i nie zgadzający się na powierzchowne i niefrasobliwe traktowanie trudnego tematu. Szukanie sensacji w artykułach Gazety Wyborczej rani wielu ludzi, którzy ze względu na głębokość i bolesność swoich przeżyć często nie chcą o nich mówić. Ale obowiązkiem dziennikarza jest wiedzieć o tym, i liczyć się z odczuciem ludzi, którzy przeżyli tamten czas.

Można było odnieść wrażenie, że redaktor Bartosz Wieliński jest przekonany o nieomyślności dokumentacji niemieckiej i patrzy na zdarzenia z 39 roku oczami najeźdźców, a nie umie lub nie chce widzieć racji polskich. Nie widzi wielkiego zaangażowania, wysiłku, ofiarności, bohaterstwa obrońców Katowic i Śląska – przecieży zwykłych mieszkańców, cywili, nie żołnierzy. Chyba, że Redaktor uważa, że Niemcy to nie najeźdźcy (tytuł artykułu z Gazety Wyborczej z 13 lutego 2004 r. „Nie jesteście na terenie wroga”).

Mamy nadzieję, że redaktor Bartosz Wieliński zapoznał się z artykułami z Waszego miesięcznika z marca 2004 r. i zauważył, że Kazimierz Golba do 8 września 1939 r. (data aresztowania Kazimierza Golby) był naocznym świadkiem tego, co działo się w Katowicach. Według słów córki „nie wracał nawet na noc do domu, obserwując wszystko”, a więc Jego książka nie jest tylko zmyśleniem lecz także relacją obserwatora.

Dzięki wydawnictwu „Śląsk” wiemy coraz więcej o obronie Śląska w 1939 r. i jesteśmy za to wdzięczni.

Nasze oburzenie na artykuł z października 2003 roku z Gazety Wyborczej było wywołane nie obawą o wykrycie „prawdy” o obronie Śląska, ale sposobem i tonem wypowiedzi autorów powyższego artykułu.

Jeszcze raz dziękujemy redakcji „Śląska”, a szczególnie redaktorowi naczelnemu Tadeuszowi Kijoncie za uświadomienie nam, że jest wielu ludzi czujących i myślących tak jak my.

Członkowie Kręgu Seniora
ZHP „Słężanie”

...A historycy milczą

Szanowna Redakcjo!

W numerze czerwcowym „Śląska” (6/104) ukazał się list Pawła Dubiela, syna Pawła Mikołaja Dubiela (1902-1980), zasłużonego działacza narodowego i społecznego, uczestnika powstań śląskich, więźnia obozów hitlerowskich w Dachau i Mauthausen, autora niezmiernie ważnej, wciąż podstawowej książki o tamtych wydarzeniach: „Wrzesień 1939 na Śląsku” (I wydanie - 1960, II - 1963).

Autor listu wyjaśnia wiele godnych uwagi okoliczności powstania książki ojca. Prostuje także krzywdzące zarzuty zawarte w artykule prof. Ryszarda Kaczmarka zamieszczonym w „Śląsku” w cennym numerze poświęconym dyskusji o obronie Wieży Spadochronowej po odkryciu raportu gen. Neulinga. Prof. R. Kaczmarek stwierdził, iż w opisach Pawła Dubiela „roi się od nieścisłości”. Jak wynika z wyjaśnień Pawła Dubiela-syna wiele z nich zo-

stało sprostowanych w 2 wydaniu książki. Autor „Wrzesień 1939 na Śląsku” miał przy tym świadomość braków i uchybień. Pisał o tym we wstępie wyjaśniając trudności z ogarnięciem tamtych wydarzeń, skoro „wielu uczestników i świadków walk zginęło w boju lub w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych. (...) Okres okupacji nie pozwalał na gromadzenie dokumentów i pamiątek oraz na utrwalenie wspomnień. (...) Relacje na ten temat, umieszczone w źródłach hitlerowskich są oczywiście bardzo tendencyjne, a późniejsze fragmentaryczne notatki polskie zawierają niejednokrotnie nieścisłości. Autor książki, który starał się oprzeć swoje opisy na dostępnych „dokumentach i sprawdzonych relacjach” miał pełną świadomość, że jego praca „nie może sobie rościć pretensji do wyczerpania tematu” a „wiele faktów i epizodów, które składają się na całość pamiętnych dni wrześniowych na Śląsku, zostało tu pominiętych”.

Stawiając takie czy inne zarzuty autorowi „Wrzesień 1939 na Śląsku” trzeba o tym pamiętać co sam na temat swojej książki sądził, licząc na „uzupełnienia tej skromnej pracy”. No i sprawa zasadnicza: od wydania książki Pawła Dubiela minęło ponad 40 lat i nadal nie mamy pełnego ujęcia, udokumentowanego obrazu tamtych wydarzeń. Paweł Dubiel nie był zawodowym historykiem i przystępując do pisania tej książki starał się wypełnić dotkliwą lukę w wiedzy na ten temat. Kto jednak po nim podjął się spośród zawodowych historyków śląskich napisania źródłowej, równie szeroko zakrojonej pracy. Dlaczego dotąd książka taka nie powstała, a historycy śląscy milczą?

Z poważaniem
STANISŁAW GAJDA
Chorzów

Wymowa liczby ofiar

Redakcja miesięcznika „Śląsk”
w Katowicach

Toczące się od szeregu miesięcy spory wokół wydarzeń z pierwszych dni września 1939 roku wywołały wiele kontrowersji. Wystarczył jeden pobieżnie i tendencyjnie skomentowany dokument hitlerowskiego generała w postaci ogólnikowego „raportu”, by doszło do podważenia wielu faktów utrwalonych w naszej pamięci zbiorowej. A chodzi o wydarzenia sprzed 65 lat, bo tyle czasu upłynęło od wybuchu drugiej wojny światowej, której kolejne rocznice przypadają w tym roku.

To, że w archiwach niemieckich można znaleźć bogatą dokumentację sporządzoną z punktu widzenia najeźdźców, którzy brali odwet za powstania Śląskie i utratę znacznej części Górnego Śląska, nie może przeważać zasadniczej prawdy o walkach w jego samoobronie. Tę wyrażają liczby ofiar, a przecież w samych Katowicach było ich setki.

Wymowa tego niepodważalnego faktu powinna skłonić do rewizji wyznawców „prawdy” i „tylko prawdy”, a nie jest to prawda wyrażająca rozmiary ofiar poległych w walce i rozstrzelanych w egzekucjach.

Jestem wdzięczna Redakcji za zajęcie tak zdecydowanego stanowiska w tej wyjątkowo ważnej kwestii.

Łącząc wyrazy szacunku
MATYLD A JANAS
rodowita katowiczanka

Wrześniowe powroty

TADEUSZ
KIJONKA

Data napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę, dzień 1 września 1939 roku zajmuje wciąż w naszej współczesnej historii miejsce o szczególnym znaczeniu i to nie tylko ze względu na tragiczny wymiar tego wydarzenia w dziejach ciężko doświadczonego polskiego narodu.

Z tym dniem w okolicznościach podstępnego spisku po rozpaczliwej obronie dochodzi do bezwarunkowej likwidacji państwa, które jesienią 1918 roku odrodziło się po 123 latach zaborów. Jeśli jednak przyjąć, że był to rozbiór czwarty, bo taki sens miał w istocie skrytobójczy traktat Ribbentrop-Mołotow poprzedzający akt podwójnej agresji sojuszu militarne III Rzeszy i ZSRR, nie oznacza to jednak finału po akcie podziału polskiego terytorium. Gdy po trzykrotnych rozbiorach ginie ostatecznie wielka Rzeczpospolita Obojga Narodów fakty te z końcem XVIII wieku - nie licząc dyplomatycznych reakcji panujących dworów - nie wywołały innych następstw. Tym razem akt napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę w sojuszu z Moskwą ma swe konsekwencje w skali globalnej: ta data oznacza jednocześnie początek II wojny światowej, bo takie ostateczne skutki miało wypowiedzenie III Rzeszy wojny przez Francję i Anglię bez względu na militarną bierność tego istotnego jednak faktu.

Dlatego dzień 1 września 1939 roku ma odtąd sens wykraczający poza historię Polski. Prowadzona z najwyższą determinacją wojna obronna, choć skazana na nieuchronną w tych warunkach klęskę, została jednak przeniesiona wnet na obszar innych krajów, w pierwszej kolejności Francji, dokąd przedostały się dziesiątki tysięcy polskich żołnierzy by kontynuować walkę. Nasz udział wojskowy w II wojnie światowej był nie tylko nader rozległy, obejmował wszystkie główne fronty europejskie i operacje w Afryce aż do dnia kapitulacji Niemiec. Także wyjątkowo rozbudowany i aktywny ruch oporu w rozległych granicach Polski przedwrześniowej stanowił o skali udziału Polaków w tej wojnie aż po heroiczne 63 dni Powstania Warszawskiego. Żaden kraj uczestniczący w II wojnie światowej nie ponosił proporcjonalnie równych strat i ofiar co Polska, która utraciła łącznie blisko 6 mln obywateli, 38 procent narodowego majątku oraz znaczną część, bo łącznie 45 procent terytorium z roku 1939, w tym niemal całą część rozległych ziem na wschodzie o powierzchni 179 tys. km kw., które od kilku set lat stanowiły integralną część przedrozbiorowego państwa, z Wilnem i Lwowem, wielkimi ośrodkami nauki i kultury, siedzibą starych uniwersytetów.

Jeśli nawet uwzględnić ziemie przyznane nam i przyłączone w roku 1945 na zachodzie i północy o łącznej powierzchni 103 tys. km kw., bezpowrotne straty terytorialne wyniosły i tak 73 tys. km - a to powierzchnia niewiele mniejsza niż obszar obecnych Węgier, czy Danii i Holandii razem wziętych - i w takiej skali trzeba to postrzegać. Najbardziej jednak ważące były straty biologiczne - w wyniku wojny, egzekucji i akcji eksterminacyjnych Polska utraciła 220 obywateli na 1000 mieszkańców a to dwukrotnie więcej niż ZSRR i trzykrotnie niż Niemcy, bo nie ma co nawet porównywać strat takich krajów jak Czesi (25 osób), Francja (15) czy Anglia (8). Ten straszliwy upust krwi i straty poniesione przede wszystkim przez zdziesiątkowane roczniki wchodzące w życie i generacje najbardziej czynne, w tym środowiska przywódcze i elity narodu, musiały odbić się negatywnie na stanie i jakości wyczerpanego fizycznie i moralnie społeczeństwa, które wyszło z wojny w zrujnowanym do cna kraju. W nowych granicach Polski rozpoczynał życie niby ten sam, lecz inny naród, poddany teraz ideologicznej indoktrynacji w totalitarnych strukturach nowego ustroju, państwa o długo ograniczonej suwerenności. Jest więc faktem świadczącym o fenomenie wyjątkowej żywotności i woli duchowego oporu, że Polska jako naród zdała w tych warunkach wielką próbę historii.

I o tym należy pamiętać gdy zbliża się kolejna rocznica 1 września. Ta właśnie data stała się odtąd trwałą, graniczną cezurą w naszej historii, ale i punktem odniesienia w dotkliwych losach większości polskich rodzin, na których wojna ta odcisnęła swe niezatarte często dotąd głębokie piętno. Choć po 65 latach od jej wybuchu uczestnicy i świadkowie tamtych wydarzeń to już dziś wyłącznie ludzie w podeszłym i sędziwym wieku, wojna ta jeszcze długo ożywać i powracać będzie w dziedzicznej pamięci następnych pokoleń. Jej bezpośrednie skutki i trwałe następstwa zbyt mocno odcisnęły się na życiu narodu - wystarczy spojrzeć na mapy, porównać granice państwa, przejrzeć rodzinne pamiętki i albumy.

Jednak data 1 września to ostateczny dzień wybuchu niewypowiedzianej Pol-

sce wojny a toczącej się na obszarach konfrontacji propagandowej i politycznej aż do wysunięcia przez Hitlera 21 marca 1939 roku, ledwo w sześć dni po zajęciu Pragi, roszczeń granicznych a następnie zerwania 28 kwietnia polsko-niemieckiego paktu o nieagresji. Będą się teraz nasilały akty prowokacji, szantażu, dywersji i antypolskiego terroru wobec Polaków oraz instytucji i organizacji polskich w III Rzeszy, szczególnie na Śląsku Opolskim, Warmii i Mazurach, czy Pomorzu. W tym czasie formowane są liczne, dobrze uzbrojone i przeszkolone oddziały dywersyjne Freikorps Ebbighaus, w znacznej części spośród uchodźców z polskiej części Górnego Śląska oraz dezertorów z polskiego wojska - obywateli narodowości niemieckiej.

Formacja tej wyznaczono niezwykle ważne zadania w prowadzeniu działań terrorystycznych, dywersyjnych, sabotażowych i bojowych na pograniczu śląskim, następnie - z chwilą wybuchu wojny regularnej - współdziałanie w Wehrmachtem w opanowaniu terenów przygranicznych, głównie obszarów przemysłowych. Freikorzyści celowo nie zostali umundurowani - ich znakiem rozpoznawczym była czerwona opaska ze swastyką na lewym ramieniu. Był to nader zręczny zabieg aby stworzyć wrażenie, że doszło oto do spontanicznego powstania rdzennej ludności śląskiej przeciw państwu polskiemu, choć były to operacje skoordynowane z zaplanowanym wybuchem wojny i napaścią Niemiec na Polskę. Czy można jednak sugerować, że to niemieccy Ślązacy wystąpili samorządnie przeciw Ślązacom narodowości polskiej, skupionym w oddziałach samoobrony po polskiej stronie granicy - jak to chcą dziś widzieć niektórzy nasi historycy w oderwaniu od pełnego kontekstu wydarzeń. Operacje dywersyjne, terrorystyczne i bojowe Freikorpsu prowadzone z terenów przygranicznych Niemiec na pewno nie zostałyby podjęte bez przygotowanej precyzyjnie napaści III Rzeszy na Polskę, bo i do utworzenia tej formacji by nie doszło. Nie mieszajmy więc faktów i wydarzeń z polsko-niemieckiego pogranicza na Śląsku z rozległą perspektywą i globalną skalą tej wielkiej wojny - wojny najędrzej, choć niewypowiedzianej, bezwarunkowej a błyskawicznej wojny totalnej, która rozpoczyna II wojnę światową, po której będzie to już inny świat i wszystko inne, z konsekwencjami które ważą w znacznej mierze na naszym życiu i kształcie obecnej Europy.

Nim Hitler wygłosi drapieżne przemówienie 1 września, w którym uzasadni rozpoczęcie wojny z Polską rzekomo sprowokowanymi przez nią incydentami, ma miejsce wiele aktów, które miały doprowadzić do uzasadnienia wybuchu wojny. Kto wie jak potoczyłyby się dalsze wypadki gdyby powiodła się hitlerowska prowokacja pod Przełęczą Jabłonkowską 25 sierpnia, jako że rozpoczęcie z Polską wojny miało już nastąpić w sobotę 26 sierpnia. Sześć dni później, 31 sierpnia o godz. 20.00 dochodzi do precyzyjnie zrealizowanej a przygotowanej w absolutnej tajemnicy prowokacji gliwickiej - sfingowanego napadu na radiostację, do której wdarła się grupa



Spójrzmy na ich twarze: ta posępna kolumna to aresztowani 25 sierpnia 1939 r. uczniowie Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie prowadzeni wraz z nauczycielem do obozu. Co ich tam spotka, ilu z nich nie powróci?

uzbrojonych esesmanów w ubraniach cywilnych, by nadać po polsku szokujący komunikat: „Uwaga! Tu Gliwice!... Rozgłośnia znajduje się w rękach polskich”... Na miejscu pozostawiono zwłoki Franciszka Honioka, powstańca śląskiego, które miały stanowić niezbitą dowód polskiej napaści rozgłoszonej z miejsca na cały świat.

Czy było przypadkiem, że obie te prowokacje: pierwsza pod przełęczą Jabłonkowską, druga w Radiostacji Gliwickiej zostały spreparowane akurat na Śląsku, aby spełnić funkcję detonatora sprowokowanej wojny. Polska część Górnego Śląska, obszar gruntownie spenetrowany, podminowany akcjami sabotażu, dywersji i przygranicznych starć, ze względu na złożoną sytuację polityczną, zorganizowaną a coraz bardziej agresywną mniejszość niemiecką był przedmiotem szczególnej uwagi w scenariuszu nadchodzącej wojny. Chodziło również o przyjęcie skoncentrowanego tu przemysłu bez większych strat, by mógł z miejsca służyć produkcji dla celów wojennych. Nie ma co obstawiać przy wersji lokalnej śląsko-śląskiej wojnie poprzedzającej regularne działania z udziałem armii. A to, że dochodziło tu do samosądów, mordów, aktów odwetu i represji a nawet porachunków sąsiedzkich, wynikało z nabrzmiałych napięć narodowościowych i zadawnionych konfliktów. To jednak jeszcze nie oznacza, że fakty te można postrzegać jako „wojnę domową”. Nie było przecież przypadkiem, że formacje Ferikorpus Ebbinghaus występowwały w cywilnych ubraniach zaś zewnętrzny znak przynależności stanowiły czerwone opaski ze swastyką?

Za bezpośredni akt rozpoczęcia wojny hitlerowskich Niemiec z Polską przyjmuje się ostrzał zakotwiczony w Gdańsku pancernika „Schleswig-Holstein”, który przybył kilka dni wcześniej

pod pozorem kurtuazyjnej wizyty. 1 września dokładnie o godzinie 4.45 pancernik skierował zmasowany ogień ze wszystkich dział przeciw polskiej placówce na Westerplatte. Wcześniej jednak, co długo pozostawało w cieniu tamtego aktu, o godzinie 4.40 dwa dywizyjony niemieckich bombowców dokonały dywanowego nalotu na pogrążony we śnie przygraniczny Wieluń, miasteczko całkowicie bezbronne i pozbawione jakiegokolwiek znaczenia militarnego. Wieluń został niemalże zrównany z ziemią, a jego mieszkańcy dziesiątkowani: 1200 śmiertelnych ofiar od bomb i kul niemieckich lotników. Nie oszczędzono nawet szpitala. Ten fakt dowodzi, że wojna z Polską rozpoczęła się jednocześnie na lądzie, w powietrzu i na morzu zaś początkiem agresji był właśnie ów Luftkrieg przypominający bombardowanie przez lotnictwo hitlerowskiego Legionu Condor 16 kwietnia 1937 roku w czasie wojny w Hiszpanii.

Gdy trwa ostrzał z pancernika „Schleswig-Holstein” i masakra lotnicza w Wieluniu od szeregu dni nasilały się incydenty graniczne na Górnym Śląsku. Dochodziło niekiedy do starć o tak znacznej skali jak obrona kopalni „Michał” w Michałowicach, czy obrona Brzezin Śląskich gdzie silny desant freikorzystów 1 września o 1.30 rozpoczął atak spoza nieodległej granicy. Doszło wówczas do regularnej bitwy w rejonie kopalni „Orzeł Biały” bronionej przez oddziały Obrony Narodowej. W tym dniu pęka w wielu miejscach granica i rozpoczynają się jedne z najbardziej krwawych dni polskiej historii tej okrutnej wojny.

Spośród scen porażających okrucieństwem i grozą szczególne wrażenie wywołuje zdjęcie wykonane potajemnie i ocalone przez Władysława Brzezińskiego, ucznia Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie. Widzimy na nim wypro-

wadzonych w zwartej kolumnie uczniów tej szkoły. Ich droga powiedzie do obozu w Tapiau a następnie w Grünhof-Strohbielen w pobliżu Królewca. Tego dnia 25 sierpnia gestapo rozpoczęło akcję masowego terroru przeciw Polakom i polskim instytucjom w III Rzeszy. Po otoczeniu Polskiego Gimnazjum, jednego z dwu w Niemczech, zostali uwięzieni wszyscy uczniowie - najmłodsi liczyli niespełna 10 lat, najstarsi 19 - a także pedagodzy i pracownicy szkoły wraz z dyrektorem Władysławem Gębikiem. Wielu spośród nich nie powróci nigdy do swoich domów. Ten fakt nie ma precedensu w historii: aresztowania uczniów i licealistów, synów i obywateli własnego państwa jedynie za to, że wywodzili się z polskich rodzin i szkoły polskiej. Podobny los czekał uczniów powstałego wcześniej Polskiego Gimnazjum w Bytomiu, na szczęście przezwany dyrektor Piotr Miętkiewicz odwołał w porę zajęcia i zarządził ich powrót do domów.

Od tamtych wydarzeń upłynęło 65 lat, lecz wciąż ożywają i rodzą się związane z nimi istotne pytania rzutujące na stan polskiego życia i rodzinnej pamięci. Także na Śląsku na przełomie sierpnia i września nasuwają się pytania o sens i historyczną wymowę tamtych wydarzeń - zanim wybuchła wojna i kiedy już wybuchła. Pojawiają się jednak ostatnio również próby innej interpretacji historii tych dni a nawet zabiegi pomniejszenia skali samoobrony polskiego Śląska oraz patriotycznej wymowy tych faktów. Tym bardziej trzeba ponawiać to zasadnicze a powracające pytanie: jakbyśmy się czuli na Śląsku i w Katowicach, gdyby aż tylu ochotników nie stało wówczas do nierównej walki - zdecydowanych na wszystko, bez względu na ofiarę życia, w imię przysięgi i honoru polskiego Śląska.

Z prokurator EWAŃ KOJ
- Naczelnik Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej
w Katowicach - rozmawia KATARZYNA BYTOMSKA



Punktów oporu było wiele

- Wrzesień to czas rozważań o obronie Katowic w 1939 roku. Dwanaście miesięcy temu wiedzieliśmy o tych wydarzeniach znacznie mniej niż dzisiaj, m.in. również dzięki prowadzonemu przez Panią śledztwu. Jak to się mogło stać, że dochodzenia prowadzone wcześniej nie doprowadziły do ostatecznego wyjaśnienia wielu palących kwestii?

- Trudno powiedzieć, że nie doprowadziły do żadnych wiążących rozstrzygnięć. Prokurator, który wówczas prowadził śledztwo ustalił niewątpliwie czas, miejsce i sposób obrony Katowic, wskazał miejsca - choć nie wszystkie - gdzie toczyły się walki. To jest najistotniejsze. Ówczesne śledztwa były ukierunkowane na odnalezienie sprawców zbrodni i skierowanie przeciwko nim aktów oskarżenia. W przypadku obrony Katowic jest to niezmiernie trudne. Łatwo wskazać dowódców Einsatzgruppen, Wehr-

machtu, niemniej jednak nazwisk wielu bezpośrednich sprawców zbrodni, tych, którzy strzelali na ulicach, wyciągali powstańców z domów, nie jesteśmy w stanie ustalić. Natomiast dziś, zgodnie z ustawą o IPN, mamy za zadanie nie tylko ustalić sprawców, ale w miarę możliwości także wszystkie okoliczności popełnienia zbrodni. Cały czas pozostaje otwarte pytanie, kto bronił Katowic. W części udało nam się ustalić, że głównie dotyczy to powstańców i harcerzy, były to często osoby przypadkowe, które spontanicznie chciały stawić opór najeźdźcy.

- Jak mogło się stać, że tak duża grupa harcerzy, którzy znaleźli się w parku Kościuszki i bronili wieży spadochronowej, nadal pozostaje anonimowa?

- Prawdę mówiąc, też nie potrafię sobie na to pytanie odpowiedzieć. Przyczyn może być wiele. Już teraz możemy powiedzieć, że Katowic bro-

nili nie tylko ich mieszkańcy. Bardzo wiele osób pochodziło z miejscowości sąsiednich: Chorzowa, Rudy Śląskiej, Świętochłowic. Z zeznań świadków wynika, że wycofując się z tamtych miast przed Freikorpsiem i wkraczającym wojskiem niemieckim, uciekali oni w stronę Katowic, chcąc przylączyć się do wojska polskiego, o którym wiadano, że jeszcze stacjonuje w obrębie miasta. Bardzo często rodziny nie miały pojęcia, co się działo z ich bliskimi, dziećmi. Jest przypadek świadka, harcerza z Chorzowa, który został zidentyfikowany dopiero w czasie ekshumacji w lasach panewnickich. Siostra rozpoznała go po charakterystycznym użębieniu i szczątkach odzieży. To dowód na to, że mógł on brać udział w obronie Katowic. Rodzina miała szczęście, że udało się zidentyfikować ciało. Z protokołów ekshumacji, która miała miejsce zaraz po wojnie, wiemy, że tylko kilka ciał udało się zidentyfikować. Nie wszystkie jednak zostały ekshumowane, bo mogił w lesie panewnickim mogło być więcej. Rodziny osób z wieży spadochronowej nigdy się nie zgłosiły. Bardzo ciekawe jest zeznanie siostry harcerki, która była w parku Kościuszki. Świadczy o tym, że niektórym udało się uciec. Zeznania pana Wiliama Bury z Karwiny dają pewność, że sformułowania z raportu gen. Neulinga o tym, że nie brano jeńców, nie są w pełni miarodajne. U boku Wehrmachtu w walkach brał jeszcze udział Freikorps. Świadek Wiliam Bura mówi o tym, że został wzięty do niewoli z okopów pod wieżą spadochronową przez oddział Freikorpsu. W ramach kwerendy w archiwum udało mi się odnaleźć dokument, z którego wynika, że w pierwszych dniach września 1939 roku poległo w Katowicach 78 członków Freikorpsu. To są ofiary po stronie niemieckiej. Zatem informacje zawarte w dzienniku bojowym, o którym mówiliśmy wcześniej, oraz w raporcie Neulinga, mówiące o tym, że poległo jedynie kilkunastu żołnierzy, nie świadczą o łatwym zdobyciu miasta.

- Rola oddziałów Freikorpsu nie jest jednak w pełni brana pod uwagę w dyskusji o obronie Katowic.

- Bardzo wyraźnie wychodzi ten problem w przypadku Chorzowa, gdzie nie doszło do tak intensywnych starć, ale gdzie powstańcy i harcerze próbowali przeciwstawić się Freikorpsowi. Te oddziały aktywnie włączyły się do walki o przejęcie Chorzowa zanim wkroczyły wojska niemieckie. Podobne próby miały miejsce w Katowicach.

- Czy można zatem ostatecznie ustalić, co wydarzyło się w parku Kościuszki? Kto z kim walczył i na ile ciężkie były to walki?

- Na ten temat wiele mówi sam raport gen. Neulinga, który musiał użyć broni pancerniej, aby stłumić opór, jaki napotkał na terenie parku. Trwało to około 20 minut do pół godziny, ale

starcie miało miejsce. Cała nasza kampania wrześniowa w porównaniu z czasem II wojny światowej trwała raczej krótko, tak nam się wydaje z dzisiejszej perspektywy. Historycy często powołują się na ustalenia, że uzbrojenie naszych obrońców było zupełnie nieadekwatne do stanu posiadania armii niemieckiej. I tu było podobnie. Karabin maszynowy to najlepsza broń, jaką walczący w obronie Katowic posiadali. W parku na pewno byli harcerze i bez wątpienia bronili swojej placówki. Mówi się, że było tam również kilku żołnierzy, tylko nie mamy pewności, kiedy się wycofali.

- Pozwolę sobie jeszcze raz zapytać o tę wstrząsającą scenę z filmu *Ptaki ptakom...* Czy Niemcy po zdobyciu wieży spadochronowej zrzucali jej obrońców na ziemię?

- Ja takich ustaleń nie poczyniłam. Jest jedno z zeznań, mówiące o nienaturalnie porzrzucanych zwłokach, ale nie w pełni wiarygodne, to wszystko. Pojawiają się poszczególne zeznania, na bazie których można by zbudować teorię takiej wersji wydarzeń, dopowiedzieć ją sobie. Proszę sobie jednak wyobrazić, że jeśli pocisk przeciwpancerny uderza w wieżę tak, że część balustrady zostaje całkowicie zmiądzona, to jeśli ktokolwiek się tam jeszcze znajdował - jest bardzo prawdopodobne, że w wyniku wybuchu spadł z wieży. To może być wytłumaczenie tego, co później stanowiło fabułę książki Golby.

- Przyznaję, że wątpiłam, czy uda się jeszcze odnaleźć świadków tamtych wydarzeń, których zeznania mogłyby wnieść coś do śledztwa. Jak udało się Pani do nich dotrzeć?

- W ciągu ostatniego roku przesłuchałam ponad 40 świadków. Myślę, że nagłośnienie sprawy w mediach i wielka polemika, która rozgorzała na temat tego, czy obrona Katowic w ogóle miała miejsce, sprawiła, że część ludzi, którzy w 1939 roku zetknęli się z tymi wydarzeniami, teraz zgłosiła się do mnie. Ważną rolę odegrała także telewizja regionalna, która dzieliła się ze mną efektami swoich poszukiwań. Zdarzają się ludzie, którzy nie życzą sobie występów przed kamerą, inni z kolei chcą przede wszystkim zaistnieć ze swoimi wspomnieniami przed szerszą publicznością - oni zgłaszali się do pana Adama Turuli. Wzajemnie dzielił się posiadanymi informacjami. Do części świadków dotarłam sama, m.in. do osób, które nie zdawały sobie sprawy, że informacje, które posiadają, mogą zainteresować prokuratora IPN. To osoby nie związane bezpośrednio z obroną Katowic, ale potomkowie powstańców. W książce Andrzeja Szefera opracowano biografie powstańców śląskich, którzy stracili życie podczas okupacji. Wylowiłam z niej nazwiska tych, którzy zginęli w czasie obrony Katowic. Do wielu rodzin nie udało mi się dotrzeć, bo

w latach 70 i 80 opuścili kraj i wyjechali do Niemiec. Jednak innych udało się odnaleźć. Zgłosił się do mnie m.in. syn powstańcy Piotra Rolnika z bardzo ciekawą informacją o tym, że ojciec zginął w lasach panewnickich. Przyniósł nawet zagadkowy artykuł, który ukazał się w tygodniku „Panorama” w latach 50, gdzie wręcz opisano całą drogę denuncjacji tego powstańcy, wywiezienia do lasów panewnickich i egzekucji. Był jeszcze inny powstańcy, pan Jan Tyc, który pracował przy pl. Wolności, blisko Domu Powstańcy i prawdopodobnie został zamordowany przez członków Freikorpsu, którzy jeszcze przed wybuchem wojny odgrzali mu się właśnie za deklarowaną polskość. Żona tego powstańcy napisała nawet do niemieckiej prokuratury doniesienie o tym, które pozostało bez echa. Interesujące dla przedstawienia atmosfery pierwszych dni września są zeznania wówczas siedmioletniego chłopca, który opowiada, że był zaszkokowany, kiedy zobaczył flagi niemieckie, usłyszał niemieckie krzyki. Przed wojną Katowice jawiły się bowiem jako miasto polskie i nawet niemieckie dzieci rozmawiały z polskimi po polsku. Istniała tu zatem wola przetrwania i tego, aby bronić Katowic przed Niemcami.

- W pierwszych dniach lipca tego roku na łamach Gościa Niedzielnego ukazały się odnalezione fragmenty archiwum Golby. Na pewno zapoznała się Pani z jego zawartością...

- Chciałabym wspomnieć o tym, że w mojej pracy sekunduje mi pani prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, która zdobytymi na przestrzeni wielu lat informacjami i dokumentami dzieli się ze mną, a ja z kolei próbuję przetworzyć to na materiał procesowy. Te wspomnienia i listy, które zostały wówczas skierowane do Golby - a mówimy m.in. o Emanuelu Gruszce, historyku Franciszku Szymiczku - jako dokument mają dla mnie znaczenie drugorzędne, jeśli miałabym je konfrontować z zeznaniami świadków. Jednak to, o czym ludzie pisali do Golby, udało mi się potwierdzić pośrednio właśnie dzięki zeznaniom świadków. Gruszka jest jednym z tych, którzy z kapitanem Marianem Tułakiem we wczesnych godzinach porannych 4 września toczyli walki, a następnie pod naporem przeważających sił niemieckich wycofali się z Katowic. To właśnie dzięki temu jednemu oddziałowi, który właściwie zabłąkał się w Katowicach, bo nie dotarł do niego rozkaz o wycofaniu się, części powstańców udało się uniknąć śmierci. Nie wiemy, jak chorzowianin Jan Faska, dowódca placówki w Domu Powstańcy przy ul. Matejki, wydostał się z Katowic. Wszystko jednak wskazuje na to, że i on był wśród tych, którzy razem z wojskiem polskim dostali tę szansę, aby ewakuować się z Katowic i nie podzielili losu Nikodema Renca

czy Franciszka Feigego. Szymiczek pisze w swoim liście do Golby też o autobusie Śląskich Linii Autobusowych i ta relacja również wytrzymuje konfrontację z zeznaniami świadków, którzy widzieli w parku pojazd Śląskich Linii Autobusowych wiozący harcerzy. Zebranie tego materiału w całości, przeanalizowanie każdego punktu, pozwoli stworzyć pełniejszy obraz obrony Katowic, aczkolwiek z całą pewnością zabraknie nam wielu nazwisk. Myślę jednak, że patrioci śląscy, którzy tak często podkreślają polskość tej ziemi, skutecznie czczą pamięć jej obrońców fundując tablice pamiątkowe w miejscach, gdzie walczyli i ginęli. Po jednej z kolejnych audycji na ten temat, która ukazała się w latach 70, tym razem w telewizji publicznej, nadszedł do redakcji list pani Janiny B., która pisze o swoim bracie, mieszkańcu Bobrownik. Był harcerzem bardzo zaangażowanym we wszystkie poczynania, związane z ruchem patriotycznym na Śląsku. I on pod koniec sierpnia zabrał z apteki ojca bardzo dużo lekarstw i wyszedł na wojnę. Siostra nie wiedziała, co się z nim działo w czasie okupacji. Jeden z jego kolegów, który zresztą zginął w powstaniu warszawskim i dlatego nie udało się jego relacji zweryfikować po wojnie - powiedział jej, że brat zginął właśnie na wieży spadochronowej. Pani Janina pisała swój list z dużą dozą sceptycyzmu. Oto odpowiedź na pytanie, dlaczego nie zgłaszają się rodziny tych, którzy polegli. Rodzina tego chłopca po prostu nie jest pewna, czy on tam był. Obrona Katowic to dopiero początek wojny. Ofiary pierwszych dni września to polegli w czasie walk na ulicach, lub rozstrzelani przy ul. Zamkowej. Zwłoki przewieziono najpierw do kostnicy przy ul. Raciborskiej, częściowo - Francuskiej, a potem pochowano je na cmentarzu panewnickim. Są relacje dwóch świadków, którzy byli obecni przy chowaniu zwłok. Podawane są różne liczby pochowanych ciał, od 80 do 200. Myślę, że odpowiedź mogłaby przynieść ekshumacja, którą można przeprowadzić na cmentarzu panewnickim. To bardzo poważne przedsięwzięcie i rozważam, czy na pewno konieczne, aby wyczerpać wszelkie możliwości dowodowe. Zwróciłam się do biegłego medycyny sądowej z całą listą pytań, które mają dać odpowiedź w jakim stanie będą zwłoki po 65 latach. Z poczynionych ustaleń wynika, że posypywano je chlorem lub wapnem. Co będę mogła ustalić w oparciu o oględziny szczątków, które tam się znajdują? Nie ukrywam, że opinia, jaka w tej sprawie nadejdzie, pomoże mi podjąć decyzję, czy ekshumacja jest w stanie odkryć nam jeszcze coś, o czym nie wiemy.

- Czy zostały Pani jeszcze jakiegś rodzaju działania, poza oczekiwaniem na świadków, którzy teoretycznie jeszcze mogą się zgłosić?

- Wątpię, czy jeszcze ktoś się zgłosi, aczkolwiek tego wykluczyć nie można. Nie spodziewam się, by nowe zeznania mogły spowodować zasadniczy zwrot w śledztwie. Chciałabym w miarę możliwości ustalić, kto był z kpt. Tułakiem. Katowiczanie nie znają bowiem losów tej kompanii, której żołnierze przecież tutaj przelali krew. Docieram zatem do rodzin powstańców, prowadzę głęboką kwerendę starego śledztwa w IPN, dotyczącego wszystkich miast województwa śląskiego (Martyrologia harcerstwa śląskiego w latach 1939-45). Historycy katowickiego oddziału IPN prowadzą kwerendę w archiwum we Freiburgu, gdzie zamówili szereg materiałów, które zostaną opracowane i wykorzystane w śledztwie. Wciąż brakuje nam informacji na temat tych miast, które pierwsze musiały się poddać. Istotna jest także kwerenda tzw. katowicerkii; zawarte w niej relacje niemieckie mogą być stronnicze, obowiązywała propaganda i gazeta była skierowana do tych odbiorców, którzy chcieli czytać o sukcesach Niemców, a jednak mogą także zawierać elementy, o których wspomina w swoim liście do Gołby pan Szymiczek.

- Czy można zatem nakreślić ramy czasowe prowadzonego przez Panią śledztwa?

Jeśli zdecydujemy się na ekshumację, to będzie miała ona miejsce do 15 kwietnia przyszłego roku. Nie chcę składać żadnych deklaracji, dla mnie ważne jest ustalenie wszystkich punktów, w których toczyła się obrona Katowic. Niedawno ukazał się artykuł Grzegorz Bębniaka, historyka Biura Edukacji Publicznej katowickiego oddziału IPN. Odnalazł on dokument, mówiący o obronie, która miała miejsce na katowickim dworcu kolejowym. To rzuca światło na skalę zjawiska. Gdybyśmy ograniczyli się tylko do wieży spadochronowej, wtedy faktycznie można by powiedzieć, że tylko garstka harcerzy stawiała opór Niemcom. To nie tak. Wiele było punktów oporu, w centrum Katowic, ale także w dzielnicach, np. na Zawodziu, gdzie harcerze działali ramię w ramię z powstańcami.

- Pisząc o centrum miasta wspominasz się o synagodze, w której podobno spalono żywcem ludzi. Relacje świadków są jednak dość niejasne.

Myślę, że powodem spalenia synagogi przy ul. Mickiewicza nie było bezpośrednio to, że mógł się tam ktoś znajdować. Proszę zwrócić uwagę, że podobne akcje miały miejsce w tym czasie także w Sosnowcu i Będzinie, gdzie spalono całą dzielnicę żydowską. Katowicka synagoga stała samotnie w centrum miasta. Z zeznań świadków przesłuchanych jeszcze podczas poprzedniego śledztwa nie wynika, by w synagodze ktoś się znajdował. Taka sugestia pojawia się tylko w formie przypuszczenia.

- Dziękuję za rozmowę.

GODZINA „W”

TADEUSZ
KIJONKA

Co roku wyznaczona ta godzina - „W”:

Wtorek, 1 sierpnia, punkt o siedemnastej
Każdy na swoim miejscu!

Już nie ma odwrotu,

Łącznicy się rozbiegli - w ścisłej konspiracji
Rozkaz Komedny Głównej... Co krok, z ust do ust,
Z uśmiechem, tym warszawskim, jakby nigdy nic:
No to co - zaczynamy, czas wydać ten bal!

Więc już dziś?... Jak co roku każdy bez wahania
odpowie „tak”, to pewne, że stawia się wszyscy
Na miejscu, jak co roku, choć potem od nowa
To samo się powtórzy, bo rozkaz jak wyrok
- który, który już wyrok śmierci na to miasto -
Padł wreszcie tamten rozkaz - jak wyczekiwany
Od lat, że dziś się dłużej ostatnie godziny
Żołnierzom i poetom z granatami serc,
Jak w tamten chmurny wtorek, co roku, od chwili
Aktu kapitulacji w łunach krwawych wierszy.

Dlatego, jak co roku, w tę godzinę - „W”,
Każdy na swoim miejscu - nim zwali się gruz
Murów martwego miasta i zetli śnieg siny
Rozwianych rękopisów; lecz odtąd co sen
Z zagruzowanych lochów, piwnic i kanałów
Wciąż słychać tamte pieśni, bo co pokolenie
Zapada się w podziemi, by wrócić w tym dniu
Na wezwanie przysięgi: punkt o siedemnastej
Każdy na swoim miejscu - więc musi paść rozkaz
Z ust tego znużonego, drobnego mężczyzny,
Który nawet nie zadrzał gdy wyrzekł półgłosem:
Wtorek, 1 sierpnia...

Zaraz wyjdzie z domu

Jak wtedy: objął żonę i wyczuł przez brzuch
Dudniące stopy dziecka. - Czujesz... jeszcze miesiąc
- Bądź spokojna... I wyszedł jak skromny urzędnik
Zdążający do biura.

W powietrzu smak prochu
Zmieszany z drobnym deszczem a stamtąd, zza Wisły,
Miarowe gromy armat podchodzą co dnia,
I dudnią łuny frontu na wschodzie co noc.
Wszyscy słyszą, wciąż bliżej: no co - zaczynamy?
Dłużej czekać nie można, ach, to oczywiste
Jak w piosence ulicznej - każdy w mieście wie,
Że czas, najwyższa pora: godzina odwetu,
Godzina wyzwolenia, godzina honoru
I spełnienia przysięgi jakby nigdy nic:
Smak wolności, choć krótki, potem pozostaje
W martwych ustach żołnierza na zawsze i ustach
Dziecka po wszystkie lata...

To ci sami chłopcy
I dziewczyny - na pewno: to potem potwierdzą

Niedopalone zdjęcia i brzozowe krzyże,
Tak, na pewno - bo w oczach ten błysk nieulękłych,
Znak kotwicy na czołach...

Nie widzą, nie słyszą,
Znów stało się - za późno: padł rozkaz i musi
Wypełnić się do końca to co zapisane
Jak wyrok. Bez wątpienia - to są tamte twarze,
Oni i tamto miasto doszczętniej zagłady
Na oczach świata, póki ciałopalny stos
Nie runie w gruzach ciszy śmiertelnej po wszystkim.

Lecz dzisiaj, jak co roku, wszystko się powtórzy
Na tym placu, w tej bramie, pod tym samym murem,
Choć nie ma tego domu i okna naprzeciw,
Dzwonka u drzwi i dzwonek, tej i tamtej wieży
Ani tamtych barykad, z których wiatr odwijał
Nadpalone bandażę i styczniowe śniegi,
Gdy już wnętrzości miasta zastygły jak zwłoki
Bezimienne, zdradzone, zdeptane...

A jednak
Spieszą na swoje miejsca zewsząd, jak co roku
Z uśmiechem, tym warszawskim: no co, zaczynamy?

Miasto czeka, przeczuwa, nikt nie pyta o nic:
Sekundniki zegarów biegną nieuchronnie
Do wyznaczonej iskry: dzień 1 sierpnia -
To już dziś!... Tak, kalendarz wyklucza pomyłkę,
Przecież wystarczy spojrzeć: znów mży tamten deszcz
I drżą rdzawe zasieki kolczastego drutu;
Znowu krążą patrole, psy i konfidenci,
Lecz tyle blasku w twarzach: nareszcie, nareszcie
Co do jednego, wszyscy - czas zacząć ten bal!

Każdy słyszy, że stamtąd - z tamtej strony Wisły
Kroczące gromy armat... to ostatni czas

By padł rozkaz z ust tego drobnego mężczyzny:
Ktoś musi wziąć ten ciężar, choć odtąd nie zaśnie -
Tyle pytań co usta pośmiertne rozwarte...
Rozkaz Komendy Głównej: dziś, godzina „W”.
Jak co roku na miejscu, punkt o siedemnastej.
Łącznicy się rozbiegli - co krok, z ust do ust:
Rozkaz Komendy Głównej... już nie ma odwrotu
Znowu ten łomot w skroniach - a stamtąd, zza Wisły,
Coraz bliżej, na pewno z tamtej strony Wisły -
Jest pochmurna jak wtedy a stalowe niebo
Listopadowe w sierpniu - nie wolno się spóźnić
Nawet o drgnienie serca pod zarzutem zdrady:
Prędej, bez kalkulacji.

Z tamtej strony Wisły -
Jak blisko... Jeszcze chwila: ci którzy polegą
Czują słodycz ołowiu, bo w gardle wysycha
Głos i nie słyszą śpiewu. Prosto w oczy, uśmiech -
Nikt nikogo nie wyda a resztę na zawsze
Przywalą ściany miasta.

Z tamtej strony Wisły -
Ależ to oczywiste. Czas - godzina „W”:
Do końca!

I w tej chwili znów jak w tamtym dniu
Z opaskami na rękach, hej, białoczerwoni,
Wszyscy: ta garstka dzieci, kobiecina z siatką,
Staruszek, który wyszedł na ulicę z pieskiem,
Oni - prosto spod ziemi. I ten z laską białą -
Nie widzi, lecz dosłyszał!... Nie ma odwołania,
Jak nie będzie odsiecz stamtąd - tu w rachubę
Nie wchodzi pomoc znikąd: skazani na zgubę
Wszyscy!...

Wskazówka doszła: gdzie stoisz - uklęknij:
Godzina siedemnasta -
Godzina siedemnasta -
Godzina siedemnasta -
Czas zacisnąć szczęki.



Godzina „W” powstała w sierpniu 1979 roku. Pierwodruk w tygodniku „LITERATURA”
- numer z datą 30 lipca 1981 r.

Tekst w nowej wersji w zbiorze TADEUSZA KIJONKI: LABIRYNTY - pięć poematów polskich.

Niemcy na polskim Śląsku
przed wybuchem wojny w 1939 roku

Nim wybuchła ta wojna

TOMASZ
FAŁECKI

Wystarczy wpisać odpowiednie hasło do internetowej wyszukiwarki, aby ukazały się opracowania niemieckie dotyczące losów Niemców w Polsce przed wybuchem wojny i podczas kampanii wrześniowej. Przeważnie reprezentują one poziom uniemożliwiający jakąkolwiek dyskusję, ponieważ główną ich podstawą źródłową są wytwory propagandy wojennej III Rzeszy.

Ich istnienie świadczy o zapotrzebowaniu na tę tematykę. Oprócz utworów pośledniejszego rodzaju problemy te posiadają już bogatą literaturę naukową, daleko jednak do traktowania ich *sine ira et studio*, czego najlepszym dowodem jest dyskusja o bydgoskiej „krwawej niedzieli”, która nie tak dawno przetoczyła się przez prasę. Sprawy narodowościowe zawsze wzbudzały i wzbudzają emocje i rozbieżne sądy. W dwudziestoleciu międzywojennym na polskim Śląsku nawet ilość Niemców była problemem dyskusyjnym.

Dokładne określenie składu narodowościowego ludności województwa śląskiego jest zadaniem trudnym na skutek niewystarczalności kryteriów językowego i świadomościowego do opisu rzeczywistości górnośląskiej. Spis z 1931 roku przeprowadzony na podstawie kryterium językowego wykazał 7% udział Niemców w ludności województwa ogółem, z tego w miastach 12,9% a we wsiach 4,2%. Już bezpośrednio po ogłoszeniu tych wyników Niemcy je zakwestionowali. Wątpliwości te przewinęły się także przez polską literaturę powojenną. Według szacunków Z. Landaua i J. Tomaszewskiego struktura narodowościowa województwa śląskiego przedstawiała się następująco: Na ogólną liczbę 11 295 tys. mieszkańców było Polaków 11 144 tys. (88,3%), Niemców 140 tys. (10%). Niezależnie od tych wszystkich szacunków poważna liczebnie grupa ludności nie posiadała wykrystaliz-

zowanej świadomości narodowej. Ludzie ci uważali się w pierwszym rzędzie za Górnoślązaków, a za Polską lub Niemcami opowiadali się w zależności od okoliczności historycznych, politycznych i ekonomicznych. Poczucie górnośląskości było dla nich wartością nadrzędną, wysuwaną ponad przedziały etniczne czy językowe. Niemcy nazywali tę grupę *labile Zwischenschicht* - chwiejną warstwą pośrednią. Obóz sanacyjny, sprawujący rządy po 1926 r. dążył do jak najszybszej likwidacji tej warstwy poprzez jej ideową polonizację. Ludzie ci, posługujący się na co dzień polskim dialektem górnośląskim znaleźli się w danych spisowych wewnątrz polskiej grupy językowej.

Granice narodowościowe przebiegały więc nieostro. Istniała bardzo aktywna, choć zapewne nie przeważająca grupa Górnoślązaków-Polaków wręcz fanatycznie przywiązana do polskości i państwowości polskiej. Z tej grupy rekrutowali się tacy polscy działacze jak Korfanty, którzy w wolnym i niepodległym państwie polskim prześladowani byli przez rządzącą grupę sanacyjną, powstańcy, zwolennicy i przeciwnicy rządów wojewody Michała Grażyńskiego oraz wielu innych ze wszystkich sfer górnośląskiego społeczeństwa. Między nimi a „chwiejną warstwą pośrednią” znajdowały się postawy akcentujące własną górnośląskość w coraz to większej opozycji do polskości, rozumianej jako coś ze-

wewnętrznego. Podobnie rzecz się miała w relacjach między grupą indyferentną narodowo a ideowymi Niemcami.

Ugrupowania i stanowiska

Gdy Michał Grażyński został wojewodą w 1926 r., rozpoczął politykę wypierania mniejszości niemieckiej i ograniczenia jej pola działania pod każdym względem, traktując Niemców górnośląskich jako element irredendystyczny, niebezpieczny dla państwowości polskiej. W ówczesnej sytuacji trudno się było spodziewać czegoś innego. Wszystkie w miarę liczące się organizacje niemieckie zależały finansowo bezpośrednio lub pośrednio od rządu niemieckiego. Nawet niemieccy duchowni katoliccy pobierali dla niepoznaki za pośrednictwem niemieckiej Caritas tajne stypendia z centrali Deutsche Stiftung finansującej mniejszość niemiecką. Próby zorganizowania ruchu niemieckiego, stojącego na gruncie państwowości polskiej poniosły fiasko kompletne. Grażyński był zwolennikiem regulowania spraw mniejszościowych po obu stronach granicy na zasadzie wzajemności. Przynależność narodową traktował jako cechę niezmienną, do końca zdefiniowaną przez pochodzenie, z tego powodu warstwę pośrednią traktował bądź jako grupę do narodowego uświadomienia, bądź też jako „renegatów”. Postulował, aby przez nacisk kultury polskiej oderwać od niemieckości wszystkich rdzennych Górnoślązaków, nawet tych, którzy czuli się Niemcami. Obiektywnie rzecz jednak biorąc, polityka tego rodzaju ma zwykle skutek odwrotny do zamierzonego. Przywódcy mniejszości niemieckiej nie wykazywali chęci wspólnego z Polakami budowania gmachu Rzeczypospolitej a działalność władz wojewódzkich dodatkowo wypychała wszystkich emocjonalnie związanych z niemieckością w objęcia organizacji nacjonalistycznych, skrycie, a czasami półjawnie - antypolskich.

Problemy te miały znaczenie zasadnicze, ponieważ w życiu politycznym województwa śląskiego mniejszość niemiecka odgrywała kluczową rolę z uwagi na swoją pozycję społeczną i ekonomiczną oraz uwarunkowania międzynarodowe. Czołowe miejsce zajmował *Deutscher Volksbund* kierowany przez Ottona Ulitza. *Volksbund* stanowił typową *Dachorganisation*, grupującą zarówno osoby fizyczne jak i związki i stowarzyszenia wszelkiego rodzaju - od prawie nabożnych po rozrywkowe. Ośrodek *volksbundowy* kierował całością niemieckiego życia, otrzymując na ten cel obfite dotacje z Rzeszy. Po przewrocie hitlerowskim stanął przed ko-

niecznością wyboru. Chociaż dotychczas odżegnywał się od politycznego i rasowego radykalizmu, a w jego składzie zasiadali także ślascy Żydzi, uważający się za patriotów niemieckich, to był materialnie zbyt związany z Rzeszą, by przeciwstawić się zmianom tam zachodzącym. Już w drugiej połowie marca 1933 r. Ulitz ostrożnie zaczął zmieniać swoje nastawienie, deklarując poparcie dla nowego ustroju.

Objęcie władzy przez Hitlera wywołało największy entuzjazm w szeregach *Jungdeutsche Partei*. Partia ta działała na terenie Bielska i okolicy od 1922 r. Program JdP opierał się na przesłankach rasistowskich a wewnętrzna organizacja na zasadzie wodzostwa, sprawowanego przez przywódcę inż. Rudolfa Wiesnera. Po dojściu Hitlera do władzy JdP zaczęła wydawać swój organ prasowy „*Der Aufbruch*”. Organizację upodobniono do NSDAP a liczba członków szybko wzrastała. W szeregach JdP przeważali ludzie młodsze go pokolenia, pozostający pod wrażeniem nowych porządków w Niemczech.

W wyniku utraty wpływów przez ugrupowania antyfaszystowskie jedyną realną siłą wśród Niemców na polskim Śląsku pozostały organizacje, które przeszły na pozycje hitlerowskie, jak *Volksbund*, *JdP* i *Deutsche Partei*, tradycyjna mieszczańska partia, ściśle związana z kierownictwem *Volksbundu*. Połączyła się z *Deutscher Volksblock*, pochodzącym z rozłamu w JdP. Pomimo wspólnych podstaw ideowych, między „starymi” a „nowymi” rozgorzały ostre walki. Tło wzajemnej rywalizacji było skomplikowane. Każda ze stron dążyła do „ujednoczenia” (*die Gleichschaltung*) mniejszości niemieckiej pod swoim kierownictwem, co wymagało całkowitej kapitulacji konkurenta. Zwłaszcza JdP uważała się za szczególnie uprawnioną do przewodzenia Niemcom śląskim, ponieważ według własnego mniemania reprezentowała „prawdziwy” narodowy socjalizm i wyznawała go jeszcze przed przewrotem w Rzeszy, inaczej niż *Volksbund*, któremu zarzucała koniunkturalizm. Na wzajemne przeciwności nakładały się ambicje personalne przywódców. Rywalizacja między ugrupowaniami hitlerowskimi nie powodowała osłabienia penetracji narodowego socjalizmu, przeciwnie, walka między *Volksbuntem* a *JdP* przyspieszała antagonizmów do ciągłego składania nowych dowodów swego hitlerowskiego zaangażowania.

Przejęcie władzy przez Hitlera w Niemczech ośmieliło jego zwolenników także do konspiracyjnej irredendy, realizowanej przez *Nationalsozialistische Deutsche Arbeiter Bewegung*. Organizacja utworzona



Eduard Pant (1887–1938) polityk i publicysta, wicemarszałek Sejmu Śląskiego i Senator RP. Przywódca niemieckich katolików, lojalny wobec państwa polskiego, po dojściu do władzy Hitlera, od którego się odcinał, utracił pozycję i wpływy.

została w maju 1934 r. Członków rekrutowano systemem łańcuszkowym przez już przyjętych i zaprzysiężonych. W grudniu 1935 r. wyznaczono gauleitera na województwo śląskie w osobie Pawła Maniury. Organizacja zmierzała do oderwania Śląska od Polski i przyłączenia do Niemiec. Większość członków stanowili wieloletni bezrobotni, nie władający nawet językiem niemieckim, jak to można wywnioskować z grafomańskich wierszy ku czci Adolfa Hitlera. W 1936 r. policja przystąpiła do likwidacji siatki NSDAB. Maniura popełnił samobójstwo w więzieniu.

Ruch hitlerowski posiadał dużą siłę przyciągającą wśród Niemców na polskim Śląsku. Operując skrajnie nacjonalistyczną frazeologią, znajdował żywy oddźwięk właśnie w środowisku od lat inspirowanym w tym duchu prawie przez wszystkie organizacje niemieckie. Do szybkiego zaczadzenia głów narodowym socjalizmem przyczyniły się także momenty psychologiczne. Utrata w 1922 r. uprzywilejowanego statusu i zepchnięcie na pozycje mniejszości narodowej wywołały wśród Niemców „ideologicznych” poczucie irracjonalnej a czasami rzeczywistej krzywdy, która znajdowała doskonałą kompensatę w ideologii wyższości rasowej i „*Herrenvolk*”. Również upośledzenie socjalne poprzez bezrobocie odgrywało dużą rolę w funkcjonowaniu tego mechanizmu. Z tego powodu ugrupowania niemieckie, które zdecydowanie wystąpiły przeciwko Hitlerowi szybko utraciły zwolenników, czego najlepszym przykładem był upadek

niemieckich katolików i socjalistów.

Eduard Pant, przywódca *Deutsche Katholische Volkspartei*, kontynuującej tradycję niemieckiego Centrum na Górnym Śląsku wyraźnie odcinał się od hitleryzmu w 1933 r. Do tego czasu Pant odgrywał czołową rolę polityczną wśród katolików niemieckich w Polsce pod hasłem „*Katholisch und deutsch*”. Szczególnie złośliwie atakował katowicką Administrację Apostolską i jej zwierzchnika - przyszłego biskupa katowickiego i kardynała - prymasa Augusta Hlonda, kolportując kanałami niemieckiego Centrum różne oszczerstwa do Watykanu. Po 1933 roku zmienił nazwę partii na *Deutsche Christliche Volkspartei*, pragnąc zagarnąć pod jej skrzydła także niemieckich protestantów. Partia ta nigdy jednak nie okrzepła, rychło stała się ugrupowaniem kanapowym. Dotychczasowy główny organ prasowy partii, dziennik „*Der Oberschlesische Kurier*” przeszedł na pozycje hitlerowskie i znalazł się pod kuratelą *Volksbundu*. Na to miejsce DChVP wydawała dużo skromniejszy periodyk „*Der Deutsche in Polen*”. Od Panta odwrócili się katolicy przywódcy związkowi Bernhard Jankowski i Eugen Franz. W końcu 1934 r. spod jego kontroli wymknęła się masowa, ogólnopolska organizacja niemieckich katolików „*Verband der Deutschen Katholiken*”. Jeszcze w 1937 roku próbował zespolic siły z katolickimi działaczami w Austrii i w Czechosłowacji. Ze względu na to, że także tamte niemieckie ośrodki katolickie pod naporem hitlerowców popadły w stan agonalny, akcja zupełnie zawiodła. Ze strony rządu polskiego nie uzyskał poparcia, zdawano sobie bowiem sprawę z jego słabości i pamiętano mu poprzednią działalność. Na łamach „*Der Deutsche in Polen*” Pant zdecydowanie zwalczał narodowy socjalizm, eksponując szczególnie prześladowanie Kościoła w hitlerowskiej Rzeszy. Po jego śmierci w 1938 r. poza wydawaniem tego periodyku w ilości około 3 tys. egzemplarzy na początku 1939 r. (co było kroplą w morzu hitlerowskiej propagandy) partia nie podejmowała prawie żadnej działalności. Ostatnią oznaką jej życia był zjazd w Katowicach 4 czerwca 1939 r. Wtedy kierownictwo pisma i partii przejął ks. Schirmer z Broniszowic w województwie poznańskim. Zjazd zakończono uchwaleniem rezolucji protestującej przeciwko wykorzystywaniu trybuny Senatu RP do składania przez narodowego socjalistę (a był nim wtedy Max Wambeck, nominat prezydenta Mościckiego) oświadczenia, jakoby wszyscy Niemcy w Polsce wyznawali ideologię narodowo-socjalistyczną. Zebrani ponadto oświadczyli, że „lojalność w stosun-

ku do państwa polskiego nie jest rzeczą tylko naszego ściśle formalnego wyznawania naszego, lecz i naszego przekonania". Ostatni numer „*Der Deutsche in Polen*” wyszedł 26 sierpnia 1939 r. Pant w dużej mierze padł ofiarą własnej uprzedniej działalności. Do 1933 r. miała ona charakter wyraźnie nacjonalistyczny. Wychowywani w tym duchu katolicy niemieccy odwrócili się od swego przywódcy, gdy chciał poprowadzić ich w odwrotnym kierunku.

Podobny los spotkał *Deutsche Sozialistische Arbeiter Partei*, która w krótkim czasie niemal całkowicie się rozpadła. Wpływ na związki zawodowe straciła już w 1935 r. Mimo bohaterских prób kontynuowania nielegalnej walki na terenie Rzeszy przez przewodniczącego partii Johanna Kowolla i kolportowania tam materiałów propagandowych, większość grup DSAP uległa likwidacji w 1937 r. Najdłużej utrzymywał się ośrodek bielski z Zygmuntem Glücksmannem na czele.

Od 1936 r. nasilała się prasowa propaganda niemiecka, zmierzająca do przekonania czytelnika, że mniejszość niemiecka jest przesładowana w dotkliwy sposób. Zjawisko to odnosiło się nie tylko do Górnego Śląska, wystąpiło na obszarze całej Polski i poza jej granicami. Odpowiednikiem tej propagandy była kampania krzywd, prowadzona przez *Sudetendeutsche Partei* w Czechosłowacji, która odegrała pierwszoplanową rolę w niemieckim ataku propagandowym na Czechosłowację w 1938 r.

Sukcesy polityczne Rzeszy w 1938 r. - Anschluss Austrii i przyłączenie Sudetów wzbudziły gorący entuzjazm wśród mniejszości niemieckiej. Wspomnieć jednak trzeba, że w tamtym czasie terytorialne zyski budziły takie reakcje nie tylko wśród Niemców. Przykładem tutaj być może ton prasy polskiej - od opozycji do sanacji - po zajęciu Zaolzia.

W oczekiwaniu na aneksję

W akcji propagandowej na polskim Śląsku współzawodniczyły ze sobą Volksbund i JdP. W zestawieniu z innymi dzielnicami Polski śląska prasa ugrupowań zhitlerizowanych akcentowała momenty regionalistyczne, podkreślając uprzywilejowanie przybywców z innych dzielnic Polski, identyfikując grupę górnośląską, niezależnie od różnic etnicznych, jako pokrzywdzoną. Ogromna ilość hitlerowskiego materiału przychodziła z Rzeszy. W lutym 1939 r. przez granicę polsko-niemiecką w województwie śląskim przewieziono 275 537 egzemplarzy gazet oraz 417 kg. volksbundowej



Rudolf Wiesner (1890–1973), bielski inżynier, przywódca *Jungdeutsche Partei für Polen* - JdP, senator RP w latach 1935–1938, występował jawnie z rasistowskich pozycji hitlerowskich, jako „wódz” Niemców Śląskich.

Kattowitzer Zeitung. Warto przy okazji wspomnieć o ruchu prasy w odwrotną stronę. Do Niemiec dostarczano w tym samym czasie 8 980 gazet niemieckich, wydawanych w Polsce i 357 egzemplarzy gazet polskich.

Triumfalistyczne nastroje wśród mniejszości niemieckiej po ustanowieniu Protektoratu Czech i Moraw oraz objęciu przez III Rzeszę „opieki” nad Słowacją prowadziły do zacierania różnic między „młodymi i „starymi”. Dość częste stały się przypadki prowokacyjnego zachowania się. Organizacja młodzieżowa VB i młodzież zrzeszona w JdP otrzymały specjalne instrukcje w tej sprawie, co rychło przestało być tajemnicą dla władz państwowych. Zjawisko to było groźne, przypominało bowiem taktykę mniejszości niemieckiej w Czechosłowacji.

Brak natychmiastowej aneksji ziem polskich oraz postawa społeczeństwa polskiego ostudziła te nadzieje. Mimo to mniejszość była przekonana, że III Rzesza zmierza do aneksji polskiego Śląska i reszty ziem zachodnich Rzeczypospolitej. W kwietniu 1939 r. podczas jednego z posiedzeń kierowników grup miejscowych JdP w Chorzowie rozdzielono sobie stanowiska w różnych zakładach przemysłowych i urzędach po spodziewanym powrocie Górnego Śląska do Rzeszy. Opinia niemiecka nie myślała o wybuchu wojny z Polską, tym bardziej o wybuchu wojny światowej, liczono raczej na podobny rozwój wypadków jak w Czechosłowacji. W kręgach działaczy JdP sądzono, że Polska otrzymała Zaolzie, aby miała własny przemysł górniczo-hutniczy po zwrocie Niemcom Ślą-

ska. Część opinii niemieckiej nie była zadowolona z wyrażonej przez Hitlera gotowości przedłużenia deklaracji o nieagresji na 25 lat w zamian za ustępstwa na Pomorzu, obawiając się tak długiego oczekiwania na powrót do Rzeszy. Przeważała jednak interpretacja, że Niemcy specjalnie wysunęły takie żądania, których Polska nie zechce spełnić i wówczas Niemcy zagarną Gdańsk siłą.

W ówczesnych warunkach duże znaczenie miała propaganda szeptana.. Kursowanie różnych fantastycznych wiadomości nie było tylko wytworem celowej propagandy, ponieważ różne pogłoski rodziły się niejako same w naprężonej atmosferze politycznej. Źródłem wielu pogłosek był Śląsk Opolski. Większość mieszkańców obu części Górnego Śląska posiadała tzw. karty cyrkulacyjne; skutkiem tego była codzienna prawdziwa wędrówka ludów w obie strony. Przykładowo: w kwietniu 1939 r. granicę polsko-niemiecką przekroczyło w obie strony 912 100 osób. Władze polskie zlikwidowały mały ruch graniczny 15 sierpnia po zamknięciu przez stronę niemiecką przejść granicznych na terenie powiatu rybnickiego.

Różnego rodzaju wieści rozchodziły się więc szeroko. Polskie partie polityczne i organizacje społeczne wzywały do zwalczania tych pogłosek jako szkodliwych dla Polski. Ludzie wyrażający publicznie opinię o rychłym upadku Polski itp. byli doprowadzani przeważnie do najbliższych posterunków policji. W kwietniu doprowadzono w ten sposób 261 osób, w maju 340, w czerwcu 207. Prócz tego najczęściej chodziło o wypowiedzi obraźliwe jak „polnische Schweine”, śpiewanie przez podpiitych „Deutschland, Deutschland über Alles”, „S.A. marschier!”, czy innych pieśni tego typu.

Jedną z oznak efektywności propagandy niemieckiej była nielegalna emigracja do Niemiec. Było to zjawisko złożone, obejmowało bowiem nielegalną emigrację za pracą jak i ucieczki przedpoborowych i wojskowych. Sporadyczne przypadki ucieczek za pracą zdarzały się już w końcu 1938 r., natomiast największe nasilenie tej nielegalnej emigracji przypadło na kwiecień, maj i czerwiec 1939 r. W ciągu maja stwierdzono około 1500 ucieczek tego typu a przy przekraczaniu granicy zatrzymano 436 osób. Według policyjnych szacunków rzeczywiste liczby uciekinierów były znacznie wyższe. Na terenie Opolszczyzny pokazywano uciekinierów podczas antypolskich manifestacji, w czasie których opowiadali o doznanych cierpieniach i krzywdach. W maju zorganizowano dla dezertów obóz w Gogolinie. Według informacji polskiego wywia-

du wyżywienie i warunki bytowe były tam więcej niż skromne, natomiast podopiecznych karmiono obficie propagandą. Uchodźcy przebywali tam czasowo, następnie dzielono ich według kwalifikacji i wysyłano do pracy.

Prowokacje i akty terrorystyczne

Do ostrych starć doszło w sprawie nabożeństw w języku niemieckim. Głównie organizacje związane z sanacją, jak Związek Powstańców Śląskich czy Polski Związek Zachodni podjęły różne akcje nacisku na duchowieństwo aby ograniczyć czy też wręcz zlikwidować nabożeństwa niemieckie. Doszło przy tym do różnych wykroczeń. Akcja ta uwiarygodniła i ułatwiła hitlerowską propagandę antypolską. Ordynariusz katowicki, ks. biskup St. Adamski wystosował w tej sprawie list pasterski do wierznych, w którym uznał za zasadne oburzenie katolików polskich wywołane sytuacją ludności polskiej na Śląsku Opolskim stwierdzając jednak, że przybrało ono formy nie licujące z godnością Kościoła a także z obowiązkami katolików. Napomnienie biskupie na wiele się nie przydało i incydenty mnożyły się dalej przy biernej postawie policji i cichym przyzwoleniu władzy. W tej sytuacji biskup zawiesił czasowo używanie języka niemieckiego w kościołach mu podległych. Zakaz nie dotyczył udzielania sakramentów, ślubów, pogrzebów i niepublicznych uroczystości organizacji kościelnych. Decyzja ta została oficjalnie ogłoszona 29 czerwca. O całej sprawie biskup powiadomił nuncjusza Filippo Cortesi i kardynała - sekretarza stanu Luigi Maglione. Zawieszenie nabożeństw niemieckich ułatwiło wprowadzenie analogicznej restrykcji wobec nabożeństw polskich na Śląsku Opolskim. Warto zaznaczyć, że według relacji polskiego konsula w Opolu Jana Małęczyńskiego, wojewoda Grażyński był przeciwny ogólnemu skasowaniu nabożeństw niemieckich, chciał doprowadzić tylko do ich ograniczenia. Wydaje się zatem, że biskup Adamski pośpieszył się zbyt.

Na wiosnę 1939 r. w obliczu zagrożenia niemieckiego rozpoczęto tzw. małą mobilizację. Akcja ta polegała na powoływaniu rezerwistów na kilkudniowe przeszkolenia. Spowodowała ona nasilenie dezercji i ucieczek poborowych do Niemiec. Dowódca 23. dywizji piechoty gen. Jan Jagmin-Sadowski ocenił, że wczesnym latem 1939 r. około 12 000 rezerwistów znalazło się po niemieckiej stronie granicy. Były także wypadki przechodzenia przez granicę w mundurze i z bronią w ręku. Dezercerów przeprowadzali prze-



Latem 1939 roku ucieczki z Polski młodzieży niemieckiej w celu uniknięcia poboru do wojska polskiego oraz rezerwistów przybrały na sile. Wkrótce powrócą w oddziałach Freikorpsu i Wehrmachtu pod znakiem swastyki.

mytnicy. Zasilili oni następnie oddziały bojówek, między innymi na Górze św. Anny, a następnie stali się częścią oddziałów Freikorpsu, atakujących w pierwszych dniach wojny polski Śląsk.

Władze polskie starały się ograniczyć to zjawisko poprzez działania propagandowe i represje skierowane przeciwko rodzinom dezercerów. Bardziej rygorystyczne sankcje zastosowano dopiero w lipcu i w sierpniu. Środkami represji miały być wszystkie dozwolone prawem ograniczenia, np. cofnięcie zasiłków i świadczeń z funduszy publicznych, cofnięcie wszystkich koncesji i uprawnień aż po wysiedlenie z pasa granicznego. Trudno obecnie ustalić rozmiary tej akcji, zdaje się jednak, że wypadki zastosowania tych środków nie były częste.

Ze względu na skalę migracje te nie leżały w interesie niemieckich organizacji mniejszościowych. Już w kwietniu podczas konferencji mężów zaufania JdP Wiesner wystąpił ostro przeciwko ucieczkom działaczy. W lipcu na poufnym zebraniu kierownik ów powiatowych JdP, kierownik obwodu śląskiego Friedetzk i oświadczył, że tylko w czerwcu partia utraciła 600 członków na skutek ucieczek. Także Volksbund wystąpił przeciwko temu zjawisku, odmówił wydawania zaświadczeń dla władz niemieckich itd. W ten sposób prohitlerowskie organizacje niemieckie w województwie śląskim występowały niejako przeciwko propagandzie idącej z Rzeszy. Stanowisko to było jednakże niejednoznaczne. Zarząd Główny i czołowi działacze Gewerkschaft Deutscher Arbeiter in Polen pośredniczyli w uzyskiwaniu przez uciekinierów pracy na terenie Nie-

mieć, w związku z czym rozpoczęto dochodzenie przeciw temu zjawiskowi.

W archiwum Himmlera znaleziono po wojnie 223 skoroszyty (materiały te opublikował Edmund Osmańczyk) zawierające plany prowokacyjnych ataków na tyleż obiektów po polskiej i niemieckiej stronie granicy. Na terenie polskim skierowane one były przeciwko obiektom związanym z niemieckością i mniejszością niemiecką a po drugiej stronie granicy przeciwko różnego rodzaju instalacjom wojskowym, gospodarczym, kulturalnym itp. Była to starannie zaplanowana akcja dywersyjna, mająca przed opinią wewnętrzną Niemiec i międzynarodową usprawiedliwić agresywną wojnę przeciwko Polsce naruszeniem granicy państwowej Rzeszy i terrorem przeciwko mniejszości niemieckiej. Wykonawcami tego planu mieli być w znacznej mierze Niemcy - obywatele polscy.

Prewencyjne zatrzymania działaczy hitlerowskich organizacji niemieckich rozpoczęły się po zastrzeleniu policjanta, eskortującego aresztowanego członka JdP przez innego członka tej partii. Zabójca został złapany w trakcie ucieczki przez przechodniów. Dnia 15-16 sierpnia aresztowano około 200 Niemców a w następnych dniach jeszcze około 1500. Rozbito w ten sposób siatkę dywersyjną, dlatego jej próba aktywacji 25 sierpnia (data planowanego ataku na Polskę) dała wyniki daleko mniejsze od planowanych. Przykładem może być incydent łagiewnicki. Dnia 24 sierpnia polska straż graniczna aresztowała w Łagiewnikach Hansa Rudolfa Thiena z Bielska, którego wicekonsul niemiecki w Katowicach

próbował nielegalnie przebież przez granicę w służbowym samochodzie Konsulatu (karty cyrkulacyjne były już nieważne). Thien był - jak się okazało - obywatelem polskim, któremu Konsulat katowicki wystawił niemiecki paszport. Już to było niedopuszczalne. Przesłuchanie zatrzymanego dało sensacyjny wynik. Nie tylko uzyskano wiadomości o tajnych składach broni i amunicji, lecz ponadto okazało się, że był on członkiem bojówki, która dostała 5 bomb zegarowych podłożonych pod różne instytucje niemieckie. Uniemożliwiono trzy prowokacyjne wybuchy - pod gmachem Zarządu Głównego JdP w Białym, redakcją „Der Aufbruch” i willą Wiesnera. Dwie bomby wybuchły w Katowicach w nocy z 25 na 26 sierpnia: przed siedzibą Volksbundu przy ul. Młyńskiej 23 i przy niemieckiej szkole mniejszościowej na ul. Stawowej.

W sierpniu 1939 r. policja i kontrwywiad polski zlikwidowały szereg składów broni, znajdowanej głównie u członków JdP. Jedne z najważniejszych znaleziono w Dzwonkowicach w powiecie rybnickim 24 sierpnia. W Siemianowicach broń odkryto w kościele ewangelickim. Prócz tego u jednego z działaczy JdP odkryto 24 karabiny i ok. 1000 sztuk amunicji, w związku z czym aresztowano miejscowe kierownictwo tej partii.

Ostatnie dni i godziny

W drugiej połowie sierpnia rozpoczęły się wzdłuż granicy z Rzeszą i z Protektoratem napady niemieckich grup dywersyjnych, utworzonych między innymi z uciekinierów. Była to już swego rodzaju tradycja. Wzdłuż granicy górnośląskiej celem ataku były te same miejscowości, co w czerwcu 1922 roku, kiedy powstańcy śląscy, broniąc terytorium oddanego wtedy Polsce musieli stoczyć prawdziwą bitwę graniczną z niemieckimi bojówkarzami.

Ataki te koncentrowały się szczególnie wokół 24-25-26 sierpnia. Jednym z najważniejszych był atak na Przełęcz Jabłon-



Sierpień 1939 rok. Ta śmierć polskiego policjanta, Wiktora Schwagla, zastrzelonego przez niemieckiego bojówkarza podczas sprowokowanych zamieszek na przejściu granicznym w Szarleju wstrząsnęła Śląskiem. Pogrzeb przybrał charakter manifestacji narodowej w przededniu nieuniknionej wojny.

kowską. Dywersanci opanowali dworzec kolejowy w Mostach (Zaolzie). Zostali jednak zmuszeni do ucieczki przez siły polskie. Po kilku godzinach na przejściu granicznym pojawił się niemiecki kapitan, który w imieniu 7 dywizji Wehrmachtu wyraził generałowi Józefowi Kustroniowi ubolewanie z powodu incydentu. Podczas walki w ręce polskie wpadły dokumenty zawierające adresy kontaktowe dywersantów.

Akcja aresztowań sprawiła, że główni działacze i zarządy organiza-

i lata 1939 r. mniejszość niemiecką poddano ograniczeniom różnego rodzaju. Polskie organizacje młodzieżowe, paramilitarne itp. były również sprawcami różnego rodzaju antyniemieckich incydentów. Strona niemiecka powoływała się i powołuje do dzisiaj na agresywną propagandę antyniemiecką, szerzoną wówczas przez polskie środki masowego przekazu. Służyła ona jednak umocnieniu obronnych postaw społeczeństwa wraz z podkreśleniem własnej siły militarnej i słabości przeciwnika.

Rozważając te problemy, należy stale pamiętać, kto był agresorem, a kto przedmiotem agresji.

Oczywiście oskarżanie wszystkich Niemców na polskim Śląsku o przynależność do V Kolumny nie jest doręczne. Jednakże istnienie grup dywersyjnych, składów broni itd. jest faktem, oskarżającym niemieckich przywódców politycznych, za wyjątkiem przeciwników hitlerizmu spod znaku konserwatywno-chrześcijańskiej prawicy i socjalistycznej lewicy. Ich zwolennicy nie potrafili jednak pociągnąć za sobą Niemców na polskim Śląsku.



Już 23 października 1939 roku Hitler udekorował Złotymi Odznakami Honorowymi najbardziej zasłużonych i oddanych przywódców mniejszości niemieckiej. A było za co!... Wśród odznaczonych znaleźli się reprezentujący „niemiecki Śląsk” przywódca Volksbundu Otton Ulitz (drugi z lewej) i Rudolf Wiesner (czwarty od lewej).

Pomnik śląskiego gospodarza

z HENRYKIEM B. BUSZKO – przewodniczącym

Zarządu Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Gen. Jerzego Ziętki
w Katowicach rozmawia BOGDAN WIDERA



Motto:
*Robić, bo co się robi,
to tutaj zostanie*
Jerzy Ziętek

– Jak narodziła się idea postawienia pomnika Jerzemu Ziętkowi?

– Sam pomysł upamiętnienia wielkiego, śląskiego gospodarza wychodził od wielu osób i to z bardzo różnych środowisk. Różniących się pod względem wieku, profesji, nawet miejscowości, bo inicjatorzy pochodzili nie tylko z Katowic. Sprawa dojrzała w końcu do tego, iż zawiązał się komitet inicjatywny, zorganizowany przez doktora Bernarda Pietrzoka, Ślązaka urodzonego w Hajdukach Wielkich, wieloletniego pracownika GIG-u. On też został przewodniczącym tego spontanicznie powołanego komitetu. Później odbyło się walne zebranie Śląskiej Organizacji Technicznej (powstała po politycznym przełomie z myślą o integracji inteligencji nie tylko technicznej w formule szerszej od stowarzyszeń branżowych czy specjalistycznych). I właśnie podczas tego zebrania pojawiła się propozycja, żeby nasza organizacja włączyła się w proces realizacji pomnika generała Jerzego Ziętki, który był nie tylko wojewodą śląskim, ale i mężem stanu na skalę ogólnopolską. Nieprzypadkowo zdecydowaliśmy się na podjęcie takiej inicjatywy. Ziętek znany był z tego, że otaczał się fachowcami, respektował ich wiedzę, nie podejmował

decyzji bez ich opinii. Tym zresztą różnił się od wielu innych decydentów. Więc podczas tego walnego zebrania postanowiliśmy nadać temu półprywatnemu komitetowi inicjatywnemu budowy pomnika formę bardziej instytucjonalną...

– Doszedł do głosu pragmatyzm. Bardzo w stylu generała Ziętki.

– Wydawało nam się, że przy tego rodzaju przedsięwzięciu potrzebne są dość precyzyjne podstawy prawne, konieczne też jest solidne zaplecze administracyjno-biurowe, zwłaszcza teraz, kiedy po kompromitacjach różnych działaczy, społeczeństwo dość nieufnie podchodzi do rozmaitych inicjatyw. Włączyła się Naczelna Organizacja Techniczna, kierujący nią profesor Czesław Sajdak oraz dyrektor Tadeusz Zadrozny zdecydowali się udostępnić komitetowi lokal, w którym mogłaby funkcjonować obsługa biurowa. I 7 kwietnia 2003 roku odbyło się zebranie założycielskie stowarzyszenia „Społeczny Komitet Budowy Pomnika Gen. Jerzego Ziętki w Katowicach”. Wtedy wybrano władze...

– Pan został przewodniczącym Zarządu, wiceprzewodniczącymi są Bernard Pietrzok i Czesław Sajdak, a sekretarzem Tadeusz Zadrozny.

– ...przyjęto także statut, po czym przeszliśmy te wszystkie formalne etapy konieczne do zarejestrowania stowarzyszenia przez sąd. Trochę to trwało, ale w końcu mogliśmy się zacząć działalnością merytoryczną.

– Ciekawe, od czego zaczyna się budowę pomnika?

– Jedną z pierwszych czynności było znalezienie odpowiedniego miejsca. Po pierwsze – godnego. Po drugie – takiego, które nie będzie ruszane, zmieniane przy jakiejś przyszłej przebudowie miasta. W Katowicach nie ma zbyt wielu takich miejsc. A te najbardziej godne uwagi są zajęte – np. na Placu Sejmu Śląskiego zlokalizowano pomnik Wojciecha Korfatego. Zdecydowaliśmy się na miejsce przy Rondzie, w sąsiedztwie pomnika upamiętniającego powstania śląskie. To był szczęśliwy pomysł, bo twórcy tego monumentu i jego otoczenia, znakomity rzeźbiarz Gustaw Zemła i architekt Wojciech Zabłocki bardzo się zapalili do wkomponowania w ich dzieło nowego elementu – pomnika Ziętki, który przecież też brał udział w powstaniach, ponadto zaś związany był także z budową tego właśnie fragmentu miasta. Takie zadanie jest zawsze swego rodzaju wyzwaniem dla artysty oraz architekta. Mamy też już wykonawcę pomnika, to znane z wielu wspaniałych realizacji podobnych przedsięwzięć Gliwickie Zakłady Urządzeń Technicznych.

– Jak wygląda harmonogram kolejnych etapów budowy?

– Zacznę od końca. 20 listopada 2005 roku mija dwudziesta rocznica śmierci generała Jerzego Ziętki. W wigilię, 19 listopada tego roku o godzinie 17.00 odbędzie się uroczyste odsłonięcie jego pomnika z udziałem przedstawicieli władz centralnych, które uświetni występ zespołu „Śląsk” (wojewoda był jego współtwórcą i opiekował się nim w początkowym okresie działalności). „Śląsk” zresztą włączył się aktywnie w zbieranie funduszy na pomnik, m.in. dał koncert pod koniec lipca w Ustroniu (miasto, które wiele zawdzięcza Ziętkowi udostępniło amfiteatr za darmo). Na 5 listopada przewidujemy prace montażowe. A wcześniej, od stycznia rozpoczniemy akcję przypominania postaci Jerzego Ziętki i jego wspaniałych dzieł, chcemy trafić do młodzieży, stąd pomysł na konkurs dla szkół. Przecież młodemu pokoleniu nadal służy Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku w Chorzowie, ośrodki wypoczynkowe w Jaszowcu, w Beskidach dojeżdża się „dwupasówką”, wymieniać tu można bez końca, warto więc przypomnieć, kto był inicjatorem tych wszystkich inwestycji ciągle pożytecznych dla śląskiego społeczeństwa. Naszemu Komitetowi pomagają różni ludzie, każdy na miarę swoich możliwości. Szczególnie cenimy sobie zaangażowanie naszych posłów i senatorów.

– Życzę powodzenia w realizacji tych zamierzeń i dziękuję za rozmowę.

Pociąg pełen muzyki i wspomnień

VIOLETTA
ROTTER-KOZERA

**Stacja Lwów,
1 lipca, godz. 18.45**

Ze specjalnego pociągu, który wyjechał rankiem (7.44) z Katowic do Lwowa wysiadają polscy artyści. Cztery wagony przywiozły ponad stuosobowy zespół NOSPR, 70-osobowy Chór PR w Krakowie, solistów, gości specjalnych i organizatorów podróży śladami Wojciecha Kilara.

V. Rotter-Kozera: Jak narodził się pomysł realizacji podróży śladami Wojciecha Kilara?

Joanna Wnuk-Nazarowa dyr. naczelny i programowy NOSPR: Wojciech Kilar opuścił Lwów 60 lat temu. Nigdy nie powrócił do rodzinnego miasta. Chcieliśmy uczcić wybitne dokonania Mistrza udając się w muzyczną podróż specjalnym pociągiem, na którego trasie znajdują się miejscowości wiele znaczące w jego życiu, od Lwowa począwszy na Częstochowie skończywszy. Pociąg to słowo o dwoistym znaczeniu. Wybraliśmy je na tytuł całego projektu bowiem niewątpliwie w społeczeństwie polskim występuje pociąg do muzyki Kilara. Nawet młodzież na studiówkach bawi się przy akompaniamencie Poloneza do filmu „Pan Tadeusz”.

V.R.K.: Jak Mistrz zareagował na propozycję zrealizowania takiej podróży?

J.W.N.: Powiedział po prostu: Pani jest szalona, ale słyszałem, że udaje się Pani zrealizować różnorodne projekty! Nie ukrywam, że bardzo trudno było przekonać wszystkich do tego pomysłu. Po-

mógł nam fakt, że jest Rok Polski na Ukrainie. Włączył się Instytut im. A. Mickiewicza, Polskie Radio i Telewizja Polska, która zdecydowała się na rejestrację „Mszy o pokój” we lwowskiej Katedrze. To jest fakt nie do przecenienia. Państwo to kiedyś zobaczycie w telewizji czy na DVD. Cudowna katedra gotycko-barokowa dzięki rejestracji telewizyjnej została doświetlona światłem zasilanym ze specjalnego agregatu. Wydobyto wszystkie szczegóły na suficie. Przede wszystkim sceny z życia Marii bowiem jest to katedra pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Dla mieszkańców Lwowa wiele szczegółów było do tej pory niewidocznych. No i dźwięk. Niepowsztachalność dźwięku, akustyka świątyni tak niezbędna dla wydobywania obecności w muzyce Kilara sacrum.

**Lwów, Katedra pw.
Wniebowzięcia
Najświętszej Marii Panny
2 lipca, godz. 20.00**
Missa pro pace
Izabella Kłosińska – sopran,
Anna Lubańska
– mezzosopran,
Piotr Kusiewicz – tenor,
Romuald Tesarowicz
– bas NOSPR,
Chór Polskiego Radia
w Krakowie
Kazimierz Kord – dyrygent

Liczącą siedem wieków Katedrę Polską, dumę Polaków mieszkających we Lwowie – od lat jest to prężny ośrodek kultury polskiej na Ukrainie – wypełnia po brzegi publiczność, która w głębokim skupieniu i z prawdziwym wzruszeniem wysłuchuje trwającego ponad godzinę dzieła. Jesteśmy świadkami nadzwyczajnego wykonania „Mszy o pokój”.

Sluchaczka: To było wielkie, niepowtarzalne przeżycie. Pan Kilar jest naszym rodakiem. Jest nam bardzo bliski. Na skutek tego, że ten koncert odbył się we Lwowie przypomnieliśmy nam i na pewno całej Polsce, że Lwów należał do rzędu najwybitniejszych miast w Polsce. W tej chwili już taki nie jest, ale my pilnujemy tych tradycji i z wielką radością witamy tych, którzy chcą to nasze dziedzictwo przedłużyć. Proszę od nas podziękować organizatorom i wykonawcom.

Sluchacz: To nie było jakieś przypadkowe granie na sentymentach miasta. To była najpoważniejsza rozmowa jaką może przeprowadzić twórca ze swoimi słuchaczami. Jestem bardzo wzruszony po dzisiejszym koncercie. To dzieło w cudowny sposób współbrzmiało z architekturą, miastem i ludźmi, którzy wypełnili katedrę łacińską we Lwowie.

Kazimierz Kord: Muszę powiedzieć, że inaczej w tej chwili widzę ten utwór. Bardzo jestem szczęśliwy z powodu dzisiejszego wykonania. Wydaje mi się, że udało się nam dodać coś nowego, ważnego dla tego dzieła. Ponadto przekonałem się, że to miasto jest nam jednak bardzo bliskie. To, że przyjechaliśmy do Lwowa zawdzięczamy właśnie Wojciechowi Kilarowi bowiem napisał Mszę. Ta Msza została wysłuchana przez wielu Rodaków w ogromnym skupieniu. Usłyszałem wiele słów uznania pod adresem kompozytora, a także wykonawców. Jestem szczęśliwy, że udało się to zrealizować właśnie tu, we Lwowie.

V.R.K.: Jakie jest Pana zdanie na temat samego projektu „Pociągu do muzyki Kilara”?

K.K.: Sądze, że to bardzo oryginalny pomysł. Sama gra słów jest zabawna. Poza tym fakt, że pociąg pojedzie drogą, którą Kilar emigrował z byłego Związku Radzieckiego ma szczególny wymiar dla wielu Polaków.

**Stacja Lwów
3 lipca, godz. 6.45**

Punktualnie o 6.45 czasu polskiego „Pociąg do muzyki Kilara” wyrusza ze Lwowa. Ruszamy w trasę jaką 60 lat temu pokonywał etapami wraz ze swoją matką Wojciech Kilar. Co najważniejsze – pogoda dopisuje.

Stacja Medyka, kolejowe przejście graniczne, godz. 10.00

Kontrola celna przebiega nadzwyczaj sprawnie. „Pociąg do muzyki Kilara” punktualnie wjeżdża na stację Medyka przy – tu całkowite zaskoczenie dla podróżnych – dźwiękach Orkiestry Ochotniczej Straży Pożarnej, która uroczystie wita artystów. W oknach pociągu widać uśmiechnięte twarze muzyków, którzy biją brawo i krzyczą „bis”. Kazimierz Kord jako jeden z pierwszych wychodzi z pociągu na torowisko (Medyka to stacja towarowa pozbawiona peronów) z aparatem fotograficznym by uwiecznić tę niezwykłą chwilę.

Na pobliskiej łącznicy muzycy NOSPR pod wodzą młodego dyrygenta Łukasza Borowicza grają żywiołowo Krzesanego.

J.W.N.: Wydawało się, że w Medyce będzie nas słuchać tylko kilku celników a przyszła liczna grupa miejscowej ludności. Na dodatek przyszła na powitanie ze świetnie brzmiącą orkiestrą dętą. Jako pedagog z 35-letnim stażem i były Minister Kultury uważam, że ostoja naszej muzycznej kultury tkwi właśnie w tych zespołach amatorskich, które są na tak zwanej gluchej prowincji w małych wsiach i miasteczkach. To są właśnie Straże Pożarne, które ciągle utrzymują orkiestry pomimo trudności, to są zespoły folklorystyczne. Jeżeli ktoś występował w takim zespole, grał w takiej orkiestrze to jest duże prawdopodobieństwo, że pošle swoje dziecko do szkoły muzycznej. Jeśli te dzieci są pracowite i mają dostateczny talent stają się członkami takich orkiestr jak nasza albo śpiewają w takim chórze jak Chór Polskiego Radia w Krakowie. W Medyce spotkaliśmy się z ludźmi, którzy sami odczuwają potrzebę uczestnictwa w kulturze muzycznej grając w orkiestrze i słuchając naszego zespołu. Przewodniczący Rady Gminnej przygotował dla Mistrza słój miodu, bo podobno nazwa Medyka pochodzi od słowa med – miód.

Myślę, że to osłodzi Mistrzowi goręcy niemożności podróżowania z nami. Wiem, że bardzo chciał się w tę podróż wybrać, ale choroba to uniemożliwiła. Czekamy na moment kiedy Mistrz wsiądzie na stację Kraków.

Stacja Przemyśl godz. 11.17, postój techniczny

Przyjazd „Pociągu do muzyki Kilara” do Rzeszowa poprzedził dwugodzinny postój na stacji Przemyśl gdzie muzycy mogli nieco odpocząć



Joanna Wuuk-Nazarowa - dyrektorka NOSPR i pomysłodawczyni tego niezwykłego „Pociągu” dowiozła muzyków i kompozytora na przejściu granicznym w Medyce muzycy zostali powitani przez przewodniczącego Rady Gminy Wiesława Noge.

wychodząc na miasto lub... ucinając sobie uzupełniając poranne braki snu drzemkę. W tym czasie następuje wymiana elektrowozu oraz podwozia pociągu jadącego do tej pory po tzw. szerokim torze.

Stacja Rzeszów Dworzec PKP, godz. 15.00

W Rzeszowie artystów wysiadających z „Pociągu do muzyki Kilara” powitały dźwięki świetnie brzmiącej w dworcowej scenerii „Orawy” granej przez Orkiestrę Filharmonii im. A. Malawskiego. Tym razem muzycy NOSPR oraz Chór PR dołączyli do rzeszowian słuchających w ciszy i skupieniu koncertu. Wśród słuchaczy odnaleźliśmy dyrektora rzeszowskiej Filharmonii Wergiliusza Gołąbka oraz zastępcę dyrektora Zespołu Szkół Muzycznych w Rzeszowie im. Wojciecha Kilara, Marię Romankiewicz.

V.R.K.: Wojciech Kilar przybył do Rzeszowa w 1945 roku. To niezwykle ważne miasto dla Mistrza.

Wergiliusz Gołąbek: Zdecydowanie tak. Po pierwsze Wojciech Kilar jest honorowym obywatelem tego miasta. Po wtóre zawsze podkreśla, że z tym miastem wiąże się dla niego przyszłe drogi zawodowe. Gdyby nie profesor Mirski, kto wie, byłby może wspałym skądinąd pianistą. Właśnie tu zapadła decyzja, że ma być kompozytorem. Dziś dzięki temu grany jego muzykę w niecodziennej scenerii muzycznej wspólnie z NOSPR-em wśród rzeszowian, podróżnych, przypadkowych przechodniów.

V.R.K.: W szkole, do której Wojciech Kilar niegdyś uczęszczał noszącej dziś jego imię zachowało się kilka cennych dokumentów.

Maria Romankiewicz: Tak. Są to dwa świadectwa, zdjęcia z Adamem Harasiewiczem, programy koncertów w jakich brał udział, wycinki z gazet dotyczące pobytu w Rzeszowie. Bardzo nam zależało na tym by szkoła nosiła imię Mistrza. Wiemy, że jest nie tylko wspaniałym twórcą, ale i człowiekiem. Wiemy, że dla młodzieży jest prawdziwym autorytetem.

Przed rzeszowskim dworcem oprócz „Orawy” doskonale zabrzmiał „Exodus” w wykonaniu Chóru PR w Krakowie przygotowanego przez Włodzimierza Siedlika oraz NOSPR pod dyktando Łukasza Borowicza. Kiedy wybrzmiały ostatnie dźwięki rozległy się rzęsiste brawa.

Słuchacz siedzący na chodniku: Jest to bardzo dobry pomysł. Wręcz genialny. Symfoniczna muzyka Kilara nie jest tak znana jak filmowa. Jest także uważana za tzw. muzykę trudną. Może miało to kiedyś sens, ale tylko w odniesieniu do twórczości lat 60-tych, 70-tych. Twórczość późniejsza, ta z lat 80-tych i obecna jest tak przystępna, że każdy może jej posłuchać nawet w podróży. Przyjechaliśmy tutaj z żoną specjalnie, żeby posłuchać tej genialnej muzyki.

Ostatnie słowa uczestnika koncertu zagłusza zapowiedź wywołująca uśmiech i zdziwienie na twarzach wielu podróżnych:

„Pociąg specjalny do muzyki Kilara odjeżdża z toru trzeciego przy peronie czwartym. Proszę odsunąć się od krawędzi peronu”

Jedziemy do Krakowa. Miasta, które też wpłynęło na rozwój duchowy Kilara mimo iż przebywał w nim tylko rok. W korytarzach pociągu powiewa-

ją zawieszono na oknach fraki. Panie przygotowują się do kolejnego koncertu. Od samego początku w podróży bierze udział krakowianin, prof. Leszek Polony, autor książki o Wojciechu Kilarze „Cieszę się darem życia” i tekstu stanowiącego komentarz do podróży śladami Mistrza pt. „Żywiół i modlitwa” oraz Andrzej Kosowski, redaktor naczelny PWM.

V.R.K.: W publikacji pt. „Cieszę się darem życia” rozmawiał Pan z Wojciechem Kilarem o wszystkich tych ważnych miejscach, które dzisiaj po kolei odwiedzamy. Czy konfrontacja ze współczesnością, z tym co obecnie tutaj widzimy jest dla Pana źródłem refleksji?

Prof. Leszek Polony: Oj, z pewnością. Wielu, wielu refleksji. Czasami nawet usiłuję się wczuć w położenie 12-letniego chłopca, który z mamą w 1944 roku wyjeżdżał ze Lwowa i przejeżdżał tę trasę. Oczywiście etapami. Bo najpierw do Krosna, później do Rzeszowa, Krakowa, Katowic. Jak wyglądały te miasta wtedy? Jak wyglądał Lwów przedwojenny? Można sobie wyobrazić. Lwów przecież przed wojną przeżywał swój tzw. czwarty okres rozkwitu. To było wspaniałe miasto. Konfrontowałem to co zobaczyłem ze swoim wyobrażeniem o Lwowie. Początkowo byłem trochę zdeprimowany, ale z drugiej strony pomyślałem sobie, że to miasto jednak się odradza. Widać fascynujące objawy życia. Myślę, że Wojciech Kilar byłby szczęśliwy gdyby mógł tu być.

Dla mnie szczególne znaczenie ma fakt wykonania po 60 latach od wyjazdu kompozytora z miasta dzieciństwa jego opus vitae, „Mszy o pokój”. Ta podróż to jest w ogóle kapitalny pomysł. Takie wyjście z muzyką wręcz na plac przed budynkami dworców do ludzi, którzy nawet przypadkowo przechodzą i włączają się w koncert. Obserwowałem ich reakcje. Były moim zdaniem nadzwyczajne.

To jest niesamowity eksperyment. Jestem przekonany, że mnóstwo z tych ludzi, którzy byli nawet przypadkowymi słuchaczami tego koncertu Kilarem się po prostu zainteresują i już nie wyłączą radia kiedy usłyszą ponownie utwór tego kompozytora, czy inne jego dzieło. Jest to fascynująca podróż. Czeka nas koncert w Krakowie. Wszędzie jesteśmy przyjmowani z takim entuzjazmem, że ja jako krakowianin i patriota tego miasta oczywiście jestem pełen obaw jak to wypadnie.

V.R.K.: Muzyka poważna wymaga szczególnej promocji. Pan to doskonale rozumie jako szef wydawnictwa. Czy takie przedsięwzięcia temu służą?

Andrzej Kosowski: Zdecydowanie tak. To jest piękne połączenie koncertów, o których zwykło się mówić, że prezentują sztukę wysoką

z takimi koncertami, na których sztuka wysoka wychodzi w kierunku słuchacza. To zderzenie koncertu we Lwowie, pełnej słuchaczy katedry z entuzjazmem często przypadkowych ludzi na stacjach kolejowych, którzy z równą atencją słuchają muzyki Wojciecha Kilara jest rzeczą ze względów promocyjnych szalenie atrakcyjną.

Stacja Kraków Dworzec PKP, godz. 18.45

O bawo prof. Polonego dotyczące przyjęcia artystów w Krakowie okazują się bezpodstawne. Tym razem muzycy mają nie lada problem z przedostaniem się na swoje miejsca w hallu dworca. Tak wiele osób przybyło na koncert. Następuje długo oczekiwany moment. Wchodzi witalny owacją Wojciech Kilar.

Po dłuższej chwili, kiedy wybrzmia ostatnie brawa rozpocznie się Kościółec 1909, dzieło nawiązujące do tragicznej śmierci Mieczysława Karłowicza pod lawiną.

Na utwór od czasu do czasu nakładają się komunikaty informujące o odjazdach pociągów. Jeden z nich zaczyna nabierać szczególnego znaczenia tuż po zakończeniu utworu: „opóźniony pociąg pospieszny Tatry z Zakopanego wjeżdża...”

W Krakowie jeszcze raz na trasie „Pociągu do muzyki Kilara” zabrzmi Exodus, po którym zrywają się nie milknące brawa. W czasie wykonywania utworu nad muzykami i publicznością zaczęły krążyć zacieka-wione, słynne, krakowskie gołębie, które zdawały się przysłuchiwać muzyce. Wojciech Kilar oblegany przez słuchaczy rozdaje autografy, wita się z krakowskimi przyjaciółmi m.in. z Elżbietą Pendercką, która przekazuje pozdrowienia od przebywającego za granicą męża. Słyszymy urywki zdań:

Wojciech Kilar: Te zapowiedzi, te ptaki, ten koncert był po prostu nadzwyczajny.

Słuchaczka: Ta muzyka po prostu dech zapiera. To jest muzyka, która wpływa w człowieka. Byłam dawno temu w filharmonii na „Krzesanym”. Do dzisiaj to pamiętam. Wydawało mi się, że podłoga „chodzi”. Dzisiaj również jestem bardzo wzruszona. Nawet te zapowiedzi podczas koncertu wprowadziły jakąś nową wartość. To jest żywa kultura. Niezapomniane przeżycie.

Wojciech Kilar wsiada wraz z muzykami do pociągu. Będzie podróżował w specjalnie przygotowanej salonce.

V.R.K.: Czy „Pociąg do muzyki Kilara” istotnie odtwarza Pańską drogę życia?

W.K.: Ta podróż rzeczywiście odtwarza drogę mojego życia. Czasem o sobie mówię – Ślązak ze Lwowa,

ale w gruncie rzeczy jestem i Lwowiakiem, i Rzeszowiakiem, i Ślązakiem. Tak jak każdy Polak czuje się też Warszawiakiem i właściwie do wszystkich miast, które pojawiły się na trasie tej niezwyklej podróży żywie ogromną wdzięczność. Lwów to czas mego wczesnego dzieciństwa. Dla nas chłopaków to był beztroski czas. Myślimy sobie nie bardzo zdawali sprawę ze zła jakie nas otacza.

To były czasy względnej swobody. Z drugiej strony odebrałem wtedy lekcję, która została mi do końca życia. Dzięki niej na szczęście nie musiałem w życiu zmieniać poglądów. Było to zetknięcie się z dwoma tragediami XX wieku. Najpierw z komunizmem, później faszyzmem. Natomiast jeśli chodzi o sprawy muzyczne to w tzw. inteligentnym domu, ojciec lekarz, matka aktorka wypadało żeby synus grał na fortepianie, czy uprawiał jakieś szlachetne zajęcie. Ja szczerze mówiąc tego nie lubiłem i nie bardzo mi to wtedy wychodziło. Właściwie większą trudność sprawiało mi rozeznanie w nutach, krzyżkach, i bemolach, ćwiartkach czy półnutach niż moim kolegom, którym dzisiaj muzyka nawet się nie śni bowiem są lekarzami czy inżynierami. Jeśli chodzi o tę stronę muzyczną to dopiero Rzeszów dał mi prawdziwe szanse rozwoju. Tam poznałem wspaniałych pedagogów, artystów, kolegów potem bardzo znanych jak np. zwycięzca Konkursu Chopinowskiego Adam Harasiewicz. Tam miały miejsce moje pierwsze próby kompozytorskie. Nigdy dotąd nie zastanawiałem się co będę robił w przyszłości, z czego będę jadł chleb, płacił rachunki za prąd, gaz itd. Na szczęście trafiłem na cudownego profesora Kazimierza Mirskiego, który jak zobaczył, że ja do pisania wykazuję jakąś prawdziwą, szczerą chęć i pasję powiedział: Ach słuchaj. Co tam będziesz grał skoro możesz pisać! I tak to się właściwie zaczęło. Teraz jak się spotykam z młodymi ludźmi często podkreślam, żeby pamiętali swoich pierwszych nauczycieli. Potem pewnie będą studiować gdzieś w Paryżu, Tokio czy Nowym Jorku, ale muszą pamiętać o tych, którzy ich ukierunkowali. Mimo, że potem miałem kontakt ze wspaniałymi ludźmi, profesorami takimi jak krótko – Artur Malawski w Krakowie, potem Bolesław Woytowicz, mój prawdziwy profesor kompozycji w Katowicach. Zapamiętałem w sposób szczególny właśnie pierwszych nauczycieli z tej rzeszowskiej szkoły im. F. Chopina. Także ta podróż, która zaczęła się we Lwowie i jakby symbolicznie przekroczyła tę granicę, którą ja kiedyś przekraczałem właśnie w Medyce a potem kontynuacja w Rzeszowie cieszy mnie szczególnie. Jestem wdzięczny za pamięć o tym mieście bo o mnie tam pamiętają.



Przystanek drugi: Medyka, tu, na dworcu, Wojciecha Kilara powitała miejscowa orkiestra dęta.

V.R.K.: Często zadaje się Panu pytanie dlaczego wybrał Pan Katowice?

W.K.: W Katowicach zostałem głównie dlatego, że tu było wyjątkowe liceum muzyczne. Niezwykła zupełnie szkoła, która powstała jeszcze przed wojną. W ogóle koncepcja takiej szkoły łączącej przedmioty ogólnokształcące z muzycznymi była prekursorska. Dopiero potem po Katowicach zaczęły powstawać podobne szkoły w innych miastach, ale wtedy była to jedyna w Polsce szkoła tego typu. Często powtarzam, że być może normalnego gimnazjum bym nie zdał bo zawsze miałem kłopoty z przedmiotami ścisłymi. W liceum spoglądano na to – nie było w tym nic zdrożnego – z przymrużeniem oka. Jeśli profesorowie zauważali, że ktoś ma talent muzyczny, nie wymagali nadmiernie wiedzy w zakresie przedmiotów ścisłych. To zresztą jest już normalną praktyką. Na przykład Krystian Zimmerman nie przebył całego cyklu kształcenia bo nie było mu to potrzebne. Do dziś wspominam atmosferę tego niezwykłego liceum i przejście na pierwsze piętro bowiem liceum było na parterze a wyższa szkoła, dzisiejsza akademia, o piętro wyżej. Tam poznałem moją żonę,

warszawiankę. Lwowiak i warszawianka. Spotkaliśmy się w Katowicach. Tu nawiązałem trwałe przyjaźnie i po prostu dobrze się poczułem na Śląsku. Lwów był wspaniały przez współżycie nas, Żydów, Ukraińców, Ormian. Natomiast Śląsk to przenikanie się katolicyzmu z protestantyzmem. Zetknięcie poetyckiej religijności katolickiej z konkretem religii protestanckiej, gdzie praca jest modlitwą. Spodobala mi się ta szczególność Ślązaków, pewna trudność w nawiązywaniu przyjaźni. Jeśli jednak już zostaną tu nawiązane jakieś przyjaźnie to stają się one niezwykle trwałe. Spodobala mi się ta szczególna atmosfera powagi. Tu nie ma cyganerii, tzw. kawiarni artystycznej, która wciąga i właściwie prowadzi do tego, że zamiast realizować projekty to się tylko o nich mówi. Śląsk to ponad wszystko wspaniały, muzyczny region.

V.R.K.: Jak Pan przyjął propozycję zrealizowania muzycznej podróży?

W.K.: Pomysł tej podróży był dla mnie i myślę, dla wszystkich, szokujący.

Zrodziły się wątpliwości. Muzyka na dworcach? Gdzie? W jakim miejscu? Dzisiaj w Krakowie okazało się,

że w hali dworcowej muzyka brzmiąca świetnie akustycznie. Poza tym cała sprawa logistyczna. W jeden dzień! Mój Boże!

Lwów, Medyka, Rzeszów, Kraków, Katowice, instrumenty itd. To nie jest podróż zespołu teatralnego, kilkunastu osób. To się po prostu wydawało nierealne. Ja sam nadal nie rozumiem jak cała podróż została zrealizowana i jak to słowo Pani Joanny Wnuk-Nazarowej stało się ciałem. Żałuję bardzo, że nie mogłem być we Lwowie. Tak się ułożyły moje sprawy osobiste, że nie mogłem przybyć. Z drugiej strony kiedy Państwo mi opowiadacie jak tam było, jakie było przyjęcie mojej muzyki, orkiestry, pojawiają się silne emocje. Ja nie wiem jakbym zniósł to moje pierwsze zetknięcie ze Lwowem po tylu latach. Myślę, że byłyby to zbyt duże emocje. Ja przecież nie byłem we Lwowie od momentu wyjazdu. Z jednej strony ogromnie żałuję, że dopiero w Krakowie przyłączyłem się do tej podróży, ale z drugiej cieszę się, że była tam moja muzyka. Ponad wszystko jest to dla mnie piękny prezent Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach, z którą jestem zaprzyjaźniony od wielu lat. Ta wybitna orkiestra grała nie tylko

moje utwory, ale także wiele moich muzyk filmowych, 50 czy 60. Nie mam pojęcia ile utworów nagrałem z tą orkiestrą. Może więcej. Jest to dla mnie rzeczywiście piękny prezent. Takie odtworzenie całej mojej drogi życiowej, która kończy się na Jasnej Górze.

V.R.K.: Czym jest dla Pana Jasna Góra?

W.K.: Jeśli dotąd mówiłem jakby o takiej edukacji muzycznej, czy ogólnokulturalnej jaką zdobyłem zwłaszcza w Krakowie zgłębiając historię literatury czy teatru to Jasna Góra jest takim punktem dojścia mojej strony duchowej. Zawsze byłem człowiekiem wierzącym. Zawsze mi się wydawało, że na to co ja robię i jak się zachowuję ktoś patrzy, że istnieje tzw. „oko opatrności”, które osądza moje uczynki i albo je nagrodzi, albo wręcz przeciwnie, ukarze. Byłem jednakże takim katolikiem – jak to określa pewna stacja radiowa – „ale”. Wołałem obcowanie z Bogiem w samotności, w pustych kościołach. Nie przestrzegałem specjalnie postów, nie wgłębiałem się w Pismo Święte. Dopiero na Jasnej Górze, dość późno, bo jakieś ćwierć wieku temu po raz pierwszy przeżyłem radość z dzielenia tej wiary we wspólnotę. To jest taki mały cud jasnogórski w moim skromnym życiu. Poza tym to też wspomnienie stanu wojennego kiedy ciężko było psychicznie przeżyć. Akurat wtedy znalazłem tam życzliwą gošcinę. Przebywałem tam wiele tygodni. Zyskałem życzliwość Ojców Paulinów, za którą jestem głęboko wdzięczny.

Stacja Katowice Podcienia Górnośląskiego Centrum Kultury, godz. 22.00

W Katowicach po raz pierwszy w swojej historii NOSPR występuje w podcieniach GCK. Koncert odbywa się w tej niecodziennej scenerii w dużej mierze dzięki wsparciu Urzędu Miasta w Katowicach. Publiczność znowu dopisuje. Brakuje miejsc siedzących. Spora grupa osób wysłucha koncertu na stojąco. Niemal półtoragodzinny koncert utworów Wojciecha Kilara inauguruje jednocześnie VI Letni Ogród Teatralny. Prowadzący koncert Mirosław Neinert zażartował: muzycy NOSPR wcale nie są dzisiaj zmęczeni bo to dopiero czwarty ich koncert. Publiczność i spora część zwykłe poważnego zespołu kwituje tę uwagę śmiechem. Muzycy po całodniowym, wyczerpującym podróżowaniu i koncertowaniu na stacjach kolejowych nie bacząc na chłód i zmęczenie dają kolejny przykład profesjonalizmu grając na najwyższym

poziomie artystycznym fragmencie muzyki do filmu „Pan Tadeusz”, koncert fortepianowy z udziałem znakomitego pianisty Pawła Kowalskiego i „Krzesanego”.

V.R.K.: Jak przyjęliście Państwo informację o „Pociągu do muzyki Kilara”? Właściwie niedługo po powrocie z Ameryki Południowej trzeba się było zmobilizować i ruszać w kolejną, wyczerpującą trasę.

Zdzisław Łapiński, koncertmistrz NOSPR: Jesteśmy profesjonalistami więc jeśli mamy coś zaplanowanego do wykonania to przyjmujemy to jako nasz obowiązek, naszą powinność. Natomiast nie ukrywam, że ten bardzo zaskakujący, niekonwencjonalny projekt budził nasze obawy ze względów czysto logistycznych. Okazało się, że bezpodstawnie bo wszystko przebiega znakomicie. Ogromnym przeżyciem dla nas wszystkich był koncert we Lwowie. Widzieliśmy wielkie wzruszenie ludzi. Cieszę się, że mamy okazję muzykę którą wykonujemy poruszać głębokie uczucia ludzi, sprawiać im przyjemność. Nawet jeżeli płaczą to dlatego, że przypominają sobie coś pięknego. Muzyka nie powinna istnieć tylko dla sztuki. Powinna mieć wartość przede wszystkim użytkową. Jeśli możemy dawać tego rodzaju przeżycia to odczuwamy przy tym największą satysfakcję.

Stacja Częstochowa Bazylika Jasnogórska, 4 lipca, godz. 16.30

Muzyczna podróż dobiega końca. W pobliżu Bazyliki spotykamy przyjaciół Wojciecha Kilara. Wśród nich Ojca Jana Platka – Generała Zakonu Paulinów w latach 1978–1990. **Ojciec Jan Platek, General Zakonu Paulinów w latach 1978–1990:** Po 13 grudnia 1981 roku pojawili się na Jasnej Górze różni artyści. Wśród nich był Wojciech Kilar, który zwrócił na siebie uwagę w szczególnie sposób dość długą modlitwą w Kaplicy Matki Bożej. Jakby się w coś wsluchiwał, w ton, napięcie modlitwy Polaków, którzy z bólem się wtedy modlili. Artysta to na pewno słyszał. Zwykły człowiek tego nie usłyszy. To była dla niego inspiracja.

Jego Ave Maria, to Zdrowaś Mario wypowiedane przez serca Polaków udręczonych w tym momencie jakimś ogromnym napięciem i oczekiwaniem, ale także pełne nadziei. To wszystko znajdujemy w tym utworze. Osobiście odnalazłem w nim wszystko co się mieściło w treściach tamtego roku jubileuszowego i równocześnie bardzo trudnego okresu. Przebija z niego ból i nadzieja na jakieś inne rozwiązanie, którego wyrazem jest mo-

dlitwa i wołanie do Jasnogórskiej Królowej.

V.R.K.: Biblioteka Jasnogórska ma w swoich zbiorach odręczny zapis tego dzieła, rękopis.

O.J.P.: Tak. Sam autor przybył i osobiście złożył na ołtarzu ojczyzny, bo tak nazywamy jasnogórski ołtarz, ten dar i nawet zamieścić specjalną dedykację, która nam przypomina cały kontekst powstania tego utworu.

Bazylikę Jasnogórską podobnie jak na początku Katedrę Polską we Lwowie wypełniła po brzegi skupiona, uważna publiczność, która uczestniczy w niepowtarzalnych wykonaniach Angelusa, Koncertu fortepianowego - II cz., Bogurodzicy oraz Victorii. Partie solowe przejmująco wykonują Izabella Kłosińska i Paweł Kowalski. Dyryguje Łukasz Borowicz. Wojciech Kilar został powitany równie entuzjastycznie jak w Krakowie.

V.R.K.: „Pociąg do muzyki Kilara” dojechał do celu z podziwu godną punktualnością. Czy wszystkim odbyło się zgodnie z planem?

J.W.N.: Na całe szczęście nie! Jestem naprawdę szczęśliwa bo wszystko odbyło się w 120, 150, a może w 200 procentach. Nie dość, że pogoda dopisała i odbyły się wszystkie plenierowe koncerty, które zaplanowaliśmy to jeszcze naprzeciw nas wyszedł zespół Orkiestry Straży Pożarnej w Medyce a w Rzeszowie filharmonicy zagrali „Orawę”.

V.R.K.: Tekst Leszka Polonego stanowiący komentarz do całej muzycznej podróży śladami Wojciecha Kilara nosi wymowny tytuł „Żywiół i modlitwa”.

J.W.N.: No właśnie. Żywiół to Krzesany i Orawa a modlitwa to Msza o pokój, Missa pro pace i te wspaniałe maryjne utwory, którymi zakończyliśmy podróż w Częstochowie.

W Rzeszowie i Krakowie graliśmy Exodus. Wyjście. To wymowne słowo. „Księga wyjścia”, księga porzucenia domu, niewoli i odnalezienia nowych perspektyw życiowych. Gdy Wojciech Kilar pisał Exodus to już wówczas myślał o wielu wymiarach znaczenia tego słowa. Czy myśmy znaleźli właściwą drogę? Muzycy grając Exodus na pewno się zastanawiali nad tą nieustającą wędrówką. Nadal wędrujemy po pustyni.

Ziemia obiecana ciągle nie jest znaleziona. Może trzeba jej poszukać razem, w podróży pociągiem?

Violetta Rotter-Kozera jest dokumentalistką Telewizji Katowice i autorką reportażu pt. „Pociąg do muzyki Kilara”, który ukaże się na antenie Programu 2 TVP w październiku.

20 kwietnia 1999 roku dwóch uczniów szkoły średniej Columbine w prowincjonalnym miasteczku amerykańskim Littleton zastrzeliło z broni maszynowej trzynaście osób – dwanaście to uczniowie i uczniowie, trzynasty – dyrektor szkoły. Śmierć poniosło w sumie osób piętnaście, ponieważ zabójcy odebrali sobie życie. Tragedia, jaka się rozegrała w High School Columbine, została sumiennie zbadana w dokumentalnym filmie Michaela Moore'a „Zabawy z bronią” (Oscar 2003). Dla Moore'a sprawa jest prosta: zło tkwi w upodobaniu Amerykanów do broni palnej i, niestety, łatwym do niej dostępie. Jeśli bowiem społeczeństwo zdradza skłonność ku czemuś, rynek natychmiast na nią odpowie. Z czym można się zgodzić, ale to niewiele wyjaśnia.

Aleks i Eric – chłopcy szesnastoletni – zamawiają broń w sklepie internetowym, który reklamuje swój towar na dyskietkach z grami komputerowymi w „zabijanego”. Rozpakowują podłużną przesyłkę mocno podekscytowani, wyjmują egzemplarz, o którym wiedzą wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Skąd w nich ten dreszcz na widok „nagiej broni”?

Gus Van Sant podsuwa pewne tropy. Jak już wspominałem: gry komputerowe, które, na pozór niewinne, ćwiczą jednak refleks, a nawet, podobno, rozwijają inteligencję, zmuszając umysł do niemałego wysiłku kombinacyjnego, w rezultacie zostawiają posiew zła. Gdy ziamo trafi na podatny grunt, zniwo może być, zaiste, krwawe. Może, ale nie musi. Nie jest wykluczone, iż pewien rodzaj gruntu (gleby) cierpliwie szuka odpowiedniego ziarna, i jakżeby inaczej: znajduje go w telewizji. Na przykład w kanale, w którym o dowolnej porze można obejrzeć film o Adolfie Hitlerze, stąd nazwa: Hitler's Channel, czy w ogóle o nazistach, bez komentarza objaśniającego zbrodniczą naturę nazizmu.

Dwaj przyszli zabójcy, czekając na przesyłkę z bronią (specjalnie nie posłali tego dnia do szkoły) oglądają dokumentalny film o Hitlerze; wiele nie mówią (to zresztą jest film skąpy w dialogi), ale wyczuwamy, że coś ich w tej postaci intryguje. Więc to także jest możliwy trop, choć łatwy do odrzucenia, bo może oglądają ten film całkiem przypadkowo? Trzeci trop: odmienność, która domaga się rekompensaty. Aleks siedzi w klasie przy osobnym biurku, wyraźnie odseparowany od reszty. W pewnym momencie jeden z chłopaków rzuca w niego białą kleistą masą, brudząc go, w tym geście jest pogarda i odrzucenie; Aleks to wyczuwa. W toalecie długo zmywa z bluzu ten biały brud. Dlaczego klasa go odrzuca? Może koledzy odkryli, że Aleks ma skłonności homoseksualne? Dowód na to znajdujemy pod koniec filmu, w jednej scenie: do kabiny, w której pod prysznicem stoi Aleks, wchodzi nagi Eric; mówi: dzisiaj umrzemy, a jeszcze nikt mnie nie pocałował. Aleks obejmuje go i całuje. Jest



Słoń

to prawdopodobnie ich pierwszy kontakt cielesny. Ale jakiś rodzaj wzajemnego przyciągania istniał między nimi już wcześniej. W pewnej scenie Eric przychodzi do Aleksa, który w obszernej pomieszczeniu w suterenie gra, i to z talentem, „Sonatę księżycową” Beethovena; rzuca się na łóżko Aleksa jak na swoje, sięga po laptop i gra w „zabijanego”. Ekran laptopa wypełnia ekran kinowy: Eric z niezwykłą zręcznością eliminuje kolejnych ludzików, którzy trafiają, wpadają głową w ziemię, po pas. Aleks przestaje grać, przysiadając się do Erica, wita go pacnięciem w czoło. Więc po kumpłowsku. Lecz przysiadł się dziwnie blisko Erica. Znać to, że coś już iskrzy między nimi.

Inne tropy: Aleks wraca do domu. Jest to dom ludzi zamożnych, duży i pusty. Nikogo w nim nie ma. Eric z kolei podczas śniadania pyta, co tak śmierdzi? Matka mu radzi, aby się stołował w mieście, gdzie jest wiele restauracji. Z ojcem (która jest poza kadrem) zamienia jedno zdanie dotyczące sportu. Jedyną ludzką istotą jest dla niego Aleks. Wyznanie, iż nie poznał do tej pory pocałunku może nie mieć podtekstu erotycznego. Możliwe, że nigdy nie pocałowała go matka. Teza, iż zabójcy trzynaściora osób w High School Columbine byli twórami pozbawionymi uczuć jest trudna do obronienia. Czy człowiek całkowicie wyzbyty uczuć będzie grał z pasją Beethovena? Co więcej: jesteśmy świadkami krystalizowania się uczucia łączącego Aleksa i Erica. Być może nie mieli odwagi przyznać się do osobliwości owego uczucia, lecz w obliczu nieuchronnej śmierci, wykonują gest, który w tempie gwałtownie

POZA KADREM

przypieszanym definiuje ich wzajemną fascynację. Możliwe, iż uznali, że świat nie zasługuje na to, by rzucić mu na pozarcie to, co ich łączy?

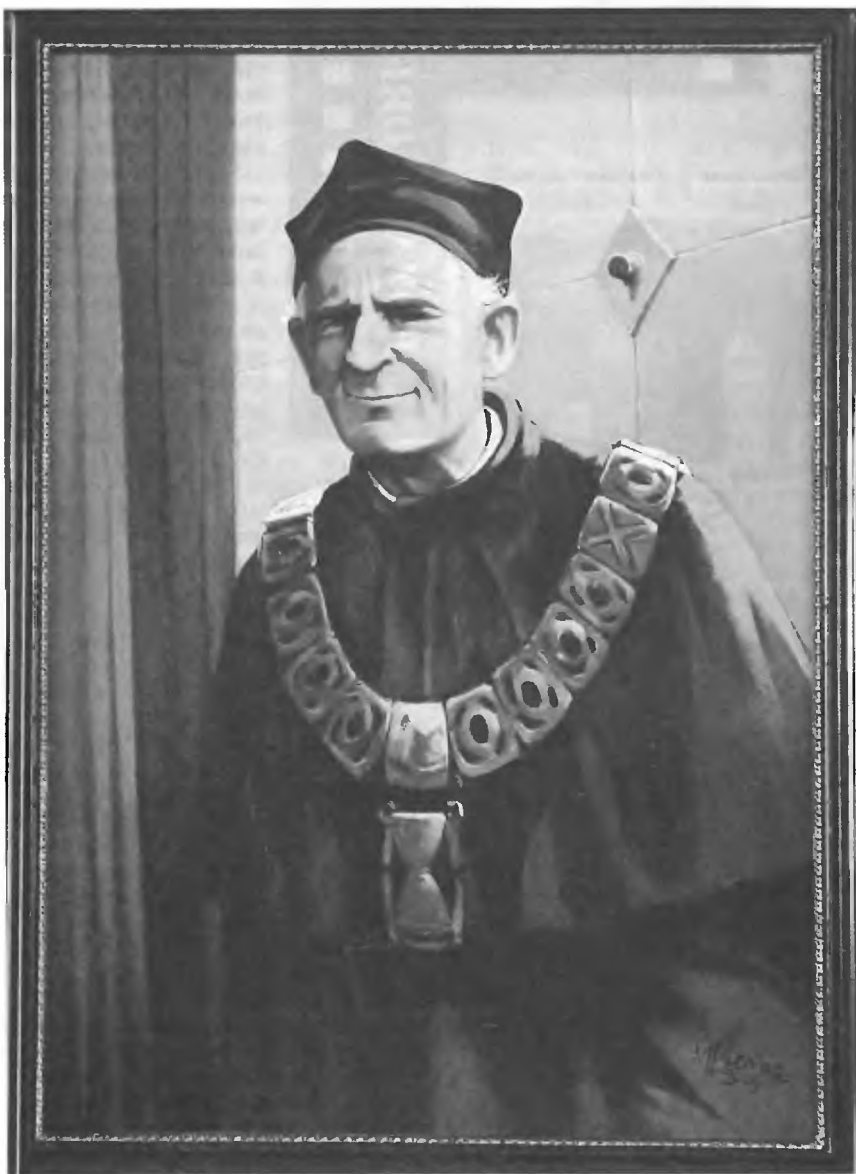
Szkoła. To osobne zawisko. Osobny twór. Coś w rodzaju luksusowej kolonii karnej. Chłopiec z dziewczyną zgłaszają w recepcji chęć wyjścia ze szkoły, czy w ogóle poza teren kampusu. Życzenie owo zostaje powtórzone raz, drugi, trzeci. Szkoła jest gigantyczna. To wręcz jakiś za-

kład, czy zgola kombinat. Doskonale jest wprowadzenie do filmu: chłopak imieniem Nathan (to ostatni dzień jego życia) schodzi z boiska (lekcja wf-u) i zdecydowanym krokiem (wszyscy w tym filmie chodzą szybko!) zmierza do szkoły, następnie przemierza niekończący się korytarz (wnętrza są autentyczne), mijając po drodze kilka osób; przestrzeń tę pokonuje w czasie rzeczywistym. Nie reaguje na mijane osoby (chłopcy, dziewczęta), idzie na spotkanie ze swoją dziewczyną, Carrie. Kamera podąża za nim krok w krok. Nuda? Poniekąd tak, ponieważ nic właściwie się nie dzieje. Równocześnie całe to długie się przejście chłopaka z boiska do określonego punktu w szkole, jest manifestacją estetyczną: taki będzie ten film, odrzucenie swoje przyzwyczajenia, każda minuta jest pełna treści, ponieważ są to minuty – w życiu tych kilkunastu osób – ostatnie. Trzeba przyjąć zupełnie inną perspektywę, perspektywę wieczności. Akcją jest tu sama substancja bycia. Jeszcze przez kilka chwil. Za pięć dziesięć minut otworzy się otchłań.

Poznajemy dwanaścioro młodych ludzi i dyrektora, który robi od początku niemiłe wrażenie, to coś w rodzaju dozorczy luksusowego więzienia, bo czymś takim jest owa High School Columbine, na ile podobna do setek, jeśli nie tysięcy amerykańskich szkół średnich, trudno orzec, nam zwłaszcza, ludziom stąd, którzy poziom cywilizacyjny tej placówki kontemplujemy z niedowierzaniem i w niemłym osłupieniu. Trudno o coś bardziej imponującego! Nic, tylko trafić do takiej szkoły. To jakaś gigantyczna katedra. Lecz jakby bez Boga. I gdzieś tutaj tkwi sedno sprawy! Jeśli ktoś obroni się przed destrukcyjnym działaniem takiej szkoły-fabryki, jego szczęście. Lecz w kimś mniej odpornym mogą strzelić wszystkie bezpieczniki. I taki ktoś, ktoś taki jak Aleks i Eric, zapragnie być sędzią i egzekutorem wyroku śmierci dla swojej szkoły-potwora, czyli dla całego świata.

Ale to tylko tropy i domysły. Weszliśmy do piekła, ujrzelśmy być może twarz diabła. Przed mądrym i poważnym filmem Gusa Van Santa stajemy bezradni i bezbronni. Nie wiemy nic i naprawdę niczego nie rozumiemy.

FELIKS NETZ



Prof. Zbigniew Jerzy Nowak. Obraz autorstwa Macieja Bieniasza zdobi aulę UŚ jego imienia.

Tekst laudacji
prof. dr hab. Marka Piechoty
wygłoszony na uroczystości
nadania Imienia
Profesora Zbigniewa Jerzego Nowaka
Sali Rady Wydziału Filologicznego
Katowice, 8 czerwca 2004 roku

**W centralnej Polsce, niemal tuż
po odzyskaniu niepodległości,
w Łodzi 7 lipca 1919 roku
w rodzinie Franciszka Nowaka
(„granatowego policjanta” – później
komisarza Policji Państwowej)
i Rozalii ze Święteckich przyszedł
na świat Zbigniew Jerzy Nowak,
po latach profesor historii literatury
polskiej, znakomity edytor i tekstolog,
ale też świetny organizator,
współtwórca polonistyki na Śląsku,
pierwszy dziekan Wydziału
Humanistycznego
w Uniwersytecie Śląskim.**

Po złożeniu egzaminu dojrzałości
w Gimnazjum im. T. Kościuszki
w Kaliszu w roku 1937 opuścił Wiel-
kopolskę i rozpoczął studia na Uniwer-
sytecie Stefana Batorego w Wilnie.
W ciągu zaledwie dwóch lat studiów
wileńskich słuchał najwybitniejszych
ówczesnych wykładowców-humani-
stów: prof. prof. Mariana Zdziechow-
skiego, Manfreda Kridla, Konrada
Górskiego, Tadeusza Czeżowskiego
(ucznia Kazimierza Twardowskiego)
i Stanisława Kościalkowskiego, wresz-
cie Henryka Elzenberga (ucznia
Edmunda Husserla). Zdobył wówczas
solidne podstawy warsztatu filologicz-
nego: opanował teorię literatury, zapo-
znał się z literaturą europejską, historią
literatury i języka polskiego, dzięki za-
interesowaniu historią i filozofią zyskał
dla swych przemyśleń szerszą, humani-
styczną perspektywę. Dobre opanowa-
nie języka niemieckiego pozwoliło mu
na ogłoszenie przekładu noweli
Theodora Storma. Uczestniczył w pra-
cach Koła Naukowego Polonistów, zo-
stał nawet jego przewodniczącym, pu-
blikował w redagowanym przez stu-
dentów dodatku do wileńskich „Spraw
Otwartych”.

Wilno to z całą pewnością druga
„mała ojczyzna” Nowaka i cho-
ciaż wojna przerwała jego pierwsze
studia, a nawet przyczyniła się do kil-
kumiesięcznego pobytu w litewskim
areszcie śledczym (jako podejrzanego
o działalność konspiracyjną), próbował
na różne sposoby kontynuować zdoby-
wanie wiedzy; wiosną 1940 roku
uczestniczył w zajęciach tajnego semi-
narium prof. Konrada Górskiego, zaś
wiosną 1941 po włączeniu Republiki
Litewskiej do ZSRR krótko studiował
na wileńskim uniwersytecie litewsko-
radzieckim. Te lata są bardzo ważne,
musimy jednak pamiętać o jeszcze jed-
nej, niezwykle silnej więzi łączącej
młodego studenta z Wilnem i wolno
nam dopatrywać się tu pewnej łączno-
ści skomplikowanego – a przecież o tak

Małe ojczyzny profesora Zbigniewa Jerzego Nowaka (1919–1993)

MAREK
PIECHOTA

jasnej i prostej linii rozwojowej – życiorysu przyszłego członka honorowego Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza (tego zaszczytu dostąpi Nowak w roku 1992) z biografią poety, którego dzieł jednym z najwybitniejszych dwudziestowiecznych znawców miał się okazać. Chodzi mi mianowicie o szczególne nabożeństwo do Matki Boskiej Ostrobramskiej, którą uczony traktował do ostatnich swych dni przede wszystkim jako natchnienie swego patriotyzmu. Był równocześnie głęboko przekonany o Jej osobliwej względem niego i jego rodziny (zwłaszcza w trakcie działań wojennych) opiece. To właśnie w kościele NMP Ostrobramskiej w Krakowie (przy ul. Wierzybskiej) złożył Nowak już na emeryturze jako wotum najwyższej przez siebie cenione odznaczenie – Krzyż Virtuti Militari.

Litewsko-radzieckie studia prze-rwało wkroczenie wojsk niemieckich. Nowakowi udało się – wraz z ojcem Franciszkiem, ukrywającym się w okolicach Wilna zbiegiem z obozu dla internowanych pod Rygą na Łotwie – przedostać nielegalnie do Generalnej Guberni, gdzie rozdzieliła ich działalność konspiracyjna: ojciec został oddelegowany na Wołyń, syn walczył w Ziemi Miechowskiej (żołnierzami tej samej 106 Dywizji Piechoty AK byli również dwaj bracia Zbigniewa Jerzego – Leszek i Jan). O tym autentycznie heroicznym okresie życia naszego profesora i Mistrza – podchorążego Zbigniewa Jerzego Nowaka (ps. „Grunwald”), znający go od dwudziestu i więcej lat, właściwie nic nie wiedzieliśmy, poza tym, że był w AK i że się nie ujawnił tuż po wojnie, dzięki czemu z jednej strony szczęśliwie uniknął bezpośrednich represji, które stały się udziałem wielu jego przyjaciół, z drugiej jednak strony nie ominęły go przecież obawy przed dekonspiracją oraz restrykcje związane z niewłaściwym – z punktu widzenia socjalistycznej polityki PRL – ułożeniem historycznoliterackich zainteresowań i z niewłaściwym pochodzeniem (syn granatowego policjanta). Właściwie publicznie prof. Nowak sam się „zdekonspirował” dopiero w roku 1992 jako autor *Przedmowy* do tomu *Rzeczpospolita partyzancka* swego dowódcy generała Bolesława Nieczui-Ostrowskiego.

Dzielność młodego partyzanta w bezpośredniej walce z wrogiem dowództwo nagrodziło niezwłocznie w czasie wojny awansem na starszego strzelca-podchorążego, czterdzieści lat później – wspomnianym tu już najwyższym polskim orderem wojskowym Virtuti Militari i przyznaniem stopnia oficerskiego. O wojennej przeszłości konspiracyjnej porucznika „Grunwalda” najpełniej dotąd pisała prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz (w tekście *Spełniony sen AK-owca* w lipcowym numerze miesięcznika

„Śląsk” z ubiegłego roku). Z Ziemią Miechowską związała przyszłego wykładowcę akademickiego nie tylko walka zbrojna z niemieckim okupantem, od początku wojny był tam Nowak cenionym nauczycielem tajnego nauczania.

Jego kolejną „małą ojczyzną” stał się z całą pewnością Kraków, w którym już w marcu 1945 roku podjął ponownie studia polonistyczne, tym razem w Uniwersytecie Jagiellońskim. Jako student został asystentem technicznym (w latach 1946–1947) w Centrali Studium Słowiańskiego, prowadził zajęcia z bibliografii, potem – w latach 1947–1952 – był asystentem w Katedrze Historii Literatury Polskiej UJ kierowanej przez prof. Stanisława Pigonia. Prof. Jerzy Starnawski – przyjaciel Nowaka z lat studiów – ujawnił przed laty niebanalną anegdotę akademicką o tym, że Nowak przygotowywał przez kilka lat pod kierunkiem promotora Pigonia dysertację magisterską *O „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego” Adama Mickiewicza*, a kiedy ją ukończył: „Profesorowie Pigoń i Kleiner podnieśli ją do rangi doktorskiej i autor napisać musiał inną, krótszą, której temat podsunął Juliusz Klainer, niezmiernie zainteresowany dysertacją o *Księgach*” – „doktorant” Nowak przygotował w ciągu zaledwie kilku miesięcy pracę na zadany przez Kleinera temat: *Żołnierz w świecie poetyckim Mickiewicza*, na podstawie której uzyskał w 1949 roku magisterium, a już w grudniu 1950 doktoryzował się dzięki wspomnianej wcześniej rozprawie *O „Księgach...”*.

Nowak wypłacił się swemu mistrzowi, opracowując – już w latach katowickich – najdoskonalszą bibliografię osobową, za jaką uznano jego dwuczęściowe zestawienie publikacji Pigonia; dość powiedzieć, że na ogólną liczbę 1621 pozycji prac Jubilata w pierwszej części tylko 27 zostało opatrzone gwiazdką, co oznaczało, że Nowak nie sporządził opisu *de visu*. W części drugiej znalazło się ponad pięćset kolejnych opisów sporządzonych wedle tej samej zasady i zaledwie **dziesięć** pozycji uzupełnień, przeoczeń pierwszej części. Metodę tę zastosował Nowak również w tuzinie haseł przygotowywanych dla *Polskiego słownika biograficznego* – wglądał, jeśli to było możliwe, nawet w parafialne księgi metrykalne.

Publikacja obu świetnych prac naukowych (magisterskiej i doktorskiej) natrafiła jednak na trudności nie do przewidzenia; rozprawie o *Księgach* zaszkodził sprzeczny z ideałami socrealizmu „fideizm”; ukazała się dopiero w roku 1961 w KUL-owskich „Rocznikach Humanistycznych”. Więcej szczęścia miała rozprawa magisterska – dotarła do rąk czytelników w roku 1958, w obrace

Materiałów Śląskiej Sesji Mickiewiczowskiej. Przed uzyskaniem magisterium student-asystent Nowak pogłębił jeszcze znajomość literatury niemieckiej, z której zdał egzamin (w języku niemieckim) u prof. Adama Kleczkowskiego; przed doktoratem zdał egzamin z językoznawstwa ogólnego u prof. Tadeusza Mikulskiego (przedmiotem pobocznym nie musiała być wówczas jeszcze ekonomia lub filozofia marksistowska). Asystent w Katedrze Historii Literatury Polskiej UJ współpracował (w latach 1952–1955) z Pracownią Języka Artystycznego IBL PAN kierowaną przez prof. Marię Renatę Mayenową, zajmował się kulturą języka polskiego epoki Oświecenia, był również członkiem Komitetu Redakcyjnego edycji krytycznej *Dzieł* Kazimierza Brodzińskiego (komitetem kierował prof. Pigoń). Jak więc widzimy, dr Nowak w latach wileńskich i krakowskich studiów otrzymał znakomite wykształcenie historyka literatury polskiej wzbogacone o takie dyscypliny jak: historia, filozofia, literatura powszechna (zwłaszcza niemiecka), językoznawstwo ogólne, kultura języka polskiego doby Oświecenia, nauki pomocnicze historii literatury. Zarysowywały się też nowe dziedziny zainteresowań – tekstologia i edytorstwo. Był już nie tylko historykiem literatury, był filologiem.

W roku 1951 dr Nowak ożenił się z Zofią Maślińską, polonistką i historykiem sztuki, w Krakowie 4 lutego 1954 roku urodził im się syn Michał (został inżynierem automatyki, mieszka w Goczałkowicach), w roku 1960 – już w Katowicach – 13 lutego urodziła się im córka Barbara (została historykiem sztuki i nauczycielką języków obcych w Heilderbergu, ale później okazało się, że sensowniejszym w dzisiejszych czasach zajęciem dla humanistki jest... prowadzenie szkoły tai-czi). Państwo Nowakowie przenieśli się do Katowic w roku 1955, dr Nowak otrzymał stanowisko adiunkta w tutejszej Wyższej Szkole Pedagogicznej. I byłaby to już czwarta – jeśli pamiętamy o Ziemi Proszowskiej i Miechowskiej – „mała ojczyzna” Profesora Nowaka. Oczywiście, można by jeszcze wspomnieć o cezurze roku 1973, w którym przeniesiono Wydział Filologiczny UŚ do Sosnowca, a państwo Nowakowie zamieszkali w „mrówkowcu” przy ulicy Ostrogórskiej w tymże Sosnowcu (zdarzało mi się adresować listy na ulicę ‘Ostrobramską’, zniszczyłem niejedną kopertę) i pewnie z tą kolejną, zagłębiowską „małą ojczyzną” pojawiłyby się interesujące tematy; nie mam jednak pewności, czy Stawki, nad które tak lubił chodzić i przepowiadał sobie – jak mi to wyznał – 86 przygotowanych tematów przed habilitacją w Instytucie Badań Literackich, traktował jako zdecydowanie zagłębiowskie?

Przecież nasza Alma Mater, mimo przeniesienia kilku wydziałów do Sosnowca, pozostała Uniwersytetem Śląskim w Katowicach, z perspektywy stolicy Nowak postrzegany był nadal jako „katowicki uczyony”.

Trudno w tak krótkim wystąpieniu wyczerpać bogactwo przedsięwzięć organizacyjnych i badawczych Profesora Nowaka związanych z Wydziałem Filologicznym UŚ, przedsięwziętych na Śląsku i dla Śląska, ale też szczęśliwie doprowadzonych do końca dla dobra polonistyki ogólnopolskiej, dla dobra kilku pokoleń polonistów. Nawet pobieżny wgląd w *Bibliografię prac* uczonego zestawioną przez dr Bożenę Mazurkową pozwala skonstatować, że mogę tu jedynie wskazać kilka kręgów zagadnień podlegających wieloletniej i dogłębnej refleksji badawczej Profesora i kilka dziedzin niezmiernie absorbujących, pochłaniających tak wiele Jego czasu.

Trzeba więc wspomnieć o działalności organizacyjnej po trzynastu latach pracy w katowickiej Wyższej Szkole Pedagogicznej pierwszego dziekana Wydziału Humanistycznego nowo powołanego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach (od roku 1968), prodziekana Wydziału Filologicznego tegoż uniwersytetu (już w Sosnowcu – od roku 1973), wieloletniego wicedyrektora najpierw Instytutu Filologii Polskiej (funkcję dyrektora pełnił wówczas prof. Ireneusz Opacki), później Instytutu Literatury i Kultury Polskiej, kierownika Zakładu o jakże rozległych kompetencjach badawczych i dydaktycznych – Zakładu Historii Literatury Staropolskiej, Oświeceniowej i Romantycznej (po odejściu na emeryturę prof. Jana Zaremby – od roku 1976 po rok 1989). Przez wiele lat Profesor kierował Studium Zaocznym śląskiej polonistyki – pamiętam, że do każdego spotkania z podwładnymi, których zresztą traktował z ogromną życzliwością, bez względu na tytuł i stopień naukowy, był niezwykle precyzyjnie przygotowany. Miał dar oddzielania rzeczy najważniejszych od mniej ważnych, każdą decyzję podejmował po starannym rozważeniu wszystkich „za” i „przeciw”, nigdy nie decydował pochopnie. Z równą życzliwością i uprzejmością, które nasuwały na myśl staropolską gościnność połączoną z niezwyklej delikatnością – traktował studentów.

Po latach miałem się przekonać w archiwum Profesora, że Jego skrupulatność przekraczała nasze wyobrażenia: na scenariuszach spotkań lub dołączonych do nich kartkach znajdowały się odręczne zapiski w formie autorecenzji, co było właściwe, a co należy zmienić *in futuro*. Podobnie zresztą zdumienie budziły bruliony jakże życzliwych listów z uwagami dla organizatorów czy uczestników sympozjów naukowych, konferencji, posiedzeń komitetów mickiewiczolo-

gicznych czy norwidowskich – lokalnych i krajowych, w których Profesor brał udział, a znakomite pomysły dotyczące prac koleżanek i kolegów pojawiały się dopiero w drodze powrotnej. Chętnie dzielili się tymi pomysłami, znajdował chęć i czas, aby je sformułować na piśmie i wysłać. Z tak daleko posuniętą uprzejmością spotykamy się w naszym środowisku raczej rzadko, sporadycznie, każda tego rodzaju okoliczność przywodzi na myśl Jego uczniom, że to „w stylu Nowaka”.

Nie można nie wspomnieć o dwóch znakomitych, interdyscyplinarnych sympozjach naukowych, zorganizowanych w niewielkim odstępnie czasowym, o konferencji barokowej z maja 1978 roku oraz o konferencji w 450. rocznicę urodzin Jana Kochanowskiego z grudnia 1980 roku; obie przyniosły łącznie cztery tomy prac pod red. Profesora, dobrze przyjętych w środowisku specjalistów. Obu sesjom towarzyszyły zapadające w pamięć koncerty muzyki z owych epok – efekt współpracy z Akademią Muzyczną.

Pracując na Śląsku, Profesor Nowak uświadomił, że można podejmować najtrudniejsze wyzwania badawcze, najtrudniejsze przedsięwzięcia polonistyczne, na europejskim, a nawet – nie waham się użyć tego określenia – na światowym poziomie: tu przygotował znakomitą, ogromną bibliografię prac swego mistrza prof. Pigionia, która w literaturze przedmiotu stanowi wzorzec bibliografii osobowej, tu przygotował dwutomową edycję *Pism estetyczno-krytycznych* Kazimierza Brodzińskiego; to rewelacyjne od strony edytorskiej wydanie – wraz z innymi elementami dorobku – przyniosło po latach (w roku 1977) habilitację w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk w Warszawie (to ewenement – praca o charakterze wybitnie tekstologicznym: krytycznym i edytorskim jako podstawa habilitacji!). Tu przygotował prace, które przyniosły tytuł profesora (w roku 1988), tu wreszcie opracował, po Pigioniu i Górskim, edycję swego ukochanego *Pana Tadeusza* w Wydaniu Rocznicowym *Dzieł Mickiewicza*, któremu to wydaniu poświęcił niemal dziesięć lat pracy! – i niestety nie zdążył już go zobaczyć. To w polonistyce pozostanie na pewno i na trwałe.

Trzeba również wspomnieć o współpracy z czasopismami i wydawnictwami śląskimi: z „Zaraniem Śląskim” i katowickimi „Poglądami”, z wydawnictwem „Śląsk”, w którym ukazała się książka *Wśród pisarzy i uczonych. Szkice historycznoliterackie*. W tych publikacjach pisał o sprawach dla polonistyki najważniejszych, o Mickiewiczu, o nowym tłumaczeniu *Pana Tadeusza* na język niemiecki, pisał o swoich mistrzach, którym zawdzięczał i wykształcenie, i pewne elementy swej postawy, głównie o Stanisławie Pigioniu. Z drugiej strony w czasopismach i pracach zbiorowych o zasięgu ogólnopol-

skim pisał o śląskich badaczach literatury polskiej, o prof. prof. Janie Zarembie, Stanisławie Zabierowskim, Mieczysławie Miterze-Dobrowolskiej, o doktorze Augustynie Jendrysku i innych. Oba skrzydła tej działalności traktował równie poważnie i stosował zawsze te same kryteria. Współpracował przecież z „Pamiętnikiem Literackim”, „Mickiewicz-Blätter”, „Ruchem Literackim”, „Rocznikiem Przemyskim”, „Przeglądem Humanistycznym”.

Wspominam głównie publikacje, a przecież Profesor recenzował nasze magisteria, doktoraty, habilitacje, co zajmowało przy każdej z tych okazji niekiedy więcej czasu, niż potrzeba na przygotowanie własnego szkicu czy niewielkiego studium, a po czym pozostały jedynie **nasze** tytuły i stopnie naukowe i **nasza**, niekiedy zawodna, pamięć. Może staliśmy się dzięki tym licznym, wnikliwym i zawsze życzliwym uwagom i dopowiedziom Recenzenta – ludzę się szlachetnie – nieco mądrzejsi?

Pośród małych ojczyzn wymienić zatem trzeba koniecznie Wydział Filologiczny Uniwersytetu Śląskiego. Ale muszę również przytoczyć charakterystyczną anegdotę opowiedzianą mi przez Panią Zofię: podczas jednej z naukowych wypraw w większym gronie pracowników Wydziału znaleźli się państwo Nowakowie w bibliotece w Pradze – i tu pamięć mnie nieco zawodzi, czy była to gotycka biblioteka Uniwersytetu Karola, czy też raczej barokowa biblioteka Jezuitów (tzw. Klementinum); prof. Nowakowi miało się na progu owej świątyni ksiąg wyrażać westchnienie: „Tak musi wyglądać niebo filologa!”

W zakończeniu zamierzałem wspomnieć, że Śląsk **miał szczęście**, iż to właśnie Profesor Zbigniew Jerzy Nowak, ze swą ponadprzeciętną pracowitością tak przystającą do tego regionu, obrał go sobie za teren **służby**, że pozwolił sobie przywołać tu jakże trafną formułę prof. Ireneusza Opackiego, służby polonistycznej i śląskoznawczej, że my – bardziej lub mniej formalnie Jego uczniowie – **mieliśmy szczęście** znać Go, ale prawda jest taka, iż w jedenastą już rocznicę Jego śmierci możemy uczciwie powiedzieć: prawie nic o Nim nie wiedzieliśmy, nadal poznajemy wielkość Jego dokonań coraz bardziej kontrastowo opozycyjnych wobec Jego ogromnej osobistej **skromności**. W tym sensie, chociaż odszedł, jest wśród nas stale obecny i ciągle budzi szacunek, a zarazem pewne zdumienie. I kto wie, czy to właśnie nie jest kolejne, jakby niespodziewane dzieło życia Profesora, że tu ze względu na Niego i dla Niego tak licznie się zebraliśmy, czy to nie jest Jego kolejne „za grobem zwycięstwo”? Skoro „nie wszystek umarł”, wolno mi wyrazić życzenie: niech już taki z nami pozostanie, na zawsze!

Wytoczony w roku 1945 krój granicy państwa wynikał z biegu Nysy Łużyckiej, która tworzy tu u podstawy wrzynający się w górzysty teren hak. A skoro w Poczdamie ostatecznie postanowiono, że zachodnią granicę Polski utworzy linia Odry i Nysy Łużyckiej wydłużono ją na południu do uchwytnej zarysu tej rzeki, która zwija się następnie aż po Liberec, gdzie ma swoje górskie źródła. Choć o przejście tego obszaru energicznie zabiegali wówczas Czesi, którym w nawiązaniu do historycznych map marzyło się nawet wchłonięcie przy tej okazji całych Łużyc, skończyło się jednak na wytyczeniu polskiej granicy z wystającym zaczepnie „workiem żytawskim”.

Gdy z radzieckiej strefy okupacyjnej wyłoni się NRD, obszar ten zostanie uznany za świadectwo wzoru współżycia coraz bardziej zwartych państw socjalistycznych, skoro można było się w nim dopatrzeć symbolicznego splecenia trzech bratnich dłoń. Na razie jednak ów narożnik, gdzie schodziły się teraz ziemie Polski, Czech i NRD był obszarem gospodarczej stagnacji. Póki nie okazało się, że podobnie jak po niemieckiej stronie granicy, gdzie sielskie krajobrazy ojczyste Łużyczan rozsądziły potężne kompleksy energetyczne Bischofswerdy i Hoyeswerdy, także i tu zalegają rozległe pokłady węgla brunatnego, co doprowadziło do powstania kroczącej kopalni odkrywkowej i bloków fotogenicznych elektrowni. Do Bogatyni oraz położonej w Kotlinie Turoszowskiej Sieniawki, wcześniej prawobrzeżnej dzielnicy Zittau (Żytawy), która zyska w roku 1959 prawa miejskie, zjeżdżały teraz watahy reporterów by odkryć i opisać rodzenie się nowego zagłębia.

Lecz nawet w latach, gdy oficjalną przyjaźń dokumentowały hasła ideologiczne, na co dzień obowiązywała tu szczególnie czujna praktyka strzeżenia zagrożonych przemysłem politycznym granic. Dochodziło także do kolizji bratnich interesów, chociażby na tle nadużyć ekologicznych, gdy zasłane dymy z elektrowni NRD doprowadziły do zamierania sudeckich lasów, bo taka była woła „róży wiatrów”. Wspólna otwarta gospodarka akurat tu nie wchodziła w rachubę – i tak było do „aksamitnej rewolucji”, bo oto już w roku 1990, jeszcze przed zburzeniem muru berlińskiego, gdy osamotniona już NRD stanowiła gwarancję kontroli Kremła nad zachodnią granicą państw NATO... zapobiegliwi Czesi – już wówczas! – wystąpili z koncepcją eksterytorialnej arterii komunikacyjnej przebitej przez dno „worka żytawskiego”. I odtąd sprawa ta przy różnych okazjach ożywała przy wyraźnej niechęci Polski.

Przebiecie takiego korytarza najkrótszą drogą z Czech do Niemiec o długości zaledwie 4,5 kilometra, na linii: Hradec nad Nisou – Sieniawka – Zittau w żadnym stopniu nie jest korzystne dla polskich interesów gospodarczych i stanowi oczywiste zagrożenie dla pozycji polskich portów związanych z Odrą: Szczecina i Świnoujście. Akurat co do tego nie było dotąd różnicy zdań po stronie polskiej, niezależnie kto i kiedy był przy władzy.

Nie do końca więc można zrozumieć jak do tego doszło, że podczas uroczystości akcesyjnych do UE, w sobotę 24 kwietnia, które odbyły się w Zittau, trzech wielce usatysfakcjonowanych dostojników – kanclerz Gerard Schröder oraz premierzy Polski i Czech wбили

Ten narożnik graniczny wcięty na styku Polski, Niemiec i Czech w naturalne obniżenie terenu, pomiędzy pasmem Gór Izerskich a Rudaw, został nazwany obrazowo „workiem żytawskim”.

Wór niezgody



„symboliczną łopatę” pod budowę tej spornej drogi. Jeśli można zrozumieć tryumfujący wyraz twarzy kanclerza Niemiec i premiera Czech, nie do pojęcia było promienne oblicze szefa polskiego rządu Leszka Millera, który jakby nie zdawał sobie sprawy, że wbija stalowy szpadeł do odcienia nie tylko dna „worka żytawskiego”.

Kolejne fakty ułożyły się w talię podejrzanie pospiesznych decyzji. Dlaczego i pod jaką (czyją) presją gabinet Millera podjął 23 marca 2004 roku uchwałę wyrażającą zgodę na podpisanie umowy z rządami Niemiec i Czech w sprawie budowy tej drogi bez wcześniejszych konsultacji merytorycznych a nawet wykonania odpowiednich analiz w ministerstwie infrastruktury. Czy uchwała ta przyjęta w przeddzień przyjazdu kanclerza Schrödera do Warszawy miała związek z uzgodnieniami dotyczącymi kompromisu w sprawie głosowania w przyszłej UE, co i tak skończyło się mizernym rezultatem. I czemu już 4 kwietnia w Zittau przedstawiciele rządów Polski, Czech i Niemiec podpisali umowę o sfinansowaniu tej inwestycji, na którą Niemcy wydadzą 13 milionów euro zaś Czesi pięć-krotnie mniej, co także ma swoją wymowę, jeśli rozważyć przyszłe zyski i wpływy umawiających się stron wynikające nie tylko z ekonomicznych kalkulacji, za to wyłącznie kosztem interesów Polski. No i kwestia nie do pominięcia: czy tak trudną i ryzykowną decyzję miał moralne prawo podejmować premier, którego odejście było przesądzone.

Koncepcja przebiecia tej eksterytorialnej arterii transportowej, która pojawiła się jeszcze w roku 1990, była odtąd stale podnoszona przez Czechy i Niemcy, lecz – jak dotąd – bez ustępstw Polski. W rozgorzałej na tym tle ostatnio dyskusji nikt nie wspierał decyzji Millera. Szczególną wymowę ma w tym kontekście jednak wypowiedź posła SLD Bogusława Liberadzkiego, w przeszłości wiceministra i ministra resortu transportu i komunikacji, obecnie wiceprzewodniczącego sejmowej komisji infrastruktury, który stwierdził: „Już 12 lat temu, za rządu Hanny Suchockiej,

w którym byłem wiceministrem transportu, byliśmy zgodni, że budowa drogi przez »workę żytawską« nie leży w naszym interesie. (...) Nadal uważam, że budowa tej drogi nie jest zgodna z naszymi interesami?”. Otóż to!

Droga z Hradka do Zittau przez Sieniawkę jest nie tylko najkrótsza, ale geograficznie najdogodniejsza. Tylko 4,5 kilometra „korytarza” przez Polskę i otwarte połączenia Kotliny Czeskiej z siecią autostrad przez Berlin do dwu wielkich portów niemieckich: Hamburga i Rostocka, które już teraz opanowały także bałtyckie szlaki morskie z Sankt Petersburgiem i Helsinkami. Droga, która ma powstać, otwiera bezkolizyjny trakt połączeń dla kawalkady tirów ciągnących z Pragi, Wiednia, Bratysławy i Budapesztu po Balkany. Oznacza to absolutną dominację portów niemieckich, które wchłoną najbardziej intratne transporty towarowe kosztem Polski. A już obecnie ze względu na dogodne połączenia komunikacyjne Hamburg przechwycił ponad 8 mln ton ładunków kontenerowych z Polski.

Alternatywą dla autostrady z pominięciem „worka żytawskiego” jest przebiecie się z Czech do Niemiec znacznie wydłużoną, górzystą trasą o bardzo niekorzystnym podłożu geologicznym. To z wielokrotność kosztów, nie mówiąc o protestach organizacji ekologicznych. Czy w tej sytuacji nie należało przynajmniej zadbać o wymierne gwarancje ekonomiczne i ekwiwalent finansowy, skoro zagrożone są interesy Szczecina i Świnoujścia. Nasuwa się także pytanie o wpływ tej decyzji na coraz większy zastój żeglugi na szlaku odrzańskim, skoro zaledwie po Wrocław Odra jest w pełni spławna. Niestety, lecz z wielkich planów rozwoju transportu rzeczno-tych szlakiem niczego; nie zrealizowano, obroty towarowe nawet trzykrotnie zmalały i zeszły do miliona ton rocznie z trzech milionów ton ładunków w latach siedemdziesiątych. Stan wielu obiektów rzecznych i portowych jest na granicy ruiny. W porcie gliwickim są jeszcze urządzenia z okresu jego budowy; jeden z dźwigów pracuje nieprzerwanie od 1936 roku. A więc stagnacja, regres i coraz mroczniejsze perspektywy na odrodzenie odrzańskiej żeglugi. Nawet nie ma co wspominać o wizji międzynarodowej arterii wodnej: Odra – Dunaj, ze Szczecinem u szczytu.

Przebiecie „worka żytawskiego” eksterytorialna autostrada spotkało się w Polsce z ocenami pod każdym względem krytycznymi. Jeśli bowiem dojdzie do budowy tej trasy ożyje na pewno także projekt korytarza z Kaliningradu do Białorusi, który wywołał tyle sprzeciwów. Umowę międzynarodową w sprawie drogi Hradec–Sieniawka–Zittau musi, co prawda, jeszcze ratyfikować Sejm. Ton interpelacji poselskich oraz stanowcza reakcja wpływowych klubów nie wróży jednak akceptacji tej drażliwej umowy. Ale co wtedy – skandal polityczny i długotrwałe napięcie na linii Warszawa–Berlin–Praga.

I tak przygraniczny „workę żytawską” może przerodzić się w „wór niezgody”. Finał tej sprawy nie dobrego nie wróży bez względu na ostateczne decyzje. A przecież można było z góry przewidzieć jej skutki dla Polski – i nie wbijać „symbolicznej łopatę” na odchodnym, nie mówiąc już o tym, że akurat w Polsce eksterytorialne korytarze źle się kojarzą.

TADEUSZ KIJONKA

Z kroniki pierwszych dni śląskiego września

BARTŁOMIEJ
WARZECHA

Starcia oddziałów OOP
z niemieckimi grupami
dywersyjnymi

23.08

- **Makoszowy:** potyczka oddziałów powstańczych i policji z oddziałem Formacji Specjalnej Ebbinghaus w rejonie kopalni Makoszowy (Delbrück).

24.08

- **Krywald:** atak niemieckiej formacji dywersyjnej na posterunek graniczny.
- **Gierałtowiec:** atak niemieckiej formacji dywersyjnej na posterunek graniczny.

25.08

- **Chwałęcice:** atak niemieckiej formacji dywersyjnej na posterunek graniczny.
- **Zwonowice:** atak niemieckiej formacji dywersyjnej na posterunek graniczny.
- **Kopytów:** potyczka niemieckiej formacji dywersyjnej z kompanią OOP.
- **Sumina:** atak niemieckiej formacji dywersyjnej na posterunek graniczny.

26.08

- **Olza:** starcia OOP z oddziałem dywersyjnym.
- **Mosty:** wypad grupy dywersyjnej (A. Herzner) i zajęcie dworca.

27.08

- **Kamień:** starcie OOP z oddziałem dywersyjnym.
- **Radzionków Rojca:** starcie Formacji Specjalnej Ebbinghaus ze strażą graniczną wspartą oddziałami powstańczymi.
- **Brzezie:** ostrzał posterunku straży granicznej.
- **Bielszowice:** potyczka OOP (J. Wilima) z oddziałem Formacji Specjalnej Ebbinghaus.
- **Buków:** potyczka OOP (J. Mikołajca) z oddziałem Formacji Specjalnej Ebbinghaus.

28.08

- **Bielszowice:** potyczka OOP (J. Wilima) i Wojska Polskiego z oddziałem Formacji Specjalnej Ebbinghaus.

Przygotowane kalendarium stanowi wybór wydarzeń o charakterze wojskowym, które miały decydujące znaczenie dla przebiegu walk obronnych w województwie śląskim (w granicach z 1937 roku) w 1939 roku, bądź stanowiły drobne z wojskowego punktu widzenia, aczkolwiek ważne ze względu na zawarty w nich ładunek emocjonalny, epizody dla części Górnolązaków.

Wydawać by się mogło, iż wydarzenia, które stanowiły podstawę zestawienia zostały dobrze i jasno opisane. Wynikła jednak pod koniec 2003 roku sprawa dotycząca wieży spadochronowej pokazała, że tak nie jest. Niestety, najlepszy czas na badanie historii września 1939 na Śląsku minął bezpowrotnie. Nagle okazało się, że część wydarzeń jest słabo udokumentowana. Jedynie, co można w obecnej sytuacji zrobić, to przeprowadzić spokojną i rzeczową analizę zgromadzonego dotychczas materiału.

O ile w przypadku wydarzeń z udziałem regularnych jednostek Wojska Polskiego, zrobiono w tym kierunku już bardzo wiele, to historia działalności formacji, w stosunku do których można użyć miana powstańczych oraz tzw. freikorpsu, stanowi nadal słabo zapisaną kartę. Powstałe na ten temat prace mają charakter na ogół popularnonaukowy, co często pozwala na podważanie ich wiarygodności. Baza źródłowa, do której się odwołują niektóre z nich, jest rozproszona, tendencyjnie wykorzystywana, a w niektórych wypadkach nawet zaginęła. Dostyc dobrze udokumentowano jedynie niektóre zbrodnie popełnione przez różne formacje niemieckie.

Licznie pojawiające się wątpliwości, których źródło w kilku słowach opisano powyżej, nie pozwalają na szczegółowe przedstawienie wielu epizodów, które stanowiły jeden ze smutniejszych okresów historii Górnego Śląska.

Siły Wojska Polskiego i Wehrmachtu, zmagające się na obszarze

województwa śląskiego, zostały opisane bardzo szczegółowo. Problem zaczyna się przy ustaleniu zaangażowania ludności cywilnej. Tak naprawdę niewiele wiadomo na temat zrzeszających ją paramilitarnych organizacji. W poniższym zestawieniu wymienione będą jedynie tzw. Ochotnicze Oddziały Powstańcze, powstałe wskutek uzgodnień Związku Powstańców Śląskich z dowódcą 23 DP, kiedy to podjęto decyzję o tworzeniu oddziałów rekrutujących się członków tego związku. Uzgodniono liczbę 22 batalionów. W rzeczywistości nie jesteśmy w stanie określić, jak liczne były te oddziały i jaki był ich skład. Należy przyjąć, że tworzyli je również członkowie innych organizacji. Trzeba pamiętać, że nie była to jedyna inicjatywa o charakterze paramilitarnym, na pewno powstały służby OPL czy Straży Obywatelskich, i nieznany jest udział innych, silnie reprezentowanych środowisk: ZHP, Oddziałów Młodzieży Powstańczej, Związku Strzeleckiego, Związku Rezerwistów, Związku Powstańców Wielkopolskich, Związku Hallerczyków, Związku Peowiaków. Jeszcze gorszy stan wiedzy jest na temat Formacji Specjalnej Freikorps Ebbinghaus.

Z wyżej wymienionych powodów w poniższym opracowaniu ograniczać się będę do używania ogólnego określenia polskich oddziałów nie wojskowych skrótem OOP, a w przypadku formacji niemieckich często stosowane będzie określenie „oddział dywersyjny”. W informacjach dotyczących regularnych formacji, ograniczę się również do podawania ogólnych danych.¹

- **Szczygłowiec:** potyczka OOP (kompanie F. Michalskiego, R. Michalskiego, W. Szretera, J. Płaczka z oddziałem Formacji Specjalnej Ebbinghaus.
- **Wilcza Dolna:** atak niemieckiej formacji dywersyjnej na posterunek straży granicznej.

29.08

- **Bielszowice:** ostateczna likwidacja oddziału niemieckiego, który wdarł się 28.08.
- **Maciejkowice:** potyczka OOP (E. Ledwonia, K. Marcinkowskiego) WP (kp. Por Piechy) z oddziałem Formacji Specjalnej Ebbinghaus.
- **Chropaczów:** potyczka OOP (J. Trojok) z oddziałem Formacji Specjalnej Ebbinghaus.

30.08

- **Bielszowice:** potyczka OOP wspartych 3 plutonem IV/73 pp) z oddziałem Formacji Specjalnej Ebbinghaus.
- **Buków:** potyczka OOP z oddziałem dywersyjnym.
- **Chropaczów:** potyczka OOP z oddziałem Formacji Specjalnej Ebbinghaus.
- **Godula Orzegów:** wypad OOP na terytorium Niemiec (W. Hartman, R. Trauss, W. Skrzypek) i starcie z oddziałem Formacji Specjalnej Ebbinghaus.
- **Kończyce:** starcia Formacji Specjalnej Ebbinghaus z OOP (kato-wicki).
- **Kopytów:** potyczka oddziałem dywersyjnym.
- **Olza:** starcia OOP (rybnickiego) z oddziałami niemieckimi.
- **Maciejkowice:** potyczka OOP z oddziałem Formacji Specjalnej Ebbinghaus.

31.08

- **Bielszowice:** potyczka oddziałów powstańczych wspartych plutonem WP z oddziałem Formacji Specjalnej Ebbinghaus.
- **Chwałęcice:** atak na posterunek straży granicznej odparty przy udziale (plutonu) I/75pp.
- **Kopytów:** potyczka OOP z oddziałem dywersyjnym.
- **Olza:** potyczka OOP z oddziałem dywersyjnym.
- **Buków:** potyczka OOP (rybnicki) z oddziałem dywersyjnym (rybnicki).

OOP pozwoliły generałowi Sadowskiemu do 3 września utrzymywać Obszar Warowny Śląsk bez angażowania dodatkowych sił.

1 wrzesień

- **Kończyce:** oddziały powstańcze (J. Broll) wycofują się do Bielszowic naciskane przez Formację Specjalną Ebbinghaus. Starcia w Orzegowie OOP z Chropaczowa, Lipin, Orzegowa wspieranych przez żołnierzy (kompania forteczna kpt. W. Dulowskiego IV/75).
- **Brzeziny Śląskie:** kompania OOP (E. Nowak) przy wsparciu kompanii wojska odpiera natarcie Formacji Specjalnej Ebbinghaus.
- **Gierałtów:** potyczka OOP z oddziałami Wehrmachtu.
- **Gorzyce:** starcie OOP (raciborski) z oddziałami powstańczymi.
- **Łagiewniki (kolo Bytomia):** potyczka OOP z Łagiewnik, Chropaczowa Lipin, Chorzowa i kompanii IV/75 pp z oddziałem Formacji Specjalnej Ebbinghaus w Łagiewnikach w okolicach i na terenie Huty Zygmunt.
- **Maciejkowice:** (Chorzów) natarcie Formacji Specjalnej Ebbinghaus w kierunku elektrowni odparte przez kompanię IV/75pp (A. Piechy) i OOP (E. Ledwonia).
- **Michałkowice:** Formacja Specjalna Ebbinghaus pod dowództwem Wilhema Pissarskiego opatruje kopalnię Michał którą, po całodniowej walce, odbijają 2 dwie kompanie III/75 pp wsparte armatką p.panc i OOP pod dowództwem W. Fojkisa. Opór niemiecki zostaje złamany dopiero po wprowadzeniu do akcji działka p.panc.
- **Knurów:** potyczka OOP (rybnicki) z oddziałami Formacji Specjalnej Ebbinghaus.
- **Przysowice:** OOP (T. Biela) potyczka z oddziałami 8 DP
- **Radzionków:** starcie OOP z Formacją Specjalną Ebbinghaus.

2 września

- **Bielsko:** wycofujące wojsko polskie potyka się z bielskim Selbstschutzem wojsko i powstańcy (większość) wycofują się z Michałkowic.
- **Brzeziny Śląskie:** kompania powstańcza z Brzeziny przy wsparciu kompanii powstańczych z Brzozowic-Kamienia (L. Siwy) i Dąbrówki Wielkiej (W. Sołtysik)po-

wstrzymuje wypad Formacji Specjalnej Ebbinghaus na kopalnię Orzeł Biały.

3 września

- **Chorzów:** OOP (E. Mańka) dokonuje wypadu i potyka się z oddziałami Formacji Specjalnej Ebbinghaus oraz niemieckiej straży granicznej.
- **Kończyce:** OOP (J. Broll) potyka się z oddziałami Formacji Specjalnej Ebbinghaus.

4 września

- **Świętochłowice:** kilkusobowa grupa ostrzeliwuje wkraczające oddziały Formacji Specjalnej Ebbinghaus.

Starcia jednostek wojskowych

1 września

Tego dnia Niemcy zaatakowali na całym froncie nie dokonując jednak jego przełamania w żadnym punkcie. Aczkolwiek w rejonie północnym (Woźniki) i na przedpolach Pszczyzny skoncentrowali jednostki pancerne, które rozwinęły natarcie w dniu następnym. Wykorzystując Formację Specjalną Ebbinghaus, wiazali znaczne siły polskie w rejonie Świętochłowic, Chorzowa, Nowego Bytomia.

- **Koszęcin:** batalion ON (mjr Żak) wsparty OOP zostaje rozbity przez 4 DP.
- **Kalety:** obrona opóźniająca. 4 szwadronu ułanów śl. (rtm H. Bigoszewski) z 3 plk. ułanów śl. przeciwko 2 DL.
- **Mszana:** szwadron 3 plk. ułanów śl. z Krakowskiej BK (walczący w ramach 6 DP) (rotmistrz Z. Eysmont) powstrzymuje przez kilka godzin natarcie 5 D.Panc.
- **Radlin:** potyczka drużyny WP z oddziałami Wehrmachtu.
- **Woźniki:** 5 psk z Krakowskiej BK skutecznie powstrzymuje 2 DL.
- **Tarnowskie Góry i okolica:** 11 pp odpiera słabe natarcie 68 DP.
- **Mikołów Wyry, Kobiór, Żwaków, Łaziska:** uporczywe walki części 23 DP i 55 DP wspartych pociągami pancernymi nr 54 „Groźny” oraz kompanią (T. Pucher) OOP mikołowskiego przeciwko 8 i 28 DP powodują zatrzymanie natarcia niemieckiego.

W krytycznym dla Polaków momencie ppłk. W. Kielbasa II/73pp osobiście prowadząc kontratak ginie, a jego batalion odbija Wyry utrzymując tym samym ciągłość frontu.

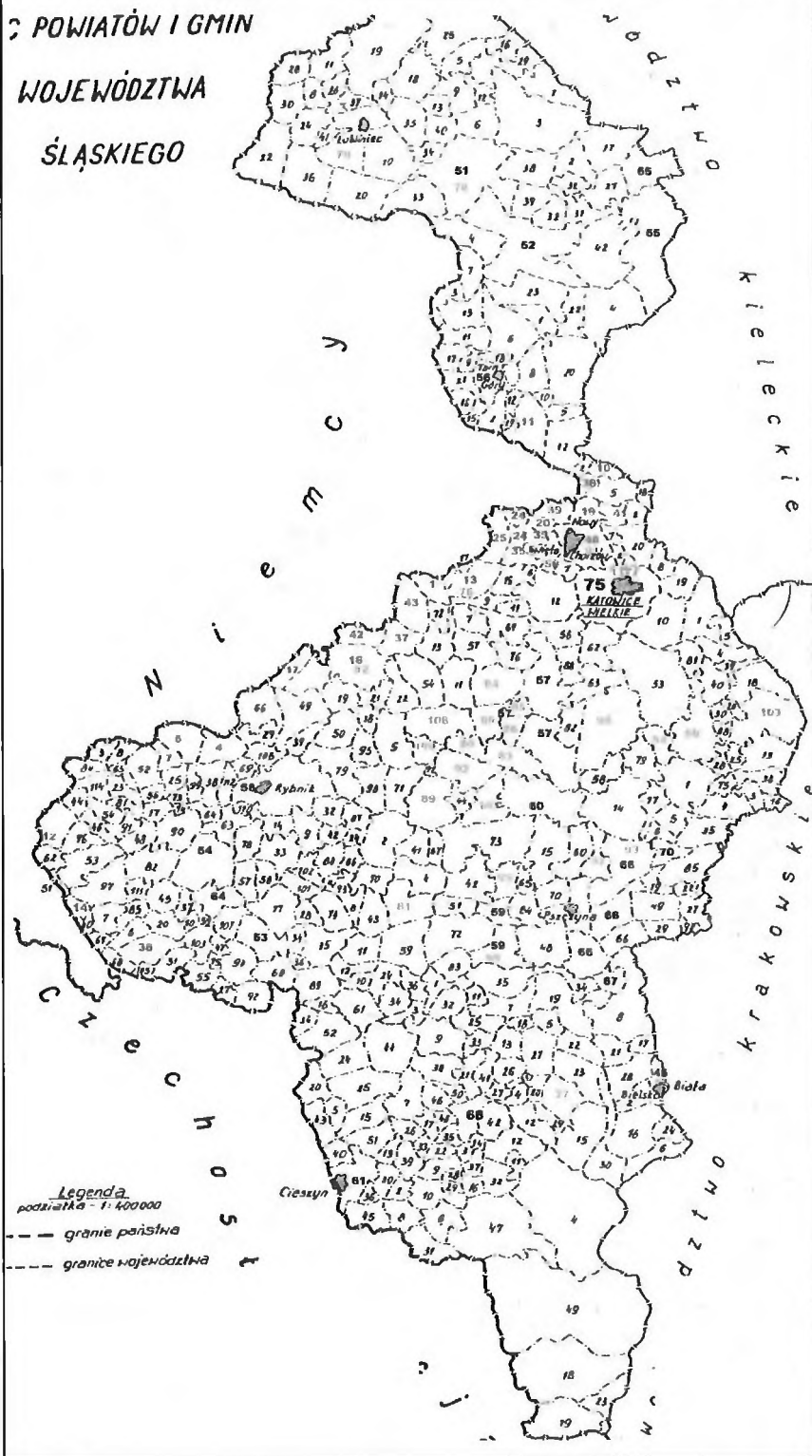
- **Rybnik:** rano 5 D.Panc rozбивa I/75pp (Mjr W. Mażewski), ON Rybnik (mjr Kwiatkowski) pod Żorami południe pod **Brzeźcami**, **Branicą**, **Wisłą Wielką** IV/16pp, III/20 pp, I/6 pal powstrzymuje natarcie 5 D. Panc.
- **Kobiór:** 201pp, część rozbitego I/75 odbijają miejscowość z rąk 28 DP, zabezpieczając tym samym południowe skrzydło Reduty Mikołowskiej.
- **Cieszyn:** III/4 plk.strz.podhalańskich po południu opuszcza miasto naciskany przez 44 DP.
- **Bogumin:** III/ 3 plk strz.podh. wycofuje się z Bogumina.
- **Przełęcz jabłonkowska:** saperzy z 4 plk strz podh. niszczą tunel kolejowy.
- **Wodzisław:** 3 plk ułanów śl. opóźnia natarcie w rejonie Wodzisławia.

2 września

Tego dnia Niemcy próbowali dokonać wylomu w rejonie Mikołowa i Wyr; ostatecznie przełamali front w rejonie Woźnik odrzucając Krakowską BK i w rejonie Pszczyny niszcząc część 6 DP.

- **Woźniki, Ligota Woźnicka:** Krakowska BK walczy przeciwko 2 DL i zostaje jeszcze w godzinach przedpołudniowych odrzucona na wschód, tym samym dokonano wylomu na północnym odcinku frontu GO Śląsk.
- **Rejon Pszczyny:** natarcie przedpołudniowe 5 D. Panc doprowadza do rozbitcia 6DP pod **Ćwiklicami** 16pp, **Goczalkowicami** III/20pp, **Jankowicami** II,III/16pp oraz prawie całą artylerię 6 DP 6 pal II,III/16pp, 6 d.a.c. Zdarzenie to oraz odwrót spod Woźnik stanowiło zagrożenie dla całej Grupy Operacyjnej Śląsk i doprowadziło do wydania rozkazu opuszczenia Śląska.
- **Dziedzice:** 50 ON Bielsko (mjr M. Drabik) III/3 pstrz. podhalańskich) wypychają z Dziedzic strażę przednią 44 DP próbującą z marszu zająć miasto.
- walki w rejonie Skoczowa przeciwko 45 DP i odwrót wieczorem. Między godziną 18 a 19 zostaje wydany rozkaz odwrotu ze Śląska.

2 POWIATÓW I GMIN WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO



Mapa ukazuje rozległość stoczonych walk w obronie polskiego Śląska w ostatnich dniach sierpnia i pierwszych dniach września 1939 roku.

3 września

Oddziały GO Śląsk i GO Bielsko zaprzestały oporu na dotychczasowych rubieżach i podjęły próbę oderwania się od nieprzyjaciela. Walkę toczyły jedynie straż tylne i nieliczne już rozproszone OOP.

- **Kobiór:** odwrót grup 6 DP części 20pp i III/75 pp na Chelmek i starcie pod Chelmem z 5 D.panc.

- **Miedzyrzecze:** odwrót resztek 16 pp na Harmęże.

- **Tychy:** odwrót 73 pp przez Murcki, Szopienice.

Rano 55 DP wycofuje się z pozycji Mikołów, Wyry, przez Katowice do Sosnowca.

Po południu odwrót wykonują oddziały Grupy Fortecznej (Chorzów, Świętochłowice, Łagiewniki, Godula) na Będzin.

4 września

Wojsko polskie opuściło Śląsk, za wyjątkiem drobnych oddziałów osłonowych. Rozproszeni uległy również oddziały OOP; ich resztki stawiły Katowicach krótki aczkolwiek bohaterski opór.

Katowice: w odosobnionych od siebie miejscach, m.in. Park Kościuszki, Dom Powstańca (ul. Matejki), Brynów, Bogucice, Zawodzie, nieliczne już OOP (N. Renc, F. Kruczek, K. Orendorz, J. Hassa), grupy harcerzy oraz resztki kompani 11 IV/75 (kpt. Tułak) toczą walkę z członkami Formacji Specjalnej Ebbinghaus, Grenz-wachtu oraz 239 DP.

Ekzekucje

Dokonywane w okresie do 4 września miały na ogół charakter odwetowy, wynikający często z przebiegu walk. Ginęli zakładnicy, osoby przypadkowe, lub złapane z bronią w ręku. Zestawienie nie ujmuje osób, rozstrzelanych przez stronę polską.

1 września

Bielsko: R. Kokowczyk.

Bielszowice: R. Machnik.

Jasienica: K. Buchta, P. Handzel, J. Karas.

Koszęcin: K. Burzyński, ks. W. Gałaska, J. Klimas, Ochman, W. Opiełka, J. Piątkowski, J. Słodczyk.

Lubliniec: F. Kielbasa.

Zawiść: rozstrzelani K. Geissler, K. Kubin, L. Pisarek, J. Szindler i 3 osoby nieustalone.

Warszowice: rozstrzelano 1 nieustaloną.

Szczygłowice: F. Bryłka, H. Roj, H. Szymura, S. Winkler.

1 lub 2 września

Gostyń: P. Dusza, F. Kiecka, F. Kurpaś, J. Liszka, M. Mysior, F. Rzepka, J. Swadźba, W. Szoltysik, M. Wróbel, M. Wróbel, F. Zawisza + 2 osoby nieustalone.

Mokre: Czempa, Widera.

2 września

Łaziska Dolne: A. Bołda, J. Czardybon, J. Czardybon, R. Czardybon, R. Drapa, L. Kiełtyka, E. Kuczera, R. Małysz, J. Manowski, S. Mikołajczyk, R. Moroń, W. Moroń, W. Nowrot, J. Przywara, W. Ratka, P. Gawlik, W. Zimny.

Łaziska Średnie: P. Bojdol, A. Brożek, B. Brożek, P. Brożek, J. Cholewa, J. Ciupa, F. Cwolek, O. Cyron, H. Hanus, A. Moron, Ł. Mrowieta.

Nieborowice: F. Bańczyk, F. Glaga, F. Hajok, F. Herisch, J. Konikowski, F. Kosidło, Kotucz, R. Lipina, J. Luszka, R. Michalski, J. Onderka, J. Owca, F. Rosół, J. Sikora, K. Skrzypek, P. Wilczek.

Mokre: Szczyrba i 1 osobę nieustaloną.

Woszczyc: 1 osobę nieustaloną.

2-3 września

Łaziska Górne: A. Bojdol, B. Bojdol, B. Bojdol, P. Bojdol, R. Bojdol, S. Golda, E. Larysz, J. Pająk, J. Pająk, P. Pająk, T. Pająk, P. Pojda, O. Swadźba.

3 września

Chorzów: W. Benisz, A. Czernecki, P. Kowalczyk, Kupka, O. Lokajczyk, J. Marzec, P. Mika, Mocha, M. Moj, J. Musioł, H. Pięta, J. Puławski, Roerich, Waleczek, P. Wolny.

Gardawice: F. Kurpas, E. Strzoda, W. Wycisło.

Jankowice: F. Garza, Z. Garza, E. Garza, Ł. Garza, W. Garza, S. Bałuch, A. Brandys, A. Jendrysik, P. Jendrysik, S. Jendrysik, F. Wiera, W. Wiera.

Jaroszowice: A. Broncel, T. Grabowski, J. Sarski, A. Świerkot, A. Tomczom.

Kobielice: S. Lewicki, A. Mamok.

Lędziny: J. Hachuła, M. Handy, J. Handy, K. Kostyra, M. Kostyra, M. Kostyra, J. Stajaj.

Studzienice: J. Pyrttek.

Tychy: K. Anderko, J. Groborz, L. Krzyżkowski, J. Pilszek.

Wisła Wielka: K. Mrzyk, J. Silberstein, K. Silberstein.

Zawada: 2 osoby nieustalone.

Zawiść: H. Glans, K. Karol oraz 2 osoby nieustalone.

Zgoń: J. Bomba, F. Gorzowska, J. Jureczko, H. Kret, J. Marcisz, S. Muras, J. Plichta, F. Strzoda.

3 lub 4 września

Imielin: G. Bożek, F. Bożek, J. Brzenk, R. Czamberg, W. Długajczyk, F. Dudek, A. Gierlotka, J. Goczol, K. Klimek, W. Kocur, W. Kosma, A. Kula, P. Kula, K. Marszołek, M. Marszołek, B. Nita, J. Pojda, M. Ślosorz, L. Świerzy oraz 8 osób nieustalonych.

Mokre: P. Czempa, L. Szczyrba, H. Widera.

4 września

Imielin: J. Dudek, W. Gierlotka.

Gostyń: ks. T. Mennzer.

Katowice – literatura przedmiotu podaje liczbę około 750 rozstrzelanych w Parku Kościuszki a także na ul. Zamkowej i ul. Jagiellońskiej (trudno ustosunkować się do tej liczby) Załęże, Dąb.

Orzesze: W. Bartniczek, K. Blaski, J. Buchalik, Z. Buchalik, E. Franke, J. Głombek, J. Gruszka, W. Habraszka, A. Jaroszek, P. Kaczmarczyk, F. Kasprzak, E. Kubankowa, P. Kubenek, O. Opiełka, A. Otrząsek, J. Otrząsek, S. Pławewski, S. Śladek, B. Sprus, W. Sprus, J. Studziński, P. Szczeponec, F. Szymura, J. Tkocz, R. Tutaj, Z. Tutaj, F. Włóczka, E. Wojtaszewski, L. Wycisło, B. Pisarek, L. Pisarek, P. Rusniak.

Z kroniki pierwszych dni śląskiego września

¹ W nawiasach, jeżeli można było ustalić, podawane zostały nazwiska dowódców oddziałów OOP. W przypadku regularnych jednostek Wojska Polskiego zrezygnowałem z podawania szczegółowych informacji o biorących udział w walce różnych służbach dywizyjnych. Ze względu na trudności z ustaleniem imion uczestników walk i poległych w ekzekucjach podane zostały tylko pierwsze litery imienia bądź same nazwiska. Skrótów jednostek oznaczają: DP - dywizja piechoty, DL - dywizja lekka, DPanc - dywizja pancerna, pp - pułk piechoty, pal - pułk artylerii lekkiej, d.a.c. - dywizjon artylerii ciężkiej, p.pułk podpułkownik, plk strz.podh. - pułk strzelców podhalańskich, p.s.k. - pułk strzelców konnych, p.uł.śl. - pułk ułanów śląskich, mjr. - major, IV - rzymskie cyfry oznaczają numery batalionów w pułku, p.panc - przeciw pancerna, ON - Obrona Narodowa, GO - Grupa Operacyjna.

ANTONI WOLAK

Litania do siebie

*Nikt ci nie zabroni... –
Zabroń sobie sam*

*Nikt cię nie ostrzeże... –
Ostrzeż się sam*

*Nikt cię nie przekona... –
Przekonaj się sam*

*Nikt cię nie pouczy... –
Poucz się sam*

*Nikt cię nie utwierdzi... –
Utwierdź się sam*

*Nikt cię nie udoskonali... –
Udoskonal się sam*

*Nikt cię nie wyzwoli... –
Wyzwól się sam*

*Nikt cię nie uleczy... –
Ulecz się sam*

*Nikt cię nie pocieszy... –
Pociesz się sam*

*Nikt cię nie rozweseli... –
Rozwesel się sam*

*Nikt ci nie wskaże... –
Wskaż sobie sam*

*Nikt ci nie otworzy... –
Otwórz sobie sam*

*Nikt cię nie uratuje... –
Uratuj się sam*

*I miej mnie w swej
nieustającej opiece*

Krótki opis pojawienia się złości

*Widzę jak wychodzi
z siebie i kładzie trupem
całe zastępy słabości
które jeszcze chwilę temu
były jej obojętne
albo co najwyżej daleko ulokowane
w polu widzenia
Widzę jak mierzy celnie
i jak pada jedna po drugiej...*

*Powoli (lecz nieustępliwie)
zaczyna mierzyć w siebie*

Ona

*Jest jak stworzenie Boże
Z całym brzemieniem
Złych i dobrych cech
Raz kapryśna jak piękna kobieta
Innym razem przyłoży ją do rany*

*Zna na pamięć wszystkie cuda natury
Nie na jednej wojnie już była
Przemierza lądy i oceany
Do każdej dziury zaglądnie –
Na tzw. prowincji*

*Otwiera się przed niebem
Jak człowiek przed człowiekiem
Spędza ziemi sen z oczu
Nigdzie długo miejsca nie zagrzeje
Pogoda*

Scena uzupełniająca...

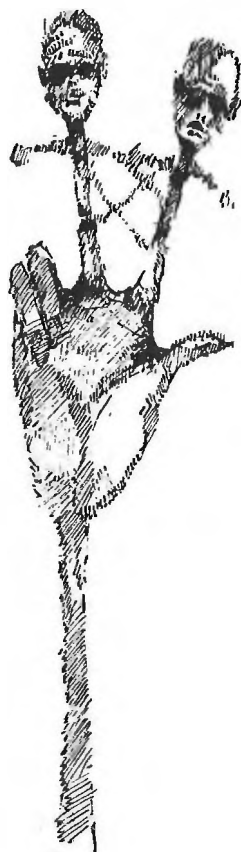
Barabasza: ... Nic nie powiedział.

*Chrystus: Nie zdziwił się wcale
i nawet tego nie skomentował.*

*Thum: Szemrał i krzyczał stale
to samo.*

*Pilat: Nerwowo poprawiał rzemyk
przy sandale.*

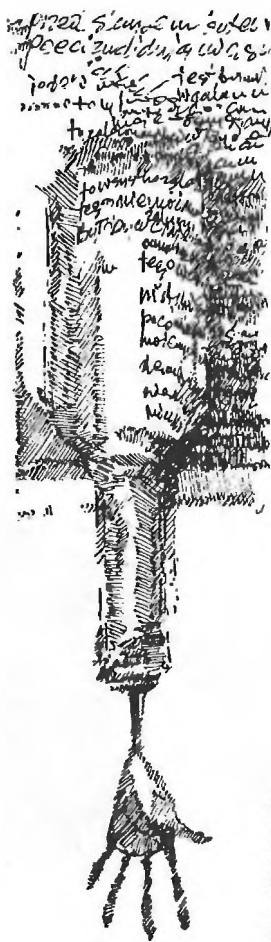
*Niebo: Nie wzięło tego pod uwagę
jako dowodu obciążającego.*



modlitwa na wypadek przedłużającej się podróży

...i co masz jeszcze
co mógłbyś dać?...
nie mnie bo ja mam już
swą niezłomną nadzieję
którą mi dałeś lekką ręką
że chwilami podejrzewam czy
rzeczywiście jest ona prawdziwa
lecz tym co mają jeszcze mniej
akurat tyle ile zaoferujesz im ze stołu
tych którym (z zadziwiającą ochotą)
wciąż podsyłasz coraz to nowe prezenty
i tym którzy nic nie mają
nawet okruchów z cudzych stołów
a Ciebie wyłącznie – przykro mi bardzo –
nie chcę
bo widzisz...
gdybyś był super gwiazdą...
albo supermenem...
ale nie przypominam sobie
czy byłeś nim kiedykolwiek
choć prawda jest
że próbowano Cię wykreować
lecz skończyło się to na krzyżu

co więc masz jeszcze
co mógłbyś dać?...
oprócz tego krzyża
który tak wciąż
z upodobaniem rozdajesz
jakbyś nie wiedział
że trudno go wszędzie
zabrać ze sobą
a w żaden sposób
nie chcesz przystać na taki
który można by było
wrzucić do podróźnej torby
jak szczoteczkę do zębów



Rys. Wojtek Łuka

W moim ogrodzie... (Na przywitanie wiosny)

z rozłożonymi ramionami
stoi na wierzchołku wiśni drzewa
jakby miał zaraz arię odśpiewać

podarte na nim ubranie
noga złamana w kolanie
drugiej już nie ma

tańczy wokół niego żwawo
zetlała słoma z kurzawą

pod odwiniętą darnią
przycupnęło do ziemi
stadko zmarzniętych kamieni
jak kuropatwy znieruchomiałe

obok parę kroków dalej
skrzynki złożone niedbale
sznurem przewiązane

opadły z pni drzew
wapna cienkie bandaże
odstaniając zagojonych
ran liszaje
między gałęziami
widać wiosny migotanie

Przed skupem butelek...

Poeci znajdują wiersze gdzie popadnie
jak kloszardzi puste butelki... i
wypychają nimi kieszenie – mogą
to być kieszenie pamięci bo wciąż
dobrze to brzmi... i
(nadal) jest poetycko
albo (gdy uzbiera się ich więcej)
zwyczajne sfatygowane torby

Później w nadziei wyciągają je... i
(nierzadko drżącymi rękami)
powoli rozkładają przed publicznością
jak kloszardzi puste puszeki po piwie
w skupie butelek

Nikogo też to nie dziwi...
że tak stoją pokornie w kolejce
żeby zamienić je na odrobinę szczęścia... i
gdy tylko się pojawi
zazwyczaj korzystają z niego
ile się da – (aż do samego dna).

A potem
wracają do swoich kryjówek... i
znowu mają cały świat w pogardzie.

ANTONI WOLAK

Foto: Zbigniew Sawicz

Lubię ciągle debiutować

– Gratulując Panu pięknego jubileuszu chciałam zauważyć, że 50 lat obecności na światowych estradach to ogromne doświadczenie. Mam nadzieję, że je kiedyś Pan opisze?

– Każdy z nas nosi się z zamiarem, żeby utrwalić swoje doświadczenia życiowe, ale to jest wielki kłopot, szczególnie dla dyrygentów, którzy są czynni tak długo, jak długo mogą się poruszać... Ci, którzy ruszają się zwawo do końca, nie mają na to wolnej chwili. Weźmy chociażby Stanisława Skrowaczewskiego czy Jana Krenza – to przedstawiciele starszego ode mnie pokolenia, którzy jeszcze są czynni – a to zabiera im mnóstwo czasu. Dyrygowanie to nie tylko sprawa przygotowania się do koncertów, czytania partytur itd., ale jednocześnie sprawa stałych podróży. Człowiek stale jest w drodze: pakuje, rozpakowuje, załatwia, próbuje, koncertuje... Spośród polskich dyrygentów, o ile się orientuję, jedynie Stanisław Wisłocki prowadził dziennik, który jego bratanek później zebrał w książkę. Wspomnienia

dyrygentów zwykle pisane są przez kogoś, kto się poświęca, zbiera materiały, robi wywiady i pisze książkę. Jeżeli jej bohater jeszcze żyje, to ją autoryzuje, jeśli nie – to trudno. Z drugiej strony, życie każdego dyrygenta jest usiane bardzo ciekawymi przeżyciami i doświadczeniami – nie tylko artystycznymi, ale także życiowymi i politycznymi. Materiału jest mnóstwo. Jeśli chodzi o mnie, nie wiem, czy mi się uda lub czy ktoś poświęci się, żeby wziąć moje ogromne archiwum (tak się składa, że dysponuję prawie kompletem swoich programów i innych materiałów z tych 50 lat) i wysłuchać to, co pamiętam...

– Na początku był Wrocław, potem – nie na długo – Katowice. Jak Pan wspomina okres swego szefowania w WOSPR i Katowice połowy lat 70? To był ważny okres, kiedy sława śląskiego środowiska muzycznego promieniowała na cały kraj...

– Przede wszystkim urodziłem się w Katowicach, do momentu uzyskania matury w Państwowym Liceum

Muzycznym cały czas mieszkałem w tym mieście i żyłem jego muzycznymi sprawami. Z tamtego okresu dobrze pamiętam Stanisława Skrowaczewskiego, który był szefem Filharmonii Śląskiej, pamiętam Grzegorza Fitelberga, Jana Krenza, Witolda Rowickiego... Mogę powiedzieć, że wychowałem się na WOSPR i na Filharmonii. Bo szkoła szkołą, ale koncerty dają niekiedy więcej, niż można się teoretycznie nauczyć. Po maturze wyjechałam do Wrocławia, tam ukończyłam studia i po krótkim epizodzie w Opolu zostałam szefem Filharmonii Wrocławskiej. W pewnym momencie padła propozycja objęcia WOSPR, co było dla mnie ogromnym zaszczytem. Dla nas wszystkich uczących się w katowickim w liceum była to „kultowa” orkiestra. Jako młody człowiek, w czasach, kiedy mi się nawet nie śniło, że mógłbym być szefem WOSPR, miałem szczęście nią dyrygować. Wtedy koncertmistrzem był fenomenalny Władysław Wochniak – legendarna postać. Pamiętam jego cenne uwagi, które ro-

bił mi podczas prób. Ale w momencie, kiedy obejmowałem WOSPR, byłem już bardzo silnie związany z Wrocławiem – jako szef Filharmonii i kilku festiwali: Chopinowskiego w Dusznikach, Muzyki Klawesynowej i Organowej, Polskiej Muzyki Współczesnej, wreszcie – festiwalu „Wratiscavia cantans”, który wtedy był organizowany przez wrocławską Filharmonię. Było mi bardzo trudno pogodzić te wszystkie rzeczy. A poza tym miałem rodzinę we Wrocławiu. Co prawda przyjąłem propozycję, ale powiem szczerze: jestem człowiekiem, który się nie nadaje do pełnienia funkcji w sytuacji, gdy ma nad sobą piramidę urzędników, często nie mających żadnego pojęcia o zasadniczych sprawach dotyczących naszego zawodu. Czułem się dobrze w roli szefa Filharmonii – tam osobiście odpowiadałem za wszystko. Zatem, mój pobyt w WOSPR był krótki, chociaż interesujący – wtedy na przykład spotkałem się z Jurkiem Maksymiukiem, który wtedy był dyrygentem WOSPR.

– Już jako zastępca dyrektora artystycznego i stały dyrygent Filharmonii Narodowej, a jednocześnie szef Filharmonii Krakowskiej poświęcił się Pan w szczególności promowaniu muzyki współczesnej. Ta działalność została uhonorowana wieloma nagrodami, m.in. prestiżową Nagrodą Związku Kompozytorów Polskich. Jak Pan dziś ocenia swój wkład w kształtowanie historii muzyki polskiej XX wieku?

– Myślę, że każdy z nas czuje się w obowiązku promować muzykę polską. Prawdą jest, że sporo tej muzyki wykonywałem, prowadziłem wiele prawykonania. To było oczywiście, że trzeba grać muzykę polską. Wykonywałem ją, gdzie tylko było można, tj. tam, gdzie pozwalali na to organizatorzy koncertów. Bardzo dużo dyrygowałem gościnnie w kraju i za granicą i sporo tej muzyki udało mi się przemycić. Swoistym kuriozum jest to, że w czasie siedmioletniego kontraktu z Praską Orkiestrą Symfoniczną byłem tym, który prawykonywał dzieła należące do klasyki polskiej muzyki współczesnej: symfonie Lutosławskiego, utwory Pendereckiego, Góreckiego, Kilara, Panufnika. Trzeba tu przypomnieć, że repertuar symfoniczny wykonywany na całym świecie jest konserwatywny. Sezony orkiestr są przeważnie utkane z klasyki w szerokim tego słowa pojęciu, a więc z dzieł klasycznych, romantycznych i późnoromantycznych. Muzyki współczesnej jest bardzo mało – zwykle pojawia się ona na specjalistycznych festiwalach. Natomiast wprowadzić tę muzykę do „zwy-

kłych”, abonamentowych programów jest bardzo trudno. Patrząc z tej perspektywy mogę powiedzieć, że rzeczywiście bardzo wiele tej muzyki wykonywałem. (Zresztą nie tylko polskiej – co wynikało z mojego udziału w „Warszawskiej Jesieni” i Festiwalu Polskiej Muzyki Współczesnej we Wrocławiu.) Fakt, że z tego tytułu spotkało mnie wiele wyróżnień. Poza cenną dla mnie nagrodą ZKP były to dwie Nagrody Ministra Spraw Zagranicznych za promowanie muzyki polskiej za granicą (jedna z nich całkiem niedawna); otrzymałem także Schlesienpreis – wyróżnienie przyznawane w Hanowerze artystom, którzy mają swój wkład w kulturalną współpracę polsko-niemiecką. Miałem więc satysfakcję, że moja działalność była zauważona.

– W Pańskim imponującym kalendarium występów zagranicznych szczególnie miejsce zajmują Czechy. Czy czuje się Pan spadkobiercą Karola Szymanowskiego, który w latach 30. starał się o nawiązanie polsko-czeskich kontaktów w muzyce?

– W moim życiu Czeszy rzeczywiście cytowane są jako moje extra dokonania. Natomiast najwięcej koncertów poza Polską zadyrygowałem w Niemczech. Dyrygowałem bardzo wieloma orkiestrami zarówno w strefie wschodniej, jak i zachodniej. Miałem ciągle kontakty z orkiestrami, np. z Halle, Weimaru, Schwerina, Zachodniego i Wschodniego Berlina, Lipska, Dreżna, Bambergu itp., itd. Do tej pory do wielu z nich wracam.

– A Czechy?

– Zanim zostałem stałym gościnnym dyrygentem Praskiej Orkiestry Symfonicznej, dyrygowałem w Czechosłowacji, a potem w Czechach i na Słowacji. Czy czuje się spadkobiercą Szymanowskiego? Mogę tylko powiedzieć, że mogłem dużo zdziałać dla promocji polskiej muzyki współczesnej i uczyniłem to – bo okazało się, że kiedy przyjechałem do Czech i zacząłem pytać, co z polskiej muzyki już tam wykonywano, okazało się, że nikt prawie niczego nie grał. Pamiętam, że jako pierwszy dyrygowałem w Czechach utworami Tadeusza Bairda, które zresztą zrobiły tam furorę. Co mnie najbardziej cieszy, udało mi się wielokrotnie przezwyciężyć sceptycyzm organizatorów, którzy wahali się, czy wstawić dany utwór do programu. Okazało się, że każda z moich propozycji była autentycznym sukcesem – kompozytora i wykonawcy. Zostało to docenione – ilekroć dziś jadę do Czech, a zdarza się to stale, często jestem proszony o jakiś polski utwór.

– Mojemu pokoleniu nazwisko Tadeusz Strugała kojarzy się przede wszystkim z festiwalami oratoryjno-kantatowym „Wratiscavia cantans”. To było prawdziwe imperium, a w czasach komuny jedno z nielicznych miejsc, gdzie kultura muzyczna rozkwitała raz na rok w iście europejskim stylu. Czy nie żałuje Pan rozstania z festiwałem? Jak Pan ocenia jego obecny kształt?

– „Wratiscavia cantans” to rzeczywiście kawał mojego życia. Odpowiedzialność organizatorską za ten festiwal miałem już wtedy, gdy byłem szefem Filharmonii Wrocławskiej, której on wówczas instytucjonalnie podlegał. To był rok 1968 – wtedy festiwal programował Andrzej Markowski. Ja przejąłem kierownictwo artystyczne w roku 1976. Trwało to do 1997 roku. A więc sporo lat... Ja zawsze miałem smykałkę organizatorską, społecznikowską, coś zawsze chciałem robić począwszy od czasów szkolnych, kiedy tworzyłem z kolegami gazetki ściennie... Więc naprawdę żywałem się jako szef „Wratiscavii”. Idea Festiwalu była znakomita, jednak kiedy go przejmowałem, był bardzo skromny – trwał zaledwie pięć dni. Postanowiłem sobie ambitnie, że będę rozwijał festiwal nie tylko artystycznie, ale i czasowo – za mojej dyrekcji doszedł on do dwóch tygodni. Oczywiście najważniejsza była zawartość. Jądro stanowiła muzyka oratoryjna i kantatowa. Obudowałem je wydarzeniami reprezentującymi inne sztuki: pojawiła się rzeźba, malarstwo, film, balet, itd. Niektórzy mieli mi za złe ten kierunek, nie wycofałem się jednak z niego, gdyż dodatek innych dyscyplin artystycznych dawał ogromne możliwości ekspansji artystycznej. Drugą sprawą, która była dla mnie bardzo ważna było wprowadzanie nowych form prezentacji. Co roku na festiwalu pojawiała się taka nowość, np. Turniej Kontratenorów w Brzegu, koncerty-aukcje dzieł sztuki czy „dni narodowe”. Wiele z tych pomysłów już nie jest realizowanych, a szkoda. Był ten festiwal moją radością, moim drugim życiem, oprócz dyrygowania. Zdarzały się różne przygody – raz nawet wybuchała polityczna awantura, gdy prywatnie zaprosiłem na festiwal najmłodszego syna Królowej Elżbiety, Edwarda. Zrobiła się z tego wizyta państwowa – urzędnicy ministerstw i władz miejscowych przeklinali, gdyż nie byli przygotowani do sprostania wymogom ceremoniału. Musiałem przekonać właściciela hotelu, by przygotował dla księcia przyzwoity apartament – istnieje on do dziś, pięknie zrobiony we wło-

skim stylu, nazywa się Apartamentem książęcym... Dziś nie mam specjalnie czasu jeździć na ten festiwal, co najwyżej śledzę materiały drukowane. Nie chcę niczego krytykować, bo każdy ma własną koncepcję. A jednak brakuje mi w obecnym kształcie festiwalu zasadniczej rzeczy: architektury programu. Ja budowałem festiwal nie z przypadkowych klocków – on był on początku do końca przemyślany, zbudowany jak dom: miał swoje fundamenty, swój punkt szczytowy i „momenty relaksowe”, jak teatr Gagaku z Japonii, dzień Indian północnoamerykańskich czy spektakl wirujących derwiszy (do tego były specjalne odczyty pozwalające publiczności zapoznać się, z czym mają do czynienia). Myślę, że gdybym prowadził ten festiwal nadal, wyglądałby on inaczej. Trudno było jednak zawiadywać nim z odległości Warszawy. Jest to co prawda tylko 360 kilometrów, ale dojazd fatalny – 6 godzin pociągiem przez Poznań! Do tego doszło zmęczenie i liczne obowiązki dyrygenckie... Po 28 latach naprawdę byłem zmęczony. Na zakończenie udało mi się jedna rzecz: z wielkim trudem wywalczyłem usamodzielnienie festiwalu jako odrębnej instytucji kultury, z własnym budżetem i biurem.

– Wśród Pańskich najnowszych dokonań są realizacje oper i baletów. Jak się dowiaduję, w przygotowaniu są następne. Czyżby dał się Pan ogarnąć magii teatru operowego?

– Zawsze chciałem robić coś „po nad” – poza dyrygowaniem symfonią. Długo broniłem się przed operą. Dla mnie bowiem zjawisko produkcji muzycznej to zjawisko jednoznaczne, jak w sporcie: długo się trenuje i wreszcie skacze – tylko raz. Dostaje się medal, albo nie. Inaczej mówiąc, koncert to poprzedzony okresem przygotowań największy wysiłek emocjonalny, psychiczny i fizyczny – bo dyrygowanie składa się z tych trzech elementów. Można się zdobyć na niego tylko raz – i wtedy jest koncert. Już powtórki programu nie bardzo lubię. A praca w operze polega na powtarzaniu przedstawień, nieraz kilkadziesiąt razy. Rozważając propozycje pracy w operze myślałem więc: ileż razy można dyrygować to samo?... Wiadomo (twierdził to sam Karajan), że na 300 przedstawień operowych kilka jest znakomitych, kilkadziesiąt przyzwoitych, reszta fatalna... Więc odmówiłem – dwukrotnie – objęcia dyrekcji Teatru Wielkiego-Opery Narodowej. Natomiast w 2002 roku pani Ewa Michnik zaproponowała mi przygotowanie spektaklu *Wolnego Strzelca* Webera z okazji

160-lecia Opery. W ślad za tym przyszła propozycja od dyrektora Pietrasa z Poznania, żeby zrobić na Międzynarodowy Festiwal Hoffmannowski premierę *Fidelii*. Zgodziłem się z radością, gdyż uważam tę operę, często niedocenianą, za dzieło genialne. Potem przyszła propozycja od Jacka Kaspszyka z Opery Narodowej dotycząca przygotowania baletu *Czajkowski* w choreografii Borysa Ejfmana. I tę propozycję przyjąłem, jako mój debiut w sztuce baletowej – ja lubię debiutować... W moim wieku to podwójna przyjemność.

– Po latach nieobecności na Śląsku odnowił Pan tutejsze kontakty, przyjmując przewodniczenie Jury ubiegłorocznego Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. G. Fitelberga. W Filharmonii Śląskiej odbył się niedawno jubileusz 50-lecia Pana pracy artystycznej. Wiem, że zgodził się Pan sędziować Jury następnego Konkursu im. Fitelberga w 2007 roku. Jak Pan dziś znajduje nas, Ślązaków?

– Ja się stąd wywodzę, Ślązaków dobrze znam – cenię ich etos pracy, widoczne również w tutejszych orkiestrach. W grudniu ubiegłego roku podziwiałem znowu cudowne, nieprawdopodobnie życzliwe podejście muzyków Filharmonii Śląskiej do młodych ludzi, którzy brali udział w Konkursie. Przecież to straszna robota – dwa razy dziennie grać w kółko to samo pod różnym kierownictwem – bardziej lub mniej udolnym... Myślę, że trudno byłoby o tak wspaniałą dyscyplinę w nieśląskiej orkiestrze.

Propozycja udziału w Konkursie była dla mnie bardzo ważna, wręcz symboliczna: zamknął się pewien krąg: 1946 roku zdałem do Podstawowej Eksperymentalnej Szkoły Muzycznej w Katowicach, która mieściła się przy ul. Szafranka. Wówczas miałem przyjaciela, Zdzicha Przystasia, którego ojciec był koncertmistrzem altówek w WOSPR. W tym czasie w WOSPR nastąpił Fitelberg. Przez „znajomości” Zdzicha mieliśmy wejście do sali przy ulicy Ligonii, gdzie Orkiestra odbywała próby. Chowaliśmy się za rząd zielonych foteli i obserwowaliśmy, jak Fitelberg prowadzi próby. Gdy poszedłem do liceum, miałem okazję zaśpiewać w chórze pod batutą Fitelberga – socrealistyczną kantatę Prokofiewa o Stalinie *Zdrowica* – bardzo piękna muzyka, przecież to Prokofiew, tylko tekst był taki „na chwałę”...

Chodziłem oczywiście na wszystkie koncerty Ficia – to była dla nas legendarna postać, nie wyobrażaliśmy sobie, by można go normalnie dotknąć. A potem było ostatnie spo-

tkanie, kiedy wóz wiozący trumnę ze zwłokami artysty wieziono obok stopni Sejmu Śląskiego, a my licealiści śpiewaliśmy, tam ustawieni, fragmenty z *Requiem* Mozarta. Potem szliśmy za trumną pod teatr, z którego otwartych okien rozbrzmiewała *Aria na strunie* g Bacha w instrumentacji Fitelberga, grana przez WOSPR. Mówię o tym dlatego, że to były bardzo osobiste, głębokie przeżycia. I co ciekawe, po latach, otrzymuję telefon. Dzwoni Stenia Woytowicz, że ktoś z rodziny żony Fitelberga prosi, bym odebrał pamiątkę po nim. Otrzymałem złotą plakietkę z napisem: „ORKIESTRA KS. WŁ. LUBOMIRSKIEGO ZNAKOMITEMU DYREKTOROWI Grzegorzowi Fitelbergowi W DNIU JEGO BENEFISU WARSZAWA 16/IV 1910”. Noszę ją zawsze przy fraku. A potem niespodziewanie przyszło zaproszenie na Konkurs imienia Fitelberga – koło się zamknęło... Przyjąłem propozycję na następny Konkurs, bo uważam, że to bardzo cenna i ciekawa impreza.

– Wśród swoich rozlicznych zajęć (części z nich nawet nie zdążyłam wymienić, na przykład pracy pedagogicznej we wrocławskiej Akademii Muzycznej) znajduje Pan czas na hobby – gromadzenie historycznych batut. Gdyby miał Pan wybrać jedną z nich, aby nią zadyrygować najważniejszy koncert w życiu, na którą padłby wybór?

– Przede wszystkim trzeba powiedzieć jedną rzecz: część tych batut to batuty użytkowe, pozostałe stanowiły podarki, często luksusowe, ale nie nadające się do praktycznego użytku. Mój zbiór mówi dużo o historii dyrygowania. Batuty XIX-wieczne – ciężkie i masywne, nie nadawały się do niczego innego, jak tylko wybijania taktu. Również tym z początku XX wieku daleko było do dzisiejszych lekkich, precyzyjnych narzędzi sztuki dyrygenckiej. Kiedy Roman Polański zaprosił mnie do zagrania epizodu w filmie *Pianista* (występuję tam jako dyrygent, towarzysząc bohaterowi w jego koncertach w Filharmonii Narodowej), zaproponowałem, że użyję jednej z moich historycznych batut – najskromniejszej, najporęczniejszej, czarnej hebanowej. Widziałem zaraz po wojnie dyrygenta, który za pomocą takiej właśnie batuty prowadził chór w Hali Mirowskiej. I to jest odpowiedź na Pani pytanie, chociaż powinienem powiedzieć, że wybrałbym po prostu taką batutę, którą da się jeszcze dyrygować – większość się do tego już dziś nie nadaje.

– Bardzo dziękuję za rozmowę.

Kresowiacy i wypędzeni

Woczech mężczyzn - twardych chłopów - szklili się łzy, kiedy siostra Teresa pracująca w Samborze opowiadała o przystępujących do pierwszej komunii dzieciach. Do kościoła przywoziła je z okolicznych wiosek furmanką. Kiedy żartem zapytała jedną z dziewczynek, co chciałaby dostać w pierwszokomunijnym prezencie - ta odpowiedziała: Bochenek chleba. W tym roku wszystkie dzieci przystępujące do stołu Chleba Życia otrzymały więc w prezencie po pięć bochenków chleba z pobliskiej piekarni.

W lipcu odbył się dwudniowy, jubileuszowy, dziesiąty Światowy Zjazd Kresowian. Jego termin od lat jest stały - w pierwszą niedzielę lipca ekspatrianci z polskich Ziemi Utraconych oraz ich potomkowie spotykają się na Jasnej Górze, gdzie o godz. 9.30 odprowadzają ich intencje msza święta. To część religijna zjazdu, świecką dzień wcześniej zorganizowano w Bytomiu (po raz pierwszy w tym mieście), gdzie w sali sesyjnej Rady Miejskiej zebrał się przedstawiciel 44 organizacji z kraju i zza granicy, skupionych w Światowym Kongresie Kresowian, będącym głównym organizatorem zjazdu. W tym roku na Jasnej Górze kresowiacy mogli wysłuchać kazania księdza Tadeusza Patera. Nie należy się dziwić osobistemu tonowi tej homilii, gdyż kapłan ten w dzieciństwie był świadkiem gehenny, jaką urządzili Polakom ukraińscy nacjonaliści spod znaku OUN/UPA. - *Trzeba wybaczyć, ale nie można zapomnieć* - tak brzmiało główne przesłanie kazania. To ważne, zwłaszcza w czasie, gdy największe media w Polsce na czele z „Gazetą Wyborczą” przyjmują niepolityczny punkt patrzenia na tę bolesną część naszej historii, negując fakt dopuszczenia się przez UPA na Wołyniu i Podolu zbrodni ludobójstwa. Zebrani mogli wysłuchać również wykładu profesora Henryka Strońskiego z Tarnopola, który mówił o dzisiejszej sytuacji naszych rodaków na Kresach oraz relacji siostry Teresy pracującej w Samborze, gdzie spotyka się z ogromem nędzy. To ostatnie wystąpienie już przyniosło wymierny skutek - do prowadzonej przez siostrę placówki pojechał transport darów, których sponsorem była firma Voight z Zabrzeża-Helenki.

Wśród organizacji obecnych na Światowym Zjeździe Kresowian (jest ich prawie 50, gdyż na przykład Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich posiadają osobowość prawną i każde z nich oddzielnie przystępuje do Światowego Kongresu Kresowian) po raz pierwszy znalazł się Związek Wypędzonych z Kresów Wschodnich RP. Stowarzyszenie to powstało we wrześniu ubiegłego roku w Bytomiu, jego liderem jest Jan Skalski - wcześniej m.in. współtwórca Polskiego Stronnictwa Kresowego, czyli działającej w latach 1994-2003 partii po-



Zjazdu w Bytomiu. Przemawia Jan Skalski - lider Światowego Kongresu Kresowian.

litycznej, ostatecznie rozwiązanej, bo wiadomo, że gdzie dwóch kresowiaków tam trzy frakcje, więc stronnictwo największej energii traciło chyba na wewnętrzne spory.

Nie da się ukryć, że nazwa Związek Wypędzonych nawet z dopowiedzeniem - z Kresów Wschodnich RP kojarzy się z niemiecką organizacją pod wodzą Erika Steinbacha. Skalski pytanie o tę zbieżność wykorzystuje jako możliwość przedstawienia credo swojej organizacji: - *Niemcy nie są wypędzonymi. Wysiedlonymi - tak, ale nie wypędzonymi. Porównywanie naszej sytuacji z Niemcami jest niemoralne*. Skalski przekonuje, że kresowiacy zostali ze swych ziem wypędzeni pod groźbą utraty życia, często w pożdzie, natomiast Niemcy w dużej części byli ewakuowani przez własne państwo przed nadejściem sowieckiego frontu. Pozostali - zostali wysiedleni na mocy postanowień zgodnych z prawem międzynarodowym, których legalności nie sposób podważać. Dalsze poglądy Jana Skalskiego można uznać za dość skrajne: - *Wysiedlenie Niemców było słuszne, bo historia dowodzi, że mniejszość narodowa zawsze stanowi punkt zapalny. Tylko Polacy w swojej naiwności dali możliwość zostania tym, którzy zadeklarują, że są Polakami i w jakiś sposób to udowodnią. Daliśmy im polskie obywatelstwo. Tymczasem trzeba było wysiedlić wszystkich, bez żadnych wyjątków, jak zrobili to Czesi czy Węgrzy. Wtedy uniknielibyśmy dzisiejszych kłopotów*.

Te dzisiejsze „kłopoty” symbolizuje m.in. sprawa próby odzyskania przez spadkobierców dawnych właścicieli kamienicy w Prudniku. W tej sprawie przed sądem kancelaria prawna Skalskiego reprezentuje polską stronę. - *Powiat prudnicki w 80 procentach zamieszkuje dawni mieszkańcy Kresów lub ich potomkowie. A władza powiatowa jest tam w stu procentach niemiecka*

- konstatuje Skalski. A wypędzeni z Kresów Wschodnich RP? - *Ani słowem nie wspominamy o rewindykacji ziem. Jesteśmy ofiarami wojny i wiemy co znaczy próba takich rewindykacji* - deklaruje Skalski. Ale zaraz dodaje: - *Ziemie wschodnie RP znalazły się na terenach innych państw bezprawnie i nie zostało to potwierdzone żadnym aktem prawa międzynarodowego. W jego świetle pod względem granic ciągle obowiązuje traktat ryski. W podobny sposób jak Polska Kresy Japonia straciła Wyspy Kurylskie. Rząd Japonii do dzisiaj konsekwentnie podkreśla nielegalność tego faktu, żądając ich zwrotu. Rząd niepodległej Rzeczypospolitej milczy*.

Religijne uroczystości zjazdu w Częstochowie różniły się od części świeckiej w Bytomiu, gdzie więcej było retoryki „polskich wypędzonych”. Czy kresowiacy zdają sobie sprawę, że z tak sformułowanymi poglądami mają niewielkie szanse na przebicie się ze swoimi racjami? Czy mają świadomość, że najprawdopodobniej Związek Wypędzonych z Kresów Wschodnich RP pozostanie organizacją marginalną, podobnie jak wcześniej Polskie Stronnictwo Kresowe? Jan Skalski twierdzi, że nie. Wypędzeni z dawnych Kresów Wschodnich deklarują chęć obrony obecnych Kresów Zachodnich przed zakusami niemieckimi. - *Dostaliśmy od Pana Boga 5 minut i je wykorzystamy* - zapowiada Jan Skalski. Chociaż szansę na „5 minut” upatruje chyba w politycznym flircie z Samoobroną. Już w ostatnich wyborach samorządowych środowisko związane ze Skalskim związało się z partią Leppera, co zresztą podzieliło po raz kolejny bytomskich kresowiaków. Sam Skalski pytanie o Samoobronę kwituje krótkim stwierdzeniem: - *To był nasz krzyk rozpaczy*.

MARCIN HAŁAŚ

Foto: Wojciech Łysko

Dzieci

JAN PAWEŁ
KRASNODĘBSKI



Grafika: Wojtek Łuka

Na początku tej banalnej opowieści muszę wspomnieć o dziadku Tomaszu, herbu Lubicz, którym zawsze straszono mnie we wczesnym dzieciństwie. Bo mój dziadek Tomasz herbu Lubicz był strasznym człowiekiem. Bez względu na wiek i nosząc w ręce bambusowy kij służący do smagania grzecznych i niegrzecznych dzieci. A wszystkie dzieci były niegrzeczne. Dziadek Tomasz miał ich dziewięć. Był więc bardzo zajęty do czasu, aż jego żona, moja babcia, herbu Ujazdowska spakowała wszystkie pociechy do koszyka albo do worka, i wyjechała przed siebie. Dziadek Tomasz został sam. Palił cygara i zajmował się interesami. Interesy dziadka szły znakomicie, w pół roku stracił wszystkie kamienie, potem pałacyki, później pola i stawy. Umarł samotnie w małym pokoiku. Babcia z dziećmi zamieszkała w młynie w małej wsi. Była wojna. Mój kochany ojciec chodził po mleko i nabiał do gospodarzy i tam kiedyś zapatrzył się na długie chwile w oczy córki gospodarzy. Później chodził po mleko ze zrywami po drodze kwiatami polnymi, a potem ja się urodziłem nie wiem w jaki sposób. Podobno bardzo nie chciałem się urodzić, ale potem tłumaczono mi, że to bocian mnie przyniósł. Przeklinałem tego bociana. Kiedyś mój ojciec usiłował moje przekleństwa zdławić bambusowym kijem. A potem bez przerwy mi powtarzało, że jestem taki sam jak dziadek Tomasz, czyli ostatnia kanalia herbu Lubicz. Potem słyszałem jeszcze, że skończę tak samo jak on. I ja pragnąłem tak skończyć, ale nie miałem kamienia do sprzedania ukochanym Żydom, żadnych pastwisk, ani stawów. Musiałem się poddać i tylko gorąco i wrzaskliwie, z całej duszy, modliłem się za dziadka Tomasza. A wtedy na mnie krzyczano, że jestem antychryst, bo dziadek w piekło się poniewiera, a ja miałem modlić się do Pana Boga w niebie. Wiedziałem z ksiązek, że niektóre dzieci wypasają krowy i bardzo im zazdrościłem. Nie pozwalało mi zbliżyć się do żadnej krowy. Kazano mi iść do szkoły. To było piekło i modliłem się, już cichutko, pamiętając o bambusie herbu Lubicz, żeby to piekło jeden wielki boski szlag trafił.

Radziłem sobie jak mogłem, lecz ciągle o odstające uszy obijały mi się te słowa, że skończę jak dziadek herbu Lubicz. Moje uszy odstawały, bo ciągle kochany tatuś szarpał mnie za nie. Mama była bardzo dostojna i udawała, że niczego nie dostrzega.

Wlokłem się przez te szkolne lata samotny jak pies i milczący. Najpierw przezywano mnie tyką, byłem wysoki, chyba dlatego, potem wołano za mną zdżirus, ojciec ustawiał ludziom zegary i sporo zarabiał na tym rzemiośle. Chodziłem bardzo biednie ubrany, tatuś był oszczędny i bał się izby skarbowej i domiaru - gdy widziano takie dziecko w łatach spodniach i przeżartych przez dziury butach, zawsze miał alibi, mógł mnie wystawić w klatce na zebraniu rzemieślników jako przykład ich nędznej doli w czasach, które nie były wesołe. Nie przeszkadzało mi to, że mnie wyzywano, milczałem. Lecz któregoś dnia przestałem milczeć, choć miałem wrażenie, że to nie ja mówię, tylko coś głęboko schowanego we mnie, pewnie dziadek Tomasz.

- He, he, milczy jak hrabia! - usłyszałem szydercze śmiechy.

- Tak. Jestem hrabią! - odparłem dumnie.

Do klasy wchodził nauczyciel od historii, gruby i czerwony.

- He, he! Co psy obrabia!

- Otworzyć zeszyty. Państwo radzieckie... - mówił pan profesor.

Nie otworzyłem zeszytu na radzieckim państwie.

- Tak! Jestem hrabią!! - wrzasnąłem.

Słyszałem chichoty. I wtedy to się stało. Chwyciłem pierwszego z brzegu kolegę, podniosłem w górę i rzuciłem nim w nauczycielskie biurko. Państwo radzieckie rozsypało się w drzazgi. Wybiegłem z klasy i darłem się na korytarzu.

- Herbu Lubicz!! Herbu Lubicz!!

Ktoś mnie związał. Chyba na długo straciłem świadomość. Gdy ją odzyskałem ujrzałem tatusa z bambusową trzcinką i mamusię z dyskretnie zaciśniętymi ustami.

- Zaczyna się! Zaczyna się! Mówiłem, skończy jak dziadek!! - słyszałem.

Potem bambusowy kij złamał się na moim tyłku.

* * *

Po tym dramacie z kijem, tatuś gwałtownie zaczął siwieć. Sprawiał wrażenie, jakby coś w nim pękło. Jak sprężynka od zegarka. Było mi go żal. Powiedziałem wytwornej mamusi, że ojciec bardzo się garbi. Spojrzała na mnie przenikliwie.

- Siadaj!! - rozkazała.
 - Już siedzę - odparłem.
 - Powody są trzy! Ty! - wyciągnęła wskazujący palec w górę.
 - Ja?
 - Właśnie ty! - machała palcem.
 - Zmienię się - bąknąłem.
 - Ojciec ma już swoje lata - wyciągnęła drugi palec.
 - Rozumiem.
 - I ma kochankę! - pokazała całą dłoń.
 - Tak... - wyszeptąłem.
 - Skończyłam. Możesz już wstać i wyjść.
 Wyszedłem z pokoju nazywanego salonem. Zamknąłem się w swojej dziupli i zacząłem czytać „Nienasycenie” Witkacego. Czytałem do rana. Dobrze mi było w tej dziwacznie i groźnie opisywanej krainie. Wyszedłem do budy lecz wstąpiłem do kościoła, by się pomodlić. Zasnąłem przytulony do kaloryfera i to były moje pierwsze wagary.

* * *

- Lubicz! Do tablicy! Natychmiast!
 - Bogusław hrabia Lubicz! Natychmiast!
 - Lubicz, ofermo!! Biegłem marsz!!
 - Padnij!
 - Powstań!
 - W lewo! W prawo! Padnij! Powstań! Do tablicy!
 - Bierz gąbkę, Lubicz! Szybko! Wytrzyj deskę i napisz: dupa!
 - Nie tak, Lubicz! Dużymi literami: dupa.
 - Ale lamaga!! Na całą tablicę: dupa. To ma być bardzo duża dupa.
 - Ależ głupi hrabia, głupie psy obrabia! Padnij!
 - Powstań!
 - Wsadź w gębę gąbkę i mordą wyczyść tablicę! No, już!!
 - Dokładniej, Lubicz, dokładniej! I nie śliń się!
 - W tył zwrot!
 - Salutuj, ofermo!
 - Padnij! Do tablicy! O, nie tak, ty matole niekumaty, czołgać się do tablicy!! Ale już!!
 - Bacność!
 - Czacha w górę!
 - Czacha w dół!
 - Spocznij, Lubicz!
 - Padnij! Pompki! Dziesięć, dwadzieścia! Tylek prosty! Sto pompek!
 - Przysiady! Dwieście!!
 - Ruszać się, ruszać!! Co się dzieje, hrabia?!
 - Powstań!
 - Kreda w pysk! Szybko!!
 - Tą kredą w pysku napiszesz: cipa!
 - Równo pisać!
 - Jeszcze równiej, panie hrabio!
 - Zjeść kredę!! No, już!!
 - Salutuj!
 - Padnij!
 - Powstań!
 - Podziękować kolegom oficerom!
 - Do wyjścia biegnij marsz!
 - Padnij!
 - Leżeć! Twoja godzina właśnie wybiła! Hrabia Lubicz zdycha! Ale jaja!!

Prześladowały mnie takie sny. Budziłem się mokry. Niekiedy nawet okazywało się, że wszystko było mokre, bo siusiałem przez sen. Udałem chorobę i pocierałem termometr, żeby mieć 38 z kreskami. Chciałem, żeby pościel się wysuszyła. Raz tak chorowałem trzy dni, bo nic nie dawało się wysuszyć. Wszystko śmierdziało moczem. Mój termometr wskazywał 39,4. Ujrzałem posiwiatego ojca z jakimś kijem. Zerwałem się i w samych majteczkach wyskoczyłem przez okno. Oprzytomniałem, gdy zderzyłem się z wielką brzozą.

- Oszukujesz nas - mówiła mamusia. - Tatus ma kłopoty, a ty nas dodatkowo rujnujesz. Skończysz jak dziadek. Brzuch zapadnięty, pęcherz chory, cera blada, ty masz krzywicę, synku. Tak. I rośniesz, tylko rośniesz, to nienormalne,

choroba się zaczęła w twojej głowie. Do psychiatry! Musisz mieć zbadany mózg!

- Padnij! - powiedziałem.
 I padłem.
 - Powstań!
 Wstałem.
 - Do psychiatry marsz! - ruszyłem przed siebie.
 - Porozmawiam z ojcem - powiedziała blada mama. - Skończysz jak dziadek.
 - W dupie murzyna! - coś powiedziało za mnie.
 - Panie Boże...
 Potem znowu tylek bolał mnie przez kilka dni.
 I ciężko siedziało mi się w szkole.

* * *

Nie ma chyba niczego gorszego na tym świecie niż być jedenastoletnim człowieczkiem, zdanym tylko na siebie, bez żadnych możliwości przekroczenia tego zakłętego kręgu niemocy, bez możliwości posiadania dowodu, czy paszportu, który pozwalałby minąć granicę i osiąść wśród Eskimosów. Często z wielką sympatią myślałem o Eskimosach, ich cichym, spokojnym, mroźnym życiu... Człowiek powinien urodzić się od razu dorosłym, z możliwością decydowania o sobie, bez konieczności czołgania się przez kilkanaście lat, dopóki prawnie nie będzie się odpowiedzialnym za siebie. Ja prawnie należałem do rodziców, do ojca zegarmistrza i coraz bardziej kradłem mamusi. To przekleństwo być dzieckiem! Ale rozumiałem te żelazne reguły rządzące światem, na które nic nie można było poradzić. Lecz wiedziałem też, że nie byłem z pewnością jedynym, którego dręczył ten problem. W tym właśnie momencie, w tej samej chwili ktoś przeżywa podobny atak bezsensowności własnego wieku i ten wstyd za siebie, za Pana Boga i za cały świat.

Pragnąłem być wolny! Wolałbym chodzić codziennie do kościoła i rozmyślać sobie lub modlić się, albo drzemać przy ciepłym kaloryferze, lecz była szkoła i musiałem właśnie do niej chodzić, bo gdybym tego nie robił, to wina spadłaby na moich starych i na kij starego, który zdobył po złamaniu bambusa. To był jakiś mocny kij, prawie drag... Nie wiedziałem jak jest w innych rodzinach, wśród innych jedenastolatków, byłem samotnikiem, gdy było mi smutno, tęskniłem do babci... Pamiętałem te dzieci, które wypasały krowy i przez cały czas mogły obserwować przyrodę. A ja musiałem wstać rano, ubierać się pospiesznie i słyszeć szyderczy głos mamusi, jeśli przypadkiem lewy but założyłem na prawą nogę. A potem w szkole nic specjalnie mnie nie interesowało, były nudy na pudy, wydawało mi się zresztą, że ja wszystko już umiem, a siedzenie w murach było tylko stratą czasu. A moja klasa była jakaś obca i bałem się, tak bardzo się bałem, że aż w nocy prześladowały mnie okropne sny. Wszyscy starali się mi dokuczyć, a ja nie mogłem zmienić nazwiska, czy imienia, którego też nie znosiłem, na przykład zostać Tomaszem, skoro tak miał na imię mój dziadek, w którego podobno nieszczęśliwie się wrodziłem. Każdy zamknąłby przede mną drzwi. Niewiele starsi ode mnie ludzie mówili do mnie jak do gówniarza, per: ty, a ja musiałem odpowiadać im per: pan. Jakież to było niesprawiedliwe!

Leżałem w wannie i rozmyślałem o tym swoim nieudanym życiu. Ucieczka niczego by mi nie dała, złapano by mnie zanim dotarłbym do Eskimosów, może nawet wtrącono by mnie do jakiegoś poprawczaka... Mama mówiła o psychiatrze, bo byłem taki długi, więc nie mogłem jej powiedzieć, że nie, że to może ona a nie ja powinna iść do lekarza, nie miałem prawa głosu. Ojciec mieszał już chyba te swoje zegarki z kochankami, nie wiem ile w tym było prawdy, ale był bardzo zmieniony i wydawał mi się szalony, gdy ostatnio mnie zbił, miałem wrażenie, że chciał mnie zabić... pozbyć się mnie raz na zawsze. Nie miałem nawet, żadnej drobnej a ważnej zabawki, fetysza, który chronił by mnie, albo dawał jakąś siłę... Nie byłem złym uczniem, ale nie zależało mi, aby być lepszym uczniem. Nie odpowiadała mi szkoła, nie odpowiadał mi dom, nie odpowiadało mi życie. Kiedyś przyniosłem małego kotka, aby nie być tak bardzo samotnym, ale nie udało mi się go ukryć dłużej niż dwa dni. I oberwało mi się oczywiście.



Grafika: Wojtek Łuka

Wyszedłem z głupiej wanny i prosto-
wałem się powoli. Na szczęście moja
głowa nie sięgnęła sufitu.

Pierwsze promienie wiosennego
słońca ogrzewały moje wychudzone
ciało. Oparty o wielkie drzewo wsłuchi-
wałem się w śpiew ptaków. Postanowi-
łem działać! To była już najwyższa po-
ra. Dostyc miałem ubliżania w klasie
i chciałem pokazać, że też jestem coś
wart i trzeba się ze mną liczyć. Musia-
łem pokazać rówieśnikom, że nie je-
stem żadną hrabiowską oferumą, tylko -
podobnie jak oni - zdolnym zabijaką.
Pomyśl był prosty, trzeba było mieć po-
tężną śliwę zamiast oka i potłuczone
dłonie. Już widziałem zdumienie tych
koleżków! Ich podziw dla mojej nowej
osobowości. Świat był brutalny i trzeba
było wyciągnąć do niego rękę.

Oddychałem spokojnie i wyobrazi-
łem sobie wroga, który znienacka mnie
dopada. Mocno zacisnąłem pięść, krę-
ciłem nią, aby nabrała jeszcze większej
siły, pomyślałem, że ja to wcale nie ja,
odpowiednio nastawiłem twarz i huk-
nąłem pięścią w prawe oko. Rany! za-
mroczyło mnie. Dzielnie powtórzyłem
cios. Trafiłem nieco niżej, w kość po-
liczkową. Zmobilizowałem się jeszcze
raz i wałnąłem z całej siły. To było na-
prawdę ekstra uderzenie! Aż świat za-
wirował.

Z trudem podniosłem się spod drze-
wa. Trochę kręciło mi się w głowie. Ale
byłem z siebie zadowolony. Jeszcze raz

uderzyłem się, ale przyznaję, że nie był to dobry cios.

Objąłem to wielkie, kochane drzewo.

- Nie bój się - powiedziałem. - To nie będzie bolało!

Prawą pięścią zacząłem uderzać w konar. Raz, dwa, trzy,
dziesięć! Ręka bolała mnie jak diabli. Zadałem jeszcze parę
ciosów. Spojrzałem na swoją pokrwawioną łapę. Nieźle - po-
myślałem.

Ukląknę, objąłem drzewo i pocałowałem je.

- Przepraszam - powiedziałem. - Musiałem to zrobić.
Dziękuję, że mi pomogłeś. Dziękuję, że mnie rozumiesz. Je-
steś wiecznością!

Podniosłem się i zacząłem biec przed siebie. Słońce zacho-
dziło i dawało różne odbłaski w tym lesie. Byłem bardzo
zdyszany. Plątałem się pośród różnych chaszczy. Już wybie-
gałem na polną drogę, gdy potknąłem się, albo ktoś podsta-
wił mi nogę, i runąłem uderzając twarzą o porzucony
w dziwnym miejscu wielki kamień.

- Lubicz! Bacność! Spoczni! Biegłem marsz - usłyszałem.

Obudziłem się po dwóch dniach w szpitalu. Miałem wra-
żenie, że jestem bardzo mały. Wokoło było białe i przyjem-
nie. Byłem po obserwacji lekarskiej i mogłem wracać do do-
mu. Myślałem o tym, szpital jest przyjemniejszym miejscem
niż szkoła. Ale rzeczywistość była brutalna i ojciec zabrał
mnie do domu. Szliśmy główną ulicą miasta i znowu wyda-
wało mi się, że straszliwie urosłem. Przerastałem ukochane-
go tatusia prawie o głowę. Powiedziałem mu, że zasłałem
i mimo męczących przesłuchań niczego więcej się nie do-
wiedział.

Głowę miałem zabandażowaną, a prawe oko nieźle opuch-
nięte. Prawa pięść była poharatana. Wkroczyłem do klasy
i wszyscy wywalili na mnie gąły.

- Ślawek wojownik Lubicz! - wołano. - Ale wpierdol...

- Nie chciałem być w ich skórze - powiedziałem.

- Opowiadaj!

Woda była już zupełnie zimna, musiałem bardzo się zamy-
ślić. Dolewałem gorącą. Chciałem się wygrzać.

Rzeczywiście, byłem taki długi, że nie mieściłem się
w wannie. Miałem wrażenie, że to przez ostatnie minuty
gwałtownie urosłem. Być może, że sięgnę tą swoją głupią
czaszka sufitu, gdy będę chciał wyjść z łazienki.

I nie było absolutnie nikogo z kim mógłbym podzielić się
swoimi obawami czy problemami. Dlaczego nie miałem sio-
stry, albo brata? Nie mogłem o tym porozmawiać z matką al-
bo ojcem. Płakać mi się chciało, gdy wyobrażałem sobie tak
ką rozmowę.

Pocieszenia mogłem szukać wśród fikcyjnych postaci, bo-
haterów książek, które były dla mnie niesłychanie ważne.
Przypomnił mi się Holden Caulfield z książki „Buszujący
w zbożu”. To był wspaniały dragal! Przeliczając cale na cen-
tymetry wychodziło, że był prawie głowę wyższy ode mnie.
Ale Holden miał szesnaście lat, mogłem go jeszcze przerósć.
Nie, nigdy w życiu! Ale Holden umiał sobie jakoś radzić
w świecie, który także niezbyt mu odpowiadał. Chciałbym
mieć takiego brata, albo kuzyna. O wszystkim można by
z nim porozmawiać. O samotności w tym wielkim domu,
gdzie w pokoju zwanym salonem kobieta układa fałszywe
pasjansy i ćwiczy etudy przy głupim fortepianie, a w drugim
dużym pokoju mężczyzna dłubie w zegarkach albo pisze li-
sty do kochanek... Gówno mnie to zresztą obchodziło! Mia-
łem własne życie i wiedziałem, że muszę uczyć się jakoś je
rozwiązywać. Ale jak ma to uczynić taki jedenastoletni
brzdąc, wyrosnięty i wychudzony, z zapadniętą klatką pier-
sioną, chory na krzywicę, chory na wszystko... Na dziadka
Tomasza też bardzo chory.

Parzył mnie wrzątek. Zakręciłem kurek.

- Co ty tam tak długo robisz?! - usłyszałem.

- Kąpię się.

- Naucz się oszczędzać na wodzie! - dobiegł mnie głos oj-
ca i jego człapanie w głąb mieszkania.

- To oszczędzaj! - powiedziałem wiedząc, że mnie nie
usłyszysz.

- Nie ma co mówić - lekceważąco machnąłem ręką. - Było, minęło.
 - Opowiadaj. Lubicz!
 - Ech... Chyba było ich z pięciu... Może sześciu, nie pamiętam...
 - Ale nieźle ci dawał! Ten łeb rozbity i piękna śliwa pod okiem. Czyli biłeś się! Opowiadaj, Boguś!
 - Musiało przyjechać pogotowie, chyba dwóch albo trzech zabrali. Walczyłem dopóki mogłem - wyciągnąłem przed siebie pięść. Łapa boli... - powiedziałem.
 - Uh, nieźle! - usłyszałem. - A gdzie to było, Lubicz!?
 - Koło torów. Z nasypów zbiegli. Z kijami. A ja nic. Chcieli pieniędzy. A ja nic. Oni do mnie. A ja unik. I w czachę! Potem znowu. Drugiego. Zaskoczenie zupełne. Walilem jak tylko mogłem. Popadali jak muchy - głaskałem rękę.
 - To świetnie się spisałeś! Kto by przypuszczał...
 - Wiesz, sam nie wiedziałem, że mam tyle siły. Jak trzeba walczyć, to się walczy, no nie?
 - Dobry jesteś! No, no...
 - Wykończyłbym wszystkich, ale ktoś mnie walnął kijem w łeb - złapałem się za głowę.
 - To nie fair, chamskie!
 - Właśnie.
 - Ale dobry jesteś, Lubicz!
 - Też tak myślę. Więc od dzisiaj mów mi, fujaro, po imieniu! Rozumiesz! Mogę przywalić!
 - Przyhamuj, przyhamuj, spokojnie! Czyli od dzisiaj nie jesteś hrabią Lubicz? Dobra, niech będzie, Boguś! - klepano mnie po ramieniu.
 - Uważaj! Tam też mnie jeszcze boli - powiedziałem nie-dbale.
 - Co to za zgromadzenie!! - huknął dyro, który miał z nami matkę. - Lubicz! Co ty!? Proszę iść z tą głową do higienistki, a reszta siadać!
 - Tak jest, panie dyrektorze - wolno wyszedłem z klasy.
 - Lubicz! Zaświadczenie ma być, że głowa się nadaje... - dotarło do mnie.

* * *

Gabinet lekarsko-higieniczny wyobrażałem sobie jako coś mrocznego, bardzo groźnego, jak sala tortur. Posuwałem się w jego kierunku na ugiętych nogach. Pomyślałem, że mógłbym się gdzieś ukryć, w toalecie, albo iść na spacer, albo w ogóle uciec gdzie pieprz rośnie... Ale na dobrą sprawę nie miałem gdzie uciekać. Postanowiłem więc zmierzyć się z rzeczywistością, nawet jeśli miała by być zabójcza dla mnie. Zapukałem do tych okropnych drzwi.

- Wejść! - usłyszałem głos, który zabrzmiał nawet dość przyjaźnie.
 - Wchodzę - powiedziałem, otworzyłem te wrota i potknąłem się, runąłbym jak długi.
 - Uważaj, dzieciaku! - bardzo przyjemnie pachniało w tej sali tortur.
 - Przepraszam... - bąknąłem.
 - Nóżki nie skrzyłeś? Popatrz ty na mnie! - ktoś podniósł mi opuszczoną głowę do góry.
 - Ujrzałem młodą panią, której przenikliwe czarne oczy wwiercały się we mnie.
 - Pan dyrektor... - wyszeptalem.
 - Usiądź spokojnie i niczego się nie bój. Ja kocham swoją pracę. Ładnie jesteś porozbijany! Prawdziwy wojownik! - dziewczyna zapaliła papierosa. - A ty palisz, wojowniku? - podsunęła mi paczkę. - Duży chłopczyk, może już mężczyzna. - Opadłem na fotel.
 - Dziękuję, nie palę - unikałem jej spojrzenia. - Przysłał mnie pan dyrektor, żeby pani stwierdziła...
 - Jestem Monika. A ty jak masz na imię?
 - Bogusław. Bogusław Lubicz. Lat jedenaście. Pan dyrektor bał się o moją głowę - dotknąłem bandażu. - Tak myślę...
 - Aha - usiadła naprzeciwko i założyła nogę na nogę.
 - Miała krótką spódniczkę, wydawało mi się, że widzę jej majtki. Uparcie patrzyłem na brudne szyby gabinetu.
 - Podobam ci się? - usłyszałem.
 - Tak. Jest pani bardzo piękna - odparłem i cały spurpurowiałem.

- A ty masz piękne imię - powiedziała i jej oczy zrobiły się jeszcze większe. - Bo-gu-sław. Bogu sława. Przepięknie to brzmi. Sławisz Boga, tak. Będziesz w niebie, na pewno. Chciałbyś być w niebie, prawda?
 - Nie wiem, proszę pani.
 - Możesz mówić do mnie Monika. Albo Nika. Monia, jak chcesz. Niekiedy w niebie jest nudno, Sławku - wstała.
 - Zbada mnie pani... pani Moniko?...
 - Ależ tak! Cały czas to robię - zaśmiała się. - Chcesz śliwkę? Albo jabłuszko?
 - Nie, nie, serdecznie dziękuję. Wie pani...
 - Mów, proszę - jadła jabłko i widziałem jej piękne białe zęby. - Bałem się tu przyjść...
 - Rozumiem.
 - A teraz tak się cieszę, że tu jestem, pani Moniko.
 - Rozumiem - odłożyła jabłko na stolik, otarła usta. - Chodź do mnie, szybko! - patrzyła groźnie.
 - Wstałem z fotela i podszedłem.
 - Głowa... - zastanowiła się - Dobra głowa, bandaż czysty. Rękę opatrzę i no pooglądam cię dokładniej.
 - Tak jest. Dziękuję - powiedziałem.
 - Wiesz, Bogusławku, ja tylko dzisiaj mam tutaj praktykę, kończę szkołę pielęgniarstwa. Rozbieraj się!
 - Proszę?...
 - No, muszę cię obejrzeć, zobaczyć, taki cherubinek, muszę cię zbadać, dziecko - zaśmiała się. - A ty niczego się nie bój - położyła palec na ustach. Wyciągnęła z szafki lekarskie rękawiczki i powoli wciągała je na dłonie.
 - Ma pani takie piękne ręce - wyrwało się ze mnie.
 - Naprawdę?
 - Te pierścionki... paznokcie takie czerwone jak...
 - Ej, Sławku! Masz milczeć! Ani słowa. wyobrażaj sobie, że jesteś już w niebie, chmurki, pagórki, anielice... Milczeć! A ja cię rozbiorę!
 - Ale...
 - Milczeć!! - krzyknęła.
 - Tak jest...

Wyobrażałem więc sobie chmurki i aniołki, pagórki i doliny, słońce i księżyc i tabuny gwiazd... Nie wiem, co się w tym niebie działo, czułem jak pani Monika mnie rozbiera i gładzi moje ciało, potem w tym niebie zrobiło się jakoś inaczej, bo poczułem jak ściaga moje majteczki...

- Chodź, ptaszku, chodź do mnie złocisty ptaszku... - mówiła. Działo się ze mną coś niezwykłego. Czułem, że robię się w środku jakiś duży, bardzo duży... Trząsłem się cały, miałem dreszcze i gorączkę, patrzyłem w biały sufit i bałem się, że zaraz zleci na mnie i na panią Monikę - higienistkę... chciałem mieć jeszcze większą gorączkę... Nagle poczułem, że coś pęka, wydawało mi się, że coś wycieka z moich uszu, musiałem być ciężko chory... ale to nie była zła choroba... to niebo było piękne...

- Jesteś już mężczyzną! - usłyszałem.
 - Coś się skończyło.
 - Moniko... - wyszeptalem.
 - Ubierz się, Bogusławku. Szybko! Jesteś zupełnie zdrowy i jesteś pięknym mężczyzną - ściągnęła rękawiczki.
 - Proszę pani... - ubierałem się niezdarnie.
 - Idź już sobie.
 - Ale ja...
 - Żadne ja. Natychmiast! Wynoś się!
 - Ale czy ja mógłbym przyjść jutro?...
 - Jestem tylko dzisiaj - zaśmiała się.
 - Chciałbym...

Zatkała mi dłonią usta. Łapczywie całowałem tę jej dłoń, chciałem, żeby to trwało wiecznie.

- Idź już. Jesteś piękny. Kobiety będą cię kochały, cherubinku. A my... tak, spotkamy się, na pewno, w tym niebie, tak, w niebie - wypchnęła mnie za drzwi.

- Monika... - zacząłem płakać. Jednocześnie dopinałem spodnie.

Nie wróciłem do klasy. Trzęsąc się jak galareta wlokłem się w stronę domu. Miałem wrażenie, że właśnie się urodziłem.

(fragment większej całości)

Z filmu na film przybywało widzów w cieszyńskim kinie PIAST, które w ciągu dziesięciu festiwalowych dni pokazało „calego” Kutza bez, i słusznie, „Strasznego snu Dwidziusia Górkiewicza”. Wszystkie pozostałe utwory Kazimierza Kutza przeszły prawdziwą próbę ognia. Dwadzieścia, trzydzieści lat – to dla każdego filmu, nawet okrzykniętego arcydziełem w dniu premiery – wielki szmat czasu. Filmy starzeją się niebezpiecznie szybko. Jak z owego zwarcia z nieubłagany czasem wyszedł Kazimierz Kutz? Myślę, że sam artysta był bardzo ciekaw, jak jego filmy – te dawne i bardzo dawne – przyjmą młodzi widzowie, studenci, którzy na Nowe Horyzonty zjeżdżają do Cieszyna z całej Polski.

Dla mnie (prowadziłem spotkanie z Kazimierzem Kutzem w przepięknym miejscu, które zwie się Cafe Muzeum) była to wyjątkowa okazja do obejrzenia filmów, które znam niemal na pamięć, które, jak „Sól ziemi czarnej”, oglądałem wielokrotnie, o których pisałem, wypowiadałem się w różnych miejscach, w różnej formie w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Ustaliliśmy z Kazimierzem Kutzem, że spośród wszystkich gości Cafe Muzeum, tylko my dwaj byliśmy na katowickiej premierze „Krzyża Walecznych”. Kutz w towarzystwie Cybulskiego – przed ekranem, ja, jako widz, ale we własnym mniemaniu szczególnie, albowiem statystowałem (za 50 zł) w masowej scenie do noweli „Pies”. Działo się to w roku 1958, premiera odbyła się w marcu roku następnego. Przed ekranem drobny, szczupłutki, ruchliwy jak żywe srebro reżyser filmu. Coś powiedział, co rozbawiło widownię kina „Zorza”. Nie ważne co, ważna jest owa umiejętność natychmiastowego trafiania we właściwy ton, tak było również w Cafe Muzeum. Byłem gospodarzem spotkań-rozmów, a jednocześnie obserwowałem reakcje publiczności. Raz jeszcze potwierdziło się, że Kazimierz Kutz jest mistrzem zaczarowywania ludzi. Słuchano go w skupieniu, to znów z rozbawieniem. Podobnie młoda widownia reagowała na filmy. Bo czym były, czym mogą być, czym są dla owej młodej publiczności filmy Kazimierza Kutza? To ujawniło się właśnie w Cieszynie. Są opowieścią o Polsce. Zawsze i niezmiennie, każdy film Kutza opisuje jakiś fragment naszego polskiego losu. Gdy mówi o Śląsku i Ślązakach, jest to także opowieść o Polsce i Polakach,



Foto: Marek Grochowski

Jak ludziom mówi się prawdę...

tyle że z jego własnej, by tak rzec, kutzowskiej perspektywy.

Ktoś słusznie zauważył, że retrospektywa filmów Kazimierza Kutza mogłaby nazywać się jak ów popularny wśród kinomanów kanał prezentujący polskie filmy: KINO POLSKA. Pewne filmy, przed laty zbierające ciągi, jak na przykład „Ktokolwiek wie...”

„Skok”, czy nawet „Tarpany”, uchodzące za najsłabszy film Kutza (najsłabszy film Kutza! Daj Boże innym takie słabe filmy!), po trzydziestu paru latach wydają się czymś więcej niż tylko filmami, to znaczy pewnymi fabułami, mniej czy bardziej interesującymi anegdotami. Kutz, który właściwie w ogóle nie uprawiał dokumentu, z wrażliwością rasowego dokumentalisty zarejestrował klimaty tamtych lat. Sposób bycia Polaków. Ich dzień powszedni, zmaganie się z nudą i beznadzieją peerelowskiego bytowania. Nagłe ucieczki, manifestacje buntu, niezgody. Zwłaszcza ucieczki. Sam Kutz wypowiedział tę myśl w czasie jednego ze spotkań: „Oni wciąż gdzieś uciekają, gdzieś, zagranicę, chcą się wyrwać, najczęściej jednak zostają, ale bunt stale się w nich tli”.

Doskonale odbiór „Skoku” był miłą dla autora niespodzianką. Kutz najwyraźniej lubi ten film, i żał mu tych sekwencji, czy scen, jakie z niego usłużyła władzy cenzura powyrwała. „To poharatany film” – mówi o „Skoku” Kazimierz Kutz. A jednak, mimo wszystko, jest w nim wiele prawdy o polskiej prowincji. W

„Milczeniu”. We wczesnym, wciąż jednym z najbardziej niezwykłych polskich filmów, zwanym przez młodzież filmem kultowym, mówię, naturalnie, o „Nikt nie woła”. Gorące okłaski po projekcji „Nikt nie woła”, świadczą o niezniszczalnej energii artystycznej tego filmu. Kutz, pytany, przyznał, że przeciwko niemu był nawet autor scenariusza Józef Hen (podstawą była jego niewydana wówczas powieść). Młodzi ludzie odnajdują w tym dawnym, polskim filmie język światowego kina. W tym samym czasie Antonioni kręcił swoją „Przygodę”, która pokazana na festiwalu w Cannes, wstrząsnęła światem, w każdym razie światem kina. Polskie arcydzieło trzymane pod kluczem, a Kutzowi cofnięto uprawnień reżyserskich!!!). Może to przypadek, a może i nie, że w tegorocznej edycji Nowych Horyzontów, równoległe z retrospektywą kina Kutza odbywała się retrospektywa kina Antonioniego...

Kutz mówił mniej więcej tak: Myślę, że miałem rację, gdy robiłem kino regionalne, bo to, co dziś w kinie światowym jest najlepsze, jest właśnie regionalne. Myślę, że miałem rację opisując prowincję, bo na prowincji wyraźniej niż w centrum widać to, co wynaturzone, zwyrodniałe, absurdałne, czy po prostu głupie i śmieszne, a także to, co jest rozumne i piękne.

Zaproponowałem w trakcie naszej rozmowy w Cafe Muzeum wyodrębnienie, jak to nazwałem: Kutza środkowego, czyli Kutza średniego. Autor „Upału” chętnie podchwycił tę propozycję, ponieważ, wyznał, właśnie w tych filmach średnich, lepszych, gorszych, (które, czasami, wtrąciłem, mógłby zrobić nawet ktoś inny, niekoniecznie Kazimierz Kutz!), doszedł do pewnej granicy, do krawędzi. To wtedy wykonał wielki zwrot, w istocie ku samemu sobie, ku Śląskowi, i w krótkim czasie w mieszkaniu brata w Tybach napisał scenariusz „Soli ziemi czarnej”.

To wtedy narodził się wielki Kutz.

Człowiek, który od początku, od dnia, gdy pierwszy raz stanął za kamerą, ma przemożną potrzebę mówienia ludziom prawdy. Małej, dużej, średniej. Ale prawdy.

Bo jak powiedział w cieszyńskiej Cafe Muzeum Kazimierz Kutz: Jak ludziom mówi się prawdę, stają się mądrzejsi.

FELIKS NETZ

ERA NOWE HORYZONTY

Z wielobarwnej mozaiki zdarzeń artystycznych i okoł artystycznych, z tego, co tworzyło niepowtarzalny, niepodpatrzony, własny, właśnie cieszyński klimat 4. Festiwalu Filmowego „Era Nowe Horyzonty” wybrać kilka sytuacji, kilka zdarzeń, kilka twarzy – zadanie karkołomnie trudne. **MAREK GROCHOWSKI** starał się być tam z kamerą cyfrową, gdzie było najciekawiej, tam, gdzie spodziewał się spotkać kogoś bezwzględnie interesującego. W Cieszynie wszystko było **KULTOWE!** Kultowy jest zespół „Myslovitz” (4). Kultowy jest film Fritza Langa z 1927 r. „Metropolis”; odrestaurowaną kopię filmu pokazano w Kościele Jezusowym (2) z towarzyszeniem wykonywanej na żywo monumentalnej kompozycji napisanej specjalnie na zamówienie festiwalu przez Abła Korzeniewskiego. Postacią kultową jest Kazimierz Kutz, związany z cieszyńskim festiwalem od pierwszej edycji. Obok retrospektywy filmów K. Kutza, otworzono w Książnicy Cieszyńskiej przy ul. Menniczej 46 wystawę pod hasłem „Kazimierz Kutz w obiektywie”, wspólne dzieło Instytucji Filmowej „Silesia-Film” (3), Biblioteki Śląskiej oraz Książnicy Cieszyńskiej. Bez wątpienia postacią kultową jest węgierski reżyser Béla (1) Tarr, który do Cieszyna przywiózł m.in. „Szatańskie tango” i „Jesienny almanach”. Gus Van Sant nazywa go jednym z największych wizjonerów współczesnego kina. A więc gość pierwszej światności!

Roman Gutek, człowiek, który cieszyński festiwal wymyślił, mówi, pół żartem, pół serio, że zysków jeszcze festiwal nie przynosi, ale – dodajmy od siebie – może z czasem okazać się kurą, która będzie znosić złote jajka. Dla Cieszyna.

F.N.



Fotografie: Marek Grochowski

Zapomniane epizody
katowickiego września 1939 roku

Swastyki nad miastem

GRZEGORZ
BĘBNIK

Nie wszystkie zgromadzone w katowickim Archiwum Państwowym dokumenty cieszą się wśród studentów czy badaczy jednakową estymą. Są i takie, do których zaglądano tylko jeden czy dwa razy od chwili, gdy spoczyły na archiwalnych półkach. Należą do nich również i te dotyczące śląskich straży pożarnych z lat II wojny światowej. Temat mało raczej atrakcyjny, trudno liczyć tu również na jakieś rewelacyjne ustalenia. Pomimo to, również i w tych pomijanych najczęściej aktach natknąć można się na rzecz mogącą obudzić przynajmniej zainteresowanie. Taką na przykład, jak cytowany poniżej dokument.

Jest to kopia oryginalnej relacji, złożonej przez nieznaną z nazwiska i liczby katowickich Niemców, członków zawodowej straży pożarnej. Wpłynęła ona 27 września 1939 roku na ręce nadradcy Gribowa, z ramienia szefa Policji Porządkowej (Ordnungspolizei – Orpo) wizytującego górnośląskie jednostki pożarnicze. Przepisana zaś została i potwierdzona w kancelarii samego nadprezydenta prowincji śląskiej, Josepha Wagnera. Kopista, jak można przypuszczać, potraktował swe zadanie dosłownie, nie starając się poprawić ewidentnych ortograficznych błędów czy wygładzić mocno miejscami chropawy (by nie rzec – nieporadny) styl. Może jednak na tym polegać miał właśnie walor owej relacji?

Jak wnosić można z treści pisma przewodniego, z relacji tej sporządzono dwa odpisy: jeden z nich trafił do rąk Otto Fitznera, pełniącego funkcję szefa administracji cywilnej w Katowicach, drugi – Heinricha Himmlera.

Kiedy w czwartek 31 sierpnia przystąpiliśmy do naszej zwykłej służby, zakomunikowano nam, że straż pożarna znajduje się w stanie alarmu wojennego. Następnie dokonano przydziału zadań. Pierwsza jednostka odkomenderowana została do warsztatów Auto-Unionwerke przy Moltkestraße, naprzeciw budynku Związku Powstańców [obecna ul. Gliwicka-GB]. Druga jednostka pozostała w głównej remizie, a trzecia udała się do samochodowych warsztatów naprawczych Offner und Doht przy Bernhardstraße [obecna ul. Powstańców-GB]. W sobotę przed południem pewne drużyny z pierwszej jednostki zostały nagle zwolnione. Jak później dowiedzieliśmy się od naszego N.N. towarzysza, nagle zwolnienie miało jasno określony cel. Przy tutejszej straży zawodowej powołana została komisja morderców, której przewodzili komendanci straży i [jednocześnie] powstańcy Józef Siwek i Fran-

ciszek Sowa oraz dalszych 5 strażaków, których zaprzysiężono, zaś w razie zdrady ukarani być mieli śmiercią. W myśl postanowień komisji morderców 6 wymienionych z nazwiska, a przyznających się do niemieckości zawodowych strażaków miało być ujętych przy próbie politycznego przewrotu, zaś przy najmniejszym oporze natychmiast rozstrzelanych. Ponadto na liście śmierci znajdowało się jeszcze kilku niewymienionych z nazwiska niemieckich strażaków. Ponieważ wycofanie się wojska i ucieczka urzędników cywilnych nastąpiły zbyt szybko, pierwsza jednostka została w sobotę wieczorem odkomenderowana do remizy. Po przybyciu na dziedziniec zastaliśmy tu obraz niesamowitego popłochu. Wszystkie wozy pożarnicze straży zawodowej i ochotniczej, jak też wszystkie pojazdy i zaprzęgi Miejskiego Zarządu Oczyszczania Ulic stały gotowe do odjazdu. Również i nam wydano rozkaz przygotowania się do wyjazdu w głąb kraju. Pewna część drużyn wzbraniała się wykonać rozkaz ogniomistrza Teodora Kosterki twierdząc, że jako zawodowa straż pożarna mamy obowiązek strzec mieszkańców miasta przed wybuchem pożaru. Kiedy ogniomistrz wskutek naszego oporu nie mógł zabrać ze sobą pojazdów, odjechał z częścią drużyny w nieznanym kierunku. W krótki czas po odjeździe ogniomistrza wraz ze skonfiskowanym urządzeniem gaśniczym [Feuerlöschgerät] Firmy Miarczyński, pozostałe drużyny zebrały się powtórnie, postanawiając odstawić pojazdy pożarnicze do garaży i zabezpieczyć je, ponieważ obawialiśmy się, że powrócą [polscy zwierzętnicy] i zmuszą nas, byśmy wraz z pojazdami udali się za nimi. Nasi pozostali [w mieście] kierowcy wyjeźli z wszystkich samochodów części magнета, by uczynić je niezdolnymi do użytku. W nocy około godz. 2.00 pojawił się starszy strażak i powstańiec Józef Siwek, uzbrojony, i powtórnie za-

żądał odjazdu pojazdów pożarniczych w głąb kraju. Przy tej okazji na jednym z samochodów pożarniczych zabrał on zarekwirowane w mieście, a przewidziane dla straży pożarnej motocykle i rowery. Ponieważ spodziewaliśmy się [z jego strony] aktów gwałtu, oddaliliśmy się aż do chwili jego odjazdu w najbliższe ulice, i oczekiwaliśmy niedzielnego poranka z nadzieją, że wojska niemieckie wyzwolą nas. Nasza nadzieja nie została niestety jeszcze spełniona, za to pojawiło się powtórnie zrabowanie pojazdów. Po południu tego samego dnia przeżyliśmy następną niespodziankę, kiedy to do remizy przybył rzekomy komitet mieszkańców i wezwał nas, byśmy stawili się na posiedzenie w ratuszu. Tam wyjaśniono nam, że otrzymamy białe opaski naramienne. Poza tym usiłowano nam wmusić broń, co jednak energicznie odrzuciliśmy twierdząc, że pełnić możemy tylko służbę w ratownictwie i gaszeniu pożarów. Nie opuszczając remizy, ustawiliśmy strażę przy głównym i tylnym wyjęździe, i tak oczekiwaliśmy poniedziałkowego ranka. Nie do opisania była nasza radość, gdy wkroczył nasz dzielny Wehrmacht. Przy powitaniu naszego Wehrmachtu zostaliśmy ostrzelani przez znajdujących się w budynku dworca powstańców, przy czym jeden strzał dosięgnął centrali telefonicznej, co omal nie kosztowało życia jednej osoby. Po szturmie i zdobyciu budynku dworca dwóch strażaków natychmiast udało się z pospiesznie przygotowaną flagą ze swastyką na dach, gdzie została ona wywieszona pośród głośniejszej owacji okolicznych mieszkańców. Również na naszej remizie załopotala tymczasem niemiecka flaga. Wkrótce potem strażacy wywiesili niemiecką flagę na budynku Urzędu Wojewódzkiego. Ofiarnie i z radością pełniliśmy naszą służbę, aż w środę 6 września pan ogniomistrz [Feliks] Wurzel przejął komisarzycznie dowództwo.

Potwierdzono za zgodności:
Pol.[izei] – Meister
[podpis nieczytelny]

Czym relacja ta wzbogaca naszą wiedzę o pierwszych dniach września 1939 roku? Na pewno oddaniem swoistej atmosfery tamtych dni: wszechobecnego chaosu, krzyżowania się sprzecznych poleceń i decyzji, niepewności... Sytuacji, w której zarządzenia władz kwestionowane być zaczynały przez szeregowych pracowników miejskich służb, a lojalni do tej pory obywatele polskiego państwa szybko przepoczwarzali się w neofitów narodowego socjalizmu.

Zadziwia natomiast martyrologiczny wręcz (w odniesieniu do miejscowych volksdeutschow) fragment o rzekomej „komisji morderców” (Mordkommission), mającej w stosownej chwili doprowadzić do egzekucji zatrudnionych w straży Niemców. Być może za zamiar taki poczytano jakieś poczynania miejskich

władz (którym straż podlegała), mające za cel dostosowanie jej struktury do potrzeb czasu wojny? A może miał to być po prostu jeszcze jeden dowód rzekomych polnische Grausamkeiten (polskich okrucieństw), opisów których to nie szczędziła niemiecka prasa i przed, i po 1 września 1939 roku?

Największe znaczenie ma jednak końcowy wątek – lakoniczna wzmianka o ukrytych w budynku dworca kolejowego powstańcach, ostrzeliwujących wkraczające w ulicę Wojewódzką niemieckie wojska. Dlaczego jest on tak istotny? Cóż, w tych nielicznych opracowaniach poświęconych obronie Katowic, jakie do tychczas miały szczęście ujrzeć światło dzienne, próżno by szukać informacji o tutejszym dworcu kolejowym jako jednym z bastionów oporu. Tym bardziej to zaskakujące, że już w 1946 roku wiedzą taką dysponował Kazimierz Gołba, czego świadectwem publikowane przezeń w „Odrze” czy powstańczych „Ogniwach”, a oparte na relacjach świadków artykuły. „Równocześnie wrzała bitwa o katowicki dworzec”, pisał w „Odrze” późniejszy autor „Wieży Spadochronowej”. „Powstańcy strzelali gęsto z wieży ciśnień i z górnych pieter gmachu dworcowego. Żołnierze Wehrmachtu wdzierali się tam przez gazownię. Po godzinie 9-tej dworzec został zdobyty.” Acz półgębkiem, wspominał też o tym już w końcu września 1939 roku okupacyjny „Katowitzer Zeitung”. Zaś jeszcze w 1957 roku Bolesław Lubosz na łamach „Trybuny Robotniczej” zaliczył katowicki dworzec do głównych miejsc oporu w Katowicach, nie podając jednak żadnych szczegółów. I na tym koniec. Nigdy już o toczących się w tym punkcie miasta walkach nie wspomniano.

Dlaczego, chciałoby się zapytać? Może szczegóły te po prostu przeoczono? A może przemówiła tu przez historyków ostrożność wobec ustaleń poczynionych przez amatora? Zauważmy bowiem, że relacja strażaków walki na dworcu traktuje w kategoriach epizodu, emocjonującego wprawdzie (bo i wybita szyba, i cudem unikający śmierci telefonista), lecz chyba nie nazbyt istotnego. Gołba – wsparty materiałami, jakie napłynęły doń w odpowiedzi na apel w „Gościu Niedzielnym” – odmalował natomiast obraz znacznie bardziej dramatyczny, o nieporównanie większej dynamice. Skutek upływu czasu? Tak czy inaczej, ten zlekceważony epizod obrony Katowic na pewno zasługuje na przypomnienie.

Nawet dziś dworzec kolejowy w mieście tej wielkości, co Katowice, jest z wojskowego punktu widzenia jednym z najważniejszych obiektów. Z Katowic do ostatnich chwil odchodziły przecież na wschód wypełnione uchodźcami pociągi. Sam jednak dworzec nie był przygotowany do jakichkolwiek działań bojowych; takich też w planach polskiego dowództwa wojskowego najwzyczajniej nie przewidywano. Wiemy na pewno, że na dachu sąsiadującego z dworcowym gmachem budynku Dyrekcji PKP (budynek narożny u zbiegu ulic Dworcowej i Mieleckiego) umieszczony został w ostatnich dniach sierpnia ciężki karabin maszynowy. Miał on służyć do obrony przeciwniczej, stąd zaopatrzone go w specjalną,



Widok z okien budynku dyrekcji kolejowej na remizę przy ulicy Wojewódzkiej. Podobnie jak dziś, pomiędzy oboma obiektami brak było zwartej zabudowy (ilustruje to również fragment planu miasta), co stwarzało doskonale pole ostrzału.

trudną do zdemontowania podstawę, umożliwiającą ostrzał nadlatujących samolotów. Może dlatego nie zabrały go z sobą wycofujące się z Katowic regularne oddziały WP? A może raczej zostawiono go rozmyślnie, na użytek pozostających w mieście oddziałów powstańczej samoobrony? Szachowanie zeń ogniem ulicy Wojewódzkiej nie wchodziło jednak w grę – pole ostrzału ograniczała gęsta zabudowa. Obrońcom dworca pozostała najprawdopodobniej broń ręczna.

Strzały, jak wynika ze strażackiej relacji, nie były zbyt celne. Czyżby była ona w tym fragmencie retuszowaniem faktycznego stanu rzeczy? Niekoniecznie – i zaraz wyjaśnię, dlaczego. W aktach prowadzonego w latach sześćdziesiątych przez ówczesną Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Katowicach śledztwa znajduje się protokół przesłuchania Pawła Twardeli, we wrześniu 1939 roku pełniącego w komendzie chorągwi w Katowicach funkcję „kierownika wydziału Harcerzy pod Opieką Rodziny Kolejowej”. Twardela Katowice opuścił wprawdzie już 3 września, jednak jak zeznał „w czasie odwrotu w kierunku na Kraków wraz z cofającym się wojskiem dowiedziałem się od przypadkowo spotkanych harcerzy o rozstrzelaniu przez oddziały niemieckie wkraczające do Katowic od strony Mikołowa pojmanych harcerzy na terenie parku Kościuszki obok wieży spadochronowej. Niezależnie od tego wypadku poinformowano mnie już w Krakowie o rozstrzelaniu przez oddziały niemieckie na rynku w Katowicach pojmanych harcerzy, którzy pełnili straż w Dyrekcji Kolejowej w Katowicach [podkr. GB], oraz na innych placówkach.” Czyżby zatem „załoga” dworca składała się w istocie z nastolatków, niemal dzieci, którzy 4 września być może po raz pierwszy – i zapewne ostatni – wzięli w ręce karabin? Wiele zdaje się wskazywać, że tak właśnie było. Stąd też strzały, z których żaden chyba nie dosięgnął celu. Dla strzelających zapłatą była natomiast

ostatnia w życiu droga – na podwórze przy ulicy Zamkowej. Potem nadeszło zapomnienie.

Frapujące jest także i to, że wiarygodne raczej informacje o tym epizodzie katowickiego Września – z kraincowo różnych źródeł aniżeli te, na podstawie których powstawały choćby artykuły Gołby – pojawiły się w kraju w 1974 roku. W opublikowanych wówczas w „Zaraniu” przez Andrzeja Szefera fragmentach księgi wojennej 3 Odcinka Grenzschtutzu, w zapiskach z 4 września, godziny 11.40 czytamy: „Wymiana ognia z bandami na dworcu [am Bahnhof] i w Parku Południowym.” Szefer tymczasem, nie dysponując najpewniej jakimikolwiek relacjami o starciach na dworcu dostosował sporządzone przez siebie tłumaczenie do ówczesnego stanu wiedzy. Walki „na dworcu” stały się oto u niego walkami „w okolicy dworca”, na co pozwalały interpretacyjne subtelności. A pod tak szerokim sformułowaniem rozumiane mogą być choćby opisywane przez Pawła Dubiela starcia wokół kolejowej wieży ciśnień, z której to kilkakrotnie tego dnia ostrzeliwować miano przechodzące przez miasto niemieckie oddziały. Zarówno na samym dworcu, jak i innych gmachach miasta łopotały już wtedy „pospiesznie przygotowane niemieckie [czytaj: hitlerowskie-GB] flagi”. Głównych najwidoczniej nie było. Hilary Krzysztofiak w swych wspomnieniach z wkroczenia Niemców do Katowic pisze z pewnym rozbawieniem, że swastykę aplikowano na nich najczęściej ze starego krawata, często na odwrot... W tej akurat dziedzinie niemiecka logistyka odrobinię zawiodła.

Może zatem należałoby do punktów polskiego oporu w Katowicach doliczyć również i stary dworzec kolejowy? Prawda, że stawiany w nim opór był najprawdopodobniej symboliczny. Nie umniejsza to jednak w najmniejszym stopniu tragicznej wymowy finału. Bo czyż nie o ten symbol w końcu chodziło?

We wrześniu 1939 – Ślązacy bronili Lwowa

Do napisania tego artykułu ośmieliły mnie, lwowiaka, traktowanego przez niektórych Ślązaków jako „na-jeżdżę ze Wschodu” – wzmianki w artykułach w numerze 101 T. Kijonki i R. Kaczmarka o Orlętach Lwowskich jako o wzorach męstwa i skuteczności w walce.

Dodam, że jestem zapewne jednym z ostatnich, którzy z lat dzieciennych pamiętają obronę Lwowa w roku 1918 i jego obrońców. Tak się złożyło, że w czasie obrony Lwowa była urządzona w naszym mieszkaniu przy ul. Potockiego 27 filia szpitala znajdującego się w budynku Politechniki, a leżący u nas ranni uczyli mnie, mającego 4 lata, czytać i pisać. Potem niektórzy z nich działali na Śląsku i odwiedzając nas przywozili egzemplarze „Kocyn dra”, na których – obok „Bohaterskiego Misia” – między innymi się wychowałem. W „ludowej Polsce” właśnie na Śląsku i dla Śląska przepracowałem potem 35 lat. W tym artykule chcę napisać o Ślązakach zupełnie na ogół nieznanym, którzy we wrześniu 1939 bronili Lwowa. Pozostali po sześćdziesięciu latach zapominani jeszcze bardziej niż obrońcy Katowic.

Dlaczego właśnie wtedy znaleźli się we Lwowie liczni Ślązacy? Jeszcze przed wrześniem 1939 roku, licząc się z bliskim napadem hitlerowskich Niemiec na Polskę, przewidziano konieczność wycofania zagrożonej części ludności z polskiego Śląska na wschód. Obszerny materiał dotyczący tej ewakuacji zawiera wybór relacji harcerzy śląskich, opracowany przez Andrzeja Szefera pt. „Bohaterowie spod znaku lilijki” (Katowice 1984). W jednej z relacji wspomina harcerz

Karol Duława z Jasienicy, jak wyszedłszy 1 września w grupie na wschód, przez Wadowice i Mościska, dotarł do Lwowa i tam był w czasie obrony miasta. Leon Łaciak z Bielska-Białej pisał: „Pociągiem ewakuacyjnym... udałem się z Krakowa do Tarnowa, wraz z innymi i grupą powstańców śląskich z Bielska i Katowic, a następnie różnymi drogami do Lwowa, zgłaszając się tam do zaciągu obrońców...”

Wśród ewakuujących się ze Śląska byli także harcerze z Zaolzia, poprzednio członkowie Polskiego Legionu Zaolziańskiego, którzy 1 września rano otrzymali od komendanta wojskowego Huty Trzynieckiej polecenie wyruszenia w uzbrojeniu na rowerach przez Bielsko-Białą i Myślenice na wschód. Swoje wspomnienia opublikował jeden z nich, Otmar Strokosz z Trzyńca (O. Strokosz: „W AK z Zaolzia przez okupowany Lwów do III Rzeczypospolitej”, Kraków 1994; oryginał wspomnień w posiadaniu ich autora).

Powojenny generalny dyrektor administracyjny kopalń pszczyńskich, kpt. Jan Wyglenda, w swych „Wspomnieniach z lat 1939-1943” (Opole 1983) pisze, że był we Lwowie już przed 10 września i zastał tam wielu powstańców śląskich. Za aprobatą lwowskiego dowódcy Okręgu Korpusu, gen. Langnera, w ciągu dwóch

dni, wraz z innymi działaczami Związku Powstańców Śląskich, zorganizował batalion liczący blisko tysiąc powstańców. Batalion ten, choć słabo uzbrojony, już 12 września po południu wziął udział w odparciu pierwszego niemieckiego ataku na Lwów z kierunku Sambora. Nie znana jest niestety obsada dowództwa tego batalionu; być może byli to ci sami powstańcy, którzy już pod okupacją sowiecką włączyli się do organizowanej we Lwowie konspiracji wojskowej, o czym dalej.

W pracy Andrzeja Szefera jest relacja dyrektora gimnazjum i liceum w Pszczynie, Edwarda Szwedę, przybyłego do Lwowa z swymi uczniami i harcerzami i biorącego udział w obronie miasta. Wspominał, że „miejscowy dyrektor gimnazjum... zaopatrzył ich w bieliznę, ubrania i płaszcze. Przyjęto ich też do swoich domów.”

Po kilku moich publikacjach i prelekcjach w miastach śląskich przed 15 laty na temat udziału Ślązaków w walce o Lwów i konspiracji, otrzymałem między innymi list z Opola od dr. med. Maksymiliana Końskiego z 27 III 1989, który pisał: „...wśród uchodźców (we Lwowie) znaleźli się również obywatele niemieccy, Polacy ze Śląska Opolskiego. Byli to studenci, młoda inteligencja (dorobek okresu międzywojennego) i powstańcy śląscy... Społeczeństwo polskie we Lwowie przyjęło Opolan nader gościnnie i ich ofiarności należy przypisać, że pierwszy okres wojny od września 1939 do stycznia 1940 roku uciekinierzy ze Śląska Opolskiego przeżyli bez kłopotów. Społeczeństwo polskie Lwowa zapewniło im mieszkanie, opierunek, a często i wikt...” Wśród Opolan była córka Arki Bożka z Markowic i późniejszy kurier z Londynu do kraju, Franciszek Klima z Babic koło Raciborza.

Wspominał też w liście do mnie lwowiak, Henryk Piotrowski (list z 7 VII 1989), grupę Ślązaków z Rybnika i okolic, zakwaterowanych we Lwowie w bursie przy ul. Sobińskiego, górników i rzemieślników, „wszyscy bardzo zbiedzeni, ale w dobrym nastroju, przedsiębiorczy”.

W roku 1984 wdowa po gen. Sosnkowskim ofiarowała do Zbioru Rękopisów Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu bardzo obszerny zbiór dokumentów po zmarłym mężu. Był tam referat dotyczący spraw lwowskich oparty na aktach Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza (sygn. 16541/II). Już w roku 1985 uzyskałem dostęp do tego zbioru i w referacie znalazłem (k. 20-21) krótką wzmiankę o oddziałach śląskich, które razem ze „Śląskim Legionem Śmierci” – zapewne na początku 1940 roku – weszły w skład Okręgu II Lwów-Zachód organizacji ZWZ-I. Wzmiankę o tym zamieściłem w opar-

cowanym przeze mnie w 1986 i przekazanym do Ossolineum uzupełnieniu do tomu I pracy „Konspiracja wojskowa na terenie Małopolski Wschodniej w okresie II wojny światowej” (sygn. 16594/II, vol. 3, s. 54).

Wkrótce potem, w roku 1987, za pośrednictwem córki chwilowego komendanta Obszaru ZWZ-1, ppłk. Kottarskiego, nawiązałem kontakt z zamieszkałym we Włoszech, por. Janem Jaworskim, adiutantem poprzedniego komendanta Obszaru ZWZ-1, płk. Żebrowskiego. Otrzymałem od niego dołączoną do jego meldunku z Buzułuku z 31 XII 1941 obsadę Komendy Obszaru ZWZ-1 według stanu z początku 1940 roku. Była tu podana obsada dowództwa Grupy Śląskiej liczącej – według tego meldunku – około 1000 ludzi. Może było to razem dowództwo grupy śląskiej z września 1939 roku?

Jako dowódca Grupy był wymieniony płk Jankowski. I tu zaczyna się zagadka. Ów płk Jankowski musiał być w jakiś sposób związany ze Śląskiem. W rocznikach oficerskich z lat 1923 i 1928 figuruje ppłk służby uzbrojenia Adolf Jankowski-Haszajłowicz (ur. 1871), który przypuszczalnie był w tych latach związany z produkującymi uzbrojenie jakimiś zakładami śląskimi jako odbiorca z hut, ale nie można na razie stwierdzić, czy to mógł być on i czy w ogóle żył w 1939 roku. Władysław Zajdler-Żarski, który w roku 1962 zbierał materiały do historii konspiracji lwowskiej, podał jako dowódcę wspomnianego „Śląskiego Legionu Śmierci” Zygmunta Piestrzyńskiego (Zb. rkps. Bibl. Zakł. Nar. im. Ossoli: Zbiór J. Węgieńskiego z 17 VII 2001, Teczka 11, II, D, poz. 18, s. 20), który być może mógł używać nazwiska konspiracyjnego Jankowski. W maju 1940 został on aresztowany przez NKWD z około 400 członkami „Legionu”. Nic o nim nie wiadomo. Encyklopedia Powstań Śląskich pomija niestety na ogół tych powstańców, którzy aresztowani i skazani znaleźli się w obozach sowieckich.

W meldunku por. J. Jaworskiego podane są nazwiska trzech oficerów sztabu płk. Jankowskiego; o wszystkich ich są wiadomości:

Szef sztabu, por. Jan Lortz (w meldunku błędnie: Loretz) „Lürsen” (1888-1942), jest jedynym ze sztabu, którego wymienia Encyklopedia Powstań Śląskich jako przywódcę powojskiego, w III Powstaniu Śląskim dowódcę I batalionu w pułku katowic-



Lwów 1939 r.

kim Walentego Fojkisa, w okresie międzywojennym przez pewien czas prezesa Związku Powstańców Śląskich. Wywieziony w głąb ZSRS, po zwolnieniu zmarł w Taszkencie.

Zacząłem więc próbować, czy nie uda się w Polsce odszukać rodzin dwu pozostałych oficerów sztabu wymienionych w meldunku Jaworskiego: adiutanta Michała Morciszka i I oficera sztabu Przybyłka „Koziełskiego”, a może jeszcze innych z Grupy Śląskiej. Wygłosiłem odczyty w Katowicach, Opolu i Bytomiu, przekazałem pracę na ten temat Instytutowi Śląskiemu w Opolu, a w lecie 1989 dałem ogłoszenie o poszukiwaniu oficerów sztabu Grupy do „Gościa Niedzielnego” (nr 27), wymieniając ich nazwiska. Właśnie tylko ten apel, opublikowany w „GN” dał zupełnie przypadkowo efekt. Zgłosiła się wdowa po Michale Morciszku, stale mieszkająca w USA, która wtedy odwiedzała swą rodzinę w Polsce. Spotkała się z którymś z księży na Górnym Śląsku, a gdy się przedstawiła jako wdowa po Michale M., usłyszała ku swojemu zdziwieniu: „Przecież wiadomości o Pani Mężu poszukuje właśnie ktoś przez „GN”!” Skomunikowała się ze mną: spotkaliśmy się 10 VII 1989 w Bielsku-Białej. Jej mąż,

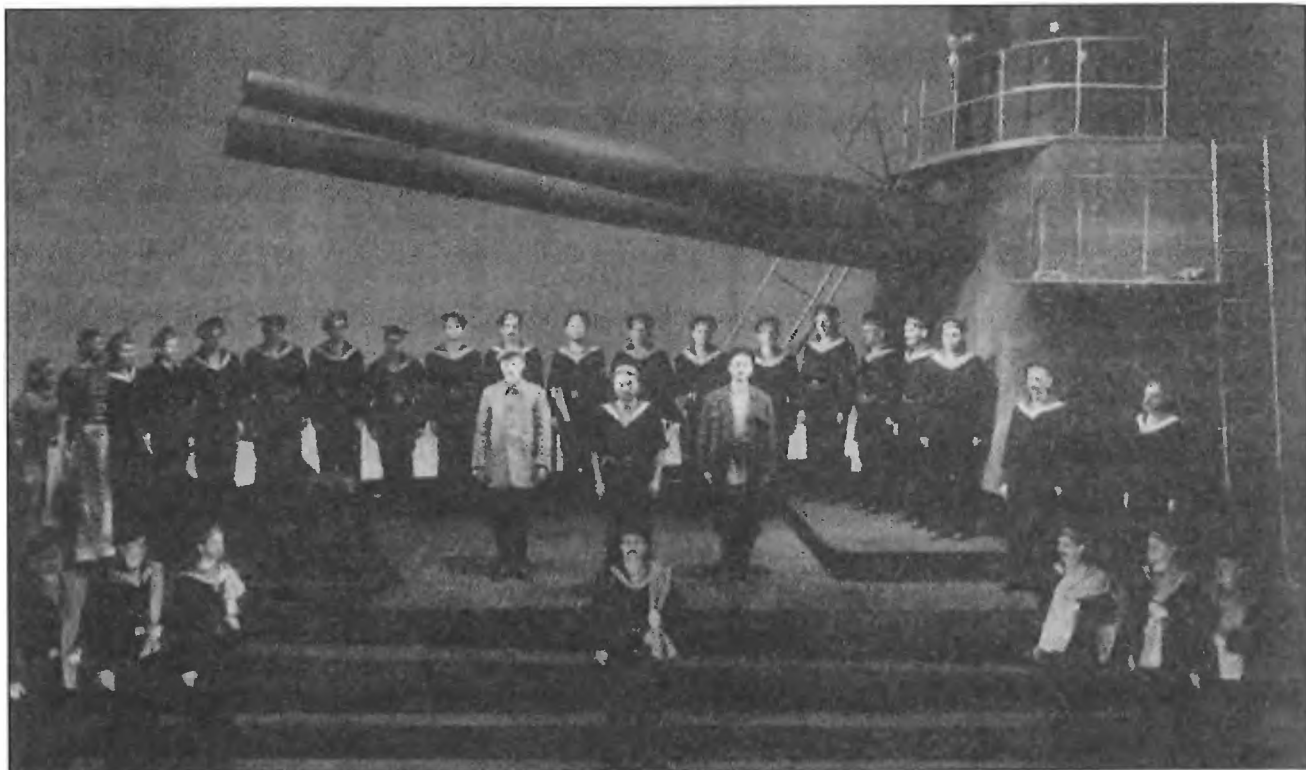
por. Michał Morciszek (1899-1987), jako mieszkaniec Zabrze brał udział w Powstaniach Śląskich, był potem komendantem Związku Powstańców Śląskich w Katowicach, gdzie mieszkali przy ul. Raciborskiej. Żona na przełomie września i października dotarła do Lwowa i tu odnalazł ją mąż, zmobilizowany do któregoś z pułków śląskich. Działali oboje w ZWZ we Lwowie, mieszkając na Zamarstynowie przy ul. Szkolnej 8, gdzie może do dziś w schowku leżą ich dokumenty. Z ZWZ pamiętała jeszcze studenta prawa z Czech (z Zaolzia?) Jana Przybyłka, zmarłego w Polsce w Piekarach Śląskich, i Tadeusza Boruckiego, a także dyrektora kopalni Faskę i Rudolfa Niemczyka, aresztowanego przy przekraczaniu granicy. Chcieli także przejść do Rumunii w kwietniu 1940, ale w Zabłotowie wydał ich przewodnik Ukrainiec. Przeszli więzienia i obozy sowieckie. Uwolniona w roku 1941 i wcielona do Armii Andersa, ukończyła podchorążówkę; mąż był szkolony na cichociemnego w Afryce.

Po tym spotkaniu lata miały. Wydawało się, że już niczego więcej nie dowiem się o Grupie Śląskiej. Nie było żadnego odzewu po opublikowaniu mojego opracowania „Ślązacy we Lwowie” w „Śląskim Kalendarzu Katolickim – Z tej ziemi” na rok 1994 (s. 159-162); nie podjął tematu nikt z historyków „zawodowych”.

Na początku roku 1997 otrzymałem od Czesława Blicharskiego, autora wielu monografii o Tarnopolu, jego wspomnienia: „Tarnopolanina żywot niepokorny”. Ujęty przez sowiecką straż graniczną przy próbie przekroczenia granicy węgierskiej w kwietniu 1940, znalazł się w więzieniu w Stanisławowie w jednej celi z... Janem Przybyłkiem. Napisał: „Nie pytałem go o prawdziwe nazwisko, to nie należało do savoir vivre celi”. A jednak nazwisko było prawdziwe.

Szereg wybitnych Ślązaków, którym udało się pozostać we Lwowie działało w konspiracji lwowskiej: byli tu m.in. przedwojenny poseł na Sejm Śląski i Sejm RP, burmistrz Mikołowa Jan Koj, marszałek Sejmu Śląskiego Konstanty Wolny, prezes Związku Hallerczyków i wiceprezes Stronnictwa pracy w Katowicach kpr. Józef Alojzy Gawrych, ale to już inny temat.

JERZY WĘGIERSKI



„Zagłada eskadry” Korniejczuka. Premiera odbyła się w roku 1952 w Katowicach.

Była taka szkoła

DANUTA
LUBINA-CIPIŃSKA

Dziś, gdy wielu absolwentów szkół teatralnych bezskutecznie szuka stałej pracy w teatrze, trudno sobie wyobrazić, że 60. lat temu, w Polsce wyniszczonej wojną i okupacją, brakowało adeptów sztuki scenicznej. A jednak tak było. Z tego braku zrodziła się w Katowicach szkoła, która do historii przeszła pod mianem Studia Dramatycznego.

Początki tej inicjatywy zatarły się. Nikt nie gromadził dokumentacji, nie przywiązywał do tego wagi. Pisał już o tym w 1968 roku w „Poglądach” Bolesław Lubosz: „Dzisiaj trudno już zebrać całkowitą dokumentację związaną z powołaniem do życia tej uczelni. W każdym bądź razie głównym „inicjatorem” było samo życie, które też określiło początkowy charakter placówki. „Działające przy Teatrze Śląskim Studio Dramatyczne to historia w dwóch odsłonach.

Odłona pierwsza

Opierając się na danych przekazanych przez Andrzeja Wydrzyńskiego w wydanej w 1956 roku książce *Pamięć teatru* oraz Bolesława Lubosza można stwierdzić, że nauka w katowickim Studium Dramatycznym rozpoczęła się w 1945 roku,

w pionierskich czasach Adwentowicza i Horzycy. Pedagogami byli właśnie oni – dyrektorzy tej sceny, a także Roman Zawistowski, Stanisław Kwaskowski – późniejszy pierwszy dyrektor Teatru Polskiego w Bielsku-Białej, Tadeusz Burke i Wilhelm Szewczyk. Burke prowadził ćwiczenia z tańca, ruchu scenicznego i szermierki, Szewczyk wykładał historię powszechną teatru i dramatu. Potem część pedagogów odeszła, na ich miejsce pojawili się Marian Sobański, Bronisław Dąbrowski, Jadwiga Żmijewska, Edward Żytecki, Tadeusz Surowa, Aleksander Bardini.

Jak podaje Bolesław Lubosz, wśród pierwszych słuchaczy Studia byli: Maria Bielecka, Anna Gołębiowska, Celinna Kubicówna, Zofia Michalska, Danuta Morawska, Halina Piłatówna, Irena Romańska, Gertruda Szalsówna, Borys Borkowski, Jerzy Czarski, Ta-

deusz Kalinowski, Leszek Szymocha, Jan Żarnecki. Po zakończeniu nauki stanęli oni przed Państwową Komisją Egzaminacyjną w Krakowie, bo katowickie Studio, choć przygotowywało kadry, to nie mogło samo powołać komisji egzaminacyjnej i absolwenci zyskiwali dyplomy na prawach eksternistycznych, które weryfikowała dopiero Państwowa Komisja Egzaminacyjna. Andrzej Wydrzyński podał, że warunkiem dopuszczenia do końcowych egzaminów było podpisanie zobowiązania, że pierwsze lata praktyki scenicznej młodzi aktorzy odbędą w teatrach, do których zostaną skierowani przez departament teatru Ministerstwa Kultury i Sztuki. A ten kierować miał – zgodnie z ówczesnymi „dyrektywami” – przede wszystkim do teatrów na ziemiach odzyskanych.

Odłona druga

Jak podaje Bolesław Lubosz, wielką reorganizację przeszło studio w sezonie 1950/51, w okresie dyrekcji Władysława Woźnika. Powstała nowa placówka, która otrzyma-

ła nazwę Państwowe Studio Dramatyczne przy Teatrze Śląskim w Katowicach. Studio zostało upaństwowione i odtąd posiadało własną Państwową Komisję Egzaminacyjną, na czele której zawsze stał dyrektor uczelni. Odtąd w Katowicach wydawano także dyplomy aktorskie, zapewniające te same uprawnienia zawodowe, którymi cieszyli się absolwenci wyższych szkół teatralnych. Studio ukończyły dwa roczniki. Pierwszy studiował w latach 1950-1953, drugi 1953-1955. Studium kierowali kolejno: Wojciech Natanson, Wilhelm Szewczyk i Alojzy Nowak. Wykładali: Władysław Woźnik, Roman Zawistowski, Gustaw Holoubek, Zofia Truszkowska, Alojzy Nowak, Aleksandra Mianowska, Aleksander Baumgardten, Wojciech Natanson, Wilhelm Szewczyk, Jan Kazimierz Zaremba.

Absolwentkami zostały: Lidia Bujczek, Elwira Dolińska, Teresa Kamińska, Bogusława Kozusznik, Maria Pleśniarowicz, Sylwia Skotnicka, Wanda Slezak, Krystyna Tworkowska, Maria Wawszczyk, Genowefa Wydrych, Ewa Żyłanka. Spośród mężczyzn Studio ukończyli: Stanisław Brudny, Jan Bógdoł, Wincenty Grabarczyk, Tadeusz Hanusek, Andrzej Holaj, Andrzej Hrydzewicz, Julian Kilar, Jan Klemens, Bernard Krawczyk, Henryk Maruszczyk, Stanisław Michno, Jacek Medwecki, Edmund Orzechowski, Andrzej Pisarek, Jerzy Połonski, Henryk Tarczykowski, Jan Tarsarz, Bogusław Weil.

Jak zapamiętali czasy nauki w Studiu jego absolwenci? Oto historia opowiedziana przez trzech aktorów – absolwentów pierwszego rocznika. Jan Klemens i Bernard Krawczyk to koledzy z jednego gimnazjum, mysłowickiego. To Jan Klemens namówił Bernarda Krawczyka na to, by zgłosić się na egzaminy do studia dramatycznego. – *Jaśiu występował w zespole Malaka, a ponadto przeczytaliśmy o tym w gazetach* – opowiada Bernard Krawczyk. I Krawczyk i Klemens podczas studiów aktorskich mieszkali w swych rodzinnych domach w Mysłowicach. Dojeżdżali do Katowic na zajęcia.

– *To były ciężkie i trudne czasy i do życia, i do nauki* – opowiada Wincenty Grabarczyk. Część słuchaczy pierwszego rocznika pochodziła ze Śląska – miała oparcie w rodzinie, tak jak Bernard Krawczyk i Jan Klemens. Część, tak jak on, przyjechała z odległych regionów, z Mazur, Podhala, Dolnego Śląska, Opolszczyzny. – *Nie było domów studenckich, spaliśmy gdzie padło* – opowiada Wincenty Grabarczyk. I dodaje, że wojna przyzwyczaiła go do niejednego. – *Byliśmy obcy z głodem, śmiercią, bólem* – opowiada.

Wędrowniki Grabarczyka

Grabarczyk pochodzi z Wołynia. Wraz z innymi wysiedleńcami trafił po wojnie do Szczytina. W gim-

nazjum grał w amatorskim teatrze. Zdobył I miejsce w konkursie recytatorskim poezji romantycznej, którego finał odbywał się w teatrze w Olsztynie. Jalu Kurek, którego wiersze miał okazję Grabarczyk mu prezentować z „wielką emocją”, tak dużą, że pomieszał ich strofy, orzekł, że zrobił to bardzo dobrze i jego zdaniem powinien zostać aktorem. Wincenty Grabarczyk zasmakował w tej propozycji. – *Ja, młodziś malomiaszczkowy, chciałem uciec stamtąd, byłem ciekaw życia* – opowiada. Dowiedział się od przyszłej swej żony, Krystyny, która pochodziła z Lublina, że właśnie w tym mieście jest policealne studium dla reżyserów teatrów amatorskich. Nie wiedząc, że są w Polsce wyższe uczelnie aktorskie, tam postanowił spróbować swych sił. Pojechał pociągiem do Lublina (oczywiście na gapę, bo nie miał pieniędzy na bilet), złożył tam dokumenty, a że miał rodzinę na wsi za Opolem, postanowił ją odwiedzić. Po drodze były Katowice. I trzy godziny przerwy w oczekiwaniu na kolejny pociąg. – *Wyszedłem na ul. Św. Jana i zobaczyłem teatr. Należałem do pokolenia ludzi odważnych. W brezentowej bluzie harcerskiej, marynarskich spodniach z UNRRY, wpuszczonych w półbuty, wszedłem do sekretariatu teatru, by się zapytać, czy nie potrzebują aktora. I od Sabiny Hess, sekretarki teatru, dowiedziałem się, że we wrześniu rusza Studio Dramatyczne. Wsiadłem więc w pociąg do Lublina, zabrałem papiery, przyjechałem do*

Katowic i złożyłem je tutaj. Po miesiącu otrzymałem wiadomość o terminie egzaminu – opowiada.

Egzamin stoi mu przed oczyma do dziś. Nawet nie wiedział, że trzeba się do niego przygotować, wcześniej ucząc się recytacji poezji i prozy. Z poezją pół biedy. Grał w szkolnej inscenizacji *Balladyny* i nawet nie miał pojęcia, że prowadzący egzamin Władysław Woźnik właśnie w roli Grabca króluje na katowickiej scenie. – *Zaczynam monolog, jest absolutna cisza. To mnie przeraziło. Myślałem, że mam przechłapanie* – opowiada Wincenty Grabarczyk. Stresowało go to, że on niedużego wzrostu, drobny, a Woźnik taki potężny, ale dobrnął do końca. Wtedy Zawistowski poprosił o coś z prozy. Jedyne, co przyszło do głowy Wincentemu Grabarczykowi, to fragmenty z wypisów Stalina. – *Gruchnął śmiech* – opowiada. Potem Natanson zapytał go, ile było rozbiorów Polski. – *To mnie zdenerwowało, bo to wiedziało każde dziecko z siódmej klasy. Zapytałem więc Natansona, czy żartuje. Potem jeszcze głos zabrał personalny Teatru Śląskiego, wytknął Urzędu Bezpieczeństwa, i zapytał, jaka jest różnica między chłopem matorolnym a bezrolnym* – wspomina. W końcu Władysław Woźnik zaczął go dopytywać o przeszłość, interesowało go, za co będzie żył, gdzie będzie spał. – *Choćby na tym parapecie* – odpowiedział Grabarczyk. I Woźnik zarządził przerwę. Wtedy do Wincentego Grabarczyka podszedł Józef Para – wówczas młody



Adam Kwiatkowski i Gustaw Holoubek w „Mazepie” Słowackiego.



Scena z „Poematu pedagogicznego” Makarenki, spektaklu przełomowego dla wychowanków katowickiego Studia Dramatycznego.

aktor, ale o pewnych już wtedy osiągnięciach. – *Pan to może się już upić, bo pan zdał* – zakomunikował mu.

Przypadki Krawczyka i Klemensa

Jak wspominają Bernard Krawczyk i Jan Klemens, o przyjęcie do Studia starało się około 140-150 kandydatów. Przyjęto około trzydziestki. Pierwszy kurs po reorganizacji skończyła dwudziestka. Przyjęci do studia młodzi ludzie, pochodzili z różnych stron Polski i mieli różne metryki. Rozpiętość wieku była spora. Od rocznika 1925 roku po rocznik 1932. To był efekt lat wojny i okupacji, gdy naturalny tok nauki został brutalnie zakłócony i po wojnie w jednej szkolnej ławce mogli się spotkać koledzy, między którymi było spora różnica wieku. Najmłodszym ze słuchaczy tego kursu był Jan Klemens.

Wszystkie zajęcia odbywały się na nieistniejącej już dziś Małej Scenie przy ulicy noszącej obecnie miano Staromiejskiej. – *To była fajna scena, ciepła, kameralna. Bardzo lubiliśmy tam później, już jako zawodowi aktorzy, grać* – opowiada Bernard Krawczyk i dodaje, że na przełomie lat 60. i 70. kierownikiem tej sceny, za dyktacji Mieczysława Górkiewicza, był nie kto inny, a właśnie Jan Klemens. – *Wprowadziłem wtedy zwyczaj częstowania widzów w przerwie kawą, który podpatrzyłem, jak byłem na stypendium w Belgradzie* – wspomina z uśmiechem Jan Klemens.

Mała Scena znajdowała się na pierwszym piętrze kamienicy, nad kawiarnią „Cyganeria”, w której spotykała się wówczas cała katowicka bohema. – *Całe życie od rana do nocy skupiało się tam* – opowiada Wincenty Grabar-

czyk. – *Na rytmikę chodziliśmy do domu kultury przy ul. Francuskiej* – uzupełniają Jan Klemens i Wincenty Grabarczyk. Za to wieczory spędzało się w głównym budynku Teatru Śląskiego, gdzie na Dużej Scenie dawano przedstawienia, które oglądali po kilka, kilkanaście razy, a z czasem w nich statystowali, próbując pierwszych aktorskich zadań. Podglądali mistrzów: Bolesława Mierzejewskiego, Romana Hierowskiego, Wacława Zastrzyńskiego. Często do Katowic via Warszawa przyjeżdżały teatry zagraniczne. Z Moskwy, Leningu. Był Jovet z *Mizantropem*, był Piccolo Teatro ze *Śługą dwóch panów*.

Rozsadzała ich energia. Jak to młodych. – *Siedzieliśmy w teatrze od rana do wieczora. Wyskakiwaliśmy tylko coś przegryźć. Po zajęciach robiliśmy chórki, kabareciki* – wspomina Jan Klemens i Bernard Krawczyk. Lubili też pofiglować. – *Przebieraliśmy się w stroje aktorów i zakładaliśmy, kto przejdzie w nich jak głyby nigdy nic ulicą 3 Maja* – opowiada Jan Klemens. – *Było wesoło. Trzymaliśmy się razem. Figle, dowcipy, żarty, ot, młoda, świeża krew* – dodaje Bernard Krawczyk.

– *Spaliśmy gdzie popadło. Na parapetach, na stołach odwróconych do góry nogami. Podkładaliśmy kotary zdjęte z kulis, przykrywaliśmy się nimi, a były tak zakurzone, że rano byliśmy szarzy. Potem nie pozwolono nam spać na Małej Scenie, to zagnieździliśmy się w głównym gmachu Teatru Śląskiego. Wojtek Standetto, ja i Staszek Brudny sypialiśmy w nieistniejących już dziś łóżach (teraz w tym miejscu są reflektory i urządzenia akustyczne), w których były fotele, stoliki, kotary. Jak nas stamtąd wyproszono, to przenieśliśmy się pod scenę, gdzie była meblarka – składo-*

wisko mebli. Ja sypiałem na kanapie z „Moralności pani Dulskiej”, do momentu, gdy Wojtek nie zobaczył, że wędruje po niej orszak pluskiew – opowiada Wincenty Grabarczyk.

Potem wynajęli pokój. W trójkę. Grabarczyk, Brudny i Stefan Giletycz. Brakowało na jedzenie. – *Strasza bryndza. Mieliliśmy kilka ziemniaków, ani grama smalcu czy masła. Giletycz powiedział, że najlepsze są ziemniaki smażone na wodzie. Pokroiliśmy je w plasterki i ugotowaliśmy. Bardzo nam smakowały* – wspomina Wincenty Grabarczyk.

Jednak powoli sytuacja ekonomiczna stabilizowała się. Znalazły się pieniądze na stypendia i to wcale nie takie małe w porównaniu do obowiązujących wówczas zarobków. – *Gaźa aktora to było 950 złotych, stypendium to połowa tej sumy* – wspomina Jan Klemens i Bernard Krawczyk. Po pierwszym roku zaczęli statystować. – *W „Zalodze eskadry”, potem w „Chłopcu z naszego miasta”, w „Mazepie”* – wspomina Jan Klemens i Bernard Krawczyk. I to różniło słuchaczy katowickiego studia od studentów szkół aktorskich, bo tamci do momentu ukończenia szkoły nie mieli prawa zagrać na zawodowej scenie. – *Dzięki temu, że jeszcze w trakcie nauki mogliśmy już grać, nasze wejście w zawód odbyło się bezboleśnie. Pewnie dlatego zupełnie inaczej odczuwaliśmy granie „ogonów” niż nasi koledzy ze szkół aktorskich* – opowiada Jana Klemens. Przypomina też, że omal nie stracili życia, gdy z *Chłopcem z naszego miasta* pojechali do Opola i podczas drogi silnik autokaru zgasił, gdy ten przejeżdżał przez przejazd kolejowy, a z oddali słychać było już nadjeżdżający pociąg. – *To był taki długi autobus, któ-*

ry był autokarem sztabowym generała Zawadzkiego. Generał podarował go Teatrowi Śląskiemu – opowiada.

Pojawiły się pierwsze propozycje udziału w sluchowiskach radiowych. – *Zaczęliśmy żyć jak ludzie. Obiady kupowało się za 2,40 zł. Jeden z kolegów w „Tatianie”, Restauracji do dziś istniejącej przy Staromiejskiej, wrzucił do zupy sznurek. Zawołaliśmy kierownika, a ten przepraszając zaprosił nas na zaplecze i każdemu podał pół gęsi. To można było zrobić tylko raz* – opowiada. Lokal ten odwiedzali potem już jako zawodowi aktorzy. – *Chodziło się tu na ćwiarteczkę wódki i galaretkę, by pogadać po spektaklu* – opowiadają Bernard Krawczyk i Jan Klemens.

Paru przygarbionych „Holoubków”

Zanim te czasy nastały, jeszcze jako adepci sztuki aktorskiej, pierwsze etudy próbowali na Małej Scenie. Prof. Jan Kazimierz Zaremba wykładał historię literatury, Wojciech Natanson – historię dramatu, Wilhelm Szewczyk – literaturę polską i współczesną. Tadeusz Woźnik uczył wiersza i dramatu klasycznego, potem po nim przejął to Gustaw Holoubek. Danuta Blacherówna wprowadzała w tajniki mówienia wiersza. Dramat współczesny to była domena Romana Zawistowskiego. Woźnik uczył klasycznego wiersza, ze średniówką, Zawistowski wręcz odwrotnie, uważał że bez względu na średniówkę w wierszu trzeba szukać myśli i na nią kłaść akcent. – *To uczyło nas elastyczności* – opowiada Wincenty Grabarczyk. Zofia Truszczyńska prowadziła zajęcia z dykcji. Dość długi wierszyk zaczynał się od słów: „Nielatwa słów wymowa, ha, trudna na to rada”, a najeżony pułapkami, trzeba było powiedzieć bezbłędnie, precyzyjnie, na jednym wdechu. Wincenty Grabarczyk po 50 latach recytuje mi go bez zająknięcia.

Prof. Maria Marzecka z Wyższej Szkoły Muzycznej ustawiała głos, uczyła pracy przeponą. To pozostało do dziś. – *Jedna ręka na głowie, druga na przeponie. Tak ćwiczyliśmy* – demonstruje mi Wincenty Grabarczyk. Prof. Burke był specjalistą od tańca. – *Te lekcje nazywaliśmy „pas de Burke”* – śmieje się. Wiesław Makojnik wykładał scenografię i historię sztuki, ale na zajęciach był tak zajęty własnymi sprawami, że nawet nie patrzył, kto odpowiada na jego pytania. – *Heniu Maruszczyk czasami odpowiadał kolejno za trzech kolegów, zmieniając tylko nieco głos, a wykładowca nawet nie podnosił wzroku i odpowiedź zaliczał* – wspomina Wincenty Grabarczyk. Najbardziej lubił zajęcia z Zawistowskim, który był impulsywny, energiczny, nie znosił przestojów w pracy i pracował tak intensywnie, że często już po godzinie kończył zajęcia. Grabarczyk lubił też zajęcia z Hierowskim, a ten był przeci-

wieństwem Zawistowskiego. – *Wnosił w nasze życie otoczkę romantyzmu i poezji. Był naszym guru* – opowiada.

Naśladowali swych mistrzów. Podpatrywali, jak najslawniejsi aktorzy Teatru Śląskiego się noszą. – *Wzorowaliśmy się na nich. Chodziło potem paru przygarbionych „Holoubków”* – opowiada Bernard Krawczyk.

Listę wykładowców studia zamykali: Piotr Połoński (ojciec Jerzego, absolwenta studium drugiego rocznika) – który uczył języka rosyjskiego, Krystyna Zastrzeżyńska wykładająca historię sztuki, Aleksander Baumgarten prowadzący zajęcia z historii powszechnej i Lech Burse odpowiedzialny za umuzykalnienie.

– *Mieliśmy wyjątkową sytuację. Dzięki Natansonowi i Szewczykowi poznaliśmy osobiście wielu pisarzy odwiedzających wówczas Katowice, np. Iwaszkiewicza, Broniewskiego. Wypler przychodził do nas na wykłady o literaturze chińskiej* – opowiada Bernard Krawczyk. Wszyscy trzej wspominają swych nauczycieli wyjątkowo ciepło. – *Pożyczali nam pieniądze, stawiali obiady, czasem darowali ubrania, słowem traktowali nas po ojcowsku* – opowiada Bernard Krawczyk.

Katowickie studio miało stały kontakt ze szkołą krakowską. Sluchacze jeździli też do teatrów w Warszawie i Poznaniu. – *Nasi wykładowcy dbali o to, byśmy oglądali najciekawsze inscenizacje* – opowiadają i dodają, że nie mała w tym zasługa generała Jerzego Ziętka, na którego pomoc zawsze mogli liczyć. Tym, który przedkładał wojewodzie potrzeby Studia i jego sluchaczy był Wilhelm Szewczyk.

Choć były to czasy stalinowskiego terroru, w teatrze nie odczuwało się tego. To prawda, że sporo w repertuarze było radzieckich sztuk. Trwały też tzw. szkolenia ideologiczne, które prowadził prof. Jan Kazimierz Zaremba, rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej. – *Kiedyś Zdzisław Ichniowski, starszego już wiekiem aktora, zapytał, czy mógłby coś powiedzieć o faszyzmie. Milczenie. Zaremba pytanie powtórzył. Znowu milczenie. Wtedy wstał Mieczysław Jasiecki i powiedział: Panie profesorze, pan Ichniowski tak nienawidzi faszyzmu, że nawet mówić o nim nie chce* – wspomina Wincenty Grabarczyk. Jan Klemens opowiada, że w teatrze na szczęście był inny świat. Całkowicie różny od tego, który zdominował ówczesne gazety i życie publiczne.

Przełomowy „Poemat pedagogiczny”

Dyplomową pracą był *Poemat pedagogiczny* Makareni w reżyserii Piotra Połońskiego i Bolesława Smeli – *Po raz pierwszy każdy z nas otrzymał zadanie do wykonania, po raz pierwszy mogliśmy zagrać jakąś postać. To było wspaniałe przeżycie, które pamiętam do dziś* – opowiada Wincenty Grabarczyk. Premiera od-

była się 24 stycznia 1953 roku. Wojciech Natanson w „Twórczości” pisał: „Wystawiono „Poemat” w ten sposób, iż role wychowawców powierzono aktorom, a role młodych – kończącym naukę sluchaczom i sluchaczkom Studia Dramatycznego. Dzięki systematycznej pracy i talentowi pedagogicznemu Romana Zawistowskiego oraz innych wychowawców, dzięki dobrze dobranemu zespołowi, wyniki osiągnięto wyborne”.

Zdzisław Hierowski na łamach „Życia Literackiego” donosił: „Wzruszenie i radość zawdzięczamy przede wszystkim śląskiej młodzieży aktorskiej, młodym wychowankom Studia Dramatycznego przy Państwowym Teatrze Śląskim im. Wyspiańskiego, którzy za kilka miesięcy ukończą trzeci i ostatni rok nauki”. *Poemat pedagogiczny święcił triumfy. Zagrano go ponad sto razy.*

– *Byliśmy grupą młodych ludzi, która przestawiła repertuar. Podobał się on widzowi, a ludzie chodzili tłumnie do teatru. To prawda, że niektórych z nich zwożono autokarami, ale dzięki takim akcjom do teatru trafiali ci, którzy sami by tu nie zajrzeli* – opowiadają Jan Klemens i Bernard Krawczyk.

Andrzej Wydrzyński podaje, że w wykonaniu zdających końcowy egzamin uczniów Studia Dramatycznego, jako drugą po *Poemacie pedagogicznym*, dnia 15 sierpnia dano premierę sztuki Tadeusza Rittnera *W małym domu*, w reżyserii Romana Zawistowskiego. I tu utalentowana młodzież święciła pierwsze triumfy. Sztukę zagrano 120 razy. Od Andrzeja Wydrzyńskiego także wiemy, że z myślą o absolwentach Studia chciano przy poparciu władz stworzyć w Katowicach nowy teatr, Teatr Młodego Widza. Byli uczniowie studia stanowić mieli tzw. „trzon” czy też „załążek” aktorski tej sceny. Stało się jednak inaczej. Teatr Młodego Widza miał powstać w Pałacu Młodzieży. Jednak wysoki urzędnik ministerstwa kultury, który jednocześnie był działaczem Związku Nauczycielstwa Polskiego, nie dopuścił do przekazania tej teatralnej sali młodym absolwentom studia. Sprawa wlokła się i wlokła, wreszcie włączono absolwentów Studia w skład zespołu Teatru Śląskiego.

– *Najpierw był rok stażu. Potem mieliśmy nakaz pracy na trzy lata, a gdy one minęły, rozsypaliśmy się po całej Polsce* – opowiadają Jan Klemens i Bernard Krawczyk. A pan Jan dodaje, że był to nakaz rygorystyczny, bo kiedy po dwóch latach pracy miał pewien nieprzyjemny zatarg w teatrze, nie mógł go opuścić, dopóki nie minął kolejny rok jego pracy.

– *Ten okres trzech lat to był najpiękniejszy czas naszej młodości. Czas kontaktu z wielkimi aktorami, wielkimi reżyserami, a zarazem bardzo nam życzliwymi ludźmi* – mówi Bernard Krawczyk. A pozostała dwójka moich rozmówców potwierdza to z uśmiechem.

Czas po szoku



Kilka lat temu społeczeństwo Rudy Śląskiej przeżyło ogromny szok, gdy okazało się, że dwoje młodych ludzi stało się ofiarami rytualnego mordu. Mordu dokonano przez satanistów. Mordercami byli uczniowie szkół średnich. Niczym nie wyróżniający się chłopcy. A ich ofiary? Dobrowolnie zgodziły się uczestniczyć w czarnej mszy. Nie przypuszczaly, że rytuału dopełni ich śmierć.

Od tego zdarzenia minęło już 5 lat. Wielokrotnie zastanawiałem się, co spowodowało, że w takim mieście jak Ruda Śląska doszło do tak okrutnej zbrodni. Czy był to przypadek, czy może wręcz przeciwnie?

Badania wskazują, że najbardziej podatną na wpływy sekty grupą są młodzi ludzie. Poszukujący drogi, sensu życia, zrozumienia. Moim zdaniem najczęstszą przyczyną „ucieczki” jest brak autorytetów, brak wzorców. Wśród elementów „ryzyka” wymienilibym także potrzebę silnych doznań, słabą konstrukcję psychiczną młodych ludzi. I postępującą alienację środowiskową. Każdy z nas powoli staje się samotną wyspą.

Urodziłem się 62 lata temu, nadal mieszkam w moim domu rodzinnym, wychowany zostałem w rodzinie o śląskich tradycjach. Z jasno nakreślonym kodeksem moralnym. Tak wychowywano wówczas dzieci na Śląsku.

Co z tych zasad pozostało do dziś? Patrząc na świat, który mnie otacza – sędzę – że coraz mniej. Pogubiliśmy się w tym naszym pędzie do „lepszości”. Zapomnieliśmy o prawdach najważniejszych. Bez względu na poglądy. O uniwersalnej wartości: nie kradnij, nie zabijaj.

Może to banalne, ale trzeba spróbować przywrócić wiarę w dobro. W bezinteresowność. Po to, by za kilka lat nie obudzić się w świecie bez żadnych zasad.

WERNER WESOŁY
Wiceprezydent Miasta Ruda Śląska

Ekumenicznie o sektach

BOŻENA
FELS

19 VI 2004 r. w budynku Miejskiego Ośrodka Kultury w Rudzie Śląskiej odbyło się III Międzynarodowe Sympozjum *Wspólne ekumeniczne świadectwo chrześcijan wobec ekspansji sekt*. Jego organizatorami - podobnie jak dwóch poprzednich dotyczących satanizmu i terroryzmu w sektach - były władze Rudy Śląskiej oraz redakcja ogólnopolskiego kwartalnika *Sekty i Fakty*. Na sympozjum przybyli przedstawiciele Kościoła katolickiego, prawosławnego i ewangelickiego z kilku krajów europejskich, a nawet Azji.

Oficjalnego otwarcia dokonał prezydent Rudy Śląskiej Andrzej Stania. Powitał on zebrane osoby i w krótkim wystąpieniu wspominał, że miasto zostało szczególnie dotknięte swego czasu działaniem sekt (wstrząsający mord dwojga młodych ludzi dokonany przez satanistów), dlatego po raz kolejny podjęło trud dyskusji nad tym zagadnieniem. Wyraził też nadzieję, iż przedstawione tu refleksje dotrą do katechetów, nauczycieli, pedagogów, rodziców i młodzieży nie tylko w Polsce, ale i Europie czy Azji.

Następnie głos zabrał ks. dr Piotr Kurzela. Przedstawiciel katowickiego arcybiskupa stwierdził, że współczesny człowiek, często zagubiony w swych życiowych poszukiwaniach, odchodzi od religijnych korzeni i wtedy staje się łatwym łupem dla sekt. Głos zabrał również ks. dr Jan Górecki, przedstawiciel Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach i zarazem asystent kościelny pisma *Sekty i Fakty*. Wyraził on opinię, że celem tego spotkania winno być kreowanie, promowanie dobra, pod działaniem Ducha Świętego, Ducha miłości. Wstępną część spotkania zakończyło wręczenie prezydentowi A. Stani pamiątkowego medalu, który wybito z okazji wydania 100 numeru miesięcznika *Śląsk*. Redaktor naczelny *Śląska* Tadeusz Kijonka, który osobiście wręczył medal prezydentowi powiedział przy tej okazji, że:

– *To wyróżnienie zostało przyznane Prezydentowi Rudy Śląskiej przez Górnośląskie Towarzystwo Literackie, w uznaniu jego zasług dla pisma.*

Ewangelicy
i katolicy razem

Pierwszym z prelegentów był pastor Thomas Gandow z Berlina, wybitny specjalista ds. sekt, autor wielu książek i artykułów oraz redaktor naczelny kwartalnika *Berliner Dialog*. W swoim wystąpieniu zauważył, że w Niemczech notuje się wzmożoną działalność nowych grup religijnych od początku lat 70-tych XX w. W ostatnim czasie najwi-

ęcej kontrowersji wzbudzają scjentolodzy. Jest to grupa dobrze już znana zarówno niemieckim organom państwowym jak i tradycyjnym Kościołom chrześcijańskim, które starają się chronić ludzi przed jej destrukcyjną działalnością. Od pewnego czasu wspólnoty ewangelickie i diecezje rzymsko-katolickie w Niemczech, mają swoich pełnomocników ds. sekt i problemów światopoglądowych. Owi kościelni pełnomocnicy to rzeczywiście kompetentne osoby, bardziej doświadczone i więcej wiedzące na temat sekt niż socjolodzy. Thomas Gandow zauważył też, że wielu ludzi w Niemczech nie należąc nawet do danego Kościoła, ma wobec tegoż konkretne oczekiwania (dobrej rady czy obrony wolności sumienia). Religijny pluralizm oraz wielowyznaniowe społeczeństwo ze swoimi konfliktami, staje się w tej sytuacji polem działalności różnorodnych wspólnot wyznaniowych. Dlatego najważniejsze jest dostarczenie całemu społeczeństwu pełnej informacji na temat działających sekt i nowych ruchów religijnych.

Rosyjskie
Centrum św. Ireneusza

Prof. Alexander Dworkin z Moskwy, znany w Europie specjalista w sprawach sekt, autor wielu książek i artykułów przedstawił przyczyny powstania i działalność moskiewskiego Centrum św. Ireneusza z Lionu, którym do dziś kieruje. Centrum rozpoczęło swą działalność w roku 1992, kiedy to do Wydziału Kształcenia Religijnego i Katechizacji Moskiewskiego Patriarchatu Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej zaczęli zwracać się z prośbą o pomoc, rodzice i bliscy poszkodowanych przez sekty. Dworkin rozpoczął od pomocy ofiarom rosyjskiej destrukcyjnej sekty Centrum Bogarodzicy, której doktryny były nieco zbliżone do działającej w II w. sekty montanistów. Zorganizował wówczas konferencję, podczas której po raz pierwszy na określenie podobnie działających destrukcyjnych grup wyznaniowych, użył popularnego już dziś określenia:

„sektę totalitarne”. Konferencja ta zaowocowała też wieloma publikacjami.

Dzięki spotkaniu z prof. dr. Johannesem Aagaardem z duńskiego uniwersyteckiego miasta Aarhus, który od 20 już lat stoi na czele duńskiej organizacji zajmującej się problematyką sekt, Dworkin zrozumiał, że należy w Rosji utworzyć podobne centrum informacyjne.

– 6 IX 1993 r. gdy powstawało nasze „Centrum św. Ireneusza z Lionu” sytuacja w kraju była trudna – zauważył rosyjski prelegent. – Wszędzie bez przeszkód działali agitolatorzy i przedstawiciele różnych sekt, a naród będący w mroku po ciężkich przemianach w trakcie politycznej destabilizacji nie miał żadnej odporności na sekciarski fałsz.

Od 1998 roku moskiewskie Centrum św. Ireneusza z Lionu zaczęło wydawać czasopismo. Ponadto drukuje ono książki i broszury, prowadzi specjalistyczne strony internetowe, odpowiada na dziesiątki telefonów, przyjmuje za interesowanych, organizuje konferencje. Moskiewskie Centrum współpracuje też z rosyjskimi mediami.

Włosi chcą dyskusji o prawie

Nawał obowiązków sprawił, że nie mógł do Polski przyjechać zapowiadany wcześniej prof. Giuseppe Ferrari z Bolonii, redaktor naczelny wpływowego i znanego w świecie włoskiego kwartalnika *Religioni e Sette nel mondo*. Zastąpił go syn Massimo Ferrari, który odczytał referat ojca. Omówił on w nim sytuację prawną i polityczną we Włoszech w kontekście działalności sekt. Prelegent zauważył, że jednym z problemów dotyczących sekt jest fakt, iż niektóre szczególnie niebezpieczne grupy, starają się o różnorakie uznania prawne. Pozwala to bowiem działać pod osłoną prawa do wolności religijnej i wykorzystywać szerokie możliwości, jakie dają obowiązujące ustawy. Ochrona praw religijnych mniejszości nie może jednak pomijać poszanowania dla praw religijnych jednostek. Ferrari widzi potrzebę ustalenia precyzyjnych kryteriów oceny charakteru oraz celów religii i kultu poszczególnych zrzeżeń. Zalicza do nich poznanie: ich historycznych korzeni, podstawowych doktryn, dokładnego stanu liczebnego i ocen zachowania grupy na danym terenie. Ustalenie, czy praktyki religijne grupy nie kontrastują z prawem kraju i prawami człowieka. Prelegent postuluje stworzenie komisji oceniającej zgodność funkcjonowania danego wyznania religijnego z ustalonymi kryteriami, zanim przystąpi się do wypracowania rozwiązań prawnych.

Na Syberii aktywni sataniści

Gość z dalekiej Azji, prawosławny ks. Alexander Novopashin, dziekan katedry p.w. św. Alexandra Nev-



Foto: Bożena Fejs

Gość z Syberii Alexander Novopashin i Krystyna Niestrój (l.)

go w Nowosybirsku, poinformował, że w diecezji Nowosybirskiej i Berskiej działa kilkadziesiąt większych i kilkaset małych sekt, których działalność można określić jako destrukcyjną. Wymienił tu m.in. takie sekty jak: Duch wiary, Kościół Chrystusa, Scjentologia, Rodzin, Mormonów, Kościół Zjednoczenia Moona czy Świadków Jehowy. Z sekt typowo „rodzimych” prelegent wspominał o Prawosławnej Cerkwi Bożej Matki. Dodał, że w ostatnim czasie notuje się na terytorium Syberii wzmożoną aktywność grup satanistycznych zrzeszających głównie młodzież w wieku szkolnym i studentów. Ich działalność musi budzić niepokój, gdyż nie ogranicza się tylko do magicznych praktyk, ale profanacji i podpaleń prawosławnych świątyń. Należy dodać jeszcze groźby wobec ich krytyków, znęcanie się nad innymi i składanie ofiar (również z ludzi). W nowosybirskich klinikach notuje się wzrost przypadków chorób psychicznych, powstałych na tle działalności grup religijnych. Wśród Świadków Jehowy i Scjentologów odnotowuje się wzrost liczby rozbitych rodzin, czego przyczyną jest podłoże religijne.

Do ośrodka ks. Novopashina napływają skargi rodziców, których dzieci opuściły dom, rzuciły naukę i poszły „służyć Bogu” w szeregach sekty. Do tego wszystkiego dochodzą ponadto czyny przestępcze. Prawo w Rosji nie jest obecnie w stanie ograniczyć destrukcyjnych poczynań sekt i bronić swych obywateli przed ich wpływami. Dlatego też przy nowosybirskiej katedrze p.w. św. księcia Alexandra Nevskiego podjęto systematyczne czynności, zmierzające do przeciwstawiania się im. Obejmują one konkretną działalność antysekciarską oraz działania misjonarskie ukierunkowane na umocnienie prawosławia. Nowosybirski ośrodek udziela też konkretnych informacji przedstawicielom władz i milicji.

W Czechach – prewencja

Z redakcji czeskiego *Dingira*, przyjechała na sympozjum red. Andrea Hudakova. Nakreśliła ona historię wychodzącego od 1998 r. w Pradze kwartalnika *Dingir*, który jest poświęcony współczesnej czeskiej scenie religijnej. Pismo jest skierowane głównie do proboszczów, nauczycieli, pedagogów, działaczy społecznych i społeczności akademickiej. Regularnie współpracuje ze słowackim *Rozmerem* oraz czeskim Stowarzyszeniem Studiów nad Sektami i Nowymi Ruchami Religijnymi, które powstało w 1993 roku. Głównym zadaniem tego Stowarzyszenia jest prewencja oraz praca badawcza przebiegająca w dwóch kierunkach:

– szeroko pojętej informacji (udostępnianie bogatej biblioteki, organizowanie konferencji, wykładów, publikacje, współpraca z organami rządowymi i mediami),

– poradnictwa (telefon zaufania, poradnia społeczna).

Słowackie „zrzeszenia obywatelskie”

Dr Boris Rakovský, redaktor naczelny słowackiego *Rozmera* i dyrektor Centrum d.s. Studiów Sekt przy Ekumenicznej Radzie Kościołów w Republice Słowackiej, zwrócił uwagę na fakt, iż na Słowacji ekumeniczna współpraca Kościołów chrześcijańskich w kontekście rozwoju nowych prądów religijnych sięga roku 1995. Wtedy to właśnie przedstawiciele Ekumenicznej Rady Kościołów Republiki Słowackiej (ERC), powołali Ekumeniczne Zrzeszenie d.s. Sekt (ESPSS). W roku 2001 przy ERC powstało Centrum d.s. Studiów Sekt.

Działalność *Centrum* polega na organizowaniu wykładów, specjalistycznych międzynarodowych konferencji, prowadzeniu własnej strony internetowej, bezpłatnym poradnictwie połączonym z udzielaniem konkretnej pomocy ofiarom sekt oraz na wydawaniu tematycznego kwartalnika *Rozmer*.

Rakovský zaznaczył, że tak szeroka działalność *Centrum* jest bardzo potrzebna, bo co prawda w Republice Słowackiej oficjalnie zarejestrowanych jest 16 Kościołów i innych społeczności wyznaniowych, lecz wiele pomniejszych grup, aby uzyskać status prawny, zarejestrowało się w słowackim MSW na podstawie innej ustawy – jako rzekome „zrzeszenia obywatelskie”. Owe kultury prezentują się w swych statutach jako organizacje charytatywne, kształtujące czy kulturalne.

Słowacki prelegent zauważył potrzebę większego zainteresowania się problemem sekt przez uniwersytety (szczególnie wydziały teologiczne) i władze państwowe. Konieczne jest wykształcenie kadry

specjalistów, którzy podejmą w swej pracy problematykę kultów.

Europejska w Rudzie Śląskiej

Ostatnim z prelegentów był prowadzący obrady redaktor naczelny kwartalnika *Sekty i Fakty* Grzegorz Fels – inicjator i współorganizator rudzkiego sympozjum. Podał on zebrany ogólną statystykę dotyczącą wyznań w Polsce. Do najbardziej niebezpiecznych sekt działających na terenie kraju zaliczył grupy satanistyczne, Bractwo Himawanti i Scjentologii. Zaznaczył, iż działalność sekt w Polsce jest na tyle niepokojąca, że zajmują się nią stosunkowo liczne i wciąż powstające pozarządowe *Centra Informacji o Sektach* (jest ich obecnie ponad 30). Również władze Polski wydały dwa rządowe raporty na temat zjawiska sekt (z roku 1995 i 2000).

Plonem tegorocznego spotkania w Rudzie Śl. było powołanie *EUROPEJSKIEJ FEDERACJI CZASOPISM*

PROFILAKTYCZNYCH zajmujących się problematyką sekt i nowych ruchów religijnych. Siedziba Europejskiej Federacji będzie się mieścić w Rudzie Śląskiej, a jej przewodniczącym został jednogłośnie wybrany Grzegorz Fels.

Nowo powstałą Federację czeka długa procedura sądowa związana z jej oficjalną rejestracją, ale można powiedzieć, że już rozpoczęła swoją działalność. Pastor Thomas Gandow zaproponował skróconą jej nazwę *Eurofakty* i zadbał o stworzenie oficjalnej strony internetowej (www.eurofakty.net), gdzie będą sukcesywnie zamieszczane materiały nadsyłane przez redaktorów naczelnych zrzeszonych w Federacji pism. Teksty te będzie można tłumaczyć i publikować w swoich pismach. Już teraz, oprócz redakcji założycielskich Europejskiej Federacji (z Polski, Niemiec, Czech, Słowacji, Włoch i Rosji), chęć uczestnictwa i współpracy wyrazili przedstawiciele pism z Ukrainy, Austrii, Serbii i Czarnogóry, Danii, a nawet USA.



Ryszard Kincel Wielki regionalista

(ur. 8.11.1933 w Orlowie,
zm. 4.08.2004 w Cisownicy)

Gdy odchodzi nam inny człowiek, strumienie myśli – nieuporządkowane – wzbierają i łącząc się, zwałają w dół wodospadem za krawędź, która jest przeszłością: urwiskiem zawsze smutku, że ktoś ten na Ziemi przeminął i przeszedł jakby skoczył w przepaść, więc ślad jego na wietrze – gdzieś z nim szybujący w blasku niedosiężnym Słońca... Ale to ostatni ślad; szczęściem dla wszystkich jest, gdy pozostają jednak po

kimś dobre ślady do tej krawędzi wiodące...

Ryszard był człowiekiem wyrazistym zarówno co do serca jak i umysłu, a w ich równowadze – zatem – człowiekiem mądrym. Ta wyrazistość zawierała się w jego emocjonalnej i intelektualnej Prawdzie, wobec której zawsze uczciwy i wierny budował się jako osobowość silna i niezależna, lecz zarazem pełna wrażliwości i otwarcia na innych, pełna pokornego zadziwienia światem, ale też nigdy niewygasłych pasji i namietności znamionujących z jednej strony uczoność, który zaprawiony jest w bojach poszukiwania prawdy, a z drugiej – pisarza, który tę prawdę chce wyrażać słowem artystycznie pięknym.

Bo jednym i drugim był doktor Ryszard Kincel, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, namietny badacz i tropiciel przeszłości, szczególnie przeszłości Śląska, jakkolwiek sam wedle swej pierwszej małej ojczyzny – raczej Kujawiak znad Jeziora Orlowskiego czy Pomorzanie (pochodzący najpewniej z „Olendrów” – sprowadzanych tam niegdyś osadników, którzy regulowali Wisłę), zarazem człowiek i znawca kultur niemieckiej i polskiej, przy czym tę polską uczynił swoją ze świadomego wyboru (o czym piszący te słowa wie z Jego własnych ust), nadto sympatyk, a niekiedy badacz spraw kultury czeskiej, zwłaszcza jej kontekstów moralnych.

Niejedna rozmowa z Nim, nawet w towarzyskich sytu-

acjach, koncentrowała się na historycznych sprawach i ciekawostkach; niezmierzanie opowiadał też o dawnych zawodach, rzemiosłach i technologiach – od produkcji piwa po hutnicze (konwiarstwo – wyrób i obróbka cyny) czy górnicze zawołanie; żywo i z wielkim przekonaniem propagował turystykę nie tylko jako rekreację, lecz także jako narzędzie pełnego poznawania przeszłości i teraźniejszości różnych ziem i regionów kraju, a zwłaszcza Śląska. Poza wszystkim innym z pewnością zasłużył na miano wielkiego regionalisty.

Jego niemal utkane z erudycji eseje historyczne urzekały pięknem i precyzją języka, a jednocześnie rozległością i głębią spojrzenia; wolne od wszelkiej ideologii mogły służyć za wzór bezstronności, otwierając przy tym nowe, nieznane obszary i oryginalne konteksty, co można odnieść np. zarówno do książki „Kłopotliwy książę Sułkowski”, jak i albumu „U szląskich wód”, będącego niezrównanym chyba opisem i przeglądem historii uzdrowisk Dolnego Śląska, albo do wyboru, przekładu i opracowania kapitalnych „Listów Augustyna Weltzla do Vincenca Praska 1875 – 1897”.

Jako jeden z pierwszych po 1989 r. propagował postać i twórczość Josepha v. Eichendorffa („Wielki poeta z Łubowic – Joseph von Eichendorff”, Racibórz 1989), wydając też w swoim przekładzie (pod redakcją piszącego te słowa) Eichen-

dorffa „Górnośląskie baśnie i podania” („Silesia” Racibórz 1991).

Autor 12 pozycji zwartych, dwóch tłumaczeń (w tym Waltera Tauska „Dżuma w mieście Breslau”) i wielkiej ilości esejów, artykułów naukowych i popularnonaukowych w rozlicznych periodykach.

Jako wybitny bibliotekarz przez dziesięciolecie kierował Miejską Biblioteką Publiczną w Raciborzu i znano Go tam powszechnie jako społecznika (m.in. w Towarzystwie Miłośników Ziemi Raciborskiej i „Gazecie Raciborskiej”) i człowieka kultury.

Od końca lat 70 ub. wieku należał do Związku Literatów Polskich, a przez ostatnie dwa lata był prezesem opolskiego oddziału ZLP; znalazł się też w gronie członków-założycieli Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach.

Był serdecznym kolegą i kompanem, a na przyjaźń odpowiadał trwałą i głęboką przyjaźnią.

Z męstwem podjął dramatyczne stracie ze straszliwą chorobą i jakkolwiek na krótko wydawało się, że je wygra – jednak musiał ulec i odszedł od nas drogą pełną okrutnego cierpienia. Żegnano Go uroczystie 7 sierpnia br. w kościele ewangelickim w Cisownicy, a pochowano na cmentarzu w Niegocinie (miejscowości między Ustrońem a Skoczowem).

Bardzo, bardzo Cię będzie brak, Ryszardzie...

HARRY DUDA



Katowicki Rynek z wylotem ulicy Pocztowej. Po lewej – budynek ratusza, który, wraz z sąsiadującym domem przy ul. Warszawskiej, spłonął po wejściu do miasta Armii Czerwonej. Na ich miejscu stoi teraz spółemowski „Zenit”. Po prawej widoczny narożnik domu przy ul. Pocztowej 1, w którym – na trzecim piętrze – mieszkaliśmy do zakończenia wojny. Ostał się požodze, ale poszły z dymem dwa sąsiednie budynki, przy ul. Pocztowej 3 oraz 3 Ma-ja 1. Potem zdecydowano, że nasz dom należy rozebrać – tak powstał plac, na którym zbudowano Dom Prasy.

Moje Katowice w latach okupacji

TADEUSZ
KURLUS

Na wakacje szkolne 1939 roku pojechałem, jak niemal corocznie, do dziadków ze strony matki, właścicieli sporego majątku rolnego pod Poznaniem. Jakiż byłem tam szczęśliwy! Towarzyszyłem dziadkowi, gdy wybierał się powózką na pola, zaglądałem często do stajni, do obory, obserwowałem wciąż krążące nad wielkim podwórzem stado gołębi, zapuszczałem się w okoliczne lasy, zawsze otoczony kilkoma psami, z którymi żyłem w wielkiej przyjaźni. Z mieszkającymi opodał kuzynami chodziłem łowić ryby w Warcie. Na dodatek wszyscy w domu mnie rozpieszczali, zwłaszcza dwie ciotki.

Ale choć nie miałem jeszcze dziesięciu lat, wy-
czuwałem doskonale, że nie wszystko jest tak, jak w poprzednich latach. Dorośli często prze-
siadywali wieczorami przy stole

i dyskutowali, czasem dobiegały mnie strzępy ich rozmów, w których nieraz pojawiała się słowo: wojna.

Dziadkowie martwili się o mnie, uważali, że powinienem jak najszybciej wrócić do Katowic, do matki, zapewne niepokojącej się o mnie. Gdy tylko po przejściu armii hitlerowskiej w głąb Polski ruszyły koleje, wsadzili mnie do pociągu jadącego na Śląsk. Nie pamiętam, jak długo trwała podróż, i czy obyła się bez niespodzianek, najważniejsze, że niebawem znalazłem się w ramionach matki. Ojca nie było w domu, weteran pierwszej wojny światowej i powstania wielkopolskiego znowu włożył mundur. Przydzielono go do jednostki, która mniej więcej w tych właśnie dniach przekroczyła granicę rumuńską, gdzie ją internowano. Ojciec trafił do obozu w Comişani, przebywał w nim do lutego 1941 r., kiedy to na mocy porozumienia niemiecko-rumuńskiego pozwolono mu

powrócić do rodziny, do okupowanej Polski.

Pierwsze spotkania z niemieczyną

Gdy znalazłem się w Katowicach, przeraziłem się zmianami zaszłyimi w mieście, oflagowanym sztandarami z hakenkreuzem. W jeszcze większy strach wprawiła mnie wiadomość, że będę musiał chodzić do niemieckiej szkoły. Nie było jednak wyjścia, rad nie rad, pewnego dnia pomaszerowałem z duszą na ramieniu do czwartej klasy szkoły powszechnej przy ulicy Stawowej. Piąte przez dziesiąte znalazłem język niemiecki, bo przed wojną chodziłem do prowadzonej przez panią Gryłkową prywatnej szkoły im. Św. Jadwigi przy ulicy Kościuszki, w której uczono nas dwóch obcych języków, w tym niemieckiego. Ale o biegłym wysławianiu się w nim nie mogło być oczywi-

ście mowy. Toteż stojąc w progu klasy z ulgą dostrzegłem w jednej z ławek Józia Rosnera, mego przedwojennego przyjaciela. Tak się złożyło, że siedział w ławce sam, więc czym prędzej, nie czekając na przydział, przysiadłem się do niego.

Z ciekawością zacząłem go wypytywać o szkołę. Rok szkolny już się przed kilkoma tygodniami zaczął, toteż Józio mógł mnie wtajemniczyć w zwyczaje panujące w niemieckiej szkole. Instruował mnie, oczywiście, po polsku, jako że niemiecki straszliwie kaleczyliśmy, i wątpliwe, byśmy się zrozumieli. Kara za tę śmiałość spotkała nas nader szybko, któryś z chłopców doniósł nauczycielowi, że mówimy po polsku, i niebawem Herr Professor Kapp wywołał nas do katedry, gdzie każdemu z nas wlepił trzciną na obie ręce po kilkanaście razy. Od tego dnia pilnowaliśmy się, zamknęliśmy się w sobie, a gdy mieliśmy sobie coś do powiedzenia, szukaliśmy ustronnego miejsca lub odkładaliśmy rozmowę na potem, w domowym zaciszu.

Chcąc jeszcze bardziej zniewolić mieszkańców Śląska i ostrzec ich przed konsekwencjami, na słupach reklamowych i na ścianach budynków pojawiły się afisze głoszące: „Wer polnisch spricht ist unser Feind!” („Kto mówi po polsku, jest naszym wrogiem!”). Jacyś śmiałkowicie zaczęli zaczerniać ostatnie słowo na plakacie, i jego treść mówiła wówczas, że kto mówi po polsku, jest nasz! Ta sprytna manipulacja sprawiła, że afisze zniknęły z ulic.

W ukryciu tętniła Polska

Płynęły lata, terror hitlerowski narastał, coraz więcej ludzi zsyłano do obozów koncentracyjnych, a przecież wciąż w Katowicach i na całym Śląsku, w setkach domów, aczkolwiek z zachowaniem ostrożności, mówiono niemal wyłącznie po polsku. Powszechne było wypożyczanie sobie polskich książek. Zacztywano je tak, że kartki ledwie się w oprawie trzymały.

Miałem kilku kolegów, z którymi szczególnie się żyłem. Nie zapomniaлиśmy, że płynie w nas polska krew. Nienawidziliśmy Niemców z całych naszych młodych serc, jednak publicznie okazywać tego nie mogliśmy. Mieszkaliśmy przecież w Katowicach, zwanych wtedy Kattowitz, otoczeni morzem hitlerowców, zalewani falami niemieczyny, które szybko i radykalnie usunęły z miasta wszystko, co polskie. Ale tylko z powierzchni życia stolicy Śląska, bo pod nią nadal tętniła w ukryciu Polska, najsroższy nawet terror nie wygnał prawdziwej ojczyzny z serc ludzi. Lecz nawet z powierzchni nigdy nie udało się niemieckiej władzy usunąć wszystkiego, co polskie: oparły się jej między innymi polskie orły umiesz-

czone pod okapem gmachu katowickiego urzędu wojewódzkiego, Niemcy uznali, że ich usunięcie byłoby za kosztowne. Wysadzili natomiast w powietrze nowy gmach Muzeum Śląskiego, ledwie co ukończony.

Ojciec prowadził w Katowicach duży sklep tekstylny, w budynku stojącym na rogu ulic Pocztovej 1 i 3 Maja, w którym także mieszkaliśmy, na ostatnim, trzecim piętrze. Interes prosperował znakomicie. Już kilka dni po wejściu Niemców do miasta pojawił się powiernik (Treuhänder), który przejął pod swój zarząd całą firmę, wraz z tekstyliami wypełniającymi po brzegi półki i magazyn. Jak mi później powiedział ojciec, ostatnia inwentaryzacja, przeprowadzona pod koniec półrocza, wykazała, że ich wartość przekraczała 200.000 złotych, co było w owych czasach znaczną sumą. Po zawładnięciu firmą, powiernik od razu zniemczył – na razie jeszcze pozostawione w dawnym kształcie – szyldy sklepu, Stanisław zwał się teraz na nim Stanislaus. Później szyldy usunięto.

Polak? Do pracy!

Po ukończeniu szkoły powszechnej, przeszedłem do gimnazjum przy ulicy Mickiewicza. Ale zbyt długo tam nauki nie pobierałem: któregoś dnia matka (zmuszona do ciężkiej pracy w kwaszarni kapusty) dostała list od jego dyrektora, by się do niego pofatygowała. Oświadczył jej, że jako Polak nie mogę chodzić do niemieckiego gimnazjum, i na tym, czego się dotąd nauczyłem, muszę poprzestać. To oznaczało, że byłem zobowiązany do podjęcia pracy. Dzięki przyjaciółce mamy, mającej znajomości w urzędzie pracy, miałem być Laufburschem (gońcem) w firmie spedycyjnej Ericha Kussmanna, mającej centralę w Gliwicach i jej filię w Katowicach przy ulicy 3 Maja. Moje zajęcie polegało na zanoszeniu korespondencji na pocztę oraz dostarczaniu listów prze-

wozowych do kantoru w magazynie znajdującym się na zapleczu dzisiejszej ulicy Sądowej.

W katowickim biurze firmy Kussmanna panowały dość rodzinne stosunki. Moim bezpośrednim szefem był Polak, Franciszek Mamok, bardzo życzliwie do mnie ustosunkowany. Nieraz w kątach pracownicy porozumiewali się po polsku. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek zaistniała jakaś sytuacja, która dałaby mi odczuć, że moi rodzice ani nie mają niemieckiego obywatelstwa, ani żadnej volkslisty, inaczej mówiąc – że jestem Polakiem (do końca okupacji mieliśmy kartki żywnościowe i odzieżowe oznaczone wielką literą „P”, co oznaczało, że mogliśmy kupić w sklepach znacznie mniej niż inni mieszkańcy Rzeszy). Nieraz znajdowałem nawet wolną chwilę, by zajść do domu, do którego miałem przecież niedaleko.

Czasem kantorek Kussmanna na stacji kolejowej wypełniali wszyscy pracownicy magazynu, by podyskutować. Wymianę opinii podgrzewał alkohol, rozwiązujący języki. Bywało, że miał on dobre pochodzenie, bo francuskie: wśród nadchodzących przesyłek znajdowały się także skrzynki nadawane przez członków Wehrmachtu, SS i Gestapo z jednostek okupujących Francję, zawierające butelki z winiakiem, koniakiem lub szampanem. „Przypadkowo” ulegały one w czasie transportu uszkodzeniu, kierownik kantoru sporządzał wtedy protokół, że w takim stanie nadeszły, i w ten sposób rodziła się okazja do wznoszenia toastów.

Tak miały miesiące, przynoszące stale złe wiadomości, bo Niemcy – jak sami to wciąż propagandowo wygrywali – zwyciężali na wszystkich frontach. Ale nas – mnie i moich kolegów – te wciąż podawane przez radio Sondermeldungi (komunikaty specjalne) o jakimś nowym ciosie zadawanym aliantom jeszcze bardziej zachęcały do działania. Nie znaleźmy wtedy w ogóle słowa „konspiracja”,



Sklep ojca w domu przy ul. Pocztovej 1. Miał dwa wejścia; od ul. 3 Maja (na zdjęciu) i od ul. Pocztovej. Na fotografii, zrobionej wkrótce po wejściu Niemców, widoczne są zmiany dokonane w szyldzie, Stanisław to teraz Stanislaus

ale w gruncie rzeczy to, co chcieliśmy robić miało odpowiadać jego znaczeniu. Wpierw zamarzyło się nam, że musimy stworzyć bazę wypadową. Postanowiliśmy więc zbudować bunkier, w naszej piwnicy, w domu przy ulicy Pocztowej 1. Chcieliśmy w niej wykopać głęboki dół, przykryć go deskami (w piwnicach było ich dość) i przysypać ziemią. Przystąpiliśmy do roboty z wielkim zapałem, ale już niebawem okazało się, że ten plan jest mrzonką. Po pierwsze dlatego, że nie wiedzieliśmy już, co robić z ziemią wydobywaną z coraz głębszego wykopu (wypełnialiśmy nią kubły na śmieci stojące na naszym podwórzu i w sąsiednich posesjach, ale przecież ich niezwykle ciężar musiał w końcu dać do myślenia pracownikom wywożącym śmieci), a po drugie dlatego, że w dole pojawiła się woda. Trzeba było z tego projektu zrezygnować. I myśleć coś innego.

Pomysł rzucił Stefan Przewłoka, zaraz też omówiliśmy jego szczegóły: będziemy odcinali słuchawki w kabinach telefonicznych na pocztę głównej przy ulicy Pocztowej! Uznaliśmy, że najlepiej będzie przystępować do niej we wczesnych godzinach rannych lub około południa, wtedy bowiem najmniej ludzi korzystało z kabin. Uzbrowiliśmy się w obcęgi, i ruszyliśmy do dzieła. Wcześniej ustaliliśmy, że ja wejść do kabiny, a Stefan będzie przed nią stał jako osoba czekająca w kolejce. Po odcięciu słuchawki miałem wyjść z kabiny i głośno oświadczyć, że telefon nie działa, co miało nakłonić ewentualnego innego stojącego za Stefanem rozmówcę do przejścia do innego aparatu. Wtedy mogliśmy spokojnie opuścić pocztę.

Ba! Wprawdzie przecwiczylem w domu operację na jakimś starym kawałku drutu, ale kabel łączący słuchawkę z aparatem telefonicznym był znacznie grubszy i stawiał opór! Wciąż mi się zdawało, że jedno mocniejsze ściśnięcie obcęgow wystarczy, tymczasem on wciąż się nie poddawał! Poza tym bałem się, że mnie „kopnie”, choć Stefan zaklinał się, że nic mi nie grozi, ale mu nie wierzyłem. Teraz jednak coś w kablu chrupnęło, ścisnąłem szczypcę jeszcze raz z całych sił, i nareszcie mogłem wcisnąć luźno już zwisającą słuchawkę pod pachę. Nic mnie nie „kopnęło”. Dobra, powiedziałam do Stefana wychodząc z kabiny. Nikogo za nim nie było, tylko w sąsiedniej kabinie jakiś mężczyzna był zajęty głośną rozmową. Jedne drzwi, drugie drzwi – i już byliśmy na ulicy Pocztowej. Odetchnęliśmy.

Skoro akcja przebiegała tak sprawnie, postanowiliśmy ją kontynuować. Odwiedziliśmy jeszcze kilka razy pocztę, i zawsze wychodziliśmy z niej bez szwanku z nowym trofeum. Od dalszych wizyt powstrzymały nas afisze, które któregoś dnia pojawiły się na kabinach telefonicznych. Obwieszczały



Niemiecka kartka odzieżowa matki, Władysławy. Nie wystarczyło nazwanie jej Spinnstoffkarte für Polen, dodatkowo oznakowano ją wielką literą „P”. Wszyscy mieliśmy takie same. Podobnie wyglądały nasze kartki żywnościowe, a to oznaczało, że mogliśmy kupować znacznie mniej produktów żywnościowych niż pozostali mieszkańcy miasta, a niektóre w ogóle nie były dla nas dostępne.

one dużymi czarnymi literami: ACHTUNG! TELEPHONMARDER! (UWAGA! ZŁODZIEJE TELEFONÓW!). Uznaliśmy to za sygnał ostrzegawczy: czas akcję zakończyć!

By uprzedzić Gestapo...

Ale już niedługo mogliśmy ze Stefanem stawiać czoła nowemu zadaniu. Któregoś dnia szliśmy od niego (mieszkał przy ulicy Kochanowskiego) w stronę Rynku. Kiedy już minęliśmy kino „Rialto” i weszliśmy pod most, nadjechał motocykl z przyczepką, z dwoma mężczyznami w zielonych mundurach. Przyczepka była wypełniona pakunkami. Nagle pod mostem, gdzie motocykl podskakiwał na kociach łbach, jedna z paczek wypadła z przyczepki, czego jednak ani prowadzący motocykl, ani jego towarzyszy nie zauważyli. Podbiegliśmy do paczki, i niby chcąc oddać zgubę, ru-

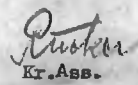
zyliśmy pędem za motocyklem jadącym w stronę ulicy św. Jana. Ale wcale takiego zamiaru nie mieliśmy: po drodze wpadliśmy do pierwszej otwartej bramy, i w niej zaraz sprawdziliśmy, co jest w paczce. Zawierała koperty z grubymi plikami dokumentów. Otworzyliśmy jedną i przyjrzeliliśmy się pobieżnie pierwszemu z brzegu dokumentowi. W nagłówku listownika widniał napis: GEHEIME STAATSPOLIZEI, a więc nadawcą było Gestapo. Z dalszej treści wynikało, że jest to list adresowany do jego placówki w terenie, z nakazem aresztowania wymienionej w nim osoby. Wróciliśmy do mieszkania Stefana, aby dokładnie obejrzeć zawartość kopert. Motocykliści jechali na pocztę, by powierzyć jej koperty zaadresowane do placówek policyjnych w Jaworznie i w Trzebini. Uznaliśmy, że skoro adresowane do nich listy są w naszych rękach, a zatem do adresatów nie dotrą, policja

nie będzie mogła wykonać rozkazu Gestapo. Więc jest jeszcze czas, by ostrzec tych ludzi, którzy mieli być aresztowani.

Nie namyślając się długo, postanowiliśmy pojechać do obu miast pod wskazane w listach adresy, by poinformować wymienione w gestapowskich listach osoby, jakie grozi im niebezpieczeństwo. Podzielił się tym zadaniem, Stefan ruszył w drogę z kilkoma adresami, ja - z kilkoma innymi. W żadnym domu nie zastaliśmy jednak owych mężczyzn, których nazwiska wymieniały nakazy aresztowania. Przyjmowały nas kobiety, żony, matki, może siostry. Mówiły, że ich mężowie, synowie czy bracia są w pracy. I wszystkie były bardzo zdziwione: cóż to za smarkacze przychodzą z takimi informacjami? Nie mogliśmy jednak wdawać się w dłuższe rozmowy, zrobiliśmy, co do nas należało...

Kilka tygodni wcześniej jednakże wpłataliśmy się w historię, która mogła przynieść fatalne skutki. Mieliśmy informacje o pewnej hitlerówce ze szczególną zaciętością zwalczającej Polaków. Wiedzieliśmy, że zajmuje samotnie lokal w oficynie przy ulicy Jordana, i że wyjechała na urlop. Postanowiliśmy to wykorzystać i zakraść się do jej mieszkania, by je zdemolować. Wpierw rozejrzeliśmy się po podwórzu prowadzącym do zamieszkałego przez nią piętrowego domu. Jego drzwi wejściowe były stale zamknięte, musieliśmy zatem zaopatrzyć się w większą liczbę kluczy i na wszelki wypadek także wytrych, potrzebnych również do sforsowania drzwi mieszkania. Wyszperaliśmy ich sporo w domowych szufladach. Wszystkie włożyłem do podręcznej torby.

Otwarcie drzwi wejściowych do domu nie nastąpiło większych trudności, miały zamek, który dałoby się odemknąć nawet byle drutem. Drzwi do znajdującego się na piętrze mieszkania stawały jednak większy opór - dobieraliśmy po kolei klucze, ale żaden nie pasował. Może wytrych spełni swe zadanie? W tym momencie usłyszeliśmy jednak, że ktoś wchodzi do domu. Zamarliśmy w bezruchu, wstrzymaliśmy oddech. Ten ktoś zaczął wchodzić na schody, i chyba nie był sam, bo do kogoś przemawiał. Co robić? Byliśmy w pułapce. Szybko wsunąłem torbę z kluczami do stojącej przy drzwiach beczki z piaskiem (takie pojemniki umieszczano obowiązkowo w klatkach schodowych, by było czym gasić pożar po ataku lotniczym), i tam ją nim przysypałem. Po chwili na półpiętrze pojawił się ów nieproszony gość, trzymający na smyczy psa, wilczura. - Co wy tu robicie? - zapytał. Okazało się, że był to dozorca posesji. - Chcemy odwiedzić panią... tu wymieniał nazwisko, którego już nie pamiętam. Oczywiście nie uwierzył nam, bo przecież dobrze wiedział, że drzwi wejściowe

Geheime Staatspolizei Stapostelle Kattowitz. II-C, B.Nr.1580/40/Rd.	Kattowitz, den 4.4.1940.
Unvorgeladen erscheint <u>Alfred Nowack</u> Kaufmannslehrling, geb.am 29.9.1924 in Ruda, Kreis Kattowitz, kath., ledig wohnhaft bei seinen Eltern, Ruda, Johannesstraße Nr.3/8 wohnhaft und führt bei der hiesigen Dienst- stelle über Auftrag seiner Dienstgeberin Wladislaw K u r l a s , wohnhaft in Kattowitz, Poststraße 1 einen Radioapparat, Marke "Philipps" Nr. 44 A, 15.218 ab, welcher vorläufig staatspolizeilich sichergestellt wurde.	
<div style="text-align: right;">  Kr. Ass. </div>	

Zaświadczenie z Gestapo datowane 4 kwietnia 1940 r., że oddaliśmy nasze radio marki „Philips”. Przekazał je na prośbę matki byłemu subiekci w firmie ojca. W pokwitowaniu zamieszczono uwagę, że aparat „został czasowo policyjnie „zabezpieczony”

były zamknięte, a zatem musieliśmy się do domu zakraść. - Idziemy - powiedział, zaprowadził nas do stróżówki i w niej zamknął. Po pewnym czasie dały się słyszeć odgłosy prowadzonej przez niego z kimś rozmowy, potem drzwi się otworzyły, i do środka weszło dwóch policjantów. - Kommt mit - powiedzieli, i zaprowadzili nas do gmachu prezydium policji przy budynku województwa. Tam, po wysłuchaniu ich raportu, zajął się nami jakiś dyżurny, który wpierw spisał nasze nazwiska, następnie kazał do protokołu opowiedzieć, co robiliśmy przy ulicy Jordana, potem każdemu nas wymierzył policzek, i kazał iść do domu, z zastrzeżeniem, że jeszcze się zobaczymy. Rzeczywiście, po pewnym czasie dotarli pod nasze adresy listy z wezwaniem na kolejne przesłuchanie. Zostaliśmy ponownie przesłuchani, przy czym nadal trwaliśmy przy naszej wersji, że chcieliśmy tylko właścicielkę mieszkania odwiedzić i ją poprosić, by nam wypożyczyła książki kryminalne, bo wiedzieliśmy, że lubi je czytać. Policjant wystukał nasze zeznania na maszynie, kazał potem protokół podpisać i posłał nas do domu. Kilka dni później u Stefana, w czasie jego nieobecności, pojawił się inny policjant, który chciał obejrzeć jego pokój. Siostra Stefana, rzecz jasna zdziwiona tą wizytą, zaprowadziła go do zajmowanej przez brata izdebki, ale on tylko zlustrował ją oczyma, i poszedł sobie.

Przesyłka z Berlina

Wiedzieliśmy, że nad naszymi głowami wisi groźba surowej kary, ale mijały tygodnie, i nic się nie działo. Wreszcie po kilku miesiącach przyszła zaadresowana do mnie paczka, aż z Berlina. Ze zdziwieniem obrałem ją w ręce, moje zdziwienie

wzrosło jeszcze bardziej, gdy przeczytałem odcisnięty na naklejce stempelem nadawcy: Jugendkriminalamt Berlin. To nie wróżyło nic dobrego: przesyłka od urzędu do spraw przestępczości młodzieżowej mogła tylko zapowiedzieć jakieś konsekwencje związane z naszą próbą włamania się do mieszkania hitlerówki. Pospieszenie rozerwałem opakowanie paczki. W środku znajdowała się... moja torba, którą zagrzebałem w beczce z piaskiem stojącej w klatce schodowej, z całą jej zawartością, z wszystkimi kluczami i wytrychem! I nic poza tym, żadnego pisma, żadnej informacji co do dalszych poczynąń władzy niemieckiej wobec dwóch młodocianych przestępców. Następstw, których teraz tym bardziej powinniśmy się spodziewać, bo przecież Niemcy, czego nie wiedzieliśmy, gdyż w czasie przesłuchań ani razu o tym dowodzie naszej winy nie mówiono, jednak go mieli!

Wciąż marzyłem o radiu, byłem bowiem ciekawy świata, i chciałem wyławiać z fal eteru wieści o tym, co się w nim dzieje, zwłaszcza na frontach. Powiesiłem nawet na ścianie wielką mapę Europy, wydaną przez Niemców w czasie, gdy zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie odnosili zwycięstwa. Dotąd wszystko szło im jak z płatka, ale teraz gazety zaczęły coraz częściej donosić o przeprowadzaniu tu i ówdzie „prostowaniu frontu”, o „wycofaniu” wojska na z góry zaplanowane pozycje. Przesuwane dotąd na mapie wciąż do przodu szpilki z kolorowymi łebkami, pokazujące, jak daleko dotarły już jednostki Wehrmachtu, teraz niemal codziennie musiałem przemieszczać w kierunku odwrotnym, co, rzecz jasna, zaczęło coraz mocniej budzić w mojej rodzinie przekonanie, że Polska jedna będzie istnieć. Ale mając radio miałbym większy i bezpośredni dostęp do wiadomo-

ści. Lecz cóż, Polakom nie wolno było posiadać radioodbiorników, ten, który mieliśmy przed wojną, musieliśmy na policji zdać - sam zaniósłem tam naszą superheterodynę „Philipsa”, na co otrzymałem poświadczenie. Zwierzyłem się znajomemu, że chciałbym mieć radio, obiecał, że mi je załatwi. Niemcy wówczas szeroko propagowali posiadanie radia, bo uważali, że jest ono najskuteczniejszą tubą propagandową, i wyprodukowali nawet popularny i tani odbiornik, nazywający się „Volksempfänger” („Radio ludowe”). I właśnie taki mi ów znajomy jakoś załatwił, kosztował 50 marek. Ale nie wiedziałem, że jest on tak skonstruowany, że umożliwiał jedynie łapanie stacji niemieckich. Ale to też było coś. Nie chcąc, aby było na widoku, włożyłem je do nocnego stolika, w którego tylnej ścianie wywierciłem otwór na kabel. Kiedy chciałem posłuchać, co nowego, otwierałem drzwiczki stolika i z jego wnętrza płynęły głosy lub dźwięki muzyki.

Tu mówi Londyn!

Niebawem odkryłem jednak cenną właściwość mego radia. Oto gdy ogłoszono alarm lotniczy - a działo się to coraz częściej - nie szedłem wraz z innymi pracownikami mojej firmy spedycyjnej do piwnicy, lecz biegłem do domu - jakoś w ogóle nie bałem się, że bomba spadnie na mój dom. Kiedyś przy takiej okazji otworzyłem radio i zacząłem kręcić gałkę skali. Niemieckie stacje milczały, ale jakieś głosy jednak płynęły z eteru. Wsluchałem się w nie, i nagle spiker powiedział po niemiecku, że mówi „Atlantiksender”. Nie znałem tej radiostacji, lecz gdy dotarły do mnie treści przekazywanych przez nią informacji, zorientowałem się, że musi ona nadawać z zagranicy. I tak rzeczywiście było: „Atlantiksender” miał swoje maszyny antenowe - o czym się później dowiedziałem - w Wielkiej Brytanii, lecz jego redaktorzy tego nie ujawniali, starali się wywrzeć wrażenie, że stacja jest usytuowana gdzieś w Niemczech lub na terenach przez nie okupowanych. Ale musiała szczególnie denerwować berliński reżim, gdyż wyciągała na światło dzienne rozmaite sprawy partyjnych funkcjonariuszy, ich nadużywanie władzy dla własnych korzyści, popełniane przez nich wykroczenia, które z racji zajmowanych przez nich stanowisk uchodziły im płazem.

Któregoś dnia podczas alarmu znowu kręcąc gałką radia, usłyszałem nieznanym mi sygnał: Bum, bum, bum, bum. A potem zapowiedź: Tu mówi Londyn! No i po raz pierwszy wysłuchałem wiadomości BBC w języku polskim! Teraz to już naprawdę pragnęłam, by amerykańskie i brytyjskie samoloty pojawiały się na śląskim niebie codziennie!

Faktem jednak jest, że bez jakiegokolwiek ze strony hitlerowców napaściwości czy szczególnych szykan przeżyliśmy w Katowicach z polskimi papierami całą okupację. Obok nas mieszkała żona polskiego oficera, kapitana Kazimierza Derezińskiego, internowanego w oflagu w Murnau, i także ona nie doznała żadnych represji. A przecież bądź co bądź zajmowaliśmy mieszkania w samym centrum Katowic, dość reprezentacyjne, w domu przy Rynku, przy ulicy Pocztowej nr 1. Jakoś nikt się na nie polakomiał. Owszem, przez kilka miesięcy mieliśmy sublokatora, przybyłego z Kluczborka z jakąś misją do Katowic partyjniaka, ze złotą odznaką partyjną w klapie, ale ów starszy już pan zachowywał się bardzo spokojnie, i wcale go nie raziło - a przecież musiał czasem to słyszeć - że rozmawiam z mamą po polsku. Czyżby o istnieniu naszego domu władze okupacyjne całkowicie zapomniały? Chyba nie, bo już na początku 1940 roku znikła rodzina mieszkającego pod nami dr. Bachmanna, mająca żydowskie korzenie. Nie wiedzieliśmy wówczas, co się z nią stało, ale potem zrozumieliśmy: wywieziono ją do obozu koncentracyjnego. Ich mieszkanie zajęły dwie starsze panie, dr Tiemer z córką. Z tego, co się od nich przy różnych okazjach dowiedziałem wynikało, że wpięć kiedyś mieszkali w Asconie w Szwajcarii, nad jeziorem Maggiore, gdzie młodsza z nich prowadziła hodowlę owczarków, potem przeniosły się na Łotwę czy do Estonii, by stamtąd, gdy Hitler nakazał, aby Niemcy ze Wschodu wrócili na terytorium Rzeszy, trafiły do Katowic. Były sympatyczne, znikły zaś pod koniec 1944 r.

Domoj!

Z początkiem stycznia już wiedzieliśmy, że wyzwolenie jest bliskie. Urzędy niemieckie już się ewakuowały, przez miasto przeciągały też wycofujące się na zachód jednostki Wehrmachtu. Któregoś dnia, gdy opuściliśmy dom, by odwiedzić chorującego znajomego rodziców, pana Czarnackiego, mieszkającego przy ulicy Pierackiego, i akurat w nią z ulicy Pocztowej skręciliśmy, pojawiły się nagle samochody wojskowe wypełnione żołnierzami, bacznie się rozglądającymi. Któryś z nich puścił w naszą stronę serię z karabinu maszynowego. Ojciec upadł, miał przestrzeloną nogę. Trzeba było szukać pomocy. Udało nam się sprowadzić lekarza, który wyjął kulę z ojcowskiej nogi, i opatrzył ranę. Na szczęście zagoiła się szybko.

21 stycznia 1945 r. do Katowic wkroczyły wojska Armii Sowieckiej. Niektóre jednostki tylko przejechały przez miasto, goniąc uciekających żołnierzy niemieckich, inne zatrzymały się. Ich żołnierze zaczęli przeszukiwać

sklepy i wynosić z nich, co się dało. Ponieważ przerwana została dostawa energii elektrycznej, wchodzili do sklepów ze świecami lub zapalonymi, napędce przygotowanymi pochodniami. W ten sposób wzniciли pożary w kilku domach przy ulicy Pocztowej, między innymi w narożnym domu, w którym był sklep firmy obuwniczej „Delka”. Spłonęły, bo straż pożarna nie funkcjonowała. W zgłiszcza zamieniły się domy sąsiadujące z naszym, a także stojący po przeciwnej stronie ulicy magistrat (w nim brał przed wojną ślub Jan Kiepura, przed budynkiem zgromadziły się wiwatujące tłumy, i gdy tenor wyszedł z Marthą Eggert, nakłoniły go, by coś zaśpiewał. Zrobił to bez wahania, a ja wszystko obserwowałem z okien mego pokoju). Po wojnie ich nie odbudowano, a te, które się ostały, między innymi nasz, rozebrano - dziś na jego miejscu jest placyk przed Domem Prasy.

Z tych czasów pozostało mi w pamięci wiele spotkań z czerwonoarmistami. Były wśród nich także i takie, które mogły się źle skończyć. Oto, na przykład, wkrótce po ich wejściu, brat naszej sąsiadki, Janusz Karaszkiewicz, zaproponował, abymy dołączyli do wyzwolicieli miasta, i wraz z nimi je patrolowali. Założyliśmy sobie na kurtki białe-czerwone opaski, i wyszliśmy na ulice. W jakiejś bramie zdobyliśmy łup: jacyś żołnierze Wehrmachtu zostawili tam karabiny. Wzięliśmy je, i zawiesiwszy na ramieniu, wyruszyliśmy na obchód miasta. Nie trwał długo: już na ulicy Pierackiego, tuż przy kinie Casino, zatrzymali nas gwardieje, kazali oddać broń i... pójść do domu!

Kolejne z nimi spotkanie wydarzyło się kilkanaście dni później. Szedłem wtedy z ojcem ulicą Zamkową, i tam, przy tzw. Dworze Marii (dziś już to gospodarstwo nie istnieje, na jego miejscu znajduje się, mniej więcej, Hala Widowisko-Sportowa), natknęliśmy się na sowiecki patrol. Trzymając nas pod lufą, zaprowadzili nas właśnie do Dworu. Tam czekała ciężarówka, na której już było kilka osób. Po chwili ruszyła, w stronę dworca. No to już po nas, powiedział ojciec, pewnie nas gdzieś wywieją, co było możliwe, bo słyszeliśmy już, że ludzie ze Śląska wysyłano na Wschód. Na dworcu podwieziono nas pod stojące tam wagony towarowe. To jeszcze bardziej uprawdopodobniło, co nas czeka. Tymczasem nie: dano nam widły i łopaty, kazano z wagonów wyładować ziemniaki, i wrzucić je do skrzyń czekających ciężarówek. Trwało to wiele godzin, czasem pozwalano nam odpocząć. Wreszcie uporaliśmy się z tą robotą, łamiąc sobie przy końcu coraz bardziej głowy, co będzie dalej. - Domoj! - krzyknął jakiś ruski żołnierz. Nie zwlekaliśmy z wykonaniem tego rozkazu..



Lipińskie chopiony (foto: Z książki Grzegorza Stachaka pt. „O tym, jak chopiony na Lipiny powróciły”)

Człowiek, który zatrzymał zegary

KRZYSZTOF
KARWAT

Typowe familoki. Odrapane mury. Zaniedbane i zatopione w błocie podwórka, na których bawią się umorusane dzieciaki. Wokół woń ubóstwa i beznadziei. Lipiny, 200-letnia osada robotnicza, umierają. A może jednak nie, skoro z tego krajobrazu daje się wyłowić kogoś takiego jak Grzegorz Stachak? Człowieka, który wielu miejscowym przywrócił godność i dumę. Na przekór temu, co na zewnątrz. Na przekór biedzie i bezrobociu.

Niełatwo tu trafić, nawet gdy zna się adres. Zresztą to nie jest miejsce, które można by odwiedzać, choć w malutkim mieszkanku ulokowało się osobliwe muzeum etnograficzne. A może raczej kapliczka, skoro z takim nabożeństwem przetrzymywane są tu te wszystkie eksponaty. W szafach i szafkach, w licznych walizkach i walizeczkach kryją się pachnące naftaliną stare śląskie stroje. Zdawałoby się - nikomu już niepotrzebne „łachy”. Dzieśiątki, setki jakli, kecek, purpurek, szpigłów, kabotków, galanów, szalutuchów, spodnic, szlajfek, wierzchni i Bóg wie jeszcze czego. Wszystkie wyprasowane, znaczy się - „wybi-

glowane”. Wykrochmalone, czyściutkie. Jak nowe. Są tu drogie chińskie jedwabie, ale i tańsze materiały, te używane na co dzień, na „beztydzień”. Niektóre pamiętają czasy cesarza Wilusia. Inne są sprzed II wojny i trzeba je było z niemieckiego Bytomia na polski Śląsk szmuglować, bo na tamtejszym Rynku był najlepszy i najtańszy skład. Jeszcze inne - zostały dopiero teraz, po tylu latach, wydobyte, „wycyganione” bądź wyblągane z cudzych szaf i wielkim wysiłkiem zrekonstruowane.

Stroje pochodzą z Lipin i Chropaczowa, obecnych dzielnic Świętochłowic, z sąsiednich Łagiewnik

i Goduli, z Dąbrówki Wielkiej, Piekar i okolic. Na co dzień i od święta przywdziewały je chłopianki (albo raczej: chopiony), czyli kobiety noszące się tradycyjnie, „po chłopsku”.

A prawdziwych chopionek już nie ma. A może jeszcze kilka z nich żyje? Grzegorz Stachak zastanawia się przez chwilę. Tak, on zna je wszystkie. Wylicza na palcach jednej ręki. Niektóre nie wychodzą już z domów. Bo mają po 80, 90 i więcej lat. On w ciągu ostatnich dziesięciu lat zdążył jeszcze z nimi porozmawiać, „połosprawiać”, pożartować. Zaprzyjaźnić się. W ten sposób nabył wiedzę (i zbudował kolekcję), jakiej nie powstydziłby się nawet najlepszy zawodowy etnograf.

Jaki jednak ma sens w dobie komputerów i dyktatury już nie tylko wielkich domów mody, bo i hipermarketów, składać w szafach „chłopskie łachy”? Czy nie należałoby tych strojów po prostu zamknąć w gablotach muzealnych i pozostawić bada-

czom kultury plebejskiej? Tam jednak byłyby martwe. Wiadomo - eksponatów w prawdziwych muzeach dotykać nie wolno. Na całym świecie informują o tym stosowne tabliczki. Tutaj, na pięterku tego ledwo jeszcze stojącego lipińskiego familoła, te stroje nie tylko można, ale i trzeba dotykać. Ba, trzeba je zakładać! Bo to nie jest muzeum, a Stachak nie jest hobbystą. Ten niespełna 40-letni człowiek postanowił zatrzymać czas.

Ale Stachak nie jest zegarmistrzem, choć tak skutecznie zatrzymuje czas. Stachak jest listonoszem. Inna rzecz, że zawód, jaki wykonuje lub mógłby wykonywać, nie ma tu nic do rzeczy. Jego życie i tak całkowicie podporządkowane zostało chopionkom, choć ich już przecież nie ma. Czyżby? Może jednak są?

- *To o keryj mom dzisiej przijść?* - kilkunastoletnie dziewczę, zapewne w drodze do szkoły, niespodziewanie zapukało do drzwi Grzegorza, przerywając nam rozmowę.

- *Wiysz, Ewka, bydź już o wpół do czwartyj* - Stachak przepraszając patrzy w moją stronę, wyjaśniając, że ze swoją grupą właśnie wybiera się do Starego Chorzowa na jakąś parafialną uroczystość. No i trzeba się będzie pozbierać, przygotować.

Tak, to jedna ze współczesnych lipińskich chopionek przeszkodziła nam w rozmowie. Więc jednak są? To jasne, że i ona, i o wiele od niej starsze świętochłowickie chopionki na co dzień noszą się „po pańsku”.

I tego już nikt i nic nie zmieni. Nie trzeba wojny, nie trzeba komunizmu. I bez nich świat się zmienił. Tym bardziej zdumiewa, że Stachak zdołał odbudować tradycję noszenia „chłopskich łachów”, wpisać ją w porządek liturgiczny (i społeczny) lipińskiej parafii. A robi to bez pieniędzy, licząc jedynie na bezinteresowną pomoc dziesiątek dziewczyn i kobiet, które zdołał przekonać, że warto szanować tradycje ojców.

Uroczystości Bożego Ciała czy siepińowy odpust na św. Augustyna, pielgrzymki do Świętej Anny i do szczególnie ukochanych przez Stachaka Piekars Śląskich - oto najważniejsze daty, których znaczenie sprawia, że owe imponujące zbiory śląskich strojów wychodzą z lipińskich szaf. I ożywają. Także podczas Śląskich Godów i innych tego typu imprez czy pokazów, których scenariusze Stachak sam układa, choć jego grupa była, jest i będzie nieformalna. Tu się nikomu nie płaci ani od nikogo zapłaty nie żąda. Nie ma statutu, nie ma instytucji.

Kilkakrotnie pytam więc Stachaka, po co to wszystko robi, a on mi na to, że telewizja, kino domowe, komputery i inne bajery jakoś go nie pociągają. A pieniądze to też nie wszystko. Coś tam jeszcze gada, że nigdy nie wyjechałby z Górnego Śląska, bo tu są groby jego przodków. Że ta ziemia jest użyźniona pracą i duchowością tych, którzy byli tu przed nami. Słowa poważne miesza jednak ciągle z żartami i anegdotami.

Nie daję za wygraną. Pytam raz jeszcze, bo wiem że tak zwani społecznicy już dawno wymarli, jeśli w ogóle kiedykolwiek chodzili po tym ziemskim padole leż.

- *Czymś trzeba wypełnić czas w oczekiwaniu na Niebo* - powiada w końcu Stachak.

I już wiem, że taka odpowiedź musi mi wystarczyć.

KRZYSZTOF KARWAT

Elementy stroju chopionki

galanda - wianek spleciony z suchych kwiatów, upstrzony szklanymi błyskotkami

jakła - kobiecey kaftan

kabotek - biała płócienna bluzka

kecka - spódnica

paciorki - sznur sztucznych koralików

prawo korale - ozdobny sznur wykonany ze szlachetnych czerwonokamieni

purpura (żurok) - płócienna chusta noszona przez mężatki

spodnica - biała płócienna halka

szaltucha - rodzaj chusty

szlajfa - zdobna wstążka

szpigiel - rodzaj długiej chusty, sięgającej prawie do ziemi

wierzchni - zdobna kobieca kamizelka

zapaska - fartuch codzienny



W pierwszych dniach lipca wstrząsnęło naszym krajem porażające pytanie: rety! ...lecz z czego będą żyli nasi właśnie co wybrani eurodeputowani, chwalebni reprezentanci narodu w Brukseli i Strasburgu w liczbie 54?... Okazało się nagle - ku zbiorowemu przerażeniu! - że Sejm zapomniał przygotować zabezpieczającą ich byt ustawę. Przecoczenie o tyle zaskakujące, że akurat wcale liczna drużyna złożona z aktualnych posłów i senatorów zajęta była od dłuższego czasu głównie przeniesieniem swoich dostojnych jestestw z ław swojskich na Wileńskiej - w 54 przestronne fotele osobistego superbezpieczeństwa, które gwarantują 5 lat bytowania w sytości i chwale.

Szczególnie zapobiegliwi okazali się jednak ludowcy, którzy wyprawili tam, jak do biblijnej arki, swoich czołowych wybrańców. Rzecz w tym, iż krzepka PSL balansuje coraz bardziej na chybotałiwej granicy progu wyborczego: ± 5 procent zmiennego poparcia. Jeśli teraz nadgorliwi ludowcy w neofickim opocyjnym radykalizmie usiłują przebić nawet bezkompromisową Samoobronę, nie są jednak w stanie zaprzeczyć, że w odróżnieniu od krewkich lepperowców, którzy przecież nigdy jeszcze nie dorwali się do sutego koryta władzy, akurat w PSL-u roi się od byłych dygnitarzy wysokiego i najwyższego szczebla. Partia reprezentantów ufnych kmieci miała wszak już i swego premiera, kilku wicepremierów, nie licząc pękatej wiązki ministrów, podsekretarzy stanu a także wojewodów. Niektórzy z dygnitarzy reprezentujących polityczne barwy w kolorze 3-majowej trawki popisali się aż tak szokującą zaradnością życiową, że trzeba ich było wykopać z wielkim hukiem. To, chociaż nie tylko to, dotarło w końcu i do elektoratu z piastowskich prakorzeni, który stopniał ostatnio do granicy politycznego bezpieczeństwa i odstąpił od wodzów tych, co to „żywią i bronią”.

Jak przetrwać, by zebrać się w kupę, wykorzystując wieczny polski zamęt? Dlatego też przezorni ludowcy uznali wybory do europarlamentu jako historyczną okazję, aby tam, w Brukseli i Strasburgu, w chwale męczenników polskich racji, strzec narodowego interesu nie bacząc na europokusy. Właśnie dlatego do dziejowej licytacji wyborczej stanęło ich tak wielu, choć mało który po cel sięgnął. Łącznie czterech, lecz za to kto?... Cała aktualna czołówka po ostatnim przewrocie, gdy padł sponiewierany Jaruś Kalinowski. Są więc tedy w owej czwórce: szef poselskiego klubu PSL, były minister i wojewoda Zbigniew Kuźmiuk; jest Czesław Siekierski, dotąd poseł, wcześniej wiceminister rolnictwa; jest Zdzisław Podkański, poseł i wiceszef stronnictwa, wcześniej minister kultury; no i jest przede wszystkim aktualny wódz ludowców Janusz Wojciechowski, dotąd wice-marszałek Sejmu, były szef NIK-u, który kierować będzie teraz partią ludu polskiego bezpośrednio z Brukseli i Strasburga, mając na miejscu przybocznych liderów. Co jak co, ale tego jeszcze nie było, nie licząc lat zaborów, gdy przywódcy narodu kierowali nim wprost z Paryża.

Choć jest ich w Europarlamencie z łona PSL-u jedynie czterech - za to kto? Żadne ugrupowanie nie ma tam aż tak mocnego składu. Po prostu kość z kości, krew z krwi i mózg z mózgu. Sama liczba też



Euroviagra

ma swoje znaczenie. Przecież dobry chłopski wóz ma zawsze cztery koła, cztery nogi ma stół, no i wszystko co w zagroździe przystokopytne: koń, krowa, owce, kozy, świnia... Jak z tego widać jest to „czwórka” symboliczna.

Wybory do europarlamentu - co partia czy koalicja - miały swe wyraziste rysy. Nie brakowało też zapalnych napięć a nawet wysoce dramatycznych aktów. I tak pod pręgierzem znalazł się nie jeden odczytany kandydat, gdy rozpoczęło się publiczne prześwietlanie sekretnych rewirów biografii. Oczywiście jak zawsze wywinął się z niebywałą zręcznością czołowy poseł PO, były prezydent Warszawy, Paweł Piskorski, bon vivant elitarnych salonów, którego znów szarpano o zawiłą tajemnicę zdobycia sporej fortuny. Nie wszystkim udało się wykreślić z równym skutkiem. Wielu kandydatów zapłatało się w sieci własnych oświadczeń, jak owa bizneswoman z Bydgoszczy, była radna AWS-u Małgorzata Sadowska, oskarżona o udział w aferze korupcyjnej, która znalazła się na liście Samoobrony ku swej zgubie, gdyż wnet pociekl smród na kraj cały. Przy okazji został ujawniony cennik za miejsce na liście wyborczej dostępny ochoczym kandydatom z sutą kiesą, co dowodzi w jak wysokiej cenie był już sam start wyborczy.

Przebiecie się do Europarlamentu to poza wszystkim 5 lat dostatniego bytu i obijania się po salonach. Dla większości 732 europosłów, obecnie z 25 krajów, bez względu na przekonania i polityczne barwy są to złote dni życia. Bruksela i Strasburg to lukratywne, bezpieczne wyspy wyłączone z rzeczywistości ziemskiego padolu. Urzędników unijnych, czyli zawodowych eurokratów, jest już obecnie 34 tysiące z roczną pensją średnią na poziomie 110 tys. euro. Ich zawodowych interesów strzeże wpływowy a nieustępliwy związek Union Syndicate. Na liście twardej, niezbywalnych przywilejów, znalazł się nawet przydział viagry z 85. procentową zniżką. A chyba akurat nie te tabletki służą do wybuchowej aktywizacji dyspozycji intelektualnych, czy spotęgowania epokowych inspiracji w służbie zjednoczonej Europy.

Być eurodeputowanym oznacza wymierne mienie. W przypadku reprezentanta III RP będzie to aktualnie pensja równa uposażeniu krajowego posła (tylż otrzymują podsekretarze stanu), czyli licząc w narodowej walucie - 9250 złotych. Kwota ta stanowi jednak tylko część apanaży. Za każdy dzień pobytu w Brukseli czy Strasburgu dieta wynosi 262 euro. Dochodzi 3700 euro miesięcznie na prowadzenie biura. Dochodzą ryczałty na taksówki i opłaty za przeloty samolotowe klasą biznes bez względu na rzeczywiste wydatki. Europoseł ma też do dyspozycji 12,5 tys. euro miesięcznie na opłacenie

asystentów i zakup sprzętu. Ma także inne liczne przywileje, w tym i 6 tys. euro rocznie na kursy językowe. Toteż taki Bogdan Pęk, zapiekły Savonarola ojczystego parlamentu, który choć nie zna żadnego obcego języka (tako rzecze prof. Maciej Giertych reprezentujący tam również LPR) po 5 latach pełnienia narodowej służby w Brukseli i Strasburgu, może wrócić jako płomienny poliglota. Co jednak ów B. Pęk będzie tam robił skutecznie przez ten czas, w końcu zootechnik z wykształcenia, przewidzieć trudno. A może porwie cyniczny europarlament wygłaszając bezkompromisowe oskarżenia Unii Europejskiej w natchnionym języku Radia Maryja!

Wiele więc jest zasadniczych powodów, że nawet bezwzględni eurokontestatorzy zdecydowali się wejść do Europarlamentu i wypełnić dziejową misję. Jak wielka była to czasami pokusa świadczy decyzja kandydowania senator Grażyny Staniszwskiej, akurat europromagatorki, która jako niezłomna rzeczniczka Podbeskidzia przemogła swą nieprzejechaną niechęć do katowickiej części województwa śląskiego i zawiśla jakby nigdy nie na gigantycznych bilbordach w ponurych miastach schamalego GOP-u. A może uda jej się, właśnie stamtąd, doprowadzić do „upodmiotowienia Podbeskidzia jako samodzielnej jednostki administracyjnej”?

W niewyobrażalnym rozgardiaszu przedwyborczym, gdy nie było pewne czy obecny nasz parlament doczeka końca wiosny, nawet aktualni posłowie i senatorowie ubiegający się o miejsce w europarlamencie zapomnieli, jak widać, o zapewnieniu sobie bezpiecznego bytu w nowej roli. Na szczęście w trybie najwyższego zagrożenia państwa tym razem w niewiele dni została przygotowana i uchwalona ustawa gwarantująca odpowiednie pensje i niezbędne apanaże naszym eurodeputowanym. Inna rzecz, iż nie gwarantuje ona uposażeń na godnym najwyższych ambicji poziomie. Co prawda są nieco wyższe niż na przykład w Czechach, lecz bez porównania niższe niż w Italii, Austrii, Francji, Holandii, Szwecji, Anglii i w Niemczech. Oby tylko nie spowodowało to trwałych urazów na tle kompleksu niższej wartości, skoro w tejsze Europie zawsze byliśmy - i to jeszcze kim!

W tym samym czasie gdy trwała kampania do Europarlamentu niektóre ugrupowania, wykorzystując kryzys rządowy, zdecydowanie potwierdziły, że gotują się do przejęcia władzy. I tak w atmosferze sporów i zamętu dwie najślawniejsze posłanki walecznej Samoobrony: Renata Beger (oskarżona przez prokuraturę o fałszowanie list wyborczych) oraz Danuta Hojarska (oskarżona o nadużycia finansowe i wyłudzenia kredytów) przystąpiły 13 maja w Szczecinie do matury w szkołach dla dorosłych unikając tym razem rozgłosu. Stopnie osiągnęły co prawda mizerne, za to reprezentują niewątpliwie zdecydowaną przewagę praktyki życiowej nad teorią. A teraz już myślamy o studiach zaocznych, by godzić je z pełnieniem wysokich funkcji rządowych po dojściu Samoobrony do władzy. Co by nie sądzić, lecz sprawy polskie, jak widać, rozstrzygają się jednak na gruncie ziemi ojczystej. I całe szczęście!

ANECDOTY

HENRYK BZDOK



Antoni Halor, reżyser filmowy i artysta plastyk, a także człowiek parający się piórem, w dawno minionych latach przebywał nad morzem w niekoniecznie wypoczynkowych celach.

W jego zamierzeniu było przejście plażą od Międzyzdroi do Łeby lub nawet dalej w swoim przydługim czarnym swetrze, w którym podobno ostatnio znowu go widziano.

Były to czasy kiedy plaże były dość puste bardzo wczesnym latem. Minał Kołobrzeg, Ustronie Morskie zmierzając do Mielna, idąc analizował pejzaż z refleksami słońca na falach komponując obrazy i rozmyślał nad scenariuszem filmu „Kredens i człowiek”, który zaraz potem nakręcił Polański pod nieco zmienionym tytułem. Szedł już bardzo długo - Samotny Czarny Halor, nie dostrzegał nic co się poruszało poza falami, w końcu dostrzegł daaaaleko na plaży mały punkcik... Dawno nie widząc człowieka zapragnął bardzo by był nim ów już nieco większy punkt.

Długo jeszcze dreptał i już prawie zmierzchało gdy spotkał się Toni z Człowiekiem, jakież było zdziwienie umęczonego wędrowca gdy w człowieku rozpoznał Sławka Kukulskiego kolegę z roku na ASP. Radości było co nie miara, stali, rozmawiali, tak długo gadali aż zrobiło się ciemno.

Czas było iść dalej. I poszli, każdy w swoją stronę.

Jakież było zaskoczenie Antoniego gdy dotarł do miejsca z którego wyszedł, kręcąc się w kółko złą bowiem obrał marszrutę i po wtórnie pokonał swoje trasy.

Po latach wielu Antoni Halor zmęczony filmem wrócił do plastyki. Byłem na jego vernisażu, galeria wypełniona była obrazami jednotematycznymi, które przedstawiały zachód słońca nad morzem.

– Fajne powiedziałem - ale czemu same zachody słońca?

– He, he, he – rzekł Toni – nie wszystkie, połowa to wschody słońca inspirowane w drodze powrotnej.



PODKOPKI

DWUWIERSZE

KRYSTIAN PRYNDA

Choć uchodził z bankiera,
Miał na koncie same zera.

* * *

Nie rozbieraj mnie tylko wzrokiem,
Zerwij szatki i bądź wreszcie chłopem.

* * *

Niektórym jej kolegom śniła się po nocach,
Zwłaszcza, że ma kurwiki w oczach.

* * *

Wśród kart - ta najważniejsza: atu.
Jest dziś karta do bankomatu.

* * *

Wzgardzona przez żarówkę świeca
Nadal awaryjnie w potrzebie przyświeca.

CZESŁAW CZAİKA

1. **Wywyższenie**
Najlepiej iść śladem mistrza,
by się móc wywyższać.
2. **Aleksandrowi K.**
Po co dalej trzymać wodze,
skoro dawno po załodze.
3. **Sensacja**
Wystarczy zdjąć kreację,
by wzbudzić sensację.
4. **Ucho**
Kto kiedyś był „ucho”,
temu dzisiaj idzie krucho.
5. **Krzywe zwierciadło**
Nie każde lustro
czyni z nas bóstwo.
6. **Sposób na dobre rządy**
Po rządach nie będzie gruzów,
gdy im nie damy luzu.



Rys. Ryszard Twardoch

Drugiego lipca wybrałem się do galerii „Akwarela” w katowickim Pałacu Młodzieży na wystawę prac Elżbiety Jankowskiej-Kabiesz. Trochę dziwił mnie termin otwarcia tej ekspozycji, bo to już jednak nieco po sezonie. Znam Elę jako „panią od plastyki”, prowadzącą zajęcia z rysunku i malarstwa w pałacowej pracowni, bardzo zaangażowaną w swoją pracę (nauczyciel to nie etat, to pasja). Dlaczego więc wybrano czas, kiedy większość jej podopiecznych już powinna wyjechać w góry albo nad morze? Czyżby autorka chciała uniknąć pokazania swoich obrazków tym, których na co dzień krytykuje i którym wystawia cenzurki? Przyczyna wyboru takiej właśnie daty wernisażu była jednak całkiem prozaiczna i pozbawiona „drugiego dna”. Po prostu mała galeria „Akwarela” ma już taką renomę (poza „zawodowymi” plastykami i fotografikami pokazywali tu swoje dokonania w tych dziedzinach np. Janusz Gajos i Kora Jackowska), że trudno znaleźć jakiś wolny termin.

Droga twórcza Eli nie odbiega od typowych szlaków absolwentów wyższych szkół plastycznych. Euforia dyplomu, udział w zbiorówce absolwentów, potem – samo życie: typowe prace „dla chleba”, projekty sygnowane na urzędnicze potrzeby tytułem „magister”. Wreszcie – wspomniana już praca z dziećmi, absorbująca, wypełniająca czas, dająca jednak ogromną satysfakcję. Okazało się, że można po tym wszystkim wrócić do sztalgów. Zwłaszcza jeśli ma się jakiś dodatkowy bodziec do „powrotu do przeszłości”. Ela przyznaje, że to jej córka, która wybrała sobie studia plastyczne, zachęciła ją tym samym do malowania.

Ekspozycja w „Akwareli” składała się z dwóch części. Pierwsza to obrazy olejne, intensywne w kolorze, chciałyby się powiedzieć – dynamiczne, choć te najciekawsze prace przedstawiają Cieszyn, precyzyjnie zaś – jego pełną uroku architekturę, czyli temat raczej nie kojarzący się z ruchem. Drugą część wystawy stanowiły całkiem odmienne od malarstwa grafiki komputerowe (Ela dwa lata temu ukończyła związane z tą nową techniką twórczą podyplomowe studia w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Śląskiego). To subtelne, wyciszone w kolorystyce, nastrojowe prace. Ciekawe, że autorka sięgnęła po nowoczesne narzędzie nie dla wyrażenia dzisiejszego, niespokojnego, rozpedzonego świata, ale po to, żeby od niego uciec w miniony czas subtelnych dam, delikatnych roślinnych ornamentów, jakichś emocji, najlepiej dających się określić słowem „pastelowe”.

Wernisaż z dziećmi w tle

Wernisaż dość szybko przestał być tylko spotkaniem ze sztuką, bo wśród gości byli też rodzice z dziećmi z pracowni, w związku z tym do głosu doszła „Ela nr 2”, czyli nauczycielka malowania, szefowa pracowni, w której jej podopieczni uczą się patrzeć na świat, opisywać go kolorami i, co może najważniejsze, wyrażać w tym opisie swoje uczucia, radości, tęsknoty. Informacje, konkrety, tzw. sprawy bieżące, jakie się pojawiły w tym momencie a także podczas późniejszej rozmowy z Elą, jej kolegą z sąsiedniej pracowni Leszkiem Molendą i dyrektorem Pałacu Młodzieży Janem Kulbickim uzmysłowiły mi, jak ogromną pracę wykonują i jak ważną misję nie tylko pracownicy tej placówki, ale także ci wszyscy instruktorzy „od plastyki”, „od muzyki”, „od teatru” z domów kultury, różnych ognisk czy osiedlowych klubów.

Tylko na zajęcia plastyczne (jest tu malarstwo, rysunek, grafika, rzeźba i ceramika) przychodzi do Pałacu Młodzieży ponad pół tysiąca dzieci rocznie. Są wśród nich wybitnie uzdolnione, te które zdobywają medale w „Shankar’s International Children’s Competition” w Indiach, w japońskim „Międzynarodowym Konkursie Twórczości Dzieci i Młodzieży”, w innych, podobnych konkursach we Francji, Czechach, Macedonii a także w Polsce. Miło się po latach pochwalić, że to właśnie w pałacowych pracowniach zaczynali Renata Bonczar, czy Edward Josefowski. Przyjemnie stwierdzić, że wychowankowie zdają do gimnazjów i liceów plastycznych albo studiują na Akademii. Ale poza talentami przychodzi tu też najzwyczajniejsze dzieci, bo cieszy je malowanie i spotkania w pracowni, która nie ma nic wspólnego ze szkolną klasą, bo tu można rozmawiać o wszystkim. Do Pałacu i innych podobnych placówek trafiają także dziewczynki i chłopcy z rodzin bezrobotnych, biednych, patologicznych. Dowiadują się tam nie tylko tego, jak mieszać farby, ale rzeczy najbardziej istotnej – życie może być inne od ich smutnej co-

dzienności. „Korytarzowa galeria”, w której zawiśnie na chwilę rysunek podpisany ich imieniem i nazwiskiem jest może nawet ważniejsza niż nagrody w konkursach, bo dla tych dzieci to jest dowód, że one też są ważne, że mogą zrobić coś, co zasługuje na uwagę i szacunek, przecież nie bez powodu wybrano ich pracę i wyeksponowano w miejscu, gdzie „wszyscy” ją mogą oglądać.

Poza stałymi spotkaniami w pracowniach dzieci i młodzież (w zajęciach uczestniczą przed-szkolne kilkulatki, uczniowie podstawówek, gimnazjów i liceów, zdarrzają się nawet dwudziestolatki) mają możliwość uczestniczenia w obozowych plenerach, organizowanych w różnych miejscach warsztatach twórczych, wycieczkach do galerii i muzeów. We wszystkie te inicjatywy angażują się nauczyciele plastyki z Pałacu. Zapewne podobnie wygląda praca działów związanych z innymi dziedzinami sztuki (muzyka, literatura), ale także kół naukowych oraz sportowych sekcji. Jest to wysiłek rzeczywisty zasługujący na wielkie uznanie a przecież na co dzień trochę mało zauważany, więc dobrze się stało, że wystawa plastyczna dała okazję także do ogólniejszych przemyśleń.

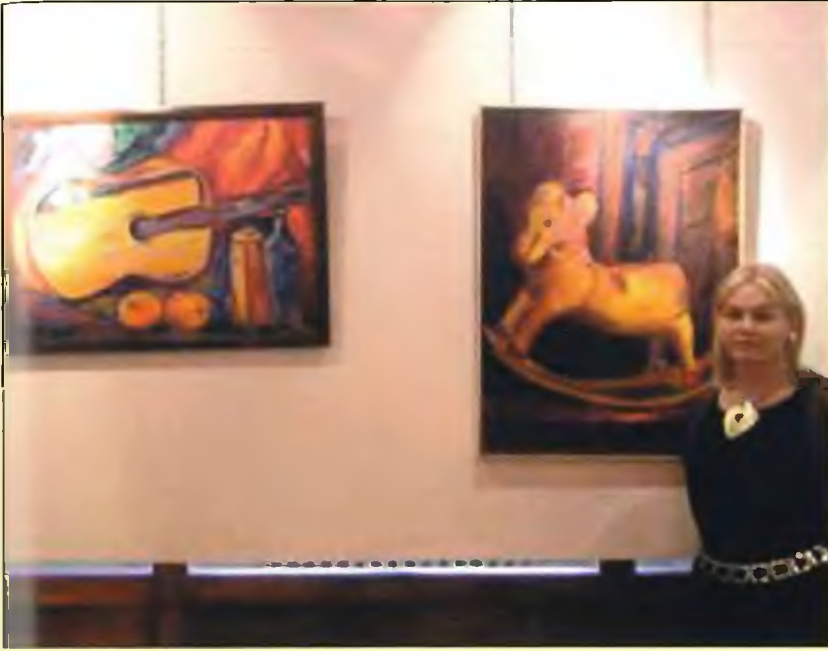
Pałac Młodzieży żyje i ma się dobrze – to pocieszająca konstatacja. Jednak wiele innych placówek padło już ofiarą „niewidzialnej ręki rynku”. Nie wiem, czy są jakieś statystyki zawierające dane na temat likwidacji zakładowych domów kultury. Mógłbym co najwyżej podać znane mi przykłady. Zagrożone firmy najpierw przestają płacić „na kulturę”. Biedne samorządy też na niej oszczędzają. Niektóre placówki próbują więc szukać ratunku w komercjalizacji. Wynajmują pomieszczenia na różne „prezentacje” produktów, handlowe giełdy i promocje, odstępują pokoje spółkom, wprowadzają opłaty za zajęcia, zastępując np. deficytową naukę lino-rytnictwa całkiem opłacalną gimnastyką odchudzającą. A to oznacza, że praktycznie zamykają dzieciom z biedniejszych rodzin dostęp do kultury, że pozbawiają je szansy na rozwój. Dyrektor Pałacu Młodzieży skomentował to krótko:

– Niemcy mówią: będziemy dopłacać do domów kultury, bo to wychodzi taniej niż budowa i utrzymywanie więzień.

JAROSŁAW STARZYK

Pałac Młodzieży, Galeria „Akwarela”,
Wystawa obrazów i grafik Elżbiety Jankowskiej-Kabiesz.

Pejzaż z dziećmi w tle



Obrazy i grafiki Elżbiety Jankowskiej-Kabiesz
Galeria „Akwarela” Pałac Młodzieży w Katowicach



**KOMPANIA
PIWOWARSKA**



SPONSOR „ŚLĄSKA”



Franciszek Kafel



Na pierwszy rzut oka ta sama tonacja kolorystyczna, podobne pociągnięcia pędzla, zbliżona kompozycja, a wszystko to obwiedzione ramami, które stają się częścią składową obrazu. Żółcie, złoto, brązy, czerwienie, biel, czasem dysonans kolorystyczny – granat, czerni. Z barwnych plam wylaniają się twarze – fantomy, postaci – raczej ich domyślne zarysy, a nawet tylko jakby ruch powietrza, wrażenie obecności. Ułożenie światła i barwnych plam na obrazie sugeruje obecność – niekoniecznie fizyczną, lecz zmysłową, zapamiętaną, zapisaną w podświadomości. Tak: Franciszek Kafel maluje coś lub kogoś, maluje wrażenie istnienia. Nikt konkretny, bo żadna portretowana twarz nie może istnieć w ten sposób. Przez te domyślne portrety – bo tak swoje obrazy nazywa Kafel, przecierają się zarysy twarzy, obecne dzięki wprowadzeniu rysunku – zdecydowanych, dynamicznych, precyzyjnych linii. Nie kontrastują obrazu, ale wydobywają elementy najistotniejsze. Zalamują się na obrzeżach twarzy, ramienia, zamykają fragment całej postaci. Są jak kontury – zwykle jasne, prześwieczone, wyraziste. Lecz nie agresywne i czysto geometryczne. Wprowadza je nie tylko w portretach.

Widać, jak wielką rolę w malarstwie Franciszka Kafla odgrywa rysunek – podstawa wszech rzeczy. Rozmach, z jakim kreśli uzasadnia późniejsze konstrukcje malarskie. Są jeszcze inne elementy malarstwa Kafla: pierwszy wywieść trzeba z lino rytu – najbardziej malarskiej, graficznej techniki warsztatowej. Drugi to plakat, któremu artysta oddawał się z wielkim zamiłowaniem w trakcie studiów na Wydziale Grafiki krakowskiej ASP w Katowicach. Fascynowała go prostota wypowiedzi, z jaką kojarzył mu się plakat: właśnie linearność, maksymalna kondensacja treści i formy. Po dziś dzień poczesne miejsce w jego pracowni zajmuje praca dyplomowa: na czarnym tle słowo „gimnastyka” – pełne ekspresji, będące niezwykle precyzyjnym śladem wstęgi, która je „wycięła”. To prawie credo artystyczne Franciszka Kafla.

Drugim źródłem fascynacji i zaurczenia była wspomniana litografia. Specyficzny obraz odbitki litograficznej – rozmytej po brzegach, miękko przelewającej na papier to, co uprzednio powstało na kamieniu. Wystarczyło dodać koloru i... widzimy dzisiejsze malarstwo Kafla. Oczywiście nic nie jest przeniesione wprost – bo pędzel nie jest kamieniem, a obraz plakatem.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na kolejny charakterystyczny rys malarstwa Franciszka Kafla... jakże często postaci lub inni bohaterowie Kaflowych obrazów tworzą architektonicz-

Tak musi być

ne bryły, unoszą się w przestrzeni, wypełniane są konstrukcjami – szkieletami, jakby stanowiły odsłonięte wnętrza – siatki, kraty, przęsła. Czyż to nie zachowana w podświadomości dawna tęsknota za tworzeniem form trójwymiarowych, mających materialne wnętrza i zewnętrzne – nie jak malarstwo – wyimaginowane, lecz realne. Jest taki obraz *Inicjacje architektury*, albo inny – *Pasażer z intercity* – obydwie odwołują się do wczesnych tęsknot. Wszystkie inne – jak chociażby *Dama, postać na żółtym tle*, czy *Postać w czerwieni*, lub też pejzaże jak *Zachód słońca nad Chrzanowem* czy *Błękitny ptak* lub *Światło nad polaną* są impresyjne, opowiadają, mimo że Franciszek Kafel nie nadaje oficjalnych tytułów obrazom: jak mówi, robi to tylko dla orientacji. Jego pejzaże są prześwieczone – kolory przeniknięte światłem sugerują miejsce: czy to będzie polana, może krajobraz nad miastem. Są jak plamy barwne zapamiętane z rodzinnych stron – spod tarnowskich wsi, gdzie dziewczca przyroda mieniła się feerią barw, wielością zapachów, światłem wschodzącego lub zachodzącego słońca.

Wśród obrazów Kafla jest jednak jeden – jedyny, zupełnie inny, nieporównywalny z żadnym – to portret matki. W centralnym miejscu obrazu siedzi kobieta w kapeluszu pszczelarskim – uwagę zwracają oczy obwiedzone jasnym kolorem, całość zaś utrzymana jest w ciemnych zieleniach i przebłyskującej czerni pszczelarskiej siatki, przyczepionej do kapelusza. Kobieta jest dostojna, spokojna, lecz zmęczona. – *Zawsze miała zmęczone oczy* – mimochodem rzuca autor. Nigdy przedtem ani nigdy potem takiego obrazu nie namalował. Matka dla niego była na tyle wyjątkową osobą, że również w swej twórczości musiał znaleźć odrębny sposób artystycznego artykułowania. – *Nie wiem, czy się jej podobał – nie zwykła komentować tego co robię* – wyznaje Franciszek Kafel. Po obejrzeniu jakiejś kolejnej pracy często stwierdzała: – *Tak musi być*.

Owo „tak musi być” chciałoby się odnieść do wszystkiego co Kafel ma-

luje. Nawet do żartobliwego nieco obrazu *Dla Tewjego*, który ma być wyobrażeniem bogactwa słynnego Żyda, któremu nigdy nie udało się osiągnąć szczytu swoich dążeń i marzeń. Ale wyobrażał je sobie, snuł plany. Kafel postanowił „sprezentować” mu wielkie bryły złota – sztabę polyskującą „prawdziwym” złotem, ustawione jedna na drugim, jedna obok drugiej – złoto na zlocie i obok złota. Obraz aż płonie od złocistego blasku!

Dowcip i czasem surrealistyczne widzenie świata odnaleźć można w jego nowych pracach: w niedokończonym jeszcze *Widoku z okna* na panewnicką bazylikę o.o. franciszkanów. Spomiedzy płataniny pobliskich dachów i przewodów wylania się nocą postać... św. Franciszka, ulokowanego na jednej z wieżyczek bazyliki, trzymającego w ręce... antenę – takim widzi go Franciszek Kafel wieczorową porą, z okna swojego domu, w blasku iluminacji zainstalowanej na panewnickiej świątyni. Obraz jeszcze nie jest ukończony, sterczą na nim charakterystyczne „olówki” wież i rozpościerają się szare płaszczyzny dachów. To dowód na pocucie humoru artysty, który nie tylko zgłębia najskrytsze zakamarki własnej duszy, ale także – jak w powstającej *Ulicy Wileńskiej* – sygnalizuje widoczną gołym okiem różnicę społeczną jej mieszkańców (z bazyliką i św. Franciszkiem w tle).

Jak mówi, nigdy nie posługuje się fotografią, nie wychodzi w plener. Maluje rzeczy zapamiętane i przetworzone przez wyobraźnię. Czasem spogląda przez okno...

Malarstwo Franciszka Kafla kształtowało się pod wpływem Andrzeja S. Kowalskiego a także Alla Rzepki – krakowskiego artysty. Syntezę plakatu powziął podczas studiów u profesora Tadeusza Grabowskiego. Ta niezwykła mieszanina gatunków pewnie powoduje, że Franciszek Kafel, jak mówi, mimo iż umieszcza swoje obrazy w ramach, nie znaczy że do nich nie powróci. Tu – po jakimś czasie – przyda się poprawić tułów, tam domalować coś w twarzy, dopracować kolorystycznie detal, czy zmienić pierwotny zamysł całości. Do ostatecznego kształtu obrazu (o ile w ogóle taki istnieje) dochodzi, jak mówi, poprzez przepoczwarczanie się dzieła, dochodzenie do określonego wyrazu.

Miewa chwile przesytu malarstwem, kolorem. Wtedy powraca do rysunku – by za jakiś czas znów portret, jako „traktat o zmaganiu się artysty z malarstwem o takiej tematyce” powrócił na sztalugi.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Franciszek Kafel. Wystawa malarstwa. Galeria Na Żywo Radia Katowice.

Hip-hop i rap

– poezja odrzuconych

SŁAWOMIR
MATUSZ



Kiedy hip-hop i rap pojawiły się w Polsce na początku lat dziewięćdziesiątych budziły ogólnie lęk i oburzenie, powszechną krytykę – za wulgarność, brutalność przekazu, agresję, naśladownictwo wobec Ameryki, manierę językową i prostotę, żeby nie powiedzieć – prymitywizm muzyczny oraz propagowanie tatuaży i narkotyków.

Nową modę kojarzono ze współczesnymi chuliganami – którzy zaczęli nazywać się dresiarzami. Określenie „dresiarz” wywodzi się od dresu z kapturem, który zapewnia dresiarzowi pewną anonimowość w ulicznych awanturach. Innym wyróżnikiem stroju dresiarza były obszerne portki, z wydłużonym kroczem, źle kojarzone ze złodziejami kieszonkowymi.

Początek rapu i hi-hopu to niewątpliwie lata osiemdziesiąte – bo-

om murzyńskich, klubowych zespołów z przedmieść, tak samo wulgarnych i obrażających „społeczeństwo” z legendarnym i znakomitym Public Enemy (Wróg Publiczny) na czele.

Niespodziewanie rap i hip-hop zaczęły się rozwijać i dominować w Polsce – najpierw śmiało i brutalnie wyszły z undergroundu, by zdominować polską scenę muzyczną. Działo się to za sprawą kieleckiej kapeli **Wzgórze Ya Pa 3**, a potem już naprawdę dużych, ogólnopolskich sukcesów Liroya – krótko związanego ze „Wzgórzem”. W 1995 roku **Liroy** wydał swoją pierwszą płytę „Albóóm” – która została „złotą płytą”, dostał też za nią nagrodę Fryderyka i uznano ją za debiut roku. Hip-hop i rap wyszły z cienia, ku przerażeniu i oburzeniu wielu zaczęły królować na młodzieżowych scenach i dyskotekach. Kielce okrzyknięto wówczas

stolicą polskiego hip-hopu. Za Liroyem dostrzeżono inne zespoły: **Molesta Ewenement** z warszawskiego Ursynowa, **Kaliber 44** i **Paktofonika** oraz kapelę **Pijani Powietrzem** – ze Śląska, **Slums Attack** z Peją – z Poznania, potem **Sistars**, **Ascetoholix** – z Obornik Wielkopolskich – by wymienić tylko niektóre z nich.

Muzyczenie hip-hop i rap ewoluowały – pojawili się hip-hopowcy kojarzeni wcześniej z inną muzyką – **Liroy** nagrywał z Włodzimierzem Kiniorskim (rock, punk), okazało się, że w wielu zespołach grają instrumentalności z poważnym wykształceniem muzycznym. Jednym z ostatnich objawień i przykładem tego jest głośny już zespół sióstr raperek – **Natalii i Pauliny Przybysz** – które wcześniej obie uczyły się śpiewu i gry na wiolonczeli, a którym towarzyszą: **Marcin Ulanowski** – grający na bębnach, studiujący

wcześniej muzykę (m.in. Wydział Jazzu w Katowicach, współpracował z Urszulą Dudziak); podobnie jak Marek Piotrowski – klawisze, współpracował z Michałem Urbanikiem, czy Bartek Królik – vocal, bas, lub Przemek Maciorek – gitara (studiował kontrabas i gitarę). Podobnie jest z innymi polskimi zespołami hip-hopowymi. Hip-hop i rap zostały zauważone, docenione i wsparte przez najlepszych polskich młodych muzyków.

Mimo niewątpliwego sukcesu – to znaczy uznania na scenie muzycznej i pozycji jaką sobie zdobyły, sukcesu komercyjnego, hip-hop i rap ciągle budzą wiele kontrowersji – a to za sprawą agresywnych, brutalnych i wulgarnych tekstów. Mimo komercjalizacji hip-hop nie „stąpił się” na razie, jak niegdyś buntowniczy rock. Warto się zatem zastanowić i przyjrzeć im – tym bardziej, że w świadomości dwudziestolatków i nastolatków teksty rapowe pełnią rolę tę samą, co parę lat temu wiersze Świetlickiego i Podsiadły, 20 lat temu Antoniego Pawlaka, Piotra Bratkowskiego, czy Zdzisława Jaskuły, a jeszcze wcześniej poetów Nowej Fali: Krynickiego, Barańczaka, Zagajewskiego i innych. Sami raperzy często zgłaszają pretensję do uznanej poezji, lub nazywają siebie poetami.

Można cytować tu pionierów rapu i hip-hopu – przywołaną kapelę **Wzgórze Ya-Pa 3**:

„Po raz trzeci nie jak kaleka / Literacki poeta kielecka ekipa / Dla was dla wszystkich marna incognito / Teraz po raz trzy w uszy poruszysz cię system / Potrójna moc języka”... – Zwracam uwagę na świadome odniesienia magiczne i religijne w tym fragmencie.

– Wyraźne są tu brak zaufania do poetów, potrzeba podjęcia pewnej misji, zarezerwowanej dotychczas dla poezji, od której ona ucieka. Podobnie myśli i rymuje **Peja** z formacji **Slums Attack**: „Gdy rzucam rymami recytuję niczym skurwiel / Uprawiam poezję bo nie jestem zwykłym durniem / Peja trudny dzieciak wszyscy mnie tu znają” – W innym utworze tej samej formacji wtóruje mu Kris: „Tak, przemawia jak wulkan / Wyrzucając z wnętrza serca na brudne podwórka / Gorącą lawę i pył / Prawdę którą ktoś skrył / Patrz w tył, czas nie zataisz / Są ślady, stare osady żywe jak mady, eskapady / Zdjęcia w prywatnych kronikach i w albumach / Underground, gdzie? / W duszach i w rozumach / Chyba już kumasz, nie wzięliśmy się znikąd / Graliśmy za friko, walczyliśmy

z krytyką / I tak będzie nadal (dla nas) / Nie ma tematów o których mówić nie wypada / Bez ograniczeń swym językiem ci wykładam / Byś teraz odetchnął od pop główna i techno / Wkrótce oni zdechną”.

Cytowany fragment przypomina emigrację wewnętrzną i poczucie izolacji poetów Nowych Roczników w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, a więc pod koniec PRL-u. Sytuacja psychiczna poetów wtedy i raperów dzisiaj – jak i dużej części ich odbiorców – jest podobna.

W gruncie rzeczy rap jest przede wszystkim przekazem słownym – słowotokiem, dla którego muzyka, czy pastisze muzyczne wydają się tylko tłem, lub podkładem. Charakterystyczne jest, że jest to sztuka słowa – świadomie używam tu słowa „sztuka” – uprawiana wspólnie, w grupie. Kilku raperów, rozumiejąc się ze sobą rymuje w pewnym ustalonym porządku na określony temat. Zbliża to rap do poezji ludowej. W rozumieniu Romana Jacobsona cechuje ją to, że o jej istocie decyduje przekaz słowny (a nie drukowany) i anonimowość jej autorów. – Siłą rapu i hip-hopu jest przekaz słowny, nie druk, osoba autora zaciera się we wspólnej improwizacji i wykonaniu, pseudonimy wykonawców tworzą mityczną aurę wokół nich. To zbliża rap do poezji ludowej i antycznej. Z całą pewnością jest to jeden z wielu powodów tak ogromnego powodzenia hip-hopu i rapu.

Zbliża to rap do pierwotnych uroczystości religijnych, przypomina wspólne murzyńskie msze śpiewane – w których każdy z uczestników po kolei chwali Boga i skarży się ze swoich trosk. Przypomina też wielogłosowe koncerty-pastisze, wykonywane przez zespoły nieżyjącego już Franka Zappy – amerykańskiego wokalisty, gitarzysty i prześmiewcy – a tam rap ma przecież swój początek.

Drugą przyczyną, dla której rap cieszy się tak ogromnym powodzeniem jest pochodzenie i osobiste doświadczenie poetów-raperów – wspólne przeżycia, łączące generacje dwudziestolatków i nastolatków. Tu można szukać przyczyn brutalności, wulgarności i agresywności rapu i hip-hopu – nie w ich istocie, a w brutalizacji świata, w którym tak trudno stworzyć odrębny, swój świat, walczyć o wyższe wartości. Wulgarność jest odpowiedzią na brutalność świata, w sytuacji bez wyjścia.

Tak o tym opowiada **Vienio** z formacji **Molesta Evenement**: „To był

zwykły małolat, gdzieś w siódmej klasie / Przez ostatni miesiąc wymizerniał strasznie / Matka ledwo miała dla niego na zeszyty / Chodził ciągle głodny, jakiś niedomyty / Połowa zimy, brak katany i szalik / Niedostateczny polski, matematyka / W domu się nie przelewa, same stresy / Brat mu kopsnął ? używane dresy / Ojciec lubił popić, co z tego wynika? / Wpierdolł gdy siostra wpuściła komornika / W szkole nie chciał mówić co się stało w domu / Też po kryjomu pomagała mu sąsiadka / Nie ukryła krzyków schodowa klatka / Nie przejmował się tym hardy dzieciak / Wiedział, że taszczy doświadczeń plecak / Nie wychodził na podwórko i nie chciał się bawić / Trudno w tym wieku stres życia strawić / Młody wstydził się domu i nikogo nie zaprosił / Ojciec pieniędzy do domu nie przynosił / Nikt go nie pocieszył gdy od płaczu się zanosił / Na ulicy wyprosił znów od kogoś fajka / Zazdrościł kolegom nowych butów Nike’a / Kiedyś dostał od babci na święta pewną kwotę / Którą i tak ojciec zresztą na wódkę zabrał potem / Do wiosny już blisko, chwila bez przesady / W szkole zlikwidowali darmowe obiady / Znów całe wakacje w mieście stołecznym / Gdzie jest moje miejsce w systemie społecznym? / Zadawał sobie wciąż to samo pytanie / Martwił się przecież kim w przyszłości zostanie...”.

Znamienny jest refren, który raperzy **Molesty** krzyczą razem: „Každy chce kochać / Być kochanym / Bez miłości serce krwawi / A te rany / Nigdy się nie goją nigdy / Nic nie ukoj / Bólu samotności / Gdy miłości brak”... Temat podejmuje partner z zespołu, **Pele** – zachynając nową, podobną opowieść: „Ta historia nie została usłyszana kątem ucha / Elo brat, pierdolnij bucha / Posłuchaj / To opowieść o dziewczynce – lat 11 / Do piątej klasy zdała właśnie...” itd.

O tym samym mówi inna, katowicka kapela „**Kaliber 44**”, której nazwa nawiązuje do widzenia księdza Piotra, pokazując świat jeszcze brutalniejszym i rozbitym: „Brat nie ma już miłości dla mnie, dla mnie nie ma już / Brat nie ma już miłości dla mnie, nie ma już miłości / Idę i myślę i nie wiem co myśleć / Myśli jak uderzenia bata... / Brat nie ma już miłości dla mnie i mojego brata”.

Na obraz świata, nie akceptowany przez raperów, składają się zarówno przemoc, patologia rodziny i otoczenia, ogólna pogoń za pieniądzem, poczucie braku przyszłości,

hipokryzja mediów. Ten sam **Kaliber 44** w utworze „Literary” artykułuje wprost: „W telewizji mówią podobno tędy droga / Jeden nie słucha drugi słucha a szkoda / Najważniejsza powinna być twoja głowa / A nie ręka, dupa i noga / W telewizji mówią w telewizji grają / Jednostki nadają miliony odbierają / Chcesz czy nie chcesz zrobić ci z głowy jajo”. Podobne zdanie ma **Fokusmok** – lider innej katowickiej formacji – **Paktofoniki**, który rymuje w utworze „Tak jak telewizor”: „Ej panowie.. chyba każdy z was wie / Bez telewizji można, telewizora nie / Kiedy dzień powszedni jak lep na kawałki cię tnie / Czas na wieczorynki, bajki, mumminki / Słodkie jak landrynki, mandarynki / To nowiny są tu, nie nowinki / A było to tak: minęło z 6 lat / Ten telewizor zdobyłem bez rat / Dzisiaj grad, bez telewizora, za oknem padał / Zajebiście się nadat, bo ogólnie gadał / Co miał w programie, gdzie tam panie przekłamanie”.

Dla rapu i hip-hopu charakterystyczne jest odwoływanie się do świata magii, baśni oraz do cyberświata. Jest w tym pragnienie ucieczki, ale i chęć szukania siły. Współczesny świat jest bezlitosny, trzeba zatem nadzwyczajnych mocy, by dać sobie z tym radę. Nie wystarczą marihuana i amfetamina, nie wystarcza religia – która na co dzień okazuje się obłudą. Stąd eklektyzm tych utworów, mroczne, obrazoburcze wizje i klimat. Odseparowany od świata ich bohater inspiracji szuka w świecie gier komputerowych, we współczesnych baśniach filmowych, łącząc je z elementami oficjalnej religii. Tragicznie zmarły **Magik** z formacji „**Kaliber 44**” był w pełni świadomy tego, szukając ideałów, inspiracji i nadziei zmiany świata na lepsze: „Choć teleportowałem się z czasów średniowiecza, / Miecza i tarczy – wystarczy! / Nie zapomnę o tych rzeczach!, / Nie ukrywam / Zapamiętaj jak się nazywam, / **MAG MAGIK PIERWSZY** / **HIP-HOPu** raj dzisiaj zdobywam!”.

Można to tłumaczyć wielością tradycji, do jakich twórcy odwołują się w ponowoczesnym świecie, ale można też wykazać podobieństwo ich postaw do romantycznych poetów – z religijnym buntem i obrazoburstwem, charakterystycznymi dla tamtej epoki łączeniem elementów magii i religii, zainteresowaniem średniowieczem, ludycznością, poczuciem misji oraz swoim mesjanizmem.

Ów synkretyzm dobrze oddaje utwór formacji **Kaliber 44** pt. „Do boju zakon Marii” z 1996 r.: „Czterdzieści i Czterej mej Pani rycerze? / Dym z moich ust, który spływa na Ciebie / Czy potok słów, mówisz: nie, jeszcze nie wiem! / Więc podejdź bliżej, niech Twój mózg opuści klatkę / Zrozumiesz wszystko kiedy poznasz moja Matkę / Me słowo, mój miecz, Jej Magia i życzenie / Wcieramy w Ciebie wszystko na Jej postanowienie! / Więc chodź, jeszcze tylko jeden raz / To jest, to jest Zakon Marii, czy teraz nas znasz? / Zakon Marii do boju! / Zakon Marii”.

Tak rapuje grupa z Bogucic. Agresja dokonuje się w warstwie symbolicznej, widoczne jest religijne przesłanie utworu, mimo brutalnego słownictwa w jego dalszej części. Znamienne, że w rapie i hip-hopie nie ma wątków i treści satanistycznych, jak na przykład w niektórych odmianach rocka.

Pokojuowe przesłanie rapu i hip-hopu potwierdza katowicka **Paktofonika** – zacytuje utwór „Na mocy paktu”, rapuje **Fokusmok**: „pokój dla tych biegnących za końcówkami / pokój z tancerzami i ich kontuzjami / pokój z dziewczynami, zajmującymi się tymi sprawami / pokój z zajebytymi organizatorami, pokój z wami, / na zawsze pokój z wami” – odpowiada mu **Mag**: „kooperacja na mocy paktu, mocy płynącej z kontaktu / aaaaa / kooperacja na mocy paktu, mocy płynącej z kontaktu” – w tym samym utworze podejmuje tematy **Straho**: „trzy znane portrety, trzy rymów komplety / wkomponowane w bity poprzez domowe PeCety / same konkrety, lecące epitety / nie jak komety, wokół planety, / „ja to ja”, „gdyby”, „priorytety”, pierwsze walki na materiał / kasety, w rękach florety / liryczne szermierki / rymo-dymo-bito-klety-gierki / spotkanie pierwsze, od czasów R-ki / te wiersze, potrzebne do życia jak nerki”.

Że nie jest to wyjątek w świecie rapu potwierdza warszawska formacja **WWO** (W Wyjątkowych Okolicznościach): „Ile wkrętek czyha na mnie / Nie eureka na haju / Ile razy widziałem w tramwaju / Twarze Hollywoodu pełne nienawiści zamiast miłości / Słepie pychy na której mogą się sparzyć / Jak na razie nie mam co marzyć co najwyżej skuna wysmażyć / Doprawić chmielem z ziomkiem i przyjaciелеm zawsze / Ref.: Dokąd ten świat płynie / Co jeszcze się zdarzy / Ile dekad minie / Zanim ludzkość ochłonie / Przy tym ile splonie / Ty-

sięcy blantów bez żadnych kantów / Stres / Samotność / Bezradność / Światowość / Jaką życie ma wartość / Przemija kropla w morzu”. Widać w tekście poczucie wyizolowania, niemożności, lęku, pragnienie ucieczki i reakcji innego, mniej brutalnego, a bardziej przyjaznego świata. To samo przesłanie głosi kobiecy rap ustami siostr Przybylskich z zespołu **Sistars**: „Jeżeli jutra nie ma / ja nie przestaję śpiewać / To moja sutra sercal Wyciszę się / W wodzie umarłam dawnol teraz opadam na dno / pozwałam sobie zniknąć / Po prostu brzmie”.

Rap i hip-hop przejęły rząd dusz, przynajmniej nastolatków i dwudziestolatków, i nie tylko. Angażuje uczniów szkół podstawowych, gimnazjów, króluje wśród licealistów i studentów. Oddaje ich problemy i lęki – bez osłonek, wyraża pragnienia i ludzką naiwność, do której ma każdy prawo. To bez wątpienia poezja, choć może mniej wyrafinowana – ale bardziej bezpośrednia i szczerą. To, że oficjalnie uznana poezja zamknęła się w urzędniczych salonach, uwikłana w system dotacji kultywuje poprawność, strotni od drażliwych społecznie tematów – nieobcych przecież poezji, jest winą samych poetów. – Jeszcze raz potwierdza to **Paktofonika**, która rozumie to w ten sposób i ma wiele racji: „Wiesz jak jest, gdy twardy biznes / I poezja wchodzi w kolizję / Stresy i konkurencja ostra / Ciemne interesy jak cosa nostra”.

Rap i hip-hop się zaangażowały społecznie, jak niegdyś punk-rock w Polsce i na Wyspach Brytyjskich. Krytycy angielscy ukuli w latach siedemdziesiątych termin pop-poetry, dla określenia poezji mniej wyrafinowanej, oscylującej pomiędzy piosenką i wierszem. Nie wiem, czy ten termin jest adekwatny i czy załagodzi rozdzźwięk pomiędzy poezją oficjalną i rapem, może zbliżyć obie formy słownej wypowiedzi do siebie, z korzyścią dla obu. **Wzgorze Ya Pa 3** podchodzi do tych wszystkich problemów z pewnym dystansem i humorem: „Nasz styl traktuj pół żartem pół serio / Trzy wypełnione jest nową C.K. poezją”...

PS. Chciałem podziękować Alicji Powroźnik z Katowic za pomoc w zgromadzeniu materiału potrzebnego do napisania tego artykułu. Bez Jej pomocy tekst byłby na pewno uboższy, albo nie napisałbym go może wcale.

„Książka miłosna” - album fotografii Sławomira Rumiaka - absolwenta katowickiej ASP, jest dziełem niezwykłym. Jest całością, w której tekst i obraz wzajemnie się dopełniają i warunkują. Aby fotografia mogła „opowiadać” potrzebuje narracji, ponieważ odmiennie niż pamięć, nie utrwała znaczenia. Jak pisze John Berger, fotografia oferuje obrazy, „lecz obrazy odarte ze znaczenia”. Znaczenie jest rezultatem rozumienia działania. „A działanie zachodzi w czasie i w czasie musi być wyjaśnione”. Poetyckie opowieści-wiersze Rumiaka umieszczają jego fotografie w określonym kontekście, stając się kluczem do wtajemniczenia. Są one zapisem marzeń, dzięki którym powstaje obszar intymności, w którym intymność marzącego spotyka się z intymnością tych, o których marzy.

Świat wykreowany przez Rumiaka, pełen drutów kolczastych, noży i gwoździ powbijanych w ludzkie ciało, dla postronnego obserwatora może wydawać się okrutny. Wewnętrznie odczuwamy, że to nie jest to, co powinno być związane z ciałem kobiety i rodzi się bunt, że coś tak pięknego zostaje zranione. Jednak zatrzymując się na tym aspekcie twórczości Rumiaka, wpadamy w pułapkę, ponieważ jej istotą nie jest epatowanie brutalnością, ale życie. Prezentowane fotografie są pewnego rodzaju metaforą i pod okrucieństwem szokującym przy pierwszym wrażeniu, skrywają subtelne przesłanie - apoteozę kobiety i miłości zmysłowej, której właściwym celem jest prokreacja.

Czytając przytoczone przez autora słowa Antoinette de Saint-Exupéry: „Kwiaty są słabe, są naiwne. One zabezpieczają się jak mogą. Wydaje im się, że z kolcami są bardzo groźne”, odkrywamy znaczenie drutu kolczastego, który nie jest elementem zewnętrznym, „wbitym” w ciało, ale niejako z niego wyrasta, ukazując deli-



Anita i życie ptaków.

Erotyczne marzenia Rumiaka

FOTOGRAFIA

katność i bezbronność kobiecego ciała. Inne elementy ostre podkreślają siłę erotycznego napięcia, ponieważ „Erotyzm ściśle łączy się z antycypacją zła i nieuchronnością śmierci (...) nie jest zwykłą ekspre-

muszli, oznaczającym kosmiczne siły rządzące narodzinami, płodnością, życiem (Eliade). Artysta przywołuje archetyp hemafrrody, owo „dwoje w jednym”, obrazujący dwupłciową jedność. Sięga również po takie atrybuty erotyczne jak pas cnoty czy pończochy, tworzące kulturowy wizerunek kobiety.

„Kwiat to genitalia rośliny” - pisze Rumiak, porównując go do części ciała ludzkiego. Stąd też najwyższy czas odrzucić zakazy, poczucie winy i wstydu, dławiące przejawy seksualności.

Rumiak udowadnia, że nie ma rzeczy bardziej naturalnej niż miłość.

BARBARA FIRLA



Aniol rozpięty

Sławomir Rumiak, „Książka miłosna. The Love Book. The Best of My Dreams”. Wydawnictwo „Fredo”, Bytom 2003. Publikacja powstała we współpracy z instytucją Arts Cameralis Silesiae Superioris.

XI Międzynarodowa Konferencja Tańca Współczesnego i Festiwal Sztuki Tanecznej organizowane w Bytomiu przez Śląski Teatr Tańca to olbrzymie przedsięwzięcie. Dwa tygodnie, ponad 30 spektakli, prawie tyleż samo uczestniczących zespołów z całego świata. Każdego dnia odbywały się dwa przedstawienia na głównej scenie bytomskiego teatru plus prezentacje na scenach alternatywnych. Do tego cykl warsztatów zarówno dla zaawansowanych tancerzy, jak i osób początkujących – od baletu klasycznego poprzez modern dance do salsy, hip-hopu, tańca afrykańskiego oraz indyjskiego kathak. Budżet imprezy wyniósł milion dolarów, lwia część funduszy pochodziła od zagranicznych sponsorów, instytucji i fundacji. Pieniądze te często nie trafiały wprost do bytomskiej placówki; sponsorzy pokrywali po prostu koszty przylotu do Bytomia i pobytu tutaj grup ze swojego kraju.

Miałem okazję obejrzeć wszystkie festiwalowe prezentacje z wyjątkiem trzech, może czterech spektakli. To prawdziwy maraton, ponad 24 godzin spektakli, chwilami odczuć można było znużenie, gdy w kolejnych choreografiach na pierwszy plan wysuwało się w gruncie rzeczy to samo: akrobatyczna wręcz zdolność ciał przesuwanych w najrozmaitszych, ale gdzieś w istocie podobnych do siebie, układach. Taniec współczesny potrzebuje teatru – to refleksja po obejrzeniu wielu festiwalowych prezentacji. Więc po niego sięga, korzystając z rekwizytów lub słowa. Rekwizyty mogą albo rozrastać się w jakąś formę scenografii, jak w *Makrokrematologii* w wykonaniu bytomskich gospodarzy festiwalu. Mogą być tylko przedmiotami – trzema wielkimi torbami pełnymi butów (Cie Phillipe Saire) lub wiolonczelą i kontrabasem. (Leah Stein Dance Company). Albo po prostu gumą do żucia, która rozciągana przez tancerzy tworzy pomiędzy nimi tyle więzy, co pajęczą nić (Desperate Figures Dance Theatre). Sam ruch jest piękny, jednak przestaje wystarczać. Można więc wykorzystać słowo (Ultima Vez). A jednak – chwilami pozostaje uczucie niedosytu. W zeszłym roku widzieliśmy zespoły posiłkujące się teatrem, ale w sensie próby opowiedzenia jakiejś historii, zawiązania fabularnej – choć bez fabuły w tradycyjnym tego słowa znaczeniu – narracji. Te próby przynosiły ciekawsze owoce – dość



Niezwykle widowisko zaprezentował znany już w Bytomiu z lat poprzednich japoński duet Eiko & Koma.

Maraton za milion dolarów

TANIEC

wspomnieć kapitalne spektakle zespołów z Litwy i Węgier.

Największe wrażenie zrobiły te spektakle, w których artyści odwołali się do symboli i estetyki swoich kultur. Niezwykle widowisko zaprezentował znany już w Bytomiu z lat poprzednich japoński duet Eiko & Koma. Przedstawienie odbyło się wieczorem na placu przed Śląskim Teatrem Tańca, pod rosnącym tam rozłożystym klonem. Tuż pod nim ustawiono podest dla tancerzy, tak więc rolę jedynej dekoracji spełniał pień drzewa. Tancerze o pobielenych ciałach przedstawili niezwykle opowieść o spotkaniu kobiety i mężczyzny, ich życiu i umieraniu. Spektakl był bardzo sugestywny i plastyczny, przejmujący, a zarazem ascetyczny w ruchu. Widać było jego głębokie osadzenie w kulturze japońskiej, co jednak nie przeszkodziło w jego zrozumieniu i przeżyciu przez polską (i międzynarodową) publiczność.

Znacznie lżej – przede wszystkim jako inspirację – potraktowano motywy orientalne w spektaklu Nai Ni Chen Dance Company ze Stanów Zjednoczonych. Ale i tutaj uzyskano bardzo dobry efekt – choreografie przypominały chińskie rysunki kreślone na jedwabiu. Lekkość, precyzja, sprawiały, że mieliśmy do czynienia tyle z obrazem, co impresją. Jeżeli duch tańca wypływał z kultury Wschodu, to warsztat sporo zawdzięczał również bardziej klasycznemu baletowi. Ta „mieszanka” przyniosła bardzo dobry, czysty efekt. Z kolei Portugalczycy z Companhia De Danca De Almada zaprezentowali iście południowy temperament. Było to widoczne już w kolorystyce strojów

tancerzy okraszonych ostrą czerwienią, ale także w temperamencie tańca. Tańca, który opowiadał historie najprostsze, znane od dawna, ale też zawsze wywołujące emocje: miłość i namiętność, żywioł ciała i jego pragnienia.

Na festiwalowych spektakli jednego można być pewnym: polski taniec współczesny nie powinien mieć żadnych kompleksów ani wobec Europy, ani wobec świata. Chyba najciekawsze pomysły realizatorskie mogliśmy oglądać w *plepleJadach* w wykonaniu Lubelskiego Teatru Tańca. To spektakl parateatralny kontynuujący najlepsze tradycje Sceny Plastycznej KUL-u, w którym niesamowita sprawność ruchu tancerzy sąsiaduje z wybornymi pomysłami choreograficznymi i scenicznymi. Bardzo dobre

widowisko zaprezentował również W & M Physical Theatre – wspólny projekt związanych niegdyś ze Śląskim Teatrem Tańca Melissy Monteros i Wojciecha Mochnieja. Tutaj dobry efekt artystyczny współistniał ze swobodnym potraktowaniem widowiska – również jako okazji do chwili dowcipu i scenicznego żartu. Jedyne, co obu spektaklom można było zarzucić to fakt, iż autorzy nieco je „przedłużyli”. Skrócenie ich o dziesięć czy o kilka minut na pewno wystrzyłoby efekt, przysłało precyzji wyrazu. Ale skłonność do zbytnej rozwlekłości wydawała się grzechem wielu prezentujących się w Bytomiu zespołów.

Przedstawienia odbywały się również na scenach alternatywnych. Dwie z nich umieszczono w obiektach przemysłowych. W Elektrociepłowni „Szombierki” swego rodzaju multimedialny taniec pokazał trzyosobowy zespół Marlona Barrios Solano z Wenezueli. Z kolei cały cykl przedstawień odbywał się w parowozowni dawnej kolejki wąskotorowej przy ul. Brzezińskiej. W jej przestrzeni można było rozlokować kilka równoległych „miejsc akcji”, wykorzystując naturalną scenografię tego miejsca. Istnieją plany, by parowozownia stała się w przyszłości siedzibą Śląskiego Teatru Tańca oraz Centrum Choreograficznego, kształcącego tancerzy na poziomie wyższym we współpracy z uniwersyte-tem. Na rewitalizację i adaptację nastrojowych, lecz zniszczonych hal parowozowni trzeba jednak wielkich funduszy.

MARCIN HAŁAŚ

Duda Chopinowi

Jerzy Duda Gracz namalował serię obrazów do muzyki Chopina, dokładniej - do wszystkich 280 utworów Chopina, opusowanych i nieopusowanych, wydanych za życia kompozytora i opublikowanych pośmiertnie, fortepianowych, kameralnych i pieśni. Z praktycznym aspektem przedsięwzięcia można się rozprawić w trzech zdaniach: dzieła mają być wystawione w czasie przyszłorocznego warszawskiego konkursu chopinowskiego w specjalnym namiocie zbudowanym na placu Piłsudskiego, który ma służyć jako ekskluzywny i inspirujące miejsce do życia dla uczestników konkursu i publiczności. Wystawa, której patronują Prezydent RP z małżonką, nosi tytuł „Chopinowi”. Będzie się składać z 15 działów, które pomieszczą obrazy podzielone według nazw gatunkowych muzycznych pierwowzorów.

O tym, co znaczy malować muzykę, mówiła przekonująco niezapomniana wystawa zorganizowana na początku lat 80. w Wiedniu przez Helgę de la Motte. Były tam działy obrazujące graficzny aspekt notacji muzycznej, systematyzujące malarskie transpozycje podstawowych wymiarów muzyki: czasu i przestrzeni, definiujące zagadnienie barwy w obu sztukach, wreszcie - przynoszące przegląd symboli muzycznych początków z ducha malarstwa. Było tego dużo, bardzo dużo, a to przecież tylko wierzchołek góry, budowanej przez stulecia przez artystów i uczonych, goniących widmo tożsamości jądra sztuki. Szczególnie wiele systemów przekładania barw, figur, form, modeli przestrzennych, gestów symbolicznych malarstwa na muzykę (i odwrotnie) powstało u schyłku XIX stulecia, w epoce powstania empirycznej psychologii muzyki. Tabele barwnych odpowiedników tonacji uzupełniły wówczas barokowe modele zależności między tonacjami i afektami, przebadano przepływ światła między rejestrami brzmieniowymi muzyki, wreszcie - pojawili się artyści, którzy malowali muzykę i muzycy, którzy komponowali według obrazów. W przeciwieństwie do swoich romantycznych poprzedników, którzy poprzestawali na ogólnych teoriach (jak Chopin i Delacroix), prześcigali się w ścisłości odziorowań. Niektóre z nich imponują obiektywnością, jak obrazy Mikołaja Ciurlionisa ilustrujące zasady konstrukcyjne sonaty czy fugi, inne - jak *Beethovenfries* Gustawa Klimta zdobiący jedną z sal gmachu Secession w Wiedniu fascynują odwagą odczytania muzyki przez pryzmat subiektywnych wyobrażeń, świetnie zresztą wyrażających ducha epoki. Co znaleźć w obrazach Dudy Gracza? Mazowieckie wierzby, jesienne pola, wiejskie dziewczyny tańczące mazurki, coś z młodopolszczyzny, na przykład reminiscencje majorkańskich zwińdów Chopina (jak na obrazie Bolesława Bie-

MIEDZY NUTAMI



gasa nagrodzonym na paryskim konkursie zorganizowanym przez Antoniego Potockiego w 1904 roku), wizerunek śmierci, inspirowany *Marszem żałobnym*, „wieczną kobiecość”, jaką utrwalił Beardsley ilustrując *III Balladę* oraz twórcy obu paryskich pomników Chopina - Jacques Froment-Meurice i Eugene Dubois? A może będzie to coś równie zaskakującego, jak orientalne małpy i węże, które z wyboru Klimta symbolizują potężne akordy *IX Symfonii* we fryzie z Secession?

Już pierwszy obraz, którego elektroniczna kopia wyświetliła się na ekranie mojego komputera (dziękuję Ewie Sataleckiej, która przygotowuje album z reprodukcjami kolekcji Chopinowskiej Dudy Gracza za udostępnienie kopii) uzmysłowił mi, że mamy do czynienia nie tyle z próbą przełożenia muzyki (jej zasad konstrukcyjnych, proporcji brzmieniowych, rodzaju ruchu) na przestrzeń, barwy i proporcje malarskie (choć w wielu wypadkach daje się odkryć zbieżności, np. utwory wieloczęściowe są prawie zawsze ujęte w formę cykliczną, „temperamenty” muzyczne mają swe odzwierciedlenie w głównych barwach obrazów, ponadto występują dość oczywiste paralele fakturalne - „koronkowa” faktura niektórych preludów i nokturnów znajduje odzwierciedlenie w postaci konstrukcji kreślonych subteloną, ruchliwą kreską), lecz ze znacznie ambitniejszym zamiarem zmierzenia się z treścią kulturową, która jest zawarta w haśle wywoławczym „Chopin”.

Autor ujął ową treść zgodnie z tradycją kształtowaną od połowy XIX wieku, poszukując w utworach Chopina (których słuchał, jak wiem, „do bólu”, skazując na śmierć niejedną odtwarzacz dźwięku) atmosfery polskości. Sięgając po środki malarstwa figuratywnego, czasem mocno przestylizowanego, wyczerpał na płótnach farbą olejną, akwarelą bądź akrylem kwitnące łąki, podtopione pola, mokradła, leśne jeziora, baśniowe drzewa grożące widzowi uschniętymi gałęziami, wirujące w tańcu godowym żurawie, mickiewiczowskie zjawy nocne,

tańczące w mgielnych oparach rusalki, rycerzy z biało-czerwonymi proporczykami, wzywającego na nocną bitwę upiора (Chochola?), konfederatów, leśnych ludzi, tajemniczych pielgrzymów zdążających do chaty mrugającej w mroku światełkiem i wiele innych cudowności. Niekiedy posługiwał się realistycznym historycznym kostiumem, innym razem ledwo zarysowywał postać, albo ograniczał się do oddania natury dźwiękowego żywiołu - jak w obrazie do *Etudy c-moll* op. 10 („rewolucyjnej”), którego płonące czerwienie układają się w wir, będący wiernym przedstawieniem okrężnego ruchu pasaży lewej ręki.

Treść obrazów Dudy Gracza każe myśleć o ich związkach z (polskim) romantyzmem. Wybór wątków przekonuje o dokładnym rozeznaniu autora w literaturze chopinowskiej, w szczególności w tym, co pisali na temat muzyki Chopina autorzy XIX-wieczni: Schumann, Heine, Przybyszewski, Jabłczyński, albo też o kongenialnym wyczuciu kierunków myśli i uczuć tych autorów. W każdym razie, malując muzykę Chopina, był Duda-Gracz świadom najważniejszej rzeczy, która dotyczy Chopina jako kompozytora, a którą wyłożył jego rówieśnik Maurycy Mochnecki czytelnikom „Kuriera Polskiego” w 1830 roku: „W utworach jego [...] nie widać owego wyschłego rachmistrza w trudnej sztuce składania akordów, ale raczej umysł pełen fantazji, pełen życia i bogactw dzielnej imaginacji”. Inaczej, niż Klimt malujący *IX Symfonię* Beethovena, postarał się Duda Gracz wejść w ów umysł, zgłębić bogactwa imaginacji, rezygnując z obcesowych inkluzji subiektywnych. Niezwykły realizm jego obrazów - realizm atmosfery, ducha, bynajmniej nie dekoratorskich szczegółów, bierze się z wysiłku obcowania ze światem wewnętrznym kompozytora takim, jakim mógł on być naprawdę, w kształcie nadanym przez czas i miejsce życia (lub myśli), a poza tym - z wytrwałego poszukiwania scenerii, która by pomogła poznać i odczuć odpowiednik Chopinowskiego miejsca i czasu. Duda Gracz malował swoje obrazy w plenerze - w miastach (Warszawie, Częstochowie) i wsiach mazowieckich o malowniczych nazwach: Szumiąca, Poturzyn, Brzegi, Słońsk, Boryszyn, Kalinowo...

Powstał z tego niezwykle spójny cykl, będący rezultatem ogromnego wysiłku twórczego, a zarazem prosty w odbiorze, bo bezpretensjonalny. Sugestywne nastroje obrazów są w stanie zwabić zarówno wytrawnego znawcę problematyki, jak i widza „z ulicy”. Przywołane treści nie zaskakują, ale też nie nudzą i nie drażnią banalnością, są pełne ciepła i tego życia, którego jest tak pełno w muzyce Chopina.

Kolekcja Dudy Gracza ma po zakończeniu ekspozycji warszawskiej wędrować po całym świecie. Może zahaczy o Katowice?

MAGDALENA DZIADEK

Myślę, że nie tylko ja lubię czytać poezję pisaną przez polskie kobiety „tu i teraz”. Jakiś tak się stało, że ta „słaba płeć, a jednak najsilniejsza” umie mi powiedzieć coś więcej o mnie, o świecie (mógłbym wyliczać w nieskończoność), niż chłopcy, które zbyt mocno zajęły się swoim ego. Kiedy się to zaczęło? Od Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej? Poświatowskiej? „Dla siebie” czytam więc Julię Hartwig, Ewę Lipską, Wiesławę Szymborską, i – oczywiście, bo to redakcyjna koleżanka, przy tym świetna poetka – Basię Gruszkę-Zych. Nazwisk na tej mojej osobistej liście jest rzecz jasna – więcej. Od lat...dziestu gości też na niej Teresa Ferenc. Jakiś czas temu odnotowałem na łamach „Śląska” jej książeczkę „Dzieci wody”. Niedługo potem poetka przesłała mi tomik „stara jak świat” z miłą dedykacją. To mnie ośmiela do podjęcia karkołomnej próby napisania recenzji w formie listu do Autorki.

Szanowna Pani Tereso!

Najchętniej nic bym nie pisał o tych wierszach, tylko bym je w tym miejscu cytował. Ile się zmieści. One lepiej mówią same za siebie, niż słowa najbardziej zachwyconego „omawiacza”. Ekspozuje Pani swoją starość, siedemdziesięciolecie urodzin, stąd chyba też okładka jak wers „Teresa Ferenc stara jak świat”. Ale ja ten tytuł pozwalam sobie interpretować inaczej. Przecież *wskazówki zegara biegną wstecz/ z prędkością światła*. Wolę więc myśleć, że ten tytuł mówi o poezji, o dobrej poezji, która jest stara jak świat. Tomik zawiera wiersze z lat 1998–2003. Nowe. Matematycznie rozumując pisze Pani jeden wiersz na miesiąc. A ja przez miesiąc ciągle wracam do Pani wierszy. Nie jestem Panią. Nie mam za sobą tragicznych doświadczeń. (No, może jakieś by się znalazło.) Nie mam Pani wiary tak prostej i jasnej. Moje niebo jest mroczniejsze. A przecież tak dobrze trafia do mnie zakończenie „Rozmowy o wieczności”:



Teresa Ferenc: *Stara jak świat, wiersze nowe (1998–2003)*. POLNORD – Wydawnictwo Oskar. Gdańsk 2004 r., s. 72.

Oplaciło się to słów składanie

*właśnie spadł tynek
ledwo uchyliłam głowę*

Dlaczego, kiedy myślę o śmierci, np. podczas dość banalnego, ale potrzebnego potem w sądzie, ręcznego zapisywania tzw. ostatniej woli, tak intensywnie obecne są przy mnie słowa z wiersza „Bez ciebie”:

*Ale ciebie już tylko
w niebie pełno
Przestrzenie niebieskie
podają sobie twoje odbicia
A mnie tam nie ma
Ani tu*

Może właśnie po to pisze się wiersze. Żeby były przy człowieku. Żeby mógł ubrać w cudze słowa to, co w jego własnej przestrzeni było całkiem nagie, bez żadnych liter. Jeśli na tym to polega, oplaciło się Pani to próbo-

wanie ustawiania obok siebie rzeczowników, czasowników, zaimków, przysłówków i nielicznych przymiotników. Warto było męczyć się przez miesiąc, żeby powstał „Psalm na koniec”:

*Zimę zadateś mi
Brakowało jej do szczęścia
Czuję pod stopami
gwiazdny pył
Coraz mi cieplej w śniegu
Bóg ze mną się brata
Zawsze był
w niebie na ziemi
z tobą ze mną*

*Tylko te nasze oczy
ślepe jak u kociąt*

*Rozbieram się już ze zmysłów
Zobaczę nareszcie
co w nas tak świeci*

Po takim wierszu nie da się pisać recenzji. Ja nie umiem. Odważyć się na to mogą wyłącznie świeżo upieczone panie magister filologii polskiej. One nie mają obciążeń, jakiś Linneusz, albo inny Mendelejew ułożył im wszystko w odpowiednich szufladkach. Mogą więc rozebrać wiersz i poukładać go z powrotem jak puzzle.

A ja mogę co najwyżej docenić wysiłek wydawcy. Oskar godny w tym wypadku Oscara. Zakomponowanie zdjęć z Pani rodzinnego albumu jako tła do słów – sama radość.

Przyjmując do wiadomości Pani kreację na Matuzalema (choć przecież kobiety nie mają wieku), pozostawiam reklamowanie tego tomiku czytelnikom w Pani rękach:

*Piękne są dusze starców
jak białe obłoki
wędrują z ławki na ławkę
spod krzaka kruszyny
pod modrzew*

*choć ubrane są
w zniszczone ciała
jak w niemodne płaszcze*

Piękne są dusze starców. Piękne są też wiersze pisane w „zadanej zimie” życia.

Z wyrazami zauroczenia
BOGDAN WIDERA

Maria Jentys jest zarówno krytykiem literackim, publicystką, jak i poetką oraz prozaiczką. Nie przeto dziwnego, że jej publikacje mieszczą się w różnych zakresach gatunkowych. Być może dzięki tak szerokiemu spektrum działalności wykazuje sporą aktywność literacką. Niedawno pojawiły się dwie nowe książki autorki *Córki Ikara: Szare godziny Weroniki* (2003) oraz *Pomnożyć serca dostatek. O poetkach, poetach i prozaikach* (2004).

Pierwsza z nich stanowi wybór wierszy dawnych i dotąd nieznanych (pogrupowanych w kilka cykli, zakreślających obszar tematów artystycznych poszukiwań: *Dom, Piosenki z domu obłąkanych, Dom Niebieski, Bezdomność*) połączony z korespondującym z nimi pod względem tematyczno-klimatycznym fragmentem prozatorskim. Drugą zaś wypełniają wspomnienia, urywki korespondencji, „próbki” twórczości opatrzone komentarzami krytycznoliterackimi dziesięciu poetek, poetów i prozaików, o których się nie pamięta, a którym – zdaniem Marii Jentys – należy się trwałe miejsce w historii literatury polskiej. Znalazła się wśród nich poetka Ludmiła Marjańska, o wierszach której krytyczka powiada, iż „nie mają sobie równych we współczesnej poezji polskiej”, bowiem „są (...) jak krople żywicy-krwi, pełne ciepłych, złocistych łśnień-olsnień” czy „porównywana nie bez racji z Marią Pawlikowską-Jasnorzewską”, zwana „podhalańską Safo” Hanka Nowobielska, odnajdująca „najpiękniejszy kształt poetycki (...) dla bólu istnienia”. Mimo to żadnej z nich nie udało się dostać na Parnas, podobnie jak i pozostałym postaciom życia literackiego pokazanym przez autorkę *Portretów lirycznych*.

Bohaterami kolejnych opowieści zamieszczonych w *Pomnożyć serca dostatek* stali się zatem: wspomniane wyżej Hanka Nowobielska (właściwie Jarosława Janina Fiutowska) i Ludmiła Marjańska, niewidoma poetka Celina Tatarkiewicz, kaszubsko-polski poeta, powieściopisarz, gawędziarz, zajmujący się dziejami swego regionu oraz relacjami Kaszubi – Polacy; Kaszubi – Polacy – Niemcy, Jan Piepka, prozaik Jan Drzeżdżon, poeta i prozaik Wojciech Czerniawski, będący w latach osiemdziesiątych pisarzem kontrowersyjnym, obecnie zaś zdający się nie istnieć: brak jego nowych książek na rynku wydawniczym czy wzmianek o autorze *Dziennika z zapomnienia* w prasie literackiej, prozaicy Andrzej Łuczeńczyk – „skromny palacz ze wsi podlubelskiej, a zarazem śmialek, który poważał się zmierzyć pisarsko z tajemnicą śmierci”, „odkrywca nowego ładu” literackiego, pisarz czerpiący swe „mroczne wizje z podświadomości, gdzie zepchnął je kiedyś jakiś tragiczny fakt, może ciąg faktów, i ujarzmił mnie pisarsko dzięki dyscyplinie intelektualnej oraz rzadkiej precyzji pióra”. Ponadto, Tadeusz Siejak – inżynier, „Piękny Duch - Wieczny Rewolu-



Ocalić od zapomnienia

cjonista”, święcący swe triumfy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy łącząc realizm z groteską, krytykował PRL-owski system oraz poetki „Gospodyni z Niebieskiej Wsi” Stanisława Kopiec oraz obserwująca świat z perspektywy wózka inwalidzkiego, ale i szczęśliwa posiadaczka własnego „malucha” Lilla Latus.

Ludzi tych autorka *Zamachu na Hitlera* poznała w różnych sytuacjach życiowych; część z nich została „utrwalona” w wierszach autorki *I światem być, i żrenicą*, wszyscy zaś – z rozmaitych powodów – zajęli stałe miejsce w jej sercu i pamięci. Z tego też powodu za-

warte w *Pomnożyć serca dostatek* szkice napisane zostały w tonie subiektywnym, nostalgicznym, co momentami utrudniałoby polemizowanie z zawartymi tam sądami. Poza wszystkim, stanowią swoistego rodzaju skondensowany „przewodnik” po twórczości tych, którzy zostali szczególnie doświadczeni przez los, a którzy wykazali heroizm chyba nazbyt rzadko spotykany w dzisiejszych czasach, wzbudzając sympatię, a nawet podziw autorki *Szarych godzin Weroniki*.

Co łączy dwie wyżej wymienione książki? Źródłem wierszy Marii Jentys jest, z jednej strony: cierpienie, choroba, samotność, z drugiej zaś – wiara i nadzieja, dające człowiekowi siłę do walki, jaką przychodzi mu toczyć z przeznaczeniem. Podobne przesłanie wypływa z biografii postaci, które stały się bohaterami *Pomnożyć serca dostatek*. Poetka pokazuje ich „ludzki” wizerunek: to artyści zanurzeni w codzienności, prozaiczności, obarczeni problemami, nękani przez choroby, a mimo to niepoddający się, walczący o siebie i swoje miejsce w świecie (przykład Celiny Tatarkiewicz, która straciwszy wzrok, nie przestała tworzyć. „»Maluje« piórem tak barwnie i wyraziście, jakby miała w rękach pędzel i paletę – powiada Jentys – a zarazem tak subtelnie, jakby jej ręką z piórem kierowały anioły” czy też Lillii Latus, której życiem kierują dwa czynniki: całkowity bezwład nóg oraz pełna aktywność pozwalająca jej na „normalne” życie, wypełnione pracą dydaktyczną i artystyczną albo Jan Drzeżdżon wytrwale chodzący od redakcji do redakcji z kolejnymi powieściami i wbrew wszystkiemu wierzący w to, co robi). Sportretowani w *Pomnożyć serca dostatek* artyści, oddający się „życio-pisaniu”, zdają się podobni do narratorki *Szarych godzin...: zwyczajni, a jednak niezwykli w owej zwyczajności*.

Tytuły obydwu książek również ze sobą korespondują, wspólnie dając „receptę” na godne życie. Bowiem możliwe, że chodzi głównie o to, by docenić szarość, „w której niewidzialne staje się widoczne, a widzialne – nieistotne”, a tym samym: umieć zatrzymać się w codziennym pędzie i oddzielić to, co istotne od tego, co nieważne, nie dawać się zwieść pozorom. To wszystko prowadzi do pomnożenia bogactwa wewnętrznego. Bezennego przecież. Dostatku pozwalającego zachować w pamięci ludzi, wydarzenia, odczucia. W jakim celu? „W głowie mojej roją się myśli, które zrodziły ból, a z nich powstają słowa. One są może puste dla innych, nieważne i niewarte, by ich słuchać, ale wysypują się z pękającej głowy i rozlatują... Coś muszę z nimi zrobić. Co? Po co? Nie wiem. Zapisuję je” – zwierza się narratorka *Szarych godzin Weroniki*. Może odpowiedź leży właśnie w potrzebie ocalenia od zapomnienia.

AGNIESZKA NĘCKA





Rytm i obyczaj

To tytuł ostatniej książki Mariana G. Gerlicha, opatrzonej podtytułem: „Cztery szkice o tradycyjnej kulturze górniczej”. Teksty opublikowane wcześniej na łamach czasopism naukowych, tworzą pełny obraz kultury odchodzącego w niebyt śląskiego stanu górniczego. Autor, specjalizujący się od lat w etnograficznej i etnologicznej penetracji kultury śląskiej typu ludowego, jest niekwestionowanym autorytetem w tej, a także innych dziedzinach. Szkice te zakreślają i zarazem wyczerpują całe spektrum kulturowej otoczki egzystencji górniczej.

Mimo charakteru naukowego autor operuje językiem przystępnym właściwie dla każdego czytelnika, a wielość odsyłaczy informuje m.in. o innych wartościowych opracowaniach dotyczących omawianych fenomenów kulturowych. Ustosunkowuje się faktycznie do tradycji wykształconej w obrębie górnictwa węglowego, której czas trwania zamyka się klamrą niepełnych dwustu lat. Niby dużo, a jednak nie tak znowu wiele. Po prostu pewien rozdział historii górnośląskiej ziemi, także starszych o wiele tradycji górnictwa rudnego, które jednak nie było tak rozbudowane i powszechne jak węglowe.

Gerlich precyzyjnie określa związki przyczynowo skutkowe, leżące u narodzin plebejskiej formacji kulturowej związanej z kopalnictwem węgla. Zwraca szczególną uwagę na to, że w realnych związkach rodzimej tradycji wiejskiej z nowymi uwarunkowaniami industrialno-urbanistycznymi (ma tu na myśli, choć tego nie precyzuje, wiek XIX, zwany patetycznie „wiekiem węgla i stali”) – powstał synkretyczny twór, dziś określany mianem „tradycyjnej kultury górniczej”.

W szkicu otwierającym całość, zatytułowanym „Górnik, czyli znój i etos”, Gerlich w oparciu

o własny materiał badawczy i literaturę przedmiotu, przedstawia otoczkę kulturową zawodowego życia górników „czarnych”, jaka wykształciła się na przestrzeni rzeczonego dwustu lat, ze wskazaniem korzeni wcześniejszych (górnictwo rudne).

Całość problematyki przedstawiona została w sześciu rozdziałach. Pierwszy – „Środowisko pracy” – określa istotę uwarunkowań determinujących zachowania i postawę człowieka pracującego w tak specyficznym zakładzie, jakim jest kopalnia.

„Wychowanie na każdym kroku pachniało górnictwem” – ten rozdział poświęcony został funkcjonowaniu tradycji dziedziczenia zawodu górnika. Jego dziedziczenie, wysoko cenione w środowiskach górniczych, łączyło się z ambicją nie spotykana w obrębie innych profesji, jaką była chęć posiadania dwunastu synów górników. Stanowiło to „bergmoński col”. Autor określa w kategoriach związków emocjonalnych, rodzinnych tę specyficzną atmosferę w której u młodego pokolenia rozdziła się swoista fascynacja górnictwem.

W życiu górnika każdy dzień niezmiennie miał dwa najważniejsze momenty – „Wyjście z domu i powrót z zychty”. Tak zatytułowany rozdział poświęca Gerlich specjalnie tym dwu stałym momentom przejścia ze świata bezpiecznego, domowego w świat groźny, przestrzeni kopalni i powrót stamtąd. Przedstawiając całą otoczkę rytualno-magiczną z tym związaną, rysuje wyraziście szczególnie istotny tutaj kontekst rodzinny.

„Pierwszy dzień w pracy” – to etnologiczne omówienie zwyczajów, wierzeń i obrzędów związanych z górniczą inicjacją zawodową, rodzimą i zapożyczoną. Dopelnieniem tegoż rozdziału jest następny – „Tradycyjne formy wprowadzania nowicjusza do górniczej społeczności”. Szkic ten kończą dwa rozdziały merytoryczne: „Obyczaje, zwyczaje i wierzenia górników związane z pracą” oraz „Barbórka”.

W rozdziale „Żłoneczka doma, czyli życie codzienne” autor skoncentrował się na szczególnym rodzaju kategorii zachowań znormalizowanych kulturowo, bądź skonwencjonalizowanych.

„Święta Barbara czyli patronka” – jest przywołaniem hagiograficznych źródeł kultu Świętej.

Całość zamyka szkic pt. „Skarbnik czyli duch podziemi”. Jest to najbardziej typowa postać śląskiego systemu wierzeniowego, która „istnieje” w ogromnej ilości opowieści górniczych, a także w opracowaniach naukowych. Gerlich na podstawie bogatego materiału folklorystycznego i badawczego, stara się określić cechy tegoż demona podziemi, czyli jego pochodzenie, wizerunek.

Książkę szczególnie polecam, jako kompendium wiedzy o niedysiejszej kulturze niegdysiejszego stanu górniczego.

SEWERYN A. WISŁOCKI



W matni umysłu

Czyż nie odczuwam? Owszem. Im więcej piję, tym więcej odczuwam. Właśnie dlatego piję, że w trunku tym szukam współczucia i serca. Nie wesela, lecz boleści. Piję, albowiem pragnę dotkliwiej cierpieć! – pisał o psychicznym masochizmie nałogowca, w imieniu tłumy uwiecznionych w jego matni samotników, Fiodor Dostojewski. Alkoholizm nie zadaje ran powierchniowych. Nie działa chaotycznie, bez strategii. Nie zadawała się połowicznym sukcesem. Nie uznaje kompromisów. Pozwalając sobie na drobne porażki czy chwilowe zawieszenia broni, przyjmuje kocią taktykę „gry” z ofiarą przed finalnym wymuszeniem jej kapitulacji. Zniczekulując wolę, przenika swobodnie i bezboleśnie do głębi jestestwa, stając się niepostrzeżenie sprawą życia i śmierci. Jego prawdziwe literackie świadectwo dać może jedynie ten, kto go doznał i zrozumiał. Duszą, mózgiem i piórem zmierzili się z nim zwycięsko – choć nigdy ostatecznie – Jerzy Pilch (*Pod Mocnym Aniołem*) i Wiktor Osiatyński (*Rehab*). Ich osobisty i zawodowy oręż wobec świata tkwi w pokładach intelektu. Jest nim na wskroś dziennikarska radość spekulacji – „rozpusta” myślenia, utwierdzającego w przekonaniu o kontroli sprawowanej nad otoczeniem, a także o iluzorycznej samokontroli. W obydwu przypadkach broń

trzeźwego racjonalizmu zawiodła w starciu z nałogiem.

Rehab jest książką o podstępach umysłu, który w celu uśmierzenia bólu sumienia, stwarza mechanizmy obronne przeciwko uwierającej człowieka prawdzie. Wyszczególniony w produkcji spójnych i logicznych teorii, uzasadniających wszystkie pragnienia, uczucia i uczynki, staje się stopniowo źródłem fałszywej samoświadomości. A zakłamanie to przepustka do piekła alkoholizmu. Jego topografię poznał autobiograficzny narrator książki, pisarz W. z komunistycznej Polski, poddający się terapii odwykowej w „Farmie” – jednej z amerykańskich klinik. *Rehab* jest powieścią o drodze jaką musiał on przebyć od alkoholowej inicjacji, po kolejne stopnie wtajemniczenia w psychologię i filozofię nałogu. Wiedzie ona od opanowanego do perfekcji mechanizmu zaprzeczeń, przez próby obalania kolejnych filarów misternej konstrukcji fałszerstw nadbudowanych w jego umyśle, aż do głębokiego samopoznania. Wytyczają ją chwiejne kroki (progresywne i regresywne) – od intelektualnej kapitulacji wobec problemu, uznania swej bezsilności, poprzez rozbijanie „skorup” skrywających prawdziwe „ja”, obrachunek moralny, empatię i duchowe przebudzenie. Nigdy nie kończącym się etapem ostatnim jest codzienna walka – z sobą i o siebie – oraz nadzieja, że nowotwór duszy nie okaże się złośliwy.

Czy *Rehab* adresowany jest tylko do zamkniętego kręgu boleśnie „wtajemniczonych”? Myślę, że do wszystkich, którzy chcą zrozumieć drugiego człowieka zanim zaczną o nim szeptać – i jeżeli nawet, świadomie lub mimowolnie, dzielą ludzi na NAS i WAS – to zadają sobie chociaż pytanie o kryteria tego podziału. Także do tych, może nielicznych, którzy bez obłudy spytają siebie: „Jak blisko byłam..., jestem... lub mógłbym być?”. Przede wszystkim zaś do tych, najliczniejszych, którzy podpiszą się oburczając pod słowami modlitwy ruchu AA: *Boże, użycz mi pogody ducha, abym mógł godzić się z tym, czego nie mogę zmienić; / Odwagi, abym zmienił to, co mogę zmienić; / I mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego.*

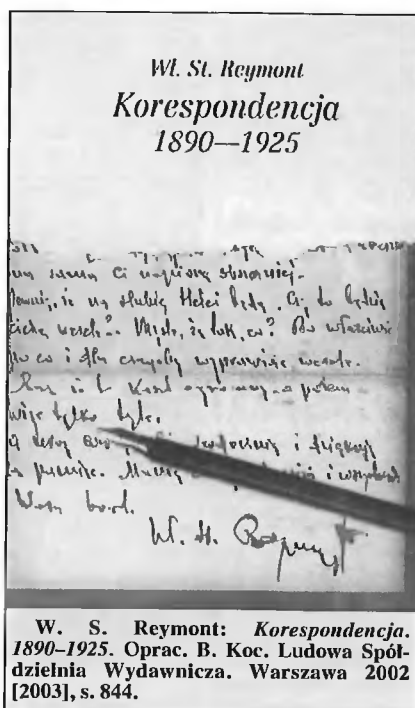
ALEKSANDRA FRANKE

Gdy Sejm ogłaszał 4 lata temu Rok Reymontowski, można było się spodziewać co najmniej kilku inicjatyw edytorskich lub naukowych. Nic takiego się nie wydarzyło. Jedynie Barbara Koc w roku 2000 zaprezentowała czytelnikom tomik pt. *Władysław St. Reymont pod znakiem „panteizmu druku”. Fragmenty korespondencji z firmą Gebethner i Wolff (1894–1929)*. Po trzech następnych latach ta sama uczona wydała obszerny tom korespondencji Reymonta, stanowiący uzupełnienie jego *Listów do rodziny*.

Został więc opublikowany cały korpus najistotniejszych dla badań naukowych dzieł Reymonta. Po wcześniejszych inicjatywach gromadzenia utworów pisarza przez A. Grzymałę-Siedleckiego, Z. Dębickiego, A. Bara i Z. Szwejkowskiego, udało się w latach 1975–2003 scalić w dwóch tomach całą dochowaną do dnia dzisiejszego korespondencję noblisty. Szkoda, że już mija ćwierćwiecze od zawieszenia najambitniejszego wydania krytycznego dzieł pisarza, w opracowaniu I. Orlewiczowej i T. Jodełki-Burzeckiego. Zaniechanie takich pracochłonnych edycji źle świadczy o mecenacie państwowym.

Pozostało do dnia dzisiejszego około 1000 (dokładniej: 983) listów Reymonta, w tym 278 do rodziny. Nie jest to mało, zważywszy, iż po Berencie mamy tylko 181 listów, a z powieściopisarzy Młodej Polski większy zbiór korespondencji związany jest z nazwiskami Orkana, Przybyszewskiego i Żeromskiego. Można żałować, iż najciekawsze listy zawsze giną: tak jest z korespondencją Reymonta i Miriama, listami Żeromskiego do drugiej żony, listami Berenta do Bronisławy Ostrowskiej...

Listy Reymonta nie przynoszą rewelacyjnych informacji o jego kontaktach literackich czy pomyślach pisarskich. Interujące rzeczy należy dopiero odcyfrować z języka i stylu tej korespondencji. Jest zadziwiającą sprawą to,



Cały Reymont

jak listy miłosne różnią się od całej pozostałej epistolografii noblisty. 26-letni czeladnik krawiecki potrafi znakomicie napisać list rekomendujący go przeorowi klasztoru na Jasnej Górze.

W tym samym roku 1893 pisuje do Antoniny Szczygielskiej zupełnie zwariowane listy miłosne. Przed Przybyszewskim uprawia przybyszewszczyznę:

„Nic już nie wiem – wszystko się we mnie rozprzęgło, wszystkie postanowienia rozprysły, wszystkie chęci pogięły niby marne źdźbła, wszystkie kłamstwa odpadły – pokazuję Ci DUSZĘ NAGĄ, okrwawioną biedną duszę szaleńca i nieszczęśliwego.” [...]

Jeszcze dziwniejsze będą w swej stylistyce modernistycznej listy do Wandy ze Starzeńskich Szczukowej z lat 1900–1901. Wynotować warto tu takie hiperboliczne sformułowania, jak np.: „O moja, o straszna, o cudowna moja Pani, Demonie mój – czemu Cię tutaj nie ma, czemu? Wypełniłbym pocałun-

kami całe życie, zabrał życie tu na zawsze, przepalił tym ogniem, który mnie przetapia i tak pali! tak pali”.

Była to zapewne największa i najdłuższa miłość Reymonta. Kto wie, czy gdyby nie katastrofa kolejowa w dniu 13 lipca 1900, w której pisarz uległ licznym kontuzjom, przyszły noblista nie związałby się na całe życie właśnie z tą demoniczną Wandą (bo do niej się właśnie wybierał). Do końca życia odwiedzał swoją Muzę w jej pensjonacie w Szwajcarii.

Żona Lili i uczucie do Wandy nie przeszkodziły Reymontowi w nowej fascynacji erotycznej. Tym razem wybranką okazała się Wanda z Pietrzkiewiczów Toczyłowska. W listach z lat 1907–1912 znów pojawiają się oksymorony i hiperbole znane z poprzedniej korespondencji.

Takich stylistycznych spostrzeżeń, wynikających z analiz korespondencji, można wysnuć o wiele więcej. Potrafi Reymont uderzyć w ton satyryka i autora scen groteskowych nie gorszych niż u Gombrowicza.

Wiele smacznych fragmentów (groteskowych ujęć jest tu jednak jak na lekarstwo!) uważny czytelnik wytropi bardzo dużo (np. zgorszenie Reymonta *Dziejami grzechu* Żeromskiego czy jego coroczną produktywnością literacką). Dotychczas opublikowane były tylko fragmenty tej obszernej korespondencji. Trzeba z całym szacunkiem oddać tu sprawiedliwość edytorce, Barbarze Koc, która dużą część zachowanych listów sama znalazła i pierwsza podała do druku. Zdziwia konsekwencja w lakoniczności komentarza wydawniczego. Niekiedy uderzają w komentarzu braki informacji: tak jest, gdy nie wspomina się o roli Żeromskiego w tropieniu nadużyć Gebethnera i Wolffa. Takie drobne potknięcia nie mogą jednak przesłonić faktu, iż otrzymaliśmy najbardziej efektowny i dorodny owoc Roku Reymontowskiego.

JERZY PASZEK



Yoshimoto Banana: *Kuchnia*, przekład: Anna Zielińska-Elliott, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, s. 136.

Ja cię sorry

Japończyk, który nazywa się Banana – już w tym momencie chciałoby się powiedzieć, używając młodzieżowego slangu: ja cię sorry. Bohaterka, która studiuje gotowanie, która cała jest w kuchni, no znowu: ja cię sorry, też mam kabłóvkę i na co drugim kanale uczą mnie gotować. Przeważnie faceci. Dzięki Bogu, ktoś tu wychodzi naprzeciw feministkom. Kluczowa postać pierwszej opowieści to facet, który po śmierci żony dał się przerobić na kobietę i jest przez to matkoojcem „przedmiotu pożądania” bohaterki-narratorki. Ja cię sorry. Do tego barszczu (ta opowieść się „Kuchnia” nazywa) trzeci grzyb: polityczna poprawność. Zamerykanizowany Azjata „na bazie” propagowania sztuki (nie, no ja cię sorry: sztuki) kulinarnej napisał poprawnego politycznie harlekina, łaszcząc się jeszcze przy tym do fanatyckich wyzwolenia kobiet (Od czego? Przecież nie kuchni?).

Podęrzliwie czytałem więc ten – jak napisał wydawca – głos młodej Ja-

ponii, w dodatku debiut. Może rzeczywiście zmiana płci w pierwszej opowieści jest jakimś haraczem dla krytyków kształtowanych przez nowe media. Może Urara – kobieta pojawiająca się w drugiej opowieści, opatrzonej angielskim i już przez to pretensjonalnym tytułem *Moonlight Shadow*, jest postacią za bardzo literacką, wymyśloną, prostacko rzecz ujmując – naciągana do potrzeb opowiadania. Ale wszystkie te chwytły czy triki nie są w stanie popsuć wartości tej literatury, która porywa się na opisanie miłości i śmierci. Własnym, kameralnym językiem.

Każdy, kto stracił kogoś bliskiego, wie, że o tym nie da się mówić (da się, ale zawsze próba przekazu kończy się klęską, w końcu ten, kto odszedł, był tym kim był tylko dla nas). Jeśli więc jakiś pisarz potrafi – mówiąc o fikcyjnych śmierciach fikcyjnych osób – otworzyć w nas wspomnienia własnych doświadczeń, pogrążyć nas w swoich własnych smutkach, to znaczy, że naprawdę spotkaliśmy się z dobrą literaturą, z prozą, która działa jak poezja.

To samo można powiedzieć o opisach miłości. Chłopak, który chodzi do szkoły w mundurku swojej zmarłej ukochanej, może się wydawać dziwaczny, zanadto ostentacyjny w swoim żalu. Ale jednocześnie budzi zazdrość – dlaczego nas samych nie było stać na taki gest, dlaczego nie ogłosiliśmy światu swojego bólu, nie daliśmy świadectwa miłości silniejszej od śmierci?

A więc szanowna pani / szanowny panie (niepotrzebne skreślić), jeśli nie miałaś / miałeś nic lepszego do roboty i przeczytałeś to krótkie omówienie, idź do księgarni albo biblioteki. Naprawdę warto dać się zaprosić do tej „Kuchni”.

FRANCISZEK PROHASKA



Jacek Kaczmarski, *Tunel*. Gdańsk 2004, s. 64

Ostatnie wiersze Kaczmarskiego

Tak to bywa, gdy bierze się do ręki najświeższą książkę autora, który właśnie odszedł na zawsze i już nie zdążył jej nawet zobaczyć. W takich sytuacjach zwykle maniakałnie szukamy świadectw osławiania mającej nadejść śmierci. Nie inaczej jest w przypadku lektury *Tunelu* Jacka Kaczmarskiego – zbioru wierszy przygotowanych do druku przez jego gdańskich przyjaciół i poetów z oficyny „Tower Press”.

O tym, że słynny pieśniarz był śmiertelnie chory, wiedzieliśmy wszyscy. On też. Te wiersze pokazują, jak Kaczmarski radził sobie z porażającą świadomością, że pewnie przyjdzie mu przegrać z nieuleczalnym rakiem. To musi zaskakiwać: poeta w co najmniej kilku utworach kpi ze śmierci, dworuje sobie niczym młodzian, autoironizuje. Ale bynajmniej nie jest to dowód na bezrozumne odrzucenie jej majestatu i powagi. Na rozpaczli-

wą ucieczkę od tego, co nieuchronne.

Kaczmarski w tych tekstach przyjmuje postawę niczym poeta baroku – podejmuje ze śmiercią szermierkę na słowa. Zrozumienia jej istoty szuka w grze paradoksów, w zderzeniach wykluczających się wzajemnie obrazów. W ekspresyjnych porównaniach i opisach, także skrajnie realistycznych (na przykład wstrząsający *Oddział chorych na raka a la polonaise A.D. 2002*). Śmierć będzie tu zawsze przeciwstawiona życiu. Banalnemu, zwyczajnemu, codziennemu, bo innego – zdaje się twierdzić Kaczmarski – po prostu nie ma. Rację ma więc prof. Maria Janion, gdy pisze, że ostatnie wiersze tego wielkiego barda są apoteozą i ekstazą życia. Nie śmierci. Tytułowy „tunel” jest więc tym fragmentem naszej „życiowej drogi”, która już jednoznacznie wyprowadza ku śmierci. A w ostatnich latach Kaczmarskiemu dane było wielokrotnie w owym „tunelu” przebywać. I co się okazuje? Świetlistości tam nie było wcale – gorzko notuje poeta. Już raczej brudny opar, jak w miejskim kanale.

W tym tomiku znajdziemy różne formy wypowiedzi – żartobliwe, ale kąśliwe sentencje, pełne aluzji do naszej politycznej i społecznej rzeczywistości, wyciszone ody i poważne nokturny, zmysłowe erotyki. Także liryki wyrastające z fascynacji mitologią i malarstwem, chyba nieprzypadkowo – właśnie barokowym, balansującym między życiem i śmiercią.

Ta książka to jedyny zbiór wierszy (a nie piosenek) Jacka Kaczmarskiego. Do *Tunelu* wydawca dołączył kompakt z *Litaniami* i innymi piosenkami.

KRZYSZTOF KARWAT

Największa wartość nowej książki Antoniego Libery tkwi w odwadze formułowania pryncypialnych sądów na temat sztuki, literatury, roli pisarza i artysty w ogóle. Dziś, kiedy niewielu prozaików kwapi się do szczerzego podnoszenia tego typu kwestii, głos autora *Madame* brzmi szczególnie donośnie. *Błogosławieństwo Becketta* to bowiem w pierwszej kolejności świadectwo literackich fascynacji znanego tłumacza pism irlandzkiego dramaturga.

Trudno powiedzieć, że Libera tę książkę w sensie ścisłym napisał, gdyż on ją po prostu z różnego rodzaju wcześniej przygotowanych tekstów składał. Ale traktowanie *Błogosławieństwa...* jako efektu prostego zabiegu kompilacji byłoby absolutnym błędem – tom stanowi, jak przystało na Apostoła Formy, staranie przemyślaną całość. Książka składa się z sześciu zasadniczych części, z których pierwsza (*Trzy rozmowy*) i ostatnia (*Trzy wyznania*) tworzą wyraźną klamrę dla pozostałych czterech rozdziałów, zawierających literackie *confessiones* Antoniego Libery. Kolejne segmenty książki obejmują swoim zakresem coraz to szersze spektrum tematyczne – autor wychodzi od bezpośredniej demonstracji (w trzech wspomnianych wywiadach) własnego sposobu pojmowania literatury i opisanie prywatnej „małej ojczyzny”, by poprzez relację ze swojej *Drogi do literatury* (rozdział drugi) oraz szkice o twórczości ulubionych *Kolegów po piórze* (rozdział trzeci) dojść do spraw ogólniejszych: sensu uprawiania sztuki hic et nunc (*Literatura dziś*) czy aktualnej kondycji duchowej Polski i Europy (*Polska, Europa i świat*). Na koniec Libera powraca do zabiegów introspektywnych, dając trzy – rozpisane na poszczególne rodzaje literackie – wyznania.

By to wszystko czytelnikowi w sposób zajmujący wyeksplikować, autor *Madame* sięga po najróżniejsze formy podawcze: recenzje, przemówienia, laudacje, odczyty, krótkie narracyjne refleksje. Znajdziemy w *Błogosławieństwie Becketta* również zgrabnie rozpisany dialog (*Czy Europa musi zginąć*), pastisz prozy Jerzego Pilcha, a nawet fragment mowy więzanej (*Niespełniona miłość*). Efektem tego gatunkowego rozmachu jest coś na kształt autorskiego raptularza, w którym – jak w soczewce – skupiają się gusta, sympatie i idiosynkrazje Antoniego Libery. Ponieważ, rzecz oczywista, trudno jego skłonności oceniać, pozostaje pokrótce je zreferować.

Co zatem znawca dzieła Samuela Becketta wielbi, co mu się podoba, a co budzi emocje raczej negatywne? Po pierwsze lubi pisarstwo tradycyjne, wręcz klasyczne: twórczość Manna, Nabokova, Conrada, Dickensa, Flauberta, Dantego i Szekspira. Nie trzeba dodawać, że bliski mu jest także ascetyczny styl dramatów autora *Końcówki*. Z bardziej swojsko brzmiących nazwisk ceni Libera, między innymi,



Odwaga wołania na puszczy

utwory Czesława Miłosza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Władysława Szymborskiej i Zbigniewa Herberta. Ten imponujący zestaw nazwisk warto uzupełnić o... Antoniego Libere, który, owszem, bardzo lubi własną powieść *Madame* i chętnie widziałby się chyba w jednym szeregu z przywołanymi wyżej twórcami. Na szczęście autor *Błogosławieństwa...* zauważa również rodzimych pisarzy i poetów (w większości zresztą jego prywatnych znajomych), którzy nie wdrapali się jeszcze na sam szczyt literackiego Parnasu: Zbigniewa Mentzla, Janusza Szubera, Pawła Huellego, Bronisława Maja. I to właśnie ta partia nowej książki Libery, która zawiera szkice poświęcone twórczości wymienionych autorów, jest najbardziej interesująca. Pokazuje bowiem nie tylko wyborną – umożliwiającą żonglerkę gatunkami i konwencjami – sprawność pisarską autora *Madame*, ale także jego mistrzostwo czytelniczno-krytyczne. Połączenie narracyjnej swady z czułym uchem kompetentnego odbiorcy zaowocowało takimi błyskotliwymi tekstami, jak (choćby) omówienie zbioru felietonów Maja czy rzetelna analiza *Weisera Dawidka*. Niejako na marginesie tych opowieści o książkach snuje pisarz (zawile nie-

raz) historie ludzi, których spotkał na swej życiowej i artystycznej drodze (narracje o Wilhelmie Dichterze i perypetiach Andrzejewskiego).

Co natomiast Antoniego Libery nie zachwyca, czego pisarz się obawia? Otóż, zdecydowanie nie lubi on zimnych, cynicznie brzmiących słów „postmodernizm” i „dekonstrukcja”. Niepokoi go ponadto, panosząca się po współczesnej literaturze polskiej „czudoziemszczyzna”, objawiająca się „już to w postaci kalkowania zachodniej literatury popularno-brukowej, już to w hołdowaniu modnym światowym nowinkom, zwłaszcza postmodernizmowi [...]”. Obawy wzbudza również „osobliwe zerwanie [literatury – A.M.] z tradycją narodowo-patriotyczną”. Dalej dowiadujemy się, że dominują dziś gusta plebejskie, partykularyzm i pop-kultura, idea zaś jest towarem niezwykle deficytowym. Słowem – nie jest dobrze. Rzutkiem przeciw postępującej destrukcji (względnie – dekonstrukcji) literackich i kulturowych obyczajów mogłyby być, wedle autora *Błogosławieństwa Becketta*, powrót do koncepcji artysty, będącego spadkobiercą kapłana lub mędrca oraz próba zademonstrowania światu wartości, wynikających z inklinacji polskiej kultury do „czucia i wiary”, jako podstawowego sposobu postrzegania rzeczywistości.

Antoni Libera nie boi się wielkich słów, nie waha się mówić o Sztuce, Artyście, Literaturze, nie ucieka od – momentami dość pretensjonalnego – patosu. Jego koncepcje są piękne, ale obawiam się – obym nie miał racji – że oznaczają one piękną gorycz porażki. O literaturze trzeba dziś mówić (czy nam się to podoba, czy nie) również w kategoriach rynku, mediów, kultury popularnej. Zresztą, świadomość tego ma chyba również twórca *Błogosławieństwa...*, skoro jeden z pomieszczonych w książce szkiców, traktujący o artyście wiernym powołaniu „na dawną modłę”, kończy retorycznym pytaniem: „tylko czy wydano by mu [twórcy, próbującemu wpisać w tekst Autoportret Człowieka – A.M.] jego dzieło?”. Gdybym nie bał się w tym miejscu czynić aluzji do Lyotarda, mógłbym zapytać przewrotnie – jaka jest dzisiaj *target group* na podobne „wielkie narracje”.

Bez względu jednak na wszystko, najnowsza książka Antoniego Libery jest ciekawą lekcją brawurowej artykulacji swoich przekonań, bez troski o ich polityczną poprawność i zbieżność z dominującymi w intelektualnej debacie trendami. Brak tego typu wyrazistości widać zwłaszcza w dyskursie krytycznym i jeśli uważna lektura *Błogosławieństwa Becketta* może przełożyć się na jakąś generalną konkluzję, to będzie nią zapewne zachęta do stanowczego głoszenia własnych poglądów. Nawet za cenę wołania na puszczy.

ARTUR MADALIŃSKI

Eugeniusz Rychlicki: *Przekroczyć złudzenia*, Chorzów 2004, s. 120.

Autor jest absolwentem Wydziału Techniki Uniwersytetu Śląskiego. Uczyl przedmiotów teoretycznych z zakresu elektrotechniki, był wicedyrektorem szkoły, wizytatorem kuratorium oświaty. To dość nietypowa droga dochodzenia do pisania poezji. Ale chyba dzięki niej właśnie mogły trafić do wierszy słowa rzadko przez twórców z wykształceniem humanistycznym dostrzegane, takie jak *całka, optymalizm, modem, internet, sinusoida*. Jak funkcjonują w sąsiedztwie aż za bardzo „poetyckich” magnolii, skrzypiec, słowików, można się przekonać sięgając po ten tom (bo trudno mówić o tomiku, kiedy książka liczy 120 stron). Na pewno artystycznie nierówny. Ale ponieważ liryka „czysta”, z całym jej instrumentarium, sąsiaduje tu z poezją, którą można zaliczyć wręcz do aktualnej publicystyki społecznej, czasem pojawia się jeszcze i satyryczne widzenie współczesnego świata, czyta się te wiersze bez znużenia.

bw.

Franciszek M. Pieloth: *Samodział*, Agencja KUBA, Warszawa 2003, s. 68.

Marian Pilot we wstępie tego zbioru wierszy niedziennych napisał: *Franz Pieloth, postać wspaniała i niewiarygodna, Schlesier, Deutsch – a polska znajda*. Po czym zachwyca się dziełem owego Francika, którego los rzucił do Berlina, po latach zaczął wracać do polskiej mowy, studiować Kolberga, Skargę, Wujka, Biernatę z Lublina po to, żeby ze starych, odnalezionych słów układać zdumiewające wiersze. Pieloth mówi o sobie skromnie: *Urzeka mnie dawna mowa, słowa, którymi pewnie posługiwał się mój daleki niepiśmienny przodek. Ja, pisarczyk, z myślą o nim stare rodzinne słowa zapisuję i z nich wieńiec składam*. Nielatwo się czyta te utwory. Ale kiedy się już czytelnik wprawi, czeka go niejedno wzruszenie, i odkrycie, że mimo tylu zmian i upływu czasu, bardzo należymy do tych dawnych słów, o których zapomnieliśmy, a teraz wrócili, żeby nas olśnić urodą.

bw.

Marian Sworzeń: *Prywatny dziennik ustaw, Radzionkowski Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Radzionków 2004, s. 120.*

Książka ta to dla mnie rewelacja. Autor kojarzył mi się do tej pory z „Arkadią”, literaturą, dziennikarstwem, Mikołowem. Ale nie z prawem. Wiedziałem, że jest takie miejsce (byłem tam nawet), które się nazywa Radzionków, że mieszka tam społeczność aktywna, kibicowałem nawet trochę piłkarzom miejscowego „Ruchu”. Nie miałem natomiast zielonego pojęcia o tym, że istnieje czasopismo zatytułowane „Głos Radzionkowa”, które w dodatku publikuje prawnicze felietony katowiczana z urodzenia, mikołowianina z wyboru i że czyni to długo oraz konsekwentnie, dzięki czemu mogła powstać mądra, jednocześnie zaś – ze względu na przystępną formę wywodu i świetny język – naprawdę „do czytania” książka. W dodatku o dziedzinie tak nudnej dla przeciętnego odbiorcy jak prawo i jego stanowienie. Anegdota o Kropotkinie, zakończenie jednego z tekstów własnym wierszem, odwołanie do „Podróży Guliwera” i „Teoria klasy próżniaczek” – to nie popisywanie się przez felietonistę erudycją, to po prostu bardzo konkretne odniesienia w tej rozmowie o prawie. Szkoda, że nie można zmusić do przeczytania tej książki naszych posłów. Może żyć stałoby się lepsze.

bw.

Dmitrij Al. Strelnikoff: *Homo mirabilis*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2004, s. 144.

Na okładce reklama jak wiersz: *Rosjanin o Polsce i Rosji / po polsku. / O Człowieku we Wszechświecie, / o rzeczach prostych i bardzo prostych, / z których składa się złożony Obraz Całości. / Zbiór myśli i wrażeń powstałych / w trakcie poszukiwania Źródła – / Źródła obrazów, wśród których fragmentów żyjemy. / Teatr Słowa. / Język polski jako łącznik / pomiędzy kulturami dwóch narodów – / dwóch gałęzi Słowiańskiego Drzewa Życia*. To może zrazić. Wielkie Litery. Wielkie Słowa. Na szczęście w swoich wierszach Strelnikoff jest inny. Znacznie mniej patetyczny. Nie denerwują nawet słowa zaczynające się od dużej litery. Bo to jest poezja, wychodząca od konkretnego, „autorskiego” – chciałoby się powiedzieć – życiowego doświadczenia, które jednak staje się uniwersalne. Ponieważ to samotny czytelnik, podczas lektury, składa sobie strelnikoffskie słowa w zapis własnych radości, zawodów, miłości i smutków.

bw.

Oblicza prasy Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego (1918–1939), red. Dariusz Rott, współpraca – Anna Mielczarek, Michał Kaczmarczyk, Sekcja Medioznawcza Międzywydziałowego Stowarzyszenia Dziennikarzy „Mosty”, Zakład Dziennikarstwa UŚ, Redakcja „Gazety Uniwersyteckiej UŚ”, Katowice 2004, s. 82.

To pierwszy tom nowej serii „Studia z dziejów komunikowania masowego”. Warto odnotować jej powstanie, ponieważ jest to kolejna inicjatywa w dziedzinie upowszechniania wiedzy o przeszłości Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego. Tom otwierają dwa teksty poświęcone Konstantemu Ćwierkowi – coraz bardziej odchodzącemu w zapomnienie sosnowieckiemu literatowi i publicyście. Kolejny materiał to „Prasa Śląska Cieszyńskiego w pierwszych latach niepodległości”. Bohaterem następnego tekstu jest Wojciech Korfanty, pokazany tym razem poprzez anegdoty drukowane w przedwojennej prasie. Sąsiaduje z nim biograficzny artykuł o „Karliku z Kocyndra”, czyli Stanisławie Ligoniu. Tematem kolejnego opracowania jest międzywojenna prasa sportowa na Śląsku. Książkę zamyka rzecz o rozwoju śląskiego prasoznawstwa w latach 1922–1939. Sądzę, że już ta krótka informacja o zawartości książki jest wystarczającą zachętą do lektury.

bw.

Olgięrd Dziechciarz: *Siodłanie krowy czyli artykuły ostatniej potrzeby. Teksty o ziemi olkuskiej z lat 1991–1999*, Drukarnia NEON, Olkusz 2003, s. 240.

Autor, jak można przeczytać na ostatniej stronie okładki, jest olkuszaninem z dziada pradziada. Z kolei ze wstępu można się dowiedzieć, iż zajmował się dziennikarstwem. Przypadkiem przeglądając stare gazety zorientował się, że jego pisanie jest „wiecznie żywe”, niektóre teksty sprzed lat mógłby zanieść do redakcji dziś, bez zmiany jednego słowa. To i fakt, że tekst w gazecie żyje jeden dzień, skłoniły Dziechciarza do zrobienia wyboru z 10-lecia swego dziennikarskiego pisania. Powstała całkiem ciekawa i bardzo zróżnicowana kronika ziemi olkuskiej a jednocześnie naszej rzeczywistości. Autor wie, że nic nie jest w stanie *zmienić pisanina w gazetach*, dlatego nadał całości tytuł „Siodłanie krowy”. Próbować można, ale ona się w wierzchowca raczej nie zmieni.

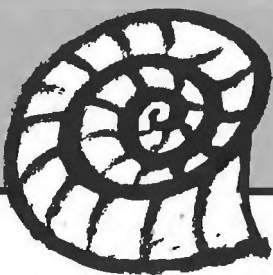
bw.

Wiek XIX, wiek „pary i elektryczności” zdawał się zwiastować tryumf ludzkości nad siłami natury, które miały - dzięki nowym wynalazkom, postępowi technicznemu oraz rozwojowi przemysłu - służyć od tej pory człowiekowi. Przyroda jednak bardzo szybko zbuntowała się przeciw takiemu przedmiotowemu traktowaniu. W ówczesnej prasie zaczęły się pojawiać alarmujące doniesienia. W 1881 roku „Gazeta Górnoląska” pisała: *Jak zapewne wszystkim wiadomo, ta wielka masa śwedu z kopalni i fabryk na Górnym Śląsku szkodzi nie tylko ludziom, lecz także i roślinom. Tego najlepszy dowód mamy na lasach hr. Ballestrema, które chociaż przed 30 laty sadzone, jednak zaledwie na kilka stóp wysokie, a jak spodziewać się można, to po upływie 50 lat, w tym samym jeszcze stanie pozostaną.* Notatka dotyczyła Rudy Śląskiej i może być dowodem na to, że już wtedy zaczęła się kształtować u nas świadomość ekologiczna.

„Śwed” dolegać musiał też katowiczanom, bo w 1894 roku zaczęto z tęsknoty za zdrową zielenią przekształcać podmiejski, brzozowo-sosnowy las w Park Południowy, dzisiejszy Park Kościuszki. Szło to wolno, ponieważ założony w 1874 roku Związek Upiększania Miasta „żył” jedynie z dorywczych składek społeczeństwa. Udało się jednak wytyczyć kilka ścieżek, posadzić trochę drzew, a miasto w 1912 roku doprowadziło do tej enklawy zieleni linię tramwajową. Dopiero po powrocie Katowic do Polski, dzięki Dyrekcji Ogrodów Miejskich miejsce to nabrało naprawdę rekreacyjnego charakteru. Część pozostała dzika, część zakomponowano geometrycznymi klombami. Pojawiły się dodatkowe atrakcje - tor wyścigów konnych, wieża spadochronowa (1937 r.), załączek skansenu (pozostał z niego przeniesiony z Syryni w 1938 r. drewniany kościółek pw. św. Michała Archanioła z 1510 r.), tor saneczkowy. Po drugiej stronie ulicy Kościuszki przygotowano teren z myślą o Targach Katowickich, urządzonych po raz pierwszy w 1930 roku. W samym parku działała letnia restauracja, przed którą odbywały się koncerty. W 1925 roku nadano mu imię Tadeusza Kościuszki, umieszczając na wieży widokowej (dawniej Bismarcka) medalion z podobizną naczelnika. Wieżę rozebrano w 1934 roku. Żałować można, że nie przetrwał ogród dاليowy, założony przez kierownika miejskiego ogrodnictwa Pawła Sallmana. Miałem okazję oglądać kiedyś kawałek pola, na którym kwitło 120 odmian dاليi i był to niezwykle piękny widok.

EKOLOGIA

Kolumna dofinansowana
ze środków Wojewódzkiego
Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej
w Katowicach



Ten ogród należy do was



We wrześniu 1939 r. wieżę spadochronową, zbudowaną przez Ligę Obrony Powietrznej i Przeciwlotniczej dla odbywania ćwiczeń w sko-kach spadochronowych, zniszczyły wojska hitlerowskie, była bowiem jednym z punktów obrony Katowic.

Ze względu na walory krajobrazowe, przyrodnicze i pamięć wydarzeń historycznych Park Kościuszki jest wpisany do rejestru zabytków i podlega ochronie konserwatorskiej. Opiekuje się nim Zakład Zieleni Miejskiej, prowadzący bieżącą konserwację zieleni oraz remonty i inwestycje. Niestety, nie decydują w tym przypadku potrzeby, miarą są środki, jakie może w danym roku przeznaczyć gmina. Dyrektor Zakładu, Wanda Ciszewska informuje, że na Park Kościuszki przypada w tym roku ponad 1,6 mln złotych, w tym na remonty i inwestycje ponad 362

tys. Remont parku - to brzmi trochę dziwnie. Da się jednak wyjaśnić. Pod jego terenem eksploatuje złoża na zawal KWK „Wujek”. Stąd wynikła konieczność naprawy niecki stawu, stąd konieczność reperacji systemu melioracyjnego. A i tak działalność kopalni spowodowała takie zmiany w stosunkach wodnych, że prawie wyginał starodrzew, większość drzewostanu pochodzi z nowych nasadzeń. Szkody powodują także zwykli wandale.

W Parku Kościuszki występuje ponad 90 gatunków i odmian drzew oraz krzewów. Są tu m.in. graby, buki, lipy drobnolistne, klony, jodły, sosny, czeremcha ptasia, tuje, katalpy, topole, złotokapy, trzmielina pospolita, kalina koralowa, różaneczniki oraz azalie. W pobliżu „Zielonego Oczka” posadzono charakterystyczne dla sztuki ogrodowej Chin i Japonii wiśnie piłkowane, wspaniale kwitnące, a potem zmieniające kolory liści. W parku gniazdują przedstawiciele wszystkich ptaków śpiewających występujących na terenie naszego miasta. Są dzięcioły duże, grzywacze, sójki. Ssaki reprezentują krety, ryjówki aksamitne, jeże, zające. Czytałem, że można spotkać też sarny i dziki, ale nie miałem nigdy okazji ich spotkać.

Byłem „dzieckiem śródmieścia”, więc Park Kościuszki to dla mnie rajski ogród tamtych lat. Pamiętam jeszcze, jak z wieży spadochronowej, zrekonstruowanej po wojnie, skakali odważni młodzieńcy, żeby zaimponować swoim pannom. Wspominam szalone zjazdy naturalnym torem saneczkowym, kończące się czasami kraksą. Pamiętam wyprawy do Hali Parkowej na imprezy sportowe (np. zawody bokserskie). Ambicją było wtedy dostanie się do środka na gapę. W latach licealnych tam odbywały się też koncerty big-beatowe krajowych i zagranicznych gwiazd. Do kościółka chodziliśmy na Pasterki. Bliżej mieliśmy szkolny kościół przy ul. Sokolskiej, własne kościoły parafialne, ale z kolegami wybieraliśmy się zawsze do parku. Przez śnieg brnęliśmy do „szopki” jak prawdziwi pasterze. A te randki, pocałunki na parkowych ławkach. Myślałem, że każdy katowiczaniek nosi w sobie własną, indywidualną historię Parku Kościuszki. Dlatego kończę napisem z meksykańskiej tablicy zanotowanym przez Lowrego w powieści „Pod wulkanem”: *Czy podobają się wam ten ogród, który należy do was? Uważajcie, żeby wasze dzieci go nie zniszczyły.*

JAROSŁAW STARZYK

Galeria Bielska BWA to jedna z najlepszych tego typu instytucji artystycznych w województwie śląskim, swoimi niekonwencjonalnymi działaniami i inicjatywami budząca zainteresowanie także daleko poza granicami regionu. Cykliczne imprezy i konkursy o charakterze ogólnopolskim - choćby Bielska Jesień - ściągają do stolicy Beskidów artystów o uznanych nazwiskach, nie tylko z Polski. Jest to galeria interdyscyplinarna, śmiało wchodząca w obszary sztuki awangardowej, poszukującej, eksperymentującej. Miarą ambicji są także wydawnictwa, z natury rzeczy elitarne, niskonakładowe, zawsze jednak jakoś korespondujące z tym, co BWA w Bielsku robi na co dzień. Odnotujemy zatem dwie nowe książki, które tutaj mogły się ukazać.

Pierwszą z nich jest *Konceptualność fotografii* Adama Soboty, krytyka i teoretyka sztuki, pracującego w Muzeum Narodowym we Wrocławiu, zajmującego się tamtejszymi zbiorami fotografii artystycznej. We wstępie do tego zbioru interesujących esejów Agata Smalcerz, dyrektor galerii Bielskiej BWA, napisała: „Artyści, którym poświęcił [Adam Sobota - przyp. K.K.] kilka rozdziałów, w większości nie ograniczają się do tej jednej dziedziny, choć należą do klasyki polskiej fotografii. To dowód, że fotografia nie jest tylko domeną fotografików, ale medium, z którego korzystają - i znacznie wzbogacają jego rozumienie - artyści sztuk wizualnych. Reprodukowane zdjęcia umożliwiają Czytelnikowi porównanie opisów i analiz z dziełami, choć często mogą tylko zasygnalizować problem - jeśli praca jest bardziej rozbudowana”.

Cóż, chciałoby się, by w książce Soboty było jednak więcej fotografii, ale pewnie na przeszkodzie stanęły względy finansowe. Niemniej rzeczywistość edukacyjne i z wielką zajomością tematu prowadzone analizy można konfrontować ze zdjęciami artystów, którym tutaj poświęca się najwięcej uwagi. Pierwsze szkice powracają do lat 50. i działalności trójki artystów, którzy tworzyli nieformalną grupę eksperymentatorów, jawnie odrzucających doktrynę socrealistyczną. Mowa o Zdzisławie Beksińskim, Bronisławie Schlabsie i Jerzym Lewczyńskim, których twórczość wpisywała się w europejskie nurty sztuki współczesnej, choć w kraju - przynajmniej na początku - była marginalizowana a nawet zwalczana.

Z naszego, śląskiego punktu widzenia, intrygują działania i prace, jakich podejmował się Jerzy Lewczyński, który - dzisiaj widzimy to wyraźnie - sprawił, że Gliwice i tutaj organizowane wystawy stanowią ważny punkt w dziejach powojennej fotografii artystycznej. Na fotografiach Lewczyń-

skiego „zaczęli pojawiać się ludzie, którzy nie mieścili się w tej [socrealistycznej - przyp. K.K.] ramie, albo wręcz wyrażali swoją postawą kpinę z propagandowych ustaleń. Enigmatyczność czy tajemniczość ludzkiej osobowości wyrażają m.in. jego autoportrety; ten z roku 1954 jest tylko konturem profilu głowy, przyłożonej po prostu do papieru fotograficznego (...). Nieznany z roku 1957 ubrany jest w roboczy drellich i zasłania twarz ło-

W kręgu awangardy

patą, jakby parodiując portrety przodowników pracy na budowach socjalizmu (...).”

Później sztuka Lewczyńskiego wielokrotnie jeszcze ewoluowała. Cenne okazały się jego cykle eksperymentujące i gloryfikujące negatywy jako podstawowe tworzywo. Zdzisław Beksiński, który rzucił fotografię na rzecz malarstwa i grafiki, po wielu latach wyznał, że Lewczyński należał do prekursorów fotografii artystycznej, i to nie tylko w skali kraju. „Gdybyś ten sam numer [mowa o wystawie gliwickiej z roku 1959 - przyp. K.K.] zrobił w tym samym czasie w Nowym Jorku, to byłbyś dzisiaj świętym sztuki”. Nie ma powodów, by Beksińskiemu nie wierzyć...

Adam Sobota w swych esejach podnosi również walory pionierskich (także wydawniczych i eseistycznych) prac Zbigniewa Dłubaka, swego czasu redaktora naczelnego miesięcznika „Fotografia”, w latach 70. współzałożyciela grupy nazwanej „Galerią Permafo”. Swe analizy autor poświęca także innym artystom tej grupy: Andrzejowi Lachowiczowi, Natalii Lach-Lachowicz (czyli Natalii L.L.) i Antoniemu Dzieduszyckiemu. Interesujące są też teksty o Andrzeju Pawłowskim, Zofii Kulik, o postmodernizmie i sztuce lat 90.

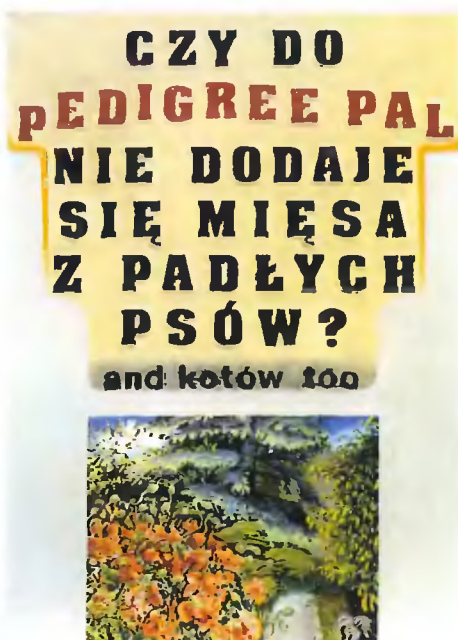
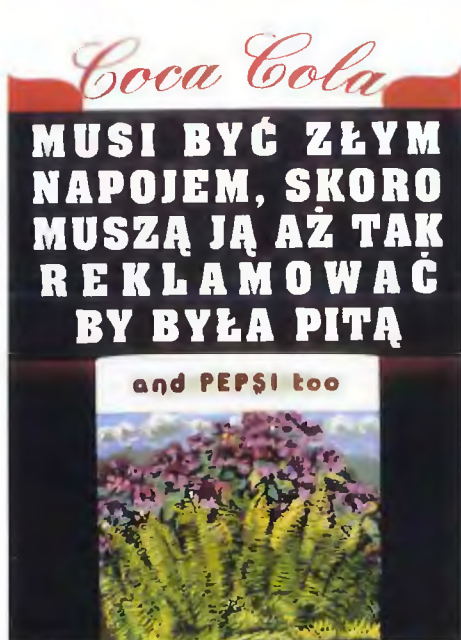
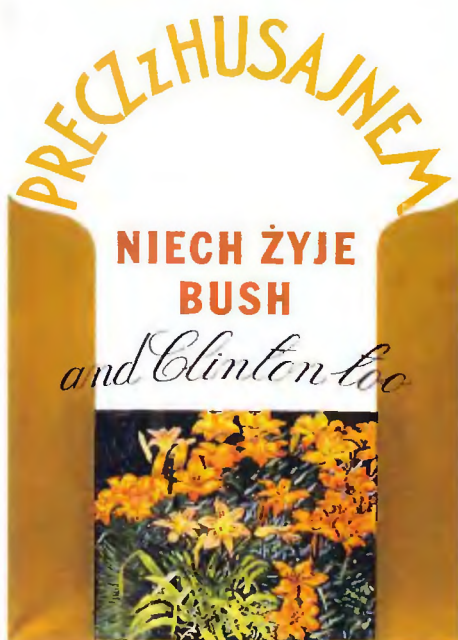
Galeria Bielska BWA jest również edytorem zbioru szkiców Jerzego Truszkowskiego, zatytułowanego *Artyści radykalni*. Książka ukazała się w związku z wystawą dzieł Przemysława Kwieka *Przeciw niezbyt rozum-nym w sprawach nowoczesnych*. Truszkowski również wiele uwagi poświęcił fotografikom, w tym wspomnianej już Zofii Kulik, która z Kwiekiem długie lata stanowiła duet, podpisując swe prace jako KwieKulik.

Były zresztą pokazywane w Bielsku, o czym przypomina Agata Smalcerz: „Artyści prowadzili w swoim mieszkaniu alternatywną pozainstytucjonalną instytucję prywatną: Pracownię Działań, Dokumentacji i Upowszechniania. Dokumentując działania własne i innych artystów zebrali archiwum ok. 12 000 slajdów i 12 000 negatywów. Ich sztuka, radykalna i krytyczna, ukazująca degenerację jednostki zniewolonej przez system sprawiła, że byli artystami zakazanymi w Polsce Ludowej. W latach 1976-1979 odmawiano im wydania paszportów, mimo że byli zapraszani na wiele międzynarodowych imprez artystycznych”.

Ale - jako się rzekło - książka Truszkowskiego nie jest tylko o Kwieku i Kulik. Zajmujące analizy autor poświęcił m.in. Zbyszko Trzeciakowskiemu, performerowi, malarzowi, artyście ingerującemu w przestrzeń, badającemu mechanizmy, jakim jesteśmy poddawani jako społeczeństwo masowe i konsumpcyjne. Trzeciakowski posługuje się także kamerą wideo, ostatnio również komputerami. W ogóle to jest książka o artystach niepokornych, właśnie radykalnych, przekraczających już nie tylko tradycyjne konwencje, ale granice przyzwyczajęń i oczekiwań odbiorczych. Eksperymentujących, prowadzących dialog z przestrzenią i czasem, funkcjonujących poza instytucjami i - często - systemami muzealno-stypendialnymi. Takim artystą jest również m.in. Jacek Kryszkowski, o którym Truszkowski pisze jako o autorze „najodważniejszej akcji artystycznej w polskiej sztuce”, czyli *Wyprawy po Witkacego do Rosji*. Rzecz miała miejsce w roku 1985. Kryszkowski zapisał się do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, bo tylko tą drogą mógł uzyskać paszport i prawo „wyjazdu na ryby” na białoruskie Polesie. Artyście udało się odnaleźć grób Witkacego, wydobyć z niego kość, zmielić ją w maszynie do mielenia mięsa i przewieźć przez granicę jako „ziarna goryczy”. „W Polsce - przypomina Truszkowski - rozpowszechnił tę pracę w postaci plansz z tekstami i fotografiami oraz jako jeden z numerów »Halo, Halo«. Dążył do tego, by władze wytoczyły mu proces. Jednak w związku z planowanym oficjalnym »sprowadzeniem zwłok« Witkacego unikano jakiegokolwiek nagłaśniania akcji Kryszkowskiego”.

Książki Soboty i Truszkowskiego znalazły w Bielsku wyjątkowo dobry kontekst. Coś zamknęły, ale i coś nowego - także przed Bielskiem - otworzyły. Jak się wydaje, nie tylko bielszczanie potrafią to docenić.

KRZYSZTOF KARWAT



PRZEMYSŁAW KWIEK

z cyklu *Awangarda bzy maluje jako plansze*

1991-2004



Herb z fasady LO im. A. Mickiewicza - początek XX w.



Herb ułożony na gmachu Urzędu Miejskiego

Herby Katowic

Z herbem miasta spotykamy się na co dzień. Nie zawsze jednak zastanawiamy się, co oznaczają jego poszczególne elementy.

Herb Katowic stanowią: podstawa uniesionego młota stojąca na belce, pod którą płynie woda. Pierwszym elementem w herbie jest woda - oznaczała życie i energię. Uchodząca do stawu Rożdżianka - rzeczka przepływająca przez Bogucice - mogła stać się źródłem energii. Wystarczyło tylko spiętrzyć wodę i podporządkować ją człowiekowi. Drugi element to drzewo: to pamięć o lesie rosnącym w tych miejscach od zawsze. Od nazw drzew pochodzi kilka nazw dzisiejszych dzielnic Katowic: Dąb, Borki, Dąbrówka. Zarówno woda jak i drzewo służyły do przetwarzania żelaza z rudy - najważniejszego bogactwa tej ziemi. I największy, dominujący element herbu: młot kuźnicy boguckiej, położony niegdyś nad stawem, napędzany siłą wody. Osadzony na długim ramieniu formował żelazo. Łączył w sobie pierwotne żywioły: wodę i drewno.

Ten najstarszy element eksponowany jest na honorowym miejscu przed wejściem do Biblioteki Śląskiej przy Placu Europy.

Najstarsze wyobrażenia herbu Katowic pochodzą z pieczęci sołtysa katowickiego z 26 marca 1816 r. Kolejny zachowany eksponat to odcisk pieczęci gumowej gminy Katowice z 1859 r.

Wędrując po mieście można zauważyć, iż na kilku fasadach zabytkowych dziś kamienic i gmachów widnieją herby Katowic. Pięknie prezentują się na odnowionych frontach, chociaż bywają też ukryte przed bezpośrednim kontaktem. Prezentujemy niektóre z nich. (wk)



Herb na secesyjnej kamienicy (róg Warszawskiej i Dyrekcyjnej)



Młot kuźnicy boguckiej przed gmachem Biblioteki Śląskiej

(Oprac. na podst. Informatora o Katowicach na stronach www.CentrumTechnikiObliczeniowejUSwKatowicach).

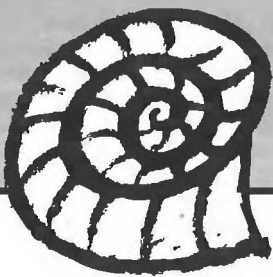
Współczesna ekologia wyrosła z nurtu konserwatorskiej ochrony przyrody. Jeden z nich dotyczył przyrody tradycyjnej czyli ochrony gatunkowej zwierząt i roślin, drugi dotyczył przyrody nieożywionej wielkich wspaniałych obiektów geologicznych. Dzisiaj ochrona przyrody połączona jest z wielkim przemysłem turystycznym, przykładem pierwszego nurtu są parki narodowe w Afryce np. Krugera w RPA o powierzchni prawie 20 tysięcy kilometrów kwadratowych, Gemsbok w Botswanie czy Serengeti w Tanzanii, ze wspaniałymi zasobami zwierząt, na które polują kamerami - i nie tylko - dewizowi turyści. Najstarsze i najwspanialsze jednak parki narodowe dotyczyły przyrody nieożywionej takich form jak gejzery wodne (Old Faithful) i wulkany błotne, fumarole, trawertyny w Parku Narodowym Yellowstone (założonym w 1872 r.), czy form wietrzenia skał i erozji rzecznej - Grand Canyon w Kolorado, a nawet skamieniałego lasu (Petrified Forest) w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Warto wspomnieć, że Śląsk ma swój niekwestionowany wkład historyczny w pierwszy nurt ochrony gatunkowej zwierząt. Te światowe osiągnięcia dotyczą żubra, królewskiego zwierza kojarzonego z Puszcza Białowieską. Dzisiaj dzięki reklamie piwa prawie wszyscy Polacy wiedzą jak wygląda żubr, ale nie wszyscy wiedzą, że to właśnie dzięki wysiłkowi śląskich łowczych i naukowcom udało się uratować ginący gatunek. Mało kto wie, że te wydawać by się mogło, od prawników żyjące żubry w Białowieży zostały reintrodukowane (ponownie wprowadzone) na bazie pszczyńskich czyli śląskich genów, gdyż tam na północnym wschodzie kraju sklusowano ostatnią żubrzcę podczas zawieruchy wojennej na początku XX wieku. Dziś żartobliwie mówi się, że wszystkie żubry na świecie mają geny hanysów.

Ostatnio pojawiła się szansa, że Śląsk zapisze się również do historii ochrony przyrody nieożywionej. A to za sprawą śladów i szczątków dinozaurów w Krasiejowie oraz cudownych kamieni polnych agatów, skanowanych i upowszechnianych w świecie poprzez internet. Nadzwyczajność wnętrza śląskiej ziemi, czyli jej georóżnorodność opisywano już wiele wieków wcześniej niż amerykańscy przyrodniczy zaczęli myśleć o ochronie przyrody nieożywionej. Oznacza to, że ziemia śląska należy do grona najstarszych obszarów naszej planety, które doczekały się dokładnych przyrodniczych opisów swojego wnętrza - przyrody nieożywionej a przez to chronionej i poddawanej nie tylko eksploatacji ale i medytacji poetyckiej i ochronie. Warto wspomnieć o dorobku medyka nadwornego rodziny Schaffgotschów Kaspera Schwenkfelda z Gryfowa (1563-1609), który wydał w już w 1600 roku w Lipsku, fundamentalne łacińskie dzieło „Catalogus ...Fossilium Silesiae” stron 371. Z tego opracowania, korzystał wielokrotnie nasz bogucki kuźnik Walenty Rożdżeński, który na stronie tytułowej „Officina ferraria” cytuje medyka z Gryfowa, mówiąc że ważne jest złoto, srebro i miedź, a także kamienie szlachetne, najważniejsze jednak żelazo. Także ze Śląska po-

EKOLOGIA

Kolumna dofinansowana
ze środków Wojewódzkiego
Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej
w Katowicach



Silesaurus opolensis - dinozaur spod Opola?

chodzą najstarsze opisy skalnych ciekawostek czyli skamieniałości w pokładach węgla. Dokonał ich wrocławianin Johan Daniel Major, w dziele z 1664 roku Litolgia Curiosa. Nie można zapomnieć, że w czasach, kiedy wiedza była w innych krajach w powijakach, na Śląsku pisano wiersze o mineralach i ...uwięzionej w kopalnej żywicy (bursztynie) mrówce. Dokonał tego w 1648 roku Martin Opitz z Bolesławca wzorując się na rymach epigramu rzymskiego poety. W XVIII wieku co kilkanaście lat ukazywały się nowe wartościowe opisy przyrody geologicznej Śląska. Jedno z nich, doktora filozofii i medycyny z Legnicy, Jerzego Volkmana było rangi światowej i wydane zostało w 1720 roku w lipskiej oficynie wydawniczej Moritza Weidmana księgarza jego królewskiej mości w Polsce i jego wysokości księcia Saksonii. Pełny tytuł tego dziesięciotomowego dzieła, które cytowano wielokrotnie w Polsce, w tłumaczeniu ze skrótami brzmi „Silesia subteranea albo Śląsk ze swoimi podziemnymi skarbnymi, kuriozami, które ten kraj ma wspólne z innymi, albo ma ich więcej, szlachetnymi i nieszlachetnymi, bez albo z odciskami i dziwnie tworzonymi kamieniami, które dawniej przez potopy tutaj naniezione, a przez skamienienie drzew, ziół, kwiatów i owoców, zwierząt lądowych i morskich powstały, jak również metali i mineralów o różnych rodzajach, które służą zarówno medycynie jak i mechanice. Ziemię, źródła kwaśne, lecznicze, zdrowotne i kąpieliska.” Volkman utrzymał wiele skamieniałości na miedziorytach, opisał też złoża mineralne okolic Bytomia i Krapkowice.

Prawie trzysta lat po tych wspaniałych dziełach ziemia górnośląska czekała na

odkrycie śladów dinozaurów w okolicach Ozimka na Opolszczyźnie. Dziesiątki milionów lat, szczególnie w triasie i kredzie ciepłe morza mezozoiczne występowały na obszarze dzisiejszego Górnego Śląska. Na Opolszczyźnie szczególnie pospolite są skamieniałości morskich zwierząt z tych okresów z pogranicza lądu i morza. Jest to jedyne tak bogate w skamieniałości miejsce w Polsce, gdzie zachowały się liczne szczątki lądowych i słodkowodnych kręgowców ery dinozaurów. W 1993 roku został odkryty pokład z masowym występowaniem czaszek i fragmentów szkieletów wielkich kręgowców słodkowodnych i lądowych pochodzących gdzieś ze skraju hipotetycznego jeziora czy rzeki trasowej sprzed 230 mln lat. Gdyby nie młodzi geolodzy, to tony kości i szkieletów przerobionych zostałyby na cement po transporcie rurami do cementowni „Strzelce Opolskie”. Niektórzy paleontolodzy zaliczają te wykopaliska paleontologiczne koło Opola do jednego z najbogatszych w świecie stanowisk paleontologicznych triasowych kręgowców. Takie znaleziska trafiają się raz na kilkadziesiąt lat. Układ kontynentów w późnym triasie spowodował wspaniałe warunki rozwoju metopozaurów i fitozaurów. Fitozaury czyli „roślinne jaszczurki”, przypominały współczesne nam gawiale (krokodyle), ale nozdrza nie miały na końcu pyska, lecz bardziej na czole, tak jak u wielorybów. Największy z fitozaurów znalezionych w Krasiejowie miał około 3,5 m długości. Jeden z najstarszych dinozaurów, drobny stadny dino, opisany po raz pierwszy w Krasiejowie, nazwany został na cześć Opolszczyzny Silesaurus opolensis i rozslawiać będzie naszą ziemię na całym świecie.

Niestety miejsce to nie doczekało się należytej ochrony ani też wczesnego zrozumienia władz lokalnych i regionalnych współczesnego do rangi znaleziska. Prowadzi się tam skromne badania naukowe. W Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie istnieje ciekawa ekspozycja. Powstał Klub Tropicieli Dinozaurów. Nasi profesorowie paleontolodzy nie muszą już wyjeżdżać na poligon badawczy w poszukiwaniu dinozaurów na pustynię Gobi. Istnieje projekt dobrej drogi dojazdowej, chodników, wielkiego dinoparku z pawilonami, ale zanim do Krasiejowa dotrze w pełni Europa, to już prasa doniosła nam o dewastacji cennych okazów, o wynoszeniu kości dinozaurów. Nie było zaś licznych artykułów edukujących nas o potrzebie zachowania dla ludzkości tego znaleziska. Niestety ochrona przyrody nieożywionej nie jest powszechna w naszych umysłach a tym bardziej w planach inwestycyjnych samorządowców. Podstawowa wiedza geologiczna nie zawsze dociera w kraju do licealistów, tak jak to się dzieje w wielu krajach dawnej Unii Europejskiej z tradycjami edukacyjnymi i powszechnym zbieractwem i kolekcjonerstwem geologicznym.

JAN RZYMELKA

PS. Poprzednie felietony ekologiczne można przeczytać na stronie internetowej <http://rzymelka.sejm.pl>

Fascynujący PRL

„Entuzjaści” to tytuł wystawy prezentowanej w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej. Niby co ona ma wspólnego ze Śląskiem - otóż ma i to wiele. Jest to wystawa dość szczególna, bowiem zobaczyć na niej można dokonania amatorskiego ruchu filmowego, w tym filmy jednego z najbardziej znanych twórców, rodem z Chybia - Franciszka Dzidy oraz filmu Antoniego Kreisa - należącego w latach 70. i 80. do czołówek polskich twórców nieprofesjonalnych.

Franciszek Dzida jest ciągle aktywnym twórcą. Przypomnijmy, chociaż to wiadomość powszechnie znana, że był on pierwowzorem filmowca w filmie „Amator” Krzysztofa Kieślowskiego. Ciągle też nowe filmy Franciszka Dzidy obecne są podczas specjalnych pokazów organizowanych przez Instytucję Filmową „Silesia” czy w kinie „Światowid”, towarzysząc także tegorocznemu festiwalowi filmowemu Era Nowe Horyzonty. Świat filmów Dzidy to krąg niespełnionych miłości, dość odważnej erotyki. Dzida nie moralizuje i nie pokazuje świata lat minionych jak i współczesnych. Tworzy własne fabuły, okraszane często znakomitymi zdjęciami.

Z kolei Antoni Kreis - fotograf, na co dzień związany z Górnośląskim Parkiem Etnograficznym, od kilku lat zajmuje się wyłącznie fotografią artystyczną, a jedną z jego ostatnich wystaw można oglądać w galerii Związku Polskich Artystów Fotografików. Film, którym zajmował się przez wiele lat, przyniósł mu sławę także poza granicami kraju. Był niedoścignionym twórcą (poza Henrykiem Lehnertem z Oświęcimia) filmów animowanych. Zdobył niezliczone ilości nagród krajowych i międzynarodowych, w tym na najbardziej prestiżowych światowych imprezach filmu nieprofesjonalnego.

Dziś obaj trafili na wystawę, jako „fenomen epoki socjalizmu”. Prawda, że po latach zastoju i upadku, kino amatorskie odradza się nowymi siłami, nowymi pomysłami, nowymi ludźmi, którzy jednak tę zabawę traktują już nie tak jak ich poprzednicy sprzed kilkunastu lat. Siłą filmu amatorskiego było bowiem pokazywanie problemów życia codziennego, które nigdy nie miałyby szans w oficjalnym obiegu sztuki. A wszystko to oprawione było znakomitą, nie odbiegającym od profesjonalnego, warsztatem, pomysłem i jego realizacją. Dodatkowym walorem był czas trwania filmów - kondensacja treści w krótkiej formie. Amatorzy dochodzili do perfekcji w metaforach filmowych, w słowie i konstrukcji całego utworu.

Innym filmowcem amatorem prezentowanym na wystawie jest Piotr Majdrowicz - twórca z Poznania, również uznany w kraju i na świecie, zawodowo związany z telewizją poznańską. Warto przypomnieć, że Majdrowicz był laureatem głównej nagrody odbywającej się w 1986 roku w Katowicach największego polskiego festiwalu filmów amatorskich OKFA.

Twórczością Polaków zafascynowani są artyści z Anglii: Marysia Lewandowska i Neil Cumings, którzy są autorami wystawy.

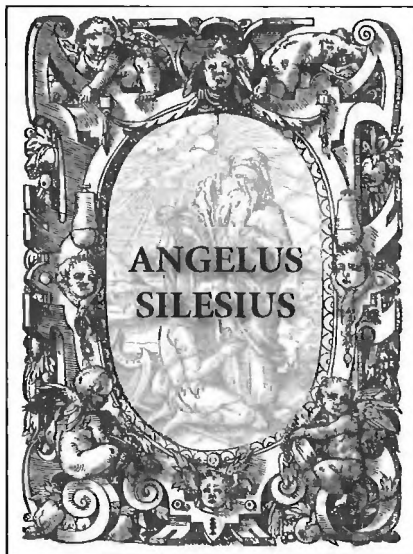
WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Poezja i dziedzictwo w Gliwicach

Cykle „Poetycko o Śląsku” Muzeum w Gliwicach rozpoczęło na początku 2004 r. Pierwsze spotkanie poświęcone było poezji Horsta Bienka. Kolejne spotkania sięgały do tradycji poetyckiej Śląska, poczynając od metafizycznej poezji Silesiusa Angelusa w interpretacji prof. Tadeusza Ślawka. Jedno ze spotkań poświęcono poezji Maxa Hermanna Neisse, którego twórczość stała się przedmiotem inspiracji dla wielu współczesnych poetów.

Po wakacyjnej przerwie organizatorzy wrócili do poetyckiego cyklu spotkań, które odbywają się w gliwickiej Willi Caro. Publiczności prezentowane będą utwory poetyckie, które krótkim komentarzem opatrzyć będą badacze i krytycy literatury, pasjonaci poezji. W cyklu tym nie zabraknie poezji wybitnych polskich poetów jak Tadeusz Różewicz, Adam Zagajewski czy Julian Kornhauser, ale nie zabraknie również poetów młodego pokolenia. Aby poznać Śląsk bliski codziennemu doświadczeniu, organizatorzy proponują poznanie eseistyki Stefana Szymutki i Piotra Lahmanna.



Innym ważnym przedsięwzięciem Muzeum w Gliwicach są tegoroczne Dni Dziedzictwa Kulturowego, które odbywać się będą w dniach 18 i 19 września. Jest to druga edycja Dni. W tym roku pokazany zostanie fenomen rozwoju miasta, jego średniowieczne korzenie i wszystko to, co złożyło się na obraz Gliwic modernizowanych w XIX i XX wieku. Dni odbywają się pod tytułem „Dwa miasta.” Między średniowieczem a nowoczesnością. Dni... odniosą się także do przeszłości i dziedzictwa kultur, konfesji i różnych nacji, które w przeszłości zamieszkiwały Gliwice. W ciągu tych dwóch dni odbywać się będą wykłady, spacer po mieście w towarzystwie pracowników Muzeum i Politechniki Śląskiej, walki rycerskie na przedpolach Zamku Piastowskiego. Będą także koncerty: wystąpią chóry PZChIO Oddziału gliwicko-Zabrskiego, koncerty jazzowe i muzyki klezmerskiej.

Gliwickie Dni Dziedzictwa wpisują się w program Europejskich Dni Dziedzictwa Kulturowego.

Tematyka Dni... obejmować będzie także historię najnowszej miasta: przygotowana została praca pt. „Rok ostatni, rok pierwszy. Gliwice 1945” autorstwa Bogusława Tracza.

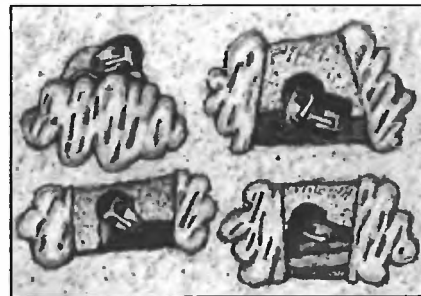
Patronat nad Gliwickimi Dniami Dziedzictwa sprawuje miesięcznik „Śląsk”.

Więcej o tych wydarzeniach w październikowym wydaniu „Śląska”.

Lipecka w Art Nowa 2

„Każdy ma swoje okno na świat” - tak zaczynała się pisemna część pracy dyplomowej Reginy Lipeckiej na katowickiej ASP.

Prace malarskie Lipeckiej, po upływie dziesięciu lat, prezentowane są w galerii ZPAP Art. Nowa 2. Artystka nie posługuje się pędzlem, lecz nakłada farbę warstwami przy pomocy szpachli. Obrazy Lipeckiej są marzycielskie, emanuje



Regina Lipecka, W chmurach.

Jednym zdaniem

■ Z okazji dawnego święta narodowego, które przypadało w dniu 22 lipca, w kinie „Światowid” w Katowicach odbył się pokaz komedii filmowych Stanisława Barci.

■ W Katowicach w okresie wakacji odbył się doroczny Letni ogród Teatralny.

■ Teatr Rozrywki w Chorzowie w czasie wakacji był organizatorem Wakacyjnego Przeglądu Przedstawień, podczas którego można było zobaczyć w wykonaniu Teatru Ateneum z Warszawy „Króla Edypa” w reżyserii Gustawa Holoubka i „Rewizora” Gogola.

■ Anna Serafińska związana z Wydziałem Jazzu katowickiej Akademii Muzycznej, wygrała światowy konkurs dla wokalistów jazzowych na szwajcarskim Montreux Jazz Festival 2004.

■ Wystawę „Rękopisy poetów”, na którą złożyły się wiersze czołowych poetów polskich, m.in. Ewy Lipskiej, Wisławy Szymborskiej, a także młodych twórców, można było oglądać w Instytucie Mikołowskim.

■ W chorzowskiej galerii MM swoje prace wystawiała Grupa Kolobrzeg skupiająca ponad 20 artystów, którą kieruje artysta ze... Śląska Dariusz Kaleta.

■ Po raz 14. w Mikołowie odbywał się Międzynarodowy Plener Artystyczny „Impresje Mikołowskie” z udziałem artystów z Polski, Czech a także z Chin.

■ Jacek Łumiński, dyrektor Śląskiego Teatru Tańca został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

z nich atmosfera zamyślenia, są senne i jakby wzięte z marzeń.

Po upływie dziesięciu lat od chwili dyplomu, w obrazach artysty pozostały okna, chociaż wtedy pewnie nie podejrzewała, że ten element domu stanie się jednym z głównych elementów jej obrazów. Przez okno się wygląda, w oknie można się zadumać, można podglądać lub spokojnie oddawać się tajemnej rozmowie. Swoje okna Lipecka zaczęła malować w cyklu „Latający pociąg”. Pozostały po dziś dzień i stały się wyróżnikiem jej malarstwa.

Przybywa chałupa

Górnośląski Park Etnograficzny, czyli popularny chorzowski skansen wzbogacił się o XIX-wieczną chałupę bogatego gospodarza z Łaz. Wprawdzie na terenie skansenu znalazła się ona dwadzieścia lat temu, ale dopiero teraz znalazły się pieniądze, na jej poskładanie. Koszt postawienia chałupy to około

165 tysięcy złotych. Pieniądze pochodzą z Urzędu Marszałkowskiego.

Chałupa stanie w towarzystwie innych obiektów pochodzących z terenu Zagłębia, obok kuźni i stodoły. Zachowały się również wyposażenie chałupy: drewniany kredens, skrzynia pani domu, komoda, łóżka i inne sprzęty. Uroczyste otwarcie chałupy odbędzie się ostatniego czerwca w przyszłym roku, kiedy to skansen obchodzić będzie 30-lecie istnienia.

Święto „Śląska”

Stało się tradycją, że Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” kończy sezon artystyczny, zapraszając wszystkich sympatyków do swojej siedziby w Koszęcinie na „Święto Śląska”. Jak co roku, w parku zamkowym przygotowano dla publiczności wiele atrakcji, m.in. występy popularnych piosenkarzy, włoskiej grupy folklorystycznej „I Branzoli”, zespołu muzycznego „Carrantouhill”, prezentującego muzykę celtycką i taniec irlandzki, jak również dwa koncerty w wykonaniu gospodarzy.

Przygotowano również blok atrakcji dla dzieci, a także koncerty orkiestry kopalni „Borynia” i folkowej „Orkiestry Dni Naszych”, orkiestry dętej i występ mażorettek. W domu Kultury w Koszęcinie otwarta została wystawa prezentująca

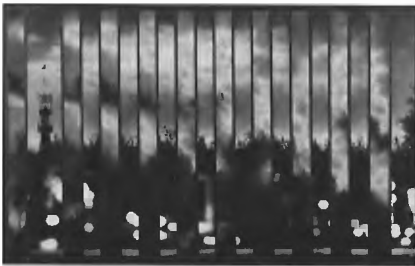
ca dorobek zespołu „Śląsk”, której towarzyszyła projekcja filmów dokumentalnych poświęconych zespołowi.

Również w ramach „Święta Śląska” odbył się VI Międzynarodowy Konkurs Muzyki i Pieśni im. Stanisława Hadyny.

Z okazji trwającego Roku Hadynowskiego odbyło się też seminarium naukowe pt. „W kręgu inspiracji Stanisława Hadyny”, podczas którego folklorysty i etnografowie, m.in. prof. Barbara Bazieli i prof. Dorota Simonides analizowały fenomen twórczości profesora.

Koniakowskiego stalowe pejzaże

Na wystawie „Śląskie stalowe pejzaże 2002-2004” zaprasza ich twórca, Andrzej Koniakowski, do klubu „Chata” w Katowicach. Jego słynne fotograficzne pejzaże Śląska umieszczone na stalowych płytach to przed kilku laty było absolutne novum. Na odbiorcach ogromne wrażenie robiło zestawienie fotografii i tego co wyobrażała – zniszczony przez przemysł śląski krajobraz i przyroda z powyginaną blachą, która stała się jakby najbardziej odpowiednią oprawą jej fotografii.



Andrzej Koniakowski, z cyklu *Śląskie stalowe pejzaże*.

Prace, które prezentuje na swojej najnowszej wystawie to przede wszystkim przetworzenia zdjęć czarno-białych i barwnych, powstałych w różnych latach. Poddając je komputerowej obróbce, uzyskał nową jakość. Połączył w całość twory przemysłu – techniki i działań twórczych jaka jest dzieło fotograficzne.

Andrzej Koniakowski fotografią zajmuje się ponad 30 lat. Od kilku lat jest prezesem śląskiego oddziału Związku Polskich Artystów Fotografików. Fascynują go m.in. nowe możliwości eksponowania fotografii – na przykład w obiektach poprzemysłowych, jak w Galerii Wilson, ale nie zapomina o tzw. galerii związkowej przy ulicy Warszawskiej, która znów coraz częściej staje się miejscem, w którym można oglądać dobrą fotografię. Chętnie pomaga najmłodszemu pokoleniu artystów fotografików.

■ W Tarnowskich Górach, w galerii Inny Śląsk można oglądać wystawę malarstwa Elżbiety Kapusty – jednej z najbardziej uzdolnionych młodych artystek śląskich.

■ Ewa Zawadzka – artystka z Sosnowca, profesor częstochowskiej WSP i katowickiej ASP dostała się do europejskiego finału konkursu malarstwa Lexmark European Prize – jej obrazy (dotąd zajmowała się wyłącznie grafiką) wraz z obrazami Magdaleny Szczepniak i Andrzeja Górniśiewicza – również laureatów konkursu – będą prezentowane w Mediolanie.

■ W Oddziale Muzeum Historii Katowic w Nikiszowcu prezentowana była wystawa „Lalki świata” z kolekcji Ewy Liszki.

■ W trakcie wakacji Siemianowickie Centrum Kultury zaoferowało dzieciom zajęcia teatralne pro-

wadzone przez aktorów Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum” w Katowicach.

■ Od 27 czerwca do 10 lipca w Bytomiu odbywała się po raz jedenasty Międzynarodowa Konferencja Tańca Współczesnego i Festiwal Sztuki Tańczonej.

■ W bazylice o.o. Franciszkanów w Katowicach-Ligocie w ramach cyklu „Sztuka interpretacji” przygotowanego przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” wystąpił organista wiedeński Marek Kudlicki, który wykonywał utwory Bacha, Francja i Brakmsa.

■ Z kolekcji w Muzeum Archidiecezjalnym IPIUM „Silesia” zorganizowała koncert skrzypka Jacka Ropskiego – studenta Akademii Muzycznej w Katowicach, laureata wielu konkursów wiolinistycznych.

O „Skrzydła Ikara”

Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach, Redakcja miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”, Gmina Pisarzy Morawsko-Śląskich w Ostrawie, Wydział Kultury Urzędu Marszałkowskiego w Katowicach przy współpracy Konsulatu Generalnego Republiki Czeskiej w Katowicach i Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie organizują V KONKURS LITERACKI na cykl wierszy lub poemat w języku polskim i czeskim O NAGRODĘ SKRZYDŁA IKARA

Konkurs ten, po raz pierwszy zorganizowany w 1996 roku, nawiązujący do pamięci ostatniego lotu Żwirki i Wigury, zwycięzców Challenge'u w 1932 r. na polskim samolocie RWD-6, którzy ponieśli śmierć 11 września 1932 r. w katastrofie lotniczej w Cierlicku Górnym na Zaoziu podczas przelotu na mityng z Warszawy do Pragi jest ogłoszony i będzie rozstrzygnięty równoległe w języku polskim i czeskim. Utwory nadesłane na konkurs powinny nawiązywać do szeroko pojętej symboliki związanej z lotem IKARA oraz do humanistycznej treści tego antycznego mitu. Obecny Konkurs jest jego ostatnią edycją a nagrodzone i wyróżnione w dotychczasowych Konkursach prace zostaną opublikowane w osobnej książce.

Konkurs ma charakter otwarty i jest skierowany do poetów polskich i czeskich. Cykle wierszy nadesłane na konkurs nie mogą liczyć mniej niż 5 utworów, poematy – co najmniej 100 wierszy. Utwory nadesłane na konkurs nie mogą być wcześniej publikowane w całości czy we fragmentach, ani też rozpozwszeczniiane w jakiegokolwiek innej formie. Teksty w 3 egzemplarzach maszynopisu, opatrzone czytelnym godłem, należy przesyłać pod adresem: *Zarząd Górno-śląskiego Towarzystwa Literackiego, 40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, III p.* Do prac należy dołączyć zaklejona kopertę, oznaczoną tym samym godłem, z podaniem imienia i nazwiska oraz adresu autora. Termin nadsyłania prac upływa **30 września 2004 roku** – obowiązuje data stempla pocztowego. Organizatorzy przewidują przyznanie nagród pieniężnych – I, II, III, oddzielnie za prace w języku polskim i czeskim. Przyznane zostaną także wyróżnienia i nagrody specjalne. Szczegółowych informacji dotyczących konkursu – listownie bądź telefonicznie – udziela Sekretariat Zarządu Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach – w każdy czwartek tygodnia, w godz. 14.00-17.00. Nr tel. (32) 253-62-21.

■ Decyzję o przywróceniu dawnej świetności budynkowi starego dworca w Katowicach, a także ulicy Dworcowej i śródmieścia miasta podjęli radni Katowic.

■ VII Ogólnopolski Turniej Rycerski o Miecz Kasztelana odbył się na Zamku w Ogródzieńcu.

■ W Pałacu w Rybnem koło Tarnowskich Gór koncertowało akordeonowe Classic Duo oraz pianistki: z Japonii Rieko Nazu i z Polski Joanna Domańska.

■ Antoni Halor jest autorem monografii słynnego siemianowickiego I Liceum Ogólnokształcącego, które obchodziło 80-lecie swojego istnienia.

■ Podczas swojego 151 tournée Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia dała koncert w Montevideo, podczas którego wykonała m.in. utwory Witolda Lutosławskiego, Dvoraka i Czajkowskiego.

Ziarno jednego sezonu

Alexander Andrzej Łabiniec to jeden z ostatnich bielskich artystów. Wzorzec twórcy - jakby przywieziony wprost spod Paryża. Kieruje nim reguła ekonomii: - Wyrazić swoje „ja” jak najskąpiej; wyrazić jak najwięcej jednym gestem. Jak kiedyś wyjawiał, stara się operować jak najwęższą gamą barw, żeby nie stosować - niczym amator - wszystkich kolorów tęczy.

O ile w życiu jest zachłanny i stara się wchłaniać w siebie wszelkie jego odmiany (choć z biegiem lat z coraz większym umiarem), o tyle w malarstwie żyje dzięki - coraz bardziej precyzyjnym - ograniczeniom. Taki jest obecnie jego taszyzm.

Kiedyś napisał, że myśl jest obłokiem. Zmienia swoją konfigurację. Za każdym razem wygląda inaczej. Jest zależna tylko od powiewu wiatru.

Wiatr Andrzeja Łabinię nie jest huraganem czy nawet beskidzkim halnym. To raczej estetyczna bryza z „morskiego lotniska” w Aleksandrowicach, jakby powiedział Mieczysław Słomina. Ten wiatr pozwala mu jednak zachować to, co w nim najcenniejszego - stałość estetycznych uczuć. Andrzej Łabiniec jest nadal „wierny samemu sobie - pilnujący swych granic”.

Nawet w jego taszyzmie idea jest panowanie. Musi panować nad myślą i plamą. Dba tylko o to, żeby zarówno malarskie gesty, jak i słowa, były estetyczne. Może dlatego coraz więcej także pisze. Jak wyznał parę lat temu, z właściwą mu chyba od dziecka autoironią, jest już zresztą w takim wieku, że powinien wykorzystać wszystkie możliwości ekspresji, iżby leżąc na szpitalnym łóżku nie miał pretensji, że ich nie wyczerpał.

Świat jego wierszy - które zdążył nagrać na dysku Henryk Machalica, przyjaciel artysty z czasów młodości („i do szklanki i do kochanki”) - ma dwubiegowy charakter. Rozpościera się po Norwidowsku - od uwielbienia do wzgardy, od światła do nocy. Andrzej Łabiniec operuje kontrastami jak poetycki grafik, malarski moralista. Interesuje się tylko królestwem księżycy i pejzażem słońca. Nie ma półmroków poranka i zachodniego zmierzchu. Żadnych stanów pośrednich i przejściowych. Do poezji prowadzi go bowiem chęć życia w świecie wartości - w krajobrazie moralnym, czarno-białym, wśród spraw egzystencjalnych. Dlatego chyba - jak powiada - zostały w nim paryskie piwnice, wraz z którymi słyszał głos Edith Piaff.

Być może też dlatego bardzo lubi chodzić do lasu i podpatrywać świat, bo - jak twierdzi nie tylko w wierszach - może w nim zakotwiczyć jako człowiek. „Być - jak człowiek - grudką ziemi. Ziarnem jednego sezonu, posianym wiosną, by dojrzęło jesienią życia”.

W Galerii Bielskiej BWA oglądaliśmy w sierpniu jego jesienią dojrzalszą.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Tym boleśniejszy jest upadek...

Sztuka zaczyna przypominać coraz bardziej mięso. Nie dlatego, że są jakieś fizyczne podobieństwa pomiędzy abstrakcją a padliną. Są podobieństwa metaforyczne.

Oto były dyrektor Teatru Lalek „Baniałuka” w Bielsku-Białej stanie niebawem przed sądem. Piotr T. odpowie za „poświadczenie nieprawdy w dokumentach o pracę”. Na ławie oskarżonych nie usiądzie sam. Towarzyszyć mu będzie troje byłych współpracowników - Małgorzata D., Piotr D. i Grzegorz K. Kiedy spodziewano się zwolnienia Piotra T. z zajmowanego stanowiska, Małgorzata D. wykradła dokumenty trojga pracowników. W tych dokumentach były dyrektor teatru dokonał zapisów o sześciomiesięcznym okresie wypowiedzenia, których wcześniej nie było w umowach o pracę. Małgorzata D., Piotr D. i Grzegorz K., którym Piotr T. przerebił dokumenty, dochodzili swoich roszczeń po odejściu z pracy i sprawę wygrali... Oszustwo wyszło na jaw, ponieważ zmiany w umowach zostały poświadczone pieczęcią inną niż ta, która widniała na pierwotnych dokumentach. Piotrowi T. grozi teraz pięć lat więzienia.

Rektor w willi

Rektorat Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej doczekał się nowej siedziby. Jest nią neorenesansowa willa Teodora Sixta położona w centrum Bielska przy ul. Mickiewicza. Budynek wzniesiono według projektu jednego z najbardziej zasłużonych dla Bielska architektów - Karola Korna w 1883 roku. Na parterze budynku znajduje się murowana trójkątkowa loggia, a w południowo-zachodnim narożniku willi - wspaniała,

reprezentacyjna wieża. Budynek przypomina nieco willę Hermesa, wzniesioną w Wiedniu dla cesarzowej Elżbiety w latach 1882-83. Władze Bielska-Białej wydzierżawiły willę akademii dwa lata temu. Po remoncie zabytkowy obiekt odzyskał dawną świetność i jest obecnie jednym z najbardziej reprezentacyjnych budynków Bielska-Białej.

Gruszka z Wałachami

Kapela „Wałasi” z Istebnej oraz „kwiaciorka” Magdalena Gruszka z Sopotni Małej zostali laureatami Nagrody im. Oskara Kolberga. Czołowymi przedstawicielami kapeli „Wałasi” są jej założyciel i kierownik Zbigniew Wałach oraz grający w niej od kilkunastu lat Jan Kaczmarzyk. Kapela oraz jej soliści zdobywali najwyższe laury na festiwalach w Żywcu, Zakopanem, Kazimierzu nad Wisłą i Poznaniu. Koncertowali m. in. w Brukseli, Rzymie, Mediolanie, Luksemburgu, w Maroku, a nawet na Cejlonie. Zespół nagrywa także muzykę dla teatru i współpracuje z wybitnymi artystami, m. in. Józefem Skrzekiem.

Magdalena Gruszka urodziła się w 1919 r. i od dziecka zajmuje się zdobnictwem bibułowym. Tworzy zarówno zabawki, jak i podłażnice, pajaki i światełki.

Zabawki muzyczne

Plon VI Międzynarodowego Konkursu na Zabawki i Formy Zdobnicze, któremu „patronowało” hasło „Muzyka, zabawa, taniec”, można było oglądać w sierpniu w Galerii Sztuki Regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej. W kategorii zabawek nagrodzono Wiktora Kizana ze Słowacji za teatrzyk kukielkowy, Jana Kocyan z Wisły za zestaw drewnianych zabawek nawiązujących do tradycyjnych wzorów, oraz Helenę Gaurową z Czech „za wesołe, kolorowe pajace i lalkę z galganów”.

W kategorii akcesoriów zabawkowych nagroda przypadła Grażynie i Tadeuszowi Kruczyńskim za ceramiczny zestaw okaryn i ptaszków. W kategorii form zdobniczych wygrali znani twórcy z województwa śląskiego - Grzegorz Kwaśny i Antoni Toborowicz.

Jednym zdaniem

■ Prace z tkaniny i papieru prezentowała w sierpniu w Galerii Bielskiej BWA artystka z Wrocławia Krystyna Dyrdla-Kortyka.

■ Lokalnym biznesem, wspieraniem przedsiębiorczości i działalności twórców ma się zajmować powstający w Cieszyńsku Śląski Zamek Sztuki i Przedsiębiorczości, który oficjalną działalność rozpocznie w styczniu.

■ „Obrzeża Bielska-Białej” to tytuł wystawy fotografii Mariana Koima, którą można było oglądać w sierpniu w holu bielskiego ratusza.

■ Brytyjska pianistka Jacqueline Cole uruchomiła w Instytucie Wiktora Ullmanna i pragnie teraz propagować twórczość wybitnego muzyka i krytyka muzycznego w jego rodzinnym mieście.

■ Od 17 lipca do 14 września w kościołach Bielska-Białej, Czechowic-Dziedzic, Jasienicy

i Starej Wsi trwać będą V Dni Muzyki Kameralnej i Organowej.

■ Jasną, zieloną farbą odnowiono Studnię Trzech Braci w Cieszyńcu, co wzbudza kontrowersje wśród mieszkańców przygranicznej miejscowości.

■ Do 8 sierpnia trwał na beskidzkich estradach 41 już Tydzień Kultury Beskidzkiej, a w jego ramach 35 Festiwal Folkloru Górali Polskich.

■ Aktorzy Cieszyńskiego Studia Teatralnego po raz trzeci już podczas wakacji zorganizowali w wioskach pogranicza polsko-ukraińskiego w Bieszczadach warsztaty teatralne dla dzieci.

■ Oświęcimski Zespół Pieśni i Tańca „Hajduki” obchodził 35-lecie istnienia.

■ II Letnie Koncerty Plenerowe odbyły się w sierpniu w żywieckim Domku Chińskim.

O pewnej zagrodzie

Jednym z najczęściej wspominanych wydarzeń związanych z dwudziesto-wieczną historią Częstochowy jest Wystawa Przemysłowo-Rolnicza z roku 1909. Odbывała się ona u stóp Jasnej Góry na terenie obecnego Parku Staszica. O jej rozmachu i skali świadczą jeszcze stare pocztówki i fotografie, na których zobaczyć można poszczególne fragmenty wielkiej ekspozycji sprzed prawie stu lat. Z budowlami, wzniesionych specjalnie na wystawę, pozostała w parku bardzo charakterystyczna altanka, jeden pawilon wystawienniczy oraz część tzw. zagrody włościńskiej. Wcale nie tak dawno wyremontowano pawilon wystawienniczy, tworząc doskonale sale muzealne (własność Muzeum Częstochowskiego) o najwyższych standardach, w których odbywało się już wiele prestiżowych wystaw. Natomiast w lipcu Muzeum Częstochowskie pokazało pierwszą wystawę w częściowo wyremontowanym domu mieszkalnym, który niegdyś, wraz z trzema budynkami - stajnią, stodołą i spichlerzem, które się nie zachowały, ilustrował w trakcie Wystawy Przemysłowo-Rolniczej wzorcową zagrodę włościńską. Na pierwszą ekspozycję w zagrodzie-muzeum nieprzypadkowo wybrano rzeźby sztuki ludowej twórców byłego województwa częstochowskiego. A właśnie na tym terenie tworzyli artyści ludowi tej miary, co Stanisław Majewski, Władysław Sikora, Józef Kaczmarek, czy Zdzisław Purchała.

50 prezentowanych rzeźb jest częścią dużej kolekcji sztuki ludowej, którą posiada Muzeum Częstochowskie. W największej sali zagrody prezentowane były rzeźby Stanisława Majewskiego. Artysta w swojej wyobraźni twórczej nie czuł się skrepowany żadnymi regułami „kultury wysokiej”; był niemal analfabetą, który, jedynie oglądając świat, stworzył (również w wersji telewizyjnej) niejako własną wersję biblijnych losów Boga i człowieka. Cykl jego płaskorzeźb „Zatajony świat” (na wystawie znalazła się jedna tablica cyklu) doskonale pokazuje, jak artysta zmagając się z rzeczywistością realną, której nie jest w stanie do końca zrozumieć. Specyfikę życia wiejskiego można było odczuć na wystawie dzięki pracom Józefa Kaczmarka i Zdzisława Purchały, których rzeźby wypełniły jedną z sal zagrody. W osobnej izbie znalazła się również kolekcja kapliczek charakterystycznych dla regionu częstochowskiego. Uwagę zwracających wystawę przykuwała kapliczka autorstwa Józefa Sikory, który wykonał niejako pomniejszony reprint Jasnej Góry. Nie lada atrakcją była również sama zagroda, którą po tylu latach można było zobaczyć od środka (w niedługim czasie będzie musiała znowu zostać zamknięta, by przejść kolejny etap koniecznego remontu). W miesiącu, w którym Częstochowę odwiedzają rzesze pielgrzymów i turystów, prezentowana w zagrodzie wystawa może stać się dodatkowym sposobem promocji miasta. Warto także podkreślić, iż pokazywana sztuka w takiej formie obecnie już prawie nie istnieje.

ELŻBIETA KOT

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Lato z filmem

Pomysł, aby uatrakcyjnić turystom letni wypoczynek ciekawymi spotkaniami z X Muzą, z pewnością nie należy do oryginalnych, ale za to jest wypróbowany i sprawdza się prawie zawsze. Już po raz szósty zorganizowano w Złotym Potoku Jurajskie Lato Filmowe. Na błoniach u podnóża hotelu Kmicic powstaje letnie kino. Tegoroczny program, podobnie jak w latach ubiegłych, nie ograniczył się wyłącznie do projekcji filmów. Odbyły się spotkania z aktorami - gwiazdami festiwalu - Bożeną Dykiel, Maciejem Stuhrem, Wiktoorem Zborowskim, Katarzyną Figurą.

Ciekawie wypadł dzień częstochowski festiwalu, w którym w gronie zaproszonych gości znaleźli się reżyserzy - częstochowianie: Łukasz Wyłęzałek, twórca legendarnego już „Darmozjada polskiego” z roku 1997, oraz Dariusz Grajewski, reżyser wielokrotnie nagradzanej nie tak dawno „Warszawy”. Do Złotego Potoka przyjechał również Piotr Szulkin, a na festiwalu pokazano jego debiut reżyserki „Oczy uroczone” z roku 1977. W programie filmowym, obok takich super produkcji, jak „Władca pierścieni” czy „Troja”, znalazły się również filmy mniej „wakacyjne”, jak chociażby „Zmruż oczy” z roku 2002 w reżyserii Andrzeja Jakimowskiego, czy wyświetlany jedynie w kinach studyjnych „Słońce wschodzi raz na dzień” Henryka Kluby z roku 1967. Wśród wyświetlanych filmów nie mogło zabraknąć ostatniego, największego - pod wieloma względami - filmu polskiego „Nigdy w życiu”.

Festiwal w Złotym Potoku ma charakter wielkiego wakacyjnego pikniku. Zaplanowano rozgrywki i turnieje sportowe, koncerty zespołów muzycznych z regionu Częstochowy i okolic. Jednak nie wszystko udało się zrealizować; niestety, pogoda nieco popsuła szczyki organizatorom.

Z bliska i z daleka

W lipcu odbyły się w Częstochowie VII Międzynarodowe Spotkania

Folklorystyczne „Z bliska i z daleka” organizowane przez Regionalny Ośrodek Kultury. Impreza ta ma bardzo specyficzną formułę. Grupy folklorystyczne regionu Częstochowy, a jest ich niemało, goszczą przybyszy z zagranicy. W tegorocznych spotkaniach „z daleka” przybyły grupy folklorystyczne z Włoch, Litwy, Rumunii, Węgier, natomiast „z bliska” przyjechał Zespół Pieśni i Tańca „Częstochowa”, grupy folklorystyczne z Myszkowa, Kłomnic, Koźiegłów, Przyrowa. Kulminacyjnym momentem Spotkań jest zawsze wielki koncert na scenie Filharmonii Częstochowskiej, w którym występują wszystkie zespoły i który kończy cykl występów odbywających się w miejscowościach goszczących artystów z zagranicy. O prestiżu spotkań częstochowskich najlepiej świadczy fakt, iż imprezie patronuje honorowo Internationale Organisation of Folkart.

Ikony tajemnicze

W Muzeum Częstochowskim w pawilonie wystawienniczym w parku im. Staszica prezentowana była wystawa ikon z Muzeum - Zamku Górków w Szamotułach. Prezentowana kolekcja w dużej mierze powstała dzięki działalności służb celniczych, które udaremniły przemyt tych, jakże poszukiwanych obecnie na zachodzie Europy, dzieł sztuki. To specyficzne i nietypowe dla muzeów pozyskiwanie poszczególnych obiektów artystycznych wpłynęło na różnicowany artystyczny poziom kolekcji.

Prezentowane w Częstochowie ikony to ikony domowe, powstałe w drugiej połowie XIX wieku; wśród nich znalazły się również ikony trzy-polowe, czteropolowe i nawet siedmiopolowe. Jednym z najciekawszych w prawosławiu przedstawień Matki Bożej jest Matka Boża Achtyrska, która namalowana jest z ukrzyżowanym Chrystusem. W Muzeum, w którym przez okna widać Jasną Górę - symbol polskiego i katolickiego kultu maryjnego, dzięki prezentowanym ikonom doszło do ciekawego spotkania religii i kultur. W ikonach tych Matka Boża nigdy nie jest przedstawiana sama; pełne religijnej symboliki, mogą stać się najlepszą drogą do zrozumienia odmienności i specyfiki naszych wschodnich sąsiadów.

Jednym zdaniem

■ W klubie Paradoks odbyło się dwudniowe spotkanie częstochowskich muzyków jazzowych.

■ W galerii Ośrodka Promocji Kultury Gaude Mater można było obejrzeć malarski dyplom studentów Instytutu Plastyki WSP.

■ W klubie muzycznym Utopia wystąpił jeden z najciekawszych obecnie polskich zespołów rockowych, Cool Kids of Death.

■ Znakomity saksofonista jazzowy, Tadeusz Jakubowski, zagrał w klubie Paradoks.

■ W parkowej altanie w parku im. Staszica w lipcu rozpoczął się cykl niedzielnych koncertów orkiestr dętych regionu częstochowskiego.

■ W Miejskiej Galerii Sztuki prezentowane było malarstwo częstochowskiej twórczyni Marii Oglazy.

Poddani świętej Festyny

- Objawiła nam się nowa święta ciesząca się szczególnym kultem. To święta Festyna - mawia ostatnio długoletni fotoreporter PAP na Opolszczyźnie Krzysztof Świdorski. Ma rację, wakacje to czas rodzinnych bibek pod chmurką. A ponieważ region mamy wielokulturowy, tradycja polskich majówek miesza się na potęgę z tradycją niemieckich festów. Homogenizacja nie jest jeszcze całkowita, narodowość festynu można rozpoznać po kulinariach: na tym bardziej polskim nie uświadczysz ciasta, na tym bardziej niemieckim przyzwolonej kielbaski z grilla. Tylko piwo wszędzie smakuje tak samo. Po co pisać o festynach w poważnym periodyku kulturalnym? Raz, że w wakacje kultura wysoka jedzie na urlop i oddaje pole inicjatywom czysto ludycznym. Dwa, że dla pokaznej części naszych współplemieńców zabawa pod chmurką przy dźwiękach śląskiego disco jest jedyną formą uczestnictwa w jakiegokolwiek kulturze (jeśli nie liczyć oglądania sitcomów). Po trzecie - i najważniejsze - opolskie festyny stają się ostatnio coraz bardziej wyrafinowane. Nie chodzi już tylko o to, by się napić i pogibać, imprezie masowej musi przyświecać jakiś cel wyższy.

Ewolucję tę zawdzięczamy programowi Odnowy Wsi Opolskiej, który od dobrych kilku lat z uporem wdraża i lansuje Ryszard Wilczyński, były przewodniczący Sejmiku Samorządowego Województwa Opolskiego (tego sprzed reformy). Program, podpatrzony u zachodnich sąsiadów, ma na celu ożywienie wiejskich społeczności i zjednoczenie ich wokół jakichś wspólnych projektów: może to być nowy klub albo też impreza, która mogłaby ściągnąć publikę z całego regionu i rozstawić wieś na całą Polskę. Brzmi urzędowo, jak jakaś unijna nowomowa (typu: program rozwoju obszarów wiejskich), ale działa. Mamy ostatnio prawdziwy wysyp festynów z tezę. Międzynarodowe Zawody Drwali w Bobrowej, Noc Utopca w Dziergowicach, wybory Mister Wąsa w Wąsicach, zawody w koszeniu kosą i sierpem w Piątkowicach, zlot czarownic w Prószkowie - to tylko te najbardziej chwytliwe pomysły.

Z rządów świętej Festyny najbardziej, oprócz uczestników, cieszą się przedstawiciele mediów codziennych, którzy w sezonie ogórkowym mają o czym pisać. Nie muszą wymyślać niedźwiedzia grasującego w Górach Opawskich albo megasuma w Jeziorze Turawskim (były takie akcje), mogą zmierzyć długość wąsów Mister Wąsa.

MAREK ŚWIERCZ

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Namiastka

Opolskie Echo Kulturalne - taki tytuł będzie nosić wkładka do lokalnego tygodnika „Echo Gmin”, który ukazuje się w Kędzierzynie-Koźlu, ale sprzedaje się w całej południowej Opolszczyźnie. Pomysłodawcą tego dodatku, który ma ambicję relacjonować życie kulturalne regionu, jest Marek Krassowski, nowy prezes reaktywowanego z popiołów Klubu Związków Twórczych.

OEK jest namiastką kulturalnego periodyku z prawdziwego zdarzenia, który ekipa Krassowskiego zamierza wydawać w przyszłości, nawiązując do tradycji „Opola” czy „Stron”. Inicjatywie należy przyklasnąć, choć w jej sukces trudno raczej uwierzyć. W ostatnich latach nie powiodła się żadna próba stworzenia opolskiego pisma kulturalnego - szybko padło nawet popkulturowe, a więc teoretycznie atrakcyjniejsze, „Co jest grane”.

Sezon wandalii

Wstyd pisać, ale w minionym sezonie wakacyjnym najbardziej na polu opolskiej kultury aktywni byli wandalie. Jacyś niezidentyfikowani dotąd chuligani zdewastowali rzeźbę przedwojennego śląskiego artysty Thomasa Myrtka, która stoi na brzegu kanału Młynówka. Rzeźbie odtłuczono głowę wrzucając ją do kanału. Swoistym poczuciem estetyki wykazali się też graffitiarze, którzy wzięli na cel zabytkową fontannę z rzeźbą Ceres na Placu Daszyńskiego w centrum Opola (niedawno została odnowiona sporym nakładem sił i środków). Jakiś dowcipniś domalował jednej z figur czerwone okulary.

Jakby było mało, policja wykryła złodzieja, który handlował szczątkami dinozaurów z wykopalisk w Krasiejowie. Były strażnik przehandlował czaszkę metopozaura za 350 złotych i flaszkę wódki. Teraz za kradzież dóbr kultury grozi mu do 10 lat odsiadki.

Rycerze i grenadierzy

Lato to okres wielkich imprez plenerowych. W skansenie w Bierkowicach

już po raz czwarty zorganizowano wielki turniej rycerski. Dodatkową atrakcją był rycerski ślub zawarty w opolskim Urzędzie Stanu Cywilnego. Państwo młodzi, mieszkańcy Sosnowa, wystąpili we francuskich strojach dworskich z XIV wieku. Także po raz czwarty odbyły się Dni Twierdzy Nyskiej. Głównym punktem imprezy, obok poszukiwania rzekomego skarbu ukrytego w pruskich fortach, była inscenizacja bitwy o Fort Wodny w parku miejskim, nawiązująca do roku 1807, kiedy to Nysę zdobyły wojska Bonaparte'go.

Molly na opolskich drózkach

Uroki Opolszczyzny zachwala niemieckojęzyczny komiks drukowany na łamach tygodnika Schlesisches Wochenblatt. Komiks opowiada o przygodach parki nastolatków, Molly i Bobby'ego, którzy zwiedzają województwo opolskie. Autorem rysunków i scenariusza jest Artur Klose, urodzony w Krapkowicach, ale mieszkający w Niemczech grafik. Wymyśleni przez Klosego wędrownicy reklamowali już w podobny sposób zabytki Lipska i Kassel. Komiks, który ma też wyjść w formie książkowej, został dofinansowany ze środków opolskiego kontraktu wojewódzkiego.

Sprzątają groby

Już po raz dziewiąty opolskie Kuratorium Oświaty i Niemiecki Ludowy Związek Opieki Nad Grobami Wojennymi zorganizowali międzynarodowy obóz młodzieżowy w Łambinowicach. Obozowi przyswieca hasło „Uczyć się przeszłości dla przyszłości” - młodzi uczestnicy z Polski i Niemiec przez dwa tygodnie porządkują groby na największej jenieckiej nekropolii w Europie, jaką jest kompleks cmentarzy przy dawnym stalagu Lamsdorf.



Wakacyjne porządkowanie grobów w Łambinowicach.

Jednym zdaniem

■ W opolskiej Galerii Pierwsze Piętro można było oglądać wystawę prac opolskiego rzeźbiarza Stanisława Kilareckiego.

■ Galeria Sztuki Współczesnej w Opolu zorganizowała wernisaż wystawy prac holenderskiej malarki Renee Wolters.

■ W Grodkowie odbył się ogólnopolski zlot fanów amerykańskiej grupy rockowej „Metallica” - przyjechało ponad stu wielbicieli ciężkiego grania, wystąpiło kilka rodzinnych formacji metalowych.

■ Ruszył zapowiadany od dawna remont gmachów Teatru im. Jana Kochanowskiego i Filharmonii Opolskiej - obie inwestycje zostały dofinansowane ze środków kontraktu wojewódzkiego.

■ Rozstrzygnięty został konkurs na projekt przebudowy budynków Muzeum Śląska Opolskiego - zwyciężył zespół pod kierownictwem Małgorzaty Pizio-Domicz i Antoniego Domicza. Inwestycja ma kosztować 6 milionów złotych.

Z olimpijską sztafetą

W poniedziałek 2 sierpnia, tuż po godz. 20.00, polsko-czeską granicę na Moście Przyjaźni w Cieszynie przekroczyła Polska Sztafeta Olimpijska „Palmiry - Ateny 2004” im. gen. Kazimierza Głabisza. Przed mostem jej uczestnicy przekazali pałeczkę burmistrzowi Cieszyna, Bogdanowi Fickowi, od którego przejął ją na środku mostu jego kolega z Cz. Cieszyna, burmistrz Henryk Sznapka.

„Ciesz mi, że obaj burmistrzowie na to się zgodzili. Uważam, że jest to kolejny symbol łączności między narodami i końca granic między naszymi państwami. Po wejściu naszych krajów do Unii Europejskiej nie powinny nas już dzielić żadne granice” - powiedział, witając wszystkich uczestników spotkania na moście przewodniczący Komitetu Organizacyjnego sztafety, Bogusław Cybulski.

Przybycie sztafety poprzedziły występy towarzyszących ekipie zespołów: kapeli „Wojtki” oraz Zespołu Pieśni i Tańca „Przygodzice” (burmistrzów i sztafetę przywitał m.in. polonezem). Czekanie na przekazanie sztafetowej pałeczki mieszkanką polskich i światowych przebojów umiliła też grupa „Awizo” André Koterasa.

Uroczystość powitania olimpijskiej sztafety przyciągnęła na Most Przyjaźni sporo osób, w większości jednak - o dziwo - z Zaolzia. Byli wśród nich m.in. prezesi Kongresu Polaków i ZG PZKO, Józef Szymczek i Zygmunt Stopa, przedstawiciele władz Związku i innych polskich organizacji, wiceburmistrz Cz. Cieszyna Vít Slovák.

Pałeczkę przejął przewodniczący Ruchu Politycznego „Coexistencia-Wspólnota”, Władysław Niedoba, który na czele grupy zaolziańskich kolarzy odwiózł ją do obozu sztafetowej ekipy nad Zaporą Cieszyńską.

Dodajmy, że sztafeta wyruszyła od grobu Janusza Kusocińskiego w Palmirach pod Warszawą, a wzięło w niej udział 10 biegaczy i 10 kolarzy, w większości dobrze znanych miłośnikom sportu. Znad Olzy trasa sztafety prowadziła do Austrii, skąd przez Słowację, Węgry, Chorwację, Bośnię, Serbię i Macedonię jej uczestnicy dotarli do stolicy Grecji, Aten. Patronat nad przedsięwzięciem objeli m.in. marszałkowie Senatu i Sejmu RP, Longin Pastusiak i Józef Oleksy. Członkami Honorowego Komitetu Organizacyjnego sztafety są oprócz licznych polskich polityków m.in. ambasadorzy Słowacji, Węgier i Macedonii w RP.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

„Pod Pegazem” jubileuszowo

Spotkanie w 14. „Świątógóralskiej” Kawiarence „Pod Pegazem” było okazją do uczczenia 15-lecia działalności tej podbeskidzkiej poetyckiej inicjatywy. Wieczór, który prowadzili dwaj założyciele Kawiarenki, Stanisław Gawlik i Jan Pyszko (zabrakło Wilhelma Przeczka), był tym razem poświęcony twórczości nieżyjących już zaolziańskich poetów i prozaików.

W wykonaniu dyrektora Teatru Cieszyńskiego, Karola Suszki, zabrzmiały utwory Adama Sikory, Władysława Młynka, Anny Filipek, Adama Wawrosza, Ewy Milerskiej, Pawła Kubisa, Gustawa Przeczka, Gustawa Pyszkę, Henryka Jasieczka, Adolfa Dostala, Gustawa Sajdoka, Gabriela Palowskiego, Wiesława Adama Bergera i Janusza Gaudyna.

Były też wystąpienia gości. Swoimi refleksjami nt. Zaolzia i jego środowiska literackiego podzielił się m.in. prezes Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego i redaktor naczelny miesięcznika „Śląsk” Tadeusz Kijonka. „Cieszyć może nas to, że Olza dawniej taka szeroka, powraca teraz do naturalnych rozmiarów. Łatwiej jest się teraz spotykać” - powiedział m.in. gość z Katowic.

Przerwy między blokami poetyckimi wypełnił grą na cytrze ks. senior Jan Wacławek z Nawsia. Głos zabrali także redaktor naczelna ostrawskiego pisma literacko-kulturalnego Tat'ána Popkova i prezes ostrawskiego koła Gminy Czeskich Pisarzy Jiří Urbanec.

S. Gawlik ogłosił wyniki II Konkursu Jednego Wiersza im. Władysława Młynka „O Palice HADAMA”. Pierwszej nagrody nie przynano, 2. miejsce zajął Kazimierz Furman z Gorzowa Wielkopolskiego, 3. Lech

Przeczek z Trzyńca. Wyróżnieniem nagrodzono utwory Bohdana Sławińskiego, Doroty Ryst (oboje z Warszawy) i Piotra Tomczaka (Myszków). Nagrodę specjalną - za wiersz gwarowy - otrzymał Paweł Lazar z Wisły, nagrodę chóru „Gorol” zaś Urszula Stefaniak-Korzonek ze Skoczowa.

cie@pieklo.cz

Jako zaproszenie do dyskusji można potraktować spektakl pn. „cie@pieklo.cz” autorstwa i w reżyserii Haliny Sikory, kończącej studia na kierunku reżyserskim Wydziału Sztuki Łąkarzkiej Akademii Teatralnej im. A. Zelwerowicza w Białymstoku. Premiera odbyła się 20 sierpnia w cieskocieszyńskim klubie „Dziupla”.

„Spektakl powstał na podstawie autentycznych wypowiedzi młodych Zaolziaków na temat polskości w naszym regionie i może być wkładem do przebiegającej na Zaolziu od dłuższego czasu dyskusji pod hasłem „Jacy jesteśmy” - powiedział H. Sikora redakcji „Głosu Ludu”. „Chociaż kierujemy spektakl głównie do młodzieży, zapraszamy na kolejne przedstawienia wszystkich zainteresowanych ową dyskusją. Jest to spektakl na pewno bez żadnych sentymentów i upiększeń. Stawiamy po prostu przed Zaolziaków lustro”.

H. Sikora przygotowała spektakl wspólnie z Niezależną Grupą Teatralną „Bez znieczulenia”. Na scenie wystąpili Iza Balon oraz zespół rockowy „Apatheia”. Autorką scenografii jest Anna Siwek.

Odpust ze sportowymi emocjami

Zawody Czeskiego Pucharu w biegu pod górę towarzyszyły tegorocznemu odpustowi ku czci św. Anny na Kozubowej. Tradycyjny odpust odbył się w tym roku 1 sierpnia.

Przed kaplicą pw. św. Anny modliło się kilkuset wiernych z całego Zaolzia. Dwie msze św. odprawił pochodzący z leżącego pod stokami Kozubowej Milikowa neopresbiter Jan Mazur. Tę celebrowaną w języku polskim odprawiono w intencji budowniczych kaplicy - dr. Olszaka i ks. Płoszka.

Jednym zdaniem

■ Ponad 11 tys. osób zawitało w dniach 7 i 8 sierpnia do Jabłonkowa na 57. Gorolskie Święto. Oprócz zaolziańskich zespołów zaprezentowali się w Łasku Miejskim goście m.in. z Izraela, Portugalii, Litwy, Słowacji i Moraw.

■ 7 sierpnia pod pomnikiem tragedii żydowskiej odbyła się uroczystość ku czci 36 mężczyzn, którzy przed 60 laty - 6 sierpnia 1944 r. - rozstrzelani zostali przez oprawców niemieckich.

■ Maryla Rodowicz była 15 sierpnia gościem tradycyjnego Złotu, organizowanego co roku w Wędrzynie przez trzyński Klub Kultury. Przedstawili się też Zaolziacy mieszkający w Pradze - aktorzy Renata Worek-Drössler, Krystyna Kubisz-Skalická i Jan Szymik.

■ W lipcu kontynuowano archeologiczne prace w byłym grodzisku w Kocobędzu Podoborze. Wykopano np. kilka siekierok żelaznych z okresu halstańskiego czy żelazne ostrogi z czasów Słowian.

■ W Mostach k. Jabłonkowa odbyło się 24 lipca tradycyjne spotkanie mieszkańców wsi i słowackiego Świerczynowa. W programie

wystąpiły zespoły folklorystyczne, wędryńscy Gimnastycy i chór „Przełęcz”.

■ Na koncertach w ramach Tygodnia Kultury Beskidzkiej publiczności zaprezentowały się także zaolziańskie zespoły - „Bystrzyca”, „Zaolzie”, „Gorol” i „Górole”.

■ ZPIT „Olza” reprezentował Zaolzie na X Festiwalu Kultury Kresowej w Mrągowie (odbywał się w dniach 30. 7. - 1. 8.).

■ W Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie rozpoczęły się 2 sierpnia zajęcia w Letniej Szkole Języka, Literatury i Kultury Polskiej.

■ Kongres Polaków w RC wydał książkę Agaty Szczuki z Łomnej Dolnej o jej podróży do Rosji - „Oczy zachodnie, oczy wschodnie albo U nich nie kak u nas”.

■ Z funkcji gospodarza jabłonkowskiej Kawiarenki „Pod Pegazem” zrezygnował poeta Jan Pyszko. Pałeczkę przekazał Markowi Słowickowski z Boconowic.

■ 22 nauczycieli wzięło udział w wyprawie na Ukrainę pn. „Śladami bohaterów powieści Sienkiewicza”.

Powstała w 1993 roku z inicjatywy dyrekcji Elektrowni „Łaziska” w Łaziskach Górnych, Związku Zawodowego Pracowników Elektrowni „Łaziska” NSZZ Międzyzakładowej Komisji „Solidarności” przy Elektrowni „Łaziska”. Miała działać na rzecz społeczności lokalnej, nieść pomoc dzieciom, osobom dorosłym i w podeszłym wieku, dla których inne metody wsparcia okazały się niewystarczające. Bardzo szybko jednak działalność Fundacji PRO-EKO przekroczyła granicę Łazisk Górnych i sąsiadującego z nimi Mikołowa. Lista miast, które zostały objęte różnymi formami pomocy poszerzyła się o Orzesze, Tychy, Katowice, Sosnowiec, Zabrze, Repty, Rybnik, Piętkary Śląskie, Bytom i Chorzów.

Szybko też działalność fundacji wyszła poza ramy pomocy dla potrzebujących jej dzieci i dorosłych. Do inicjatyw związanych z poprawą ochrony zdrowia, pomocą społeczną i dobrem dzieci dołączono wspieranie działalności kulturalnej oraz sportu i kultury fizycznej. A kiedy zaszła potrzeba - Fundacja Pracownicza PRO-EKO włączyła się czynnie w niesienie pomocy ofiarom wielkiej powodzi w 1997 roku.

Działania na rzecz ochrony zdrowia to przede wszystkim pomoc w pracach remontowo-budowlanych, w zakupie nowoczesnych urządzeń i sprzętu medycznego służącego do diagnostyki i terapii oraz bezpośrednie wsparcie materialne. Każdy, kto na własnej skórze odczuł katastrofalną sytuację finansową panującą w naszych placówkach leczniczych, wie jak cenne są podobne inicjatywy.

Pośród świadczeń na rzecz dzieci koniecznie trzeba wspomnieć o prowadzonym wspólnie z gminami i starostwem mikołowskim programie badań „Profilaktyka medyczna chorób układu oddechowego dzieci”. Fundacja wspiera też hospicja, wspomaga „zielone szkoły”, organizuje kolonie charytatywne. Ważne miejsce w tym zakresie zajmuje też edukacja - fundowanie stypendiów, organizowanie konkursów takich jak „Chrońmy przyrodę”, czy „Uczmy się żyć bezpiecznie”. Osobny rozdział to zdobywanie środków na remonty placówek oświatowych, zakup pomocy naukowych, wyposażenia sal gimnastycznych.

Jeżeli chodzi o pomoc społeczną fundacja wspomaga osoby starsze i niepełnosprawne. Zakup leków, sprzętu rehabilitacyjnego i wózków inwalidzkich, opału na zimę. PRO-EKO współpracuje z Polskim Czerwonym Krzyżem, Polskim Związkiem Niewidomych, Katolickim Stowarzyszeniem Niepełnosprawnych, „Caritas” Archidiecezji Katowickiej.

Fundacja Pracownicza



1993-2003

Pro publico bono

Kulturze służy fundacja wspierając działalność wydawniczą, plastyczną, muzyczną. Pomaga także w organizowaniu imprez propagujących ekologię. Sfinansowała też produkcję filmów oświatowych poświęconych ochronie środowiska. Niemalże środki przeznaczają na ratowanie zabytków. Skorzystały z nich m.in. kościoły w Woszczycach, Borowej Wsi, Łędzinach, Zamek w Chudowie i Pałac w Pszczynie. W zakresie tak zwanej kultury wysokiej dofinansowano wystawę obrazów Tadeusza Makowskiego w Muzeum Śląskim w Katowicach oraz nagranie w katowickiej rozgłośni Polskiego Radia płyty znanej pianistki Gabrieli Szendzielorz.

Fundacja PRO-EKO sponsoruje także imprezy sportowe i turystyczne, pomaga w zakupie sprzętu sportowego, finansuje obozy sportowe, wspiera budowę obiektów sportowych i placów zabaw.

Mottem fundacji są słowa Helderera Cammery: *Jeżeli marzy tylko jeden człowiek, pozostanie to tylko marzeniem. Jeśli zaś będziemy marzyć wszyscy, będzie to już początek nowej rzeczywistości...* Do tej właśnie myśli nawiązał dyrektor Elektrowni „Łaziska”, jeden z inicjatorów powołania do życia PRO-EKO, Klemens Ścierański, który z okazji dziesięciolecia działalności powiedział: *To dobrze, że w tych trudnych czasach nie brakuje ludzkiej ofiarności i chęci dzielenia się z potrzebującymi. Bez wielkiego serca darczyńców i sponsorów motto Fundacji o marzeniach byłoby znacznie trudniejsze do spełnienia. Wierząc w niespożyte zasoby energii ludzi, którzy kierują Fundacją życzę PRO-EKO wielu równie wspaniałych jubileuszy i powodów do zasłużonej satysfakcji.*

Prezesem Fundacji PRO-EKO jest Stanisław Karpeta, który w kwietniu br. został laureatem tytułu Przyjaciół „Śląska”, przyznanego przez naszą redakcję. W publikacji wydanej z okazji dziesięciolecia działalności wspominał wywiad prasowy, podczas którego zapytano go, czy gdyby na początku zdawał sobie sprawę z trudności i problemów towarzyszących kierowaniu fundacją, jeszcze raz wzięłby na siebie tę odpowiedzialność. Odpowiedział, że tak. I uzasadnił tę odpowiedź następująco: *...dla ludzkiego zdrowia, dla uśmiechu dziecka, dla prostego słowa dziękuję warto poświęcić własne chwile życia. W dalszej części tej wypowiedzi prezes bardzo trafnie zauważył: ...prawdziwa misja organizacji i stowarzyszeń podobnych do PRO-EKO to nie tylko pomoc doraźna, lecz przede wszystkim udział w budowaniu społeczeństwa*

obywatelskiego. Społeczeństwa wrażliwego na ludzką krzywdę, społeczeństwa otwartego i odpowiedzialnego.

Nic dziwnego, że fundacja jest powszechnie doceniana. Za swoją działalność otrzymała wiele nagród, dyplomów, listów dziękczynnych. M.in. od Ministerstwa Edukacji Narodowej, Fundacji Jolanty Kwaśniewskiej „Porozumienie bez barier”, „Caritas” Archidiecezji Katowickiej, Polskiego Radia w Katowicach, Państwowej Straży Pożarnej, a nawet Konsulatu w Honolululu. Prestiżowym wyróżnieniem był „Cezar Śląskiego Biznesu” przyznany w 2003 roku przez Łożę Katowicką BCC za działalność charytatywną.

O FUNDACJI POWIEDZIELI:

Godne pochwały i pozazdrosczenia są dokonania Fundacji na rzecz służby zdrowia, policji i innych instytucji zapewniających bezpieczeństwo publiczne. Najbardziej jednak cenna i dalekowszerna jest pomoc PRO-EKO dla rozwoju kultury i opieki nad zabytkami, tak ściśle związanymi z historią i tradycją Śląska.

Posel na Sejm RP
EUGENIUSZ WYCISŁO

Bardzo trudno w dzisiejszych czasach wyobrazić sobie normalne funkcjonowanie placówek służby zdrowia bez ludzi wielkiego serca, jakimi bez wątpienia są ci, którzy tworzą Fundację PRO-EKO.

Dyrektor ds. Lecznictwa Górnośląskiego
Centrum Medycznego
w Katowicach-Ochojcu
lek. med. WOJCIECH WRÓBEL

Podobne wypowiedzi można cytować w nieskończoność. Jak się wydaje te dwie są dobrym podsumowaniem krótkiej charakterystyki działalności PRO-EKO.

Fundacja Pracownicza Pro-Eko przy Elektrowni „Łaziska”
43-170 Łaziska Górne, ul. Wyzwolenia 30, tel. (032) 324 35 00, fax (032) 324 36 03
Nasze konto: Bank BISE SA O/Łaziska Górne 13601063-10009-27005-000-00001

Cele Fundacji:

Niesienie pomocy pracownikom Elektrowni „Łaziska”, ich rodzinom, rencistom, emerytom zakładu oraz społeczeństwu ziemi śląskiej

Organizowanie i wspieranie inicjatyw oraz przedsięwzięć na rzecz utrzymania substancji i ich rozwoju w zakresie ochrony zdrowia i pomocy społecznej, podnoszenia kwalifikacji zawodowych, wypoczynku, sportu i rekreacji, ochrony środowiska, działalności oświatowej i kulturalnej, wspierania załóg pracowniczych w procesie prywatyzacji, restrukturyzacji i przekształceń własnościowych, mieszkalnictwa



**Zapraszamy do grona Sponsorów Fundacji
Gwarantujemy dobre towarzystwo**



POLSKI KOKS S.A.

351674

ZNACZĄCY EKSPORTER KOKSU NA ŚWIATOWE RYNKI



EKSPORTUJEMY KOKS:

POLSKI KOKS

- WIELKOPIECOWY
- STABILIZOWANY
- ORZECZ
- GROSZEK
- KOKSIK

POLSKI KOKS S.A.

PL 40-542 KATOWICE
UL. HUBERTA 11

TEL. +48 / 32 / 357 09 00
FAX +48 / 32 / 357 09 08



ISPAT POLSKA STAL S.A.

